

FLORENCE HINCKEL

U4

.YANNIS

JERRY VILLAS

FLORENCE HINCKEL

U4

.YANNIS

PRZEŁOŻYŁ JAKUB JEDLIŃSKI



POLARNY LIS

SPIS TREŚCI

Motto

Jeden

Dwa

Cztery

Podziękowania

Przypisy

[Jules – pierwszy fragment]

Stephane

Koridwen

Życie pochodzi od życia.

Życie rodzi życie, które rodzi życie,

które rodzi życie.

John Green, *Gwiazd naszych win*

Człowiek to również mikrob uparty.

Jean Giono, *Huzar na dachu*

1 LISTOPADA

Mija już dziesięć dni, odkąd atakujący opony mózgowo filowirus krwotoczny U4 – nazwany tak od Utrechtu, miasta w Holandii, w którym pojawił się po raz pierwszy, i czwartej generacji – sieje spustoszenie.

Piorunująco złośliwy, w czterdzieści godzin zabija wszystkich bez wyjątku: wywołuje osłabienie organizmu, migreny, astenię i paraliże, po których dochodzi do gwałtownego krwawienia, zawsze kończącego się śmiercią.

Rozprzestrzenił się już w całej Europie. Berlin, Lyon, Mediolan... Kolejne dzielnice, miasta, aglomeracje próbowano poddawać kwarantannie, aby powstrzymać epidemię. Na próżno.

Ponad dziewięćdziesiąt procent światowej populacji uległo zagładzie. Przy życiu pozostały jedynie nastolatki.

Zaczyna brakować pożywienia i wody pitnej. Połączenie z internetem staje się niestabilne. Istnieje obawa, że skończy się prąd i zerwą sieci komunikacyjne.

Warriors of Time (lub WOT – dla wtajemniczonych) była przed epidemią popularną grą komputerową w typie multiplayer. Gracze mogli w niej – w zależności od poziomu – podróżować między epokami w fikcyjnym świecie Ukraün, zmieniać bieg wydarzeń i w ten sposób wypełniać swoje misje. Uczestnicy regularnie spotykali się na forum, żeby wypracowywać strategie i wysłuchiwać rad doświadczonych wojowników – Ekspertów albo nawet samego mistrza gry, Khronosa.

Pierwszego listopada, przedostatniego dnia działania internetu, szeregi WOT liczyły około stu pięćdziesięciu Ekspertów pozostałych przy życiu na terytorium Francji. Ci z nich, którzy weszli na forum tego dnia, żeby zapomnieć o otaczającej ich rzeczywistości albo wymienić się informacjami na temat kataklizmu, otrzymali taką wiadomość:

Od: Mistrz gry

Do: Eksperci

To z pewnością moja ostatnia wiadomość. Połączenia stopniowo rwą się na całym świecie.

Nie traćcie nadziei. Wciąż pozostajemy Warriors of Time.

Znam sposób na cofnięcie czasu. Zawsze go znalazłem. Jednak sam nie mogę nic zrobić.

Dołączcie do mnie. Razem możemy uniknąć katastrofy, napisać przeszłość na nowo. Uwierźcie we mnie, uwierźcie w samych siebie, a pokonamy naszego najpotężniejszego wroga: wirusa.

Spotkanie 24 grudnia o północy pod najstarszym zegarem w Paryżu.

Khronos

—

Jules, Koridwen, Stéphane i Yannis to czworo Ekspertów. U4 jest historią o nich.

JEDEN

1 LISTOPADA, GODZINA 8.00

Coś unosi się na wodzie.

Świat właśnie się kończy. Płomienie tańczą, ich jęzory sięgają aż do nieba. A ja nie mogę oderwać wzroku od dryfującego czegoś.

Moje serce rozpadło się na miliardy kawałków, nogi odmawiają posłuszeństwa, zimne słońce nie ogrzewa twarzy.

Przedmiot mojej obserwacji jak zagubiona łódka powoli zbacza z kursu na wysokości pałacu Pharo. Słońce oświetla port i nagle zauważam coś błyszczącego. To guzik kurtki martwego człowieka, którego ciało płynie z nurtem rzeki.

Wcześniej żadnego nie widziałem. Trupy dopiero po kilku dniach wypływają na powierzchnię. Wkrótce pojawią się kolejne i port zmieni się nieodwracalnie. Na bulwarach też już nigdy nie będzie tak jak dawniej. Śmiechy, spacerowanie nad brzegiem morza, przesiadywanie na ławkach, zjadanie lodów, łowienie ryb na przynętę z chleba, zagadywanie rybaków na kutrach, gonienie mew, podziwianie skrzących się fal... To wszystko się skończyło. Na zawsze.

Gdyby nie wiadomość od Khronosa, nic nie zmusiłoby mnie do opuszczenia domu. Nie mógłbym się od nich oderwać – od taty, mamy, Camili... mojej rodziny.

Wiedziałem, że w końcu będę musiał wyjść – w przeciwnym razie zostałbym na zawsze w swoim pokoju i umarł z głodu po zjedzeniu wszystkich herbatników, jabłek, pomarańczy i jogurtów przechowywanych w chłodzie pod parapetem. I po wypiciu wszystkich puszek coli. A może umarłbym z zimna, bo zaczęło się robić chłodno, prąd został odcięty na dobre, a w domu nie mogłem już znaleźć nic do spalania, bo nie śmiałem niczego dotknąć.

Gdyby nie ta wiadomość, przez całe dni siedziałbym przybity i choć słońce codziennie by wschodziło, czy zdołałbym liczyć kolejne dni? Z pewnością straciłbym rachubę czasu. Pozwoliłbym, aby pochłonęła mnie nicość.

Gdyby nie ta wiadomość i Happy, nigdy by mi się nie udało stamtąd wyjść. Mój wierny pies leżał obok mnie. Co jakiś czas zniknął, pewnie żeby poszukać jedzenia, ale zawsze wracał, skamlał i kładł pysk na moich nogach. W jego błyszczących oczach widziałem niezliczone pytania. Zanurzałem dłonie w jego gęstej, czarnej sierści i białym kołnierzu na szyi, lecz milczałem, bo słowa mnie opuściły. W myślach nadal byłem Ekspertem Warriors of Time – gry, której poświęcałem cały wolny czas, zanim to wszystko się zaczęło. Tak dałem się wciągnąć w wirtualny świat, że mój najlepszy kumpel RV, z którym w dzieciństwie włóczyłem się całymi dniami, skarżył się, iż wcale już mnie nie widuje.

W ostatnim czasie, przerażony martwą ciszą, zapomniałem o Yannisie, słabowitym chłopaku, zagubionym w rozpadającym się świecie, by stać się jego awatarem z WOT, potężnym Adriałem, rycerzem podróżującym w czasie i wychodzącym cało z licznych wojen.

Od czasu do czasu dochodziły do mnie krzyki. Łkania rozlegały się nagle, a po chwili zamierały. W sąsiednich mieszkaniach rozbrzmiewały kroki. W świetle dnia wszystko było nieruchome, ulica ożywała po zapadnięciu mroku. Zapalałem trzy świece stojące obok podręczników szkolnych i słuchałem dobiegających zza okna odgłosów. Kroków, najpierw powolnych, później szybszych, a w końcu oszalałych ze strachu. Rozdzierających wołań. Czasem odległych wybuchów. Pif! Co to było? Paf! Można by pomyśleć, że to strzały z broni palnej. Ale kto strzelał? Do czego? Do kogo? Wycie rozdzierało powietrze. Z całej siły zatykałem uszy, zamykałem oczy, chciałem zniknąć...

Kiedy znów pojawiał się prąd, mrużyłem oczy w świetle lampy. W różnych częściach dzielnicy nagle rozlegała się muzyka, puszczona na cały regulator, wywołująca fałszywe

i nerwowe śmiechy. Myślałem tylko o jednym: żeby wejść w świat WOT, gdzie kolekcjonowaliśmy broń i techniki walki z przyszłości, by zdobyć przewagę w przeszłości. Czasem działało to także w przeciwnym kierunku – przeszłość mogła pomóc przyszłości. Byłem bardzo dobry w tej grze. O wiele lepszy niż w życiu czy nauce... Od wybuchu epidemii łączyłem się z internetem tylko po to, żeby skontaktować się z kolegami Ekspertami i dowiedzieć się, czy dostali wiadomość od Khronosa, który ponad tydzień wcześniej jakby zapadł się pod ziemię. Wszyscy Ekspertcy mówili to samo, bez względu na to, czy pochodzili z Bretanii, Paryża, Tuluzy, Metz czy Lyonu. Wirus niepodzielnie panował nad Francją. Cały kraj opanowała panika.

*SuperThor3: o co w tym wszystkim cho, ja pier***lę, to istny koniec świata, czy co? tu jest jak w piekle...*

Laféedhiver: ja mieszkam w megaodizolowanej wiosce. Ale wirus tu też dotarł...

Adrial: w tele mówią, że to się dzieje na całym świecie...

Lady Rottweiler: taaa, to samo w Lyonie, uważajcie na siebie, posłuchajcie. Przede...

Lady Rottweiler z Lyonu zdawała się mieć jakieś takie pojęcie o medycynie i w pierwszych dniach zdążyła przekazać nam kilka zaleceń dotyczących higieny. Później zgiełk sieci też umilkł i każdy z nas został sam. W samym sercu apokalipsy.

Myślałem, że oszaleję, kiedy okazało się, że nie można połączyć się z WOT. To było moje ostatnie źródło informacji na temat tego, co dzieje się na zewnątrz. I ostatnie źródło otuchy.

Wiem, że za słowami Ekspertów, nawet Lady Rottweiler, kryły się smutek, żałoba, rozpacz, łzy, strach, poczucie opuszczenia. Ja też nie poruszałem tych tematów. Chcieliśmy nadal zachowywać się jak bohaterowie, nawet w tym kurewsko rzeczywistym świecie.

Zachowywać się jak bohaterowie! A tymczasem nie miałem odwagi nawet ruszyć się z domu! Za bardzo mnie rozpieszczano i dziś nie umiałem sobie poradzić. Rodzice nigdy nie pozwalali mi ugotować niczego poza makaronem ani dotknąć gwoźdźcia czy młotka. Woleli, żebym się uczył. A ja nie należałem do chłopców, którzy za wszelką cenę chcą wstąpić do skautów. Tylko podczas grania w WOT nie czułem, że tracę czas. Świat wirtualny był moją przyszłością i jedynym miejscem, w którym zdobywałem znaczenie towarzyskie, oczywiście z przekonaniem, że w dłuższej perspektywie wyjdzie mi to na dobre. Szkoła nie była moją mocną stroną. Zamiast zakuwać, ukradkiem ćwiczyłem swoje umiejętności no-life, które – byłem tego pewien – miały mi się kiedyś przydać.

Gdyby rodzice się dowiedzieli! Myśleli, że dobre oceny z francuskiego zawdzięczam godzinom ciężkiej pracy. To prawda, że francuski był moim ulubionym przedmiotem, choć nikt nie pomagał mi w lekcjach, bo rodzice dobrze mówią, ale kiepsko piszą. A właściwie...

Dobrze mówili, ale kiepsko pisali.

– Opanuj się, Yannis – rozkazuje mi Adrial.

A ja wyobrażam sobie jego postać w zbroi, jego długie włosy, stalowe mięśnie, miecz w dłoni i kałasznikow na ramieniu. Dwa razy uderzam się pięścią w klatkę piersiową i z wściekłością powstrzymuję łzy.

– OK, tylko mnie nie opuszczaj, proszę. Zostań ze mną, zostań ze mną...

1 LISTOPADA, GODZINA 9.00

Dziś, śledząc wzrokiem trupa tańczącego na falach, rozmawiam ze Śmiercią. Ona, której imię wcześniej ledwie śmiałem wymówić, jest teraz moją przyjaciółką. Hej, Śmierci, jak życie? Ile osób dziś pocałowałaś? Ach tak, jednak...

Śmierć... Trzęsąc się pod kołdrą, czekałem, aż zapuka do moich drzwi. Fascynował mnie błękit nieba, kpiącego ze wszystkich: żywych, martwych, konających, a przede wszystkim ze mnie. Niebo zajmowało się przybieraniem elegancko stonowanych barw, blaknących na początku i pod koniec każdego dnia. Woda w porcie odbijała jego kolory tak jak wcześniej, maszty statków uderzały o siebie jak wcześniej, mewy krzyczały jak wcześniej, tylko nie było słyhać żadnego słowa, okrzyku, warkotu motoru, muzyki. Żadnego sygnału ludzkiej obecności.

Gdy nadchodził wieczór, przerażał mnie dźwięk ciał rzucanych do wody. Idioci... Chociaż nie wiem zbyt wiele o życiu, rozumiem, że woda jest cenna. Ojciec powtarzał to często, a matce z dzieciństwa spędzonego w Algierii pozostał zwyczaj oszczędzania każdej kropli. Śmiejąc się z samej siebie, zawsze podkładała miskę pod kran – na wypadek, gdyby zaczął przeciekać. Wrzucanie trupów do wody to najgorszy sposób pozbywania się martwych. Tą drogą najłatwiej rozprzestrzenić wszelkie możliwe świństwa i jeszcze bardziej zatruć powietrze w mieście.

Dziś w nocy obudziłem się, szcękając zębami. Sprawdziłem godzinę na zegarku taty. Przedwczoraj założyłem ten zegarek na rękę, bo zorientowałem się, że bateria w moim telefonie wkrótce się wyczerpie. Była dokładnie pierwsza jedenaście nad ranem. Początkowo myślałem, że obudziłem się z zimna, ale wtedy usłyszałem piknięcie, które uświadomiło mi, że przez sen słyszałem ten sam dźwięk. Włączono prąd! Najpierw położyłem rękę na kaloryferze obok łóżka. Był ciepły, przyjemnie rozgrzewał w tym arktycznym klimacie. Piknięcie oznaczało, że uruchomił się termostat. Natychmiast rzuciłem się do komputera. Dostałem wiadomość z WOT. Wiadomość od Khronosa.

Znam sposób na cofnięcie czasu. Zawsze go znałem. Jednak sam nie mogę nic zrobić.

Dołączcie do mnie. Razem możemy uniknąć katastrofy, napisać przeszłość na nowo. Uwierzcie we mnie, uwierzcie w samych siebie, a pokonamy naszego najpotężniejszego wroga: wirusa.

Spotkanie 24 grudnia o północy pod najstarszym zegarem w Paryżu.

Zaraz pomyślałem sobie: „Oby tylko inni Eksperci też ją dostali i przeczytali!”. Poczulem ogromną falę nadziei, która stworzyła cieniutką zasłonę oddzielającą mnie od śmierci. Ponownie przeczytałem słowa Khronosa i sam nie wiedziałem, czy mam się śmiać, czy płakać. „Znam sposób na cofnięcie czasu...”

Cały ten chaos musiał wkurzyć mistrza gry. Nieważne. Liczy się tylko spotkanie. Odnalezienie się. Zjednoczenie. Bohaterowie świata wirtualnego, tak samo jak rzeczywistego, zwykli walczyć. Bez względu na to, czy istnieje sposób na cofnięcie czasu, czy nie – będziemy toczyć bój. Żeby przeżyć. Żeby odbudowywać. Żeby uniknąć samotności.

Nic lub prawie nic nie wiem o pozostałych Ekspertach, ale jako znak rozpoznawczy posłuży nam wspólny gest: dwukrotne uderzenie prawą pięścią w klatkę piersiową.

Kiedy zaczęło dnieć, zdecydowałem się ruszyć z domu. To ja, Yannis, do wewnętrznej kieszeni puchówki włożyłem zdjęcie naszej rodziny, zrobione podczas dziewiątych urodzin mojej

młodszej siostry. Jesteśmy na nim razem: tata, mama, Camila i ja. Wsunąłem tam też kopertę, którą tata – kiedy poczuł się chory – położył na moim biurku z taką delikatnością, jakby był to kruchy kwiat. „Przeczytasz te słowa, kiedy nie będziesz już wiedział, kim naprawdę jesteś. Zrozumiałeś?” Oczy mu błyszczały nie tylko z powodu gorączki. Nic nie rozumiałem, ale z powagą pokiwałem głową. Przed wyjściem z domu wziąłem komórkę i ładowarkę. Nie mogłem się też powstrzymać przed zabraniem jednej z figurek z *Władcy pierścieni*. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, bym mógł porzucić Froda wymachującego mieczem, gdy stawiam czoła całemu światu.

Natomiast to Adrial dał Happy’emu znak do wyjścia. To on wyszedł z mojego pokoju, żeby skonfrontować się ze zgrozą i smrodem w salonie. On w trybie przeżycia spakował mój plecak: ubrania na zmianę, mydło, sznurek. Wziął też zapalniczkę, pudełko zapalek, scyzoryk, śpiwór, prowiant. To on przeszedł obok ciał moich rodziców, nadal leżących na kanapie, podczas gdy mnie atakowały złowrogie wspomnienia: oczekiwanie na lekarza, desperackie starania, które podjąłem, żeby ich uratować, a później moje pełne rozpaczny krzyki... Doskonale panujący nad swoimi emocjami Adrial otworzył drzwi i wybiegł z mieszkania.

Moja zbroja rycerska zniknęła na klatce schodowej. Nagle zaatakował mnie bezmiar obrazów. Obładowana zakupami mama wchodzi po schodach, uśmiecha się do mnie albo mnie ochrzania, ale nie złości się na mnie. Mama niesie w ramionach malutką Camilę albo trzyma ją za rękę. Camila pokazuje mi język i zaśmiewa się podczas zabawy w pomidora. Spokojny tata przeciąga dłonią po niemal łysej głowie – taki miał zwyczaj. Dostrzega mnie, oczy zaczynają mu błyszczeć, uśmiech rozjaśnia jego twarz. Mówi: „Mój syn...”.

Zszokowany zakryłem twarz ramieniem. Otarłem łzy. Happy niespokojnie popiskiwał. Pociągnąłem nosem i czym prędzej zszedłem na niższe piętro. Od dwóch dni byłem chyba jedynym żywym człowiekiem w kamienicy, ale chciałem przynajmniej mieć czyste sumienie. Z całej siły zacząłem dobijać się do drzwi pod dziesiątką.

– Franck! Jesteś tam, Franck?

Happy poszczeekiwał. Franck często przychodził do nas, żeby dawać mi korepetycje z matematyki. Uwielbiał przekomarzać się z Camilą. W zamian za lekcje tata wykonywał w jego mieszkaniu drobne prace remontowe. Zanim tata zaczął prowadzić sklep spożywczy, był murarzem. Franck studiował na uniwerku. Ile mógł mieć lat? Może wcześniej zaczął studia? Był przecież taki zdolny. Filowirus U4 nie oszczędza nikogo poniżej piętnastego i powyżej osiemnastego roku życia, to szybko stało się oczywiste. Nie wiadomo, dlaczego tak się dzieje, wiadomo tylko, że unicestwia każdego, kto stanie mu na drodze. W panice zawołałem:

– Ile masz lat, Franck? Ile miałeś? Odpowiedz! W jakim jesteś wieku?

Cisza. W całej kamienicy nie było żywej duszy. Ile czasu spędziłem pod dziesiątką?

Adrial obudził się skulony pod ścianą, gdy promień słońca padł na jego policzek. Happy tulił się do niego. Rycerz pospiesznie się rozprostował i głęboko odetchnął przed zejściem po schodach. Zanurzył się w chłodzie ulic oświetlonych listopadowym słońcem i smaganych wiatrem – zimnym, porywistym mistralem. Adrial zebrał śmieci zawałające wejście do mojego domu i sąsiednich kamienic, a potem zrobił z nich stosy – na korytarzu, klatce schodowej, a przede wszystkim przed moim mieszkaniem. Znów wyszedł na ulicę i krzyknął:

– Nikogo tu nie ma? Jeśli ktoś jest, niech wyjdzie!

Czekał.

– Niech ktoś wyjdzie, na Boga! Franck! Jesteś pewien, że cię tam nie ma? Pani Tibaut? Younis? Majda?

A nieustannie zrzedzący staruszek z laską? A pochodząca z Komorów rodzina o nazwisku niemożliwym do wymówienia? Czy naprawdę ich tam już nie ma?

Wiatr hulał po ulicach. Adrial wyczuwał za plecami czyjeś ruchy, szepty, obecność. Zapewne obserwowano go zza potłuczonych szyb. Być może był przedmiotem drwin, jako ktoś, kto rozmawia z umarłymi. Trudno. Tym lepiej. Niech wezmą z niego przykład. Niech przestaną rzucać ciała do wody. Niech go naśladowają.

Adrial wyjął zapalnik. Zapalił jedną z nich i przez kilka sekund obserwował płomień, a później rzucił ją na stos gazet i innych papierów. Patrzył na rosnące, wznoszące się ku niebu płomienie, głaszcząc przerażonego Happy'ego. Dla niego prawdziwym wyrazem szacunku było spalenie całej kamienicy wraz z tymi, którzy przeżyli tu momenty radości i smutku, chwile żaloby i szczęścia. W dzielnicy Panier stare budynki paliły się jak słoma, zwłaszcza że wiał silny wiatr.

Adrial poczuł łzy na policzkach. Modlił się do znanych sobie bogów. Połączył nadludzki wysiłkiem ostatnie okruczności woli. O ileż łatwiej byłoby zginąć na ulicy albo rzucić się w płomienie. Tak byłoby znacznie łatwiej, ale on tego nie zrobił. Wstał, bo nazywał się Adrial, był rycerzem WOT. Później biegł aż do tego miejsca, na ten brzeg, nad wodę w porcie, która skrzyła się w podmuchach mistralu. Za jego plecami tańczyły płomienie.

Ja, Yannis, płaczę teraz gorzkimi łzami. Religia, w której zostałem wychowany – lecz wcale nie jestem pewien, czy mogę ją uznać za swoją, bo od pięciu dni nie wierzę już w nic – mówi, że nie pali się zmarłych. Ciało musi wrócić do ziemi, żeby bezpośrednio i możliwie najszybciej połączyć się z naturą. Spalenie ciała uniemożliwia jego powrót w wielkim cyklu życia i przysparza cierpienie duszy. Błagałem Boga moich rodziców, aby uwierzył, że chodzi o zupełnie wyjątkową sytuację, i zrozumiał, iż nie miałem wyboru. Skąd miałbym wziąć siłę, żeby przetransportować trzy ciała na cmentarz za centrum handlowym Bourse i wykopać tam groby?

– Boże, kimkolwiek jesteś i jakkolwiek byłaby religia tego walącego się świata, wybac mi i zachowaj dusze moich bliskich!

Za moimi plecami płonie kamienica. Przede mną rozciąga się morze wymiotujące trupami. Naprzeciwko, na wzgórzu, wznosi się nieruchomy, złożony posąg Matki Boskiej, tej, która ma chronić Marsylię. U moich stóp leży psiak, mieszanka border collie i nieznanego rasy. Myśli zaprzęta mi kwestia zegara w Paryżu, o którym nic nie wiem. A w sercu przechowuję obraz mojej rodziny.

1 LISTOPADA, WCZESNE PRZEDPOŁUDNIE

Stado mew przelatuje nade mną. Tu nazywamy je śmieszkami. Nigdy nie lubiłem tych ptaków, żywiących się odpadkami ze śmietników i truchłami swoich pobratymców. Mewy zjedzą wszystko. Dwie z nich usiadły właśnie na trupie, na brzuchu wzdętym od wody. Zaczęły dziobać szyję. Nie mogę na to patrzeć, rzucam więc kamieniami, żeby przegnać ptaki. Happy idzie w moje ślady i głośno szczeka.

– Wynocha, złowróżbne ptaszyska!

Opadam na ławkę. Mewy krążą nade mną. Czekają tylko, żeby mnie rozszarpać, gdy wybije moja godzina. Brudne, ohydne stworzenia.

Nagle otwarta przestrzeń zaczyna mnie przerażać. Dotychczas ukrywałem się w domu i mam szczątkowe informacje o tym, co działo się na zewnątrz. Jeszcze cztery dni temu radio nadawało. Ostatnie zalecenia: nie ulegać panice i zostać w mieście, żeby nie rozprzestrzeniać wirusa. Cóż, skutek był przeciwny do zamierzonego: wybuchła panika i ludzie zaczęli masowo uciekać z miasta. To wszystko, co wiem na temat sytuacji w Marsylii.

Puste diabelskie koło obraca się na wietrze przed aleją Canebière, prowadzącą do wyludnionej i cichej części miasta. Co wydarzyło się w Marsylii w ostatnich dniach? Gdzie podzieli się ludzie?

– Hej, ty tam!

Z drugiej strony portu widzę nagle grupę chłopaków i dziewczyn. Jest ich mniej więcej dziesięcioro. Wyszli z ciemnej uliczki i ewidentnie mnie wołają. Pierwszy raz spotykam innych ocalonych, którzy otwarcie chodzą po mieście.

– Hej!

Dlaczego się nie ukrywają? Uznaję, że czas się wycofać.

– Hej, nie ruszaj się!

Cała grupa rusza w moją stronę. Między nadmorskim bulwarem a samochodami, jak zwykle stojącymi w korku, nie słychać dziś trąbienia klaksonów ani żadnych wyzwisk. Happy podnosi się w momencie, gdy wstaję. Najpierw zauważam, że wszyscy biegnący mają na głowach czerwone czapki z daszkiem. To dziwne. Później dociera do mnie, że trzymają w rękach jakieś lśniąco przedmioty. Słyszę wystrzał. Drewniane oparcie mojej ławki rozpada się na kawałki.

– Happy, uciekamy!

Oni są szurnięci. Teraz dostrzegam, że każde z nich ma w ręku nóż, karabin albo pistolet. Pędzę w przeciwnym kierunku. Nie mogę tu zostać, na brzegu morza nie znajdę żadnej ochrony. Przedzieram się między samochodami stojącymi na bulwarze z nadzieją, że zgubię pogoń w krętych uliczkach dzielnicy Panier. To przypomina pościg w WOT – no, może poza tym, że słyszę przekleństwa rzucane przez moich prześladowców. Bezmyślnie pędzę ulicą Caisserie. Ależ ze mnie kretyn! Na tak długiej i szerokiej arterii kule z łatwością mnie dosięgną. Biegnij, Happy! Pociski rozbijają dwa okna. Przebiegam przez plac Lenche, a potem dzięki długim nogom szybko pokonuję schody, wskakując po cztery stopnie. Zdobywam kilka długości przewagi.

Nagle orientuję się, że jestem o dwa kroki od placu Moulins, gdzie mieszka mój kumpel RV. Nie wiem, czy jest u siebie, nie wiem nawet, czy przeżył, a mimo to rzucam się w stronę jego domu. Brama na podwórzu tej kamienicy od kilku miesięcy ma zepsuty zamek: oto moja szansa. Popycham drzwi i przewracam śmietnik tak, by je blokował. Może pomyśla, że brama jest zamknięta. Idę pospiesznie za Happyem i wpadam na klatkę schodową. Biegnę schować się

do piwnicy, w której RV przechowywał swój skuter.

W ciszy staram się uspokoić oddech. Czy zyskałem wystarczającą przewagę, żeby moi prześladowcy nie zauważyli przewróconego śmietnika?

W piwnicy jest okienko z widokiem na chodnik. Wkrótce widzę pięć par butów sportowych. Pogoń zwalnia i wraca po swoich śladach. Chodzą w tę i z powrotem. Modlę się, żeby Happy nie zaczął warczeć. Głaszczę go uspokajającymi gestami.

– Gdzie on jest, do cholery?! – krzyczy właściciel adidasów.

Rozlega się strzał, a jego echo niosą ściany kamienic otaczających plac.

– Uspokój się, stary. Strzelanie w powietrze nic nam nie da. Zgubiliśmy go...

– Cholerny gnojek! Kolejny, który ukrywa się jak szczur i wychodzi tylko po to, żeby ograbić sklepy, nie myśląc o innych.

– Nie martw się, nasze patrole w końcu go złapią. I zapłaci nam za to.

Rozlegają się złośliwe śmiechy.

– Taaa, wszyscy nam zapłacą. Nadeszła godzina Wielkiego Przewrotu!

Buty znów podejmują wędrówkę, to w prawo, to w lewo, krótkie śmiechy wybuchają jak serie z karabinu, a później zapada cisza. Przez dłuższą chwilę siedzę w milczeniu, przytulając się do psa. Przez głowę przetaczają mi się pytania bez odpowiedzi.

W półmroku wywrócony skuter RV przypomina powalonego wierzchowca. Kręci mi się w głowie i przez sekundę widzę zakrwawionego konia o białych, pustych oczach. Serce wali mi jak szalone: obłęd z pewnością idzie ramię w ramię ze śmiercią. Nie mogę ufać obrazom ani myślom, które choć trochę odstają od rzeczywistości. Nawet jeśli rzeczywistość jest tym, czym jest: cholernym chaosem.

Zrywam się na równe nogi: coś poruszyło się pod plandeką i coś kołysze się w kącie... Trupy na hakach?! Powstrzymuję mdłości, przecieram oczy i w końcu ponownie spoglądam w tamtą stronę. To tylko rowery. Potrząsam głową, żeby odpędzić kolejne zwidy, i ruszam w stronę plandeki. Podnoszę ją gwałtownym ruchem. Zawsze lepiej wiedzieć, z czym się ma do czynienia. Chcę stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością. Nie mogę uciekać w obłęd. Adrialu, przybądź mi z pomo...

Powstrzymuję krzyk: spod płachty wybiegają pędem trzy szczury. Jeden z nich ociera się o moją nogę. Pod wpływem jego dotyku ciarki przebiegają mi po plecach. Chwilę później odkrywam, co jadły: w kącie leży trup kobiety z obgryzioną twarzą. Strzępy ciała odstają od kości, w oczodole wisi luzem gałka oczna. Odwracam się, ale nie udaje mi się uniknąć mdłości. Na miejscu wymiotuję tę odrobinę jedzenia, którą mam w żołądku. Przerażony Happy popiskuje w kącie, ukrywając między łapami pysk z białą łatą.

Nie wolno mi zemdleć. O to chodzi. Nie wolno mi płakać. Nie wolno mi pozwolić, żeby pokonał mnie obłęd albo dopadły szczury. Nie wolno mi płakać...

Wstaję z trudem, zaciskam pięści. Nie wolno mi płakać. Muszę opuścić tę piwnicę. Wejście na pierwsze piętro wymaga ode mnie nadludzkiego wysiłku. Nogi mi się trzęsą. Nie mam ani siły, ani odwagi zawołać RV.

Staję w końcu przed jego drzwiami, ryzykuję i pukam trzy razy. Brak jakiegokolwiek reakcji. Przykładam ucho. Nie dociera do mnie żaden dźwięk. Popycham drzwi, a gdy się otwierają, ostrożnie wchodzę do mieszkania przyjaciela.

Spodziewam się w każdej chwili natknąć na ciało martwego dorosłego albo dziecka. Przed oczami stają mi znów ludzie w ostatniej fazie choroby: jeszcze żywi, ale już przypominający zombie, ośpiali, a czasem agresywni pod wpływem gorączki. W okresie totalnej paniki każdy pokazywał swoją prawdziwą naturę. Uważam, że prawdziwi bohaterowie to ci, którzy podczas epidemii starali się żyć tak jak wcześniej, do samego końca. Tak jak mój ojciec.

Zatrzymuję się przed zdjęciem wiszącym obok wejścia: całkiem mały RV z rodzicami. Fotografia oprawiona w ramkę. Podnoszę ją, zatopiony w myślach.

Mój ojciec prowadził sklep spożywczy na ulicy République. W pierwszych dniach epidemii razem z mamą odprowadzali do domów starszków trzęsących się w gorączce. Starsi ludzie pierwsi padli ofiarą wirusa. Moi rodzice chcieli, żeby umarli we własnych łóżkach. Pomagali najsłabszym, nawet wtedy, kiedy wszyscy wychodzili z domu w maskach gazowych i unikali dotyku innych. A także wtedy, gdy telewizja przestała nadawać wiadomości i puszczano już tylko wcześniej nagrane programy, stare emisje *reality show*, które miały uspokoić widzów. I wtedy, gdy wszyscy postanowili zaszyć się w swoich domach lub przeciwnie, opuścić miasto. I wtedy, gdy Marsylia rozbrzmiewała dźwiękami klaksonów oraz krzykami, a samochody wypełnione pasażerami i ich osobistymi rzeczami z trudem sunęły w korkach. I wtedy, gdy przestano opróżniać śmietniki, sprzątać ulice i zaopatrywać sklepy. I wtedy, gdy po ulicach błąkali się szaleńcy, wrzeszczący i atakujący każdego, kto wszedł im w drogę. I wtedy, gdy pojawiły się plotki o ucieczce władz miasta i schronieniu się urzędników w bunkrze, a wszyscy naokoło zaczęli krzyczeć o dezercji. Później przez radio zdementowano te pogłoski: podobno władze zostały na posterunku. Robiły wszystko, żeby nie dopuścić do całkowitej dezorganizacji miasta. Akurat, już my ich znamy! Zresztą... i tak spotkał ich taki sam los jak wszystkich mieszkańców Marsylii.

Tata i mama nikogo nie unikali. Bardzo szybko zrozumieli, że los dorosłych jest przesądzony. A mimo to odeszli jako jedni z ostatnich. Mówię sobie, że Śmierć, choć zbierała żniwo wśród dorosłych i dzieci, wzdrygała się jednak przed zabraniem najlepszych. Wygląda na to, że Śmierć mimo wszystko kieruje się jakąś osobistą moralnością. Być może teraz bawi się z nami, nastolatkami. W coś w rodzaju: „Uważacie się za najsilniejszych, tak? W takim razie będziecie musieli znieść to dłużej niż inni. Zwłaszcza umierać będziecie powoli i oczywiście w cierpieniach. Umrzecie jak wasi rodzice, młodsze rodzeństwo. Jak Camila...”

– Weź się w garść, Yannis. Sprawdź każdy pokój. Nie zważaj na smród. Idź. Nie masz wyboru. Happy jest z tobą. Nie jesteś sam.

Koniuszkami palców Adrial odkłada ostrożnie ramkę i się odwraca. Czy w pokoju rodziców RV dostrzega ciała? Być może. Nie jest tego pewny. Wiem tylko, że idzie prosto do pokoju mojego przyjaciela. Nikogo tam nie ma, nic się nie zmieniło, wszystko jest tak, jak zapamiętałem. Plakaty zespołów grających metal, kalendarz reklamujący kobiecą bieliznę, zbiór komiksów. O dziwo, widok laptopa na biurku RV mnie uspokaja. Mój kumpel grał w WOT znacznie mniej niż ja, ale mimo wszystko spędzał w sieci tyle czasu, ile każdy normalny nastolatek. Przed epidemią komputer był przedmiotem codziennego użytku. Adrial nabija się ze mnie, ale odpowiadam mu, że tak naprawdę nie istnieje, i każę mu się zamknąć.

Wyciągam się na łóżku. Happy też kładzie się na dywanie, oddycha regularnie. Pozostaję w tej pozycji przez dłuższą chwilę, ze wzrokiem wbitym w czarny monitor. Pozwalam moim myślom odlecieć i nagle ogarnia mnie strach przed halucynacjami, które mogą wrócić w każdej chwili. Nie wiem, co robić. Wyciągam z kieszeni komórkę. Zostało mi tylko piętnaście procent baterii. W kieszeni płaszcza mam ładowarkę, osłonę i słuchawki. Być może któregoś dnia znów będę mógł ich użyć. Można pomarzyć...

Tymczasem próbuję zadzwonić do cioci mieszkającej w Algierii, w górach Kabylii. Bardzo ją lubię. Później do kuzyna z Normandii. Później do kumpli i do RV. Od trzech dni nikt nie odpowiada. Nawet po wybraniu numerów alarmowych przez wiele godzin trzeba czekać na połączenie – i zawsze na próżno. Dzisiejszy wieczór nie jest wyjątkowy pod tym względem.

Gram więc we Flappy Birds, aż bateria komórki zupełnie się wyczerpie.

1 LISTOPADA, WIECZÓR

Zapadła noc. Nigdy wcześniej nie widziałem takich nocy, tych egipskich ciemności, których nie rozprasza żadne światło. Wyobrażam sobie, że podobnie musiało być w średniowieczu. Poza tym księżyc jest w nowiu, więc mrok całkowicie spowija miasto. Jest mi zimno i zaczyna mnie niepokoić, że zupełnie nic nie widzę. Nawet koniuszków własnych palców.

Wyciągam ręce, żeby poczuć sierść Happy'ego, ale ręka zagłębia się w pustkę. Gdzie on się podział? Wołam go. Własny głos budzi we mnie lęk. Nic.

– Happy! To nie czas na spacer, piesku! Gdzie jesteś?

I pomyśleć, że nie pamiętałem nawet o zabraniu świec czy latarki! Wydawało mi się, że jestem zapobiegliwy. Wziąłem tylko zapałki i zapalniczkę i tak miałem zamiar zapewnić sobie oświetlenie?! Bez dwóch zdań, nie nadaję się do życia w takim świetle. Być może lepiej, żebym wrócił do pierwszej myśli i po prostu spokojnie zdechł, nigdzie się nie ruszając.

Pozostaję bez ruchu i udaję martwego. Niepokoją mnie hałasy dochodzące z zewnątrz, a przede wszystkim głód skręca mi кишки. Otwieram plecak, który do tej pory kurczowo przyciskałem do siebie. Wyjmuję pudełko chrupiek śniadaniowych i pogryzam prażony ryż w czekoladzie, starając się robić możliwie najmniej hałasu. Bez mleka trudno rozmiękczyć chrupki. Nie chcę, żeby ktoś mnie tu zauważył.

Zamykam oczy i staram się nie zwracać uwagi na dźwięki dochodzące zza okna. Odgłosy wkrótce zmieniają się w prawdziwy gwar. Można by pomyśleć, że na niewielkim placu Moulins jest pełno ludzi. Światło przenika między żaluzjami, słyszę warkot motorów. W końcu wstaję i na czworakach podchodzę do okna.

Początkowo nie wierzę własnym oczom. Czy to kolejne z dziwnych przywidzeń, których doświadczam od chwili opuszczenia mojego mieszkania? Dziesiątki nastolatków wyciągają trupy z domów. Najbardziej sumienni owinęli ciała w prześcieradła i związali je sznurkiem. Widzę trzy samochody. Musiały nadjechać ulicą Muettes, jedyną prowadzącą na plac, ale zbyt wąską, by mogły przejechać nią ciężarówki, bardziej przydatne w tych okolicznościach.

W żółtawym świetle reflektorów moi rówieśnicy opróżniają bagażniki wypełnione ciałami. Wszystkie zrzucają na środku placu, składają w gigantyczny stos. Istna góra trupów! Nogi i ręce wystają spod ciemnych fałd prześcieradeł. Scenę omiatają bezwzględne światła reflektorów. Większość nastolatków krząta się w ciszy pełnej smutku i rezygnacji. Rzadkie wybuchy płaczu wywołują złość u pozostałych. Stają się też przyczyną bijatyk. Tych o zbyt delikatnych nerwach inni odciągają na bok. Nagle jeden z chłopaków, duży osiłek, najwyraźniej twardszy od pozostałych, zaczyna się wydierać:

– A jeśli ja tego nie chcę, co? Jeśli wolałbym, żeby pochowano moją rodzinę?

– Widzisz zbiorowy grób na rogu placu, Ducon? Masz ze sobą kilof? A może wyobrażasz sobie, że uda ci się zatargać na plecach twoich starych aż na cmentarz? Pozwól nam to zrobić albo gnij spokojnie ze swoimi trupami u siebie w domu. No już, spadaj, na co czekasz?

Osiłek pęka. RzUCA się w stronę samochodu, wykrzykując przekleństwa. To mi wygląda na prawdziwe załamanie nerwowe. Trzech kolegów próbuje go opanować, ale on się opiera. Ze wszystkich stron rozlegają się krzyki. Dochodzi do szarpaniny. Pada strzał. Serce podskakuje mi do gardła. Chłopak się kuli. Na dziesięć sekund zapada cisza, a potem...

– Cholera! Jakbyśmy nie mieli już wystarczająco dużo trupów! – wrzeszczy jakaś dziewczyna.

Znów żołądek podchodzi mi do gardła. Lodowacieję. Nagle coś skacze mi na ramiona, a ja wrzeszczę ze strachu. Odskakuję w głąb pokoju i uderzam głową w narożnik biurka RV.

Odruchowo osłaniam się ręką i o krawędź biurka rozbijam na tysiące kawałków zegarek mojego ojca. Nie tracę przytomności, ale przez chwilę czuję się ogłuszony, bardziej ze względu na utratę pamiętki niż z powodu uderzenia. Nie wiem, ile czasu mija, zanim wreszcie odzyskuję odwagę i mogę się ruszyć. Przesuwam dłonią po szyi i wyczuwam zadrapania. Niezbyt głębokie.

W ciemności błyszczą dwie agatowe kulki.

– Słuchaj no, nie widziałeś czasem Happy’ego, cholerny kocie?

Zwierzak miauczy tylko i ucieka z pokoju. Wstaję ostrożnie, bo trochę kręci mi się w głowie. I wtedy nagle słyszę szczekanie, zbyt odległe, by mogło dochodzić z kamienicy.

– Happy!

Zakładam plecak. W tym momencie odbłyśk światła rzucanego przez reflektor oświetla czołówkę leżącą na stoliku. *Yes!* Natychmiast przypominam sobie tajemnicę, którą powierzył mi RV. Mój przyjaciel śmiertelnie bał się ciemności. Mogłem wcześniej o tym pomyśleć. Mocuję latarkę na czole i ruszam biegiem.

Szczekanie się powtarza. Wydaje mi się, że dochodzi z ulicy Muettes.

Na dole ostrożnie wystawiam głowę za bramę. Czy nadal ktoś będzie chciał mnie zabić? Czy też zostanę zaprzężony do roboty przy trupach? Wcielenie do brygady porządkowej ani trochę mi nie odpowiada. Gaszę latarkę, żeby nie zwracać na siebie uwagi, i przemykam pod murami kamienic, pochylony, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Ledwie unikam nieszczęścia! Chudy blondyn zauważa mnie i woła, żebym pomógł przy wyciąganiu ciał z samochodu. Ogromny nóż połyskuje u jego pasa, a pod wojskowym płaszczem dostrzegam kilka karabinów. Lepiej okazać gotowość do pomocy. Biorę głęboki oddech i dołączam do grupy. Blondyn cedzi przez zęby:

– No dalej, bierz go za nogi. Nie rozumiem, czemu są tacy ciężcy!

Nic nie odpowiadam. W szkole mijałem tego chłopaka tysiące razy. Podobnie jak innych zebranych na tym placu. To tak, jakbyśmy nigdy się nie znali albo znali od zawsze. Wszystko jedno, nie mamy sobie nic do powiedzenia. Próbuje tylko powstrzymać wyobraźnię. Nie warto dochodzić, kto jest pod prześcieradłem. A jeśli ktoś znajomy? Nie chcę o tym myśleć! To prawda, trup jest ciężki. Wyczuwam miękkie ciało wokół jego kostek. Po raz pierwszy w życiu dotykam zmarłego.

– Na dodatek zaczyna się rozkładać. Skóra nawet nie trzyma się kości.

Mam ochotę płakać albo zwymiotować, ale to nie jest najlepszy moment. Próbuje zachować zimną krew w obliczu piramidy trupów, na którą rzucamy kolejne ciało. Silny zapach benzyny, którą polano cały stos, chwyta mnie za gardło. Na znak dany przez wysokiego, chudego jak tyka chłopaka w niebieskiej czapce z polaru dziewczyny i chłopcy rzucają płonące zapalki. *Buuuch!*

Płomienie mnie hipnotyzują. Nie myślę już o niczym. Nie ma mnie. Mam ochotę zniknąć. Dostrzegam szybko ocierane łzy na policzkach żywych. Słyszę pociągnięcia nosem. Niektórzy modlą się, klęcząc. Jestem o krok od rzucenia się w ogień i dołączenia do mojej rodziny... gdy nagle szczekanie znów przywraca mnie życiu. *Happy!*

Opuszczam plac i tym razem nikt mnie nie zatrzymuje. Tej nocy skończyli już swoją przeklętą robotę.

Happy goni szczury na ulicy Muettes. Kiedy łapie jednego, drugi przemyka tuż obok. Psiak nie wie, w którą stronę obrócić głowę, i aż piszczy z radości. Wspaniały plac zabaw dla mojego psa! Choć nie jest psem myśliwskim, dziś najwyraźniej odkrył uroki polowania.

Dostaję ataku kaszlu. Pył przyćmiewa wiązkę światła z mojej czołówki. Powiał wiatr, a z nim...

– Popiół! – krzyczę z przerażeniem.

To są popioły... Tak, popioły trupów palących się tam, na placu Moulins. Owijam twarz szalikiem, żeby uchronić się przed mdłościami i powstrzymać kolejny atak paniki.

Gwiżdżę na psa i pędzę przed siebie jak szalony. Mam tylko jedną myśl: uciec przed tym strasznym powietrzem, z dzielnicy mojego dzieciństwa, jak najdalej od tego chaosu. Ciężkie łzy cieką mi po policzkach, na których zdążył już osiąść popiół. Przynajmniej spłynie razem z nimi. Marzę o prysznicu. Oczyszczającym prysznicu, który zmyje ze mnie wszystko, nawet śmierć.

Jestem Adriałem, podąża za mną wierny Happy. Biegniemy w noc czarną jak atrament, splamioną to tu, to tam ogniskami, które płoną i stają się coraz wyższe. To koksowniki, przy których można się ogrzać, tłące się auta i stosy rzucające czerwoną lunę w noc rozciągającą się ponad dachami. Moja czołówka oświetla maski samochodów, po których skaczemy – ja i mój pies. Ciszę rozdzierają krzyki i wybuchy. Ktoś próbuje mnie zatrzymać, ktoś inny do mnie strzela, ale dziś nic nie może nam się stać. Ciemność nas otula i niesie ze sobą.

NOC Z 1 NA 2 LISTOPADA

Gwałtowny podmuch wiatru wciska nas do szerokiej, głębokiej bramy. Mistral słabnie po tym ostatnim ataku, jakby zachęcał nas do złapania tchu. Happy sprawia wrażenie wyczerpanego. Ja muszę opatrzyć głowę. Już nie krwawię, ale będę spokojniejszy, jeśli zdezynfekuję ranę. Oczywiście zapomniałem o apteczce. Naprawdę jestem do niczego. Jeśli chcę przeżyć, muszę lepiej się zorganizować i nauczyć orientacji w terenie. Zupełnie nie wiem, w którą stronę powinienem pójść, żeby jak najszybciej opuścić Marsylię, znaleźć drogę do Paryża i dotrzeć na spotkanie z Khronosem.

Porzucone bary i restauracje przywodzą mi na myśl skąpane w słońcu ogródki kawiarniane, pełne roześmianych ludzi. Teraz poprzewracane krzesła na nikogo już nie czekają. Powinienem poszukać w sklepach jedzenia i ciepłych ubrań. Zmęczenie mnie przygniata, jakby ważyło tysiąc ton. Gdzie się przespać? Jak zapewnić sobie bezpieczeństwo? Jak się ogrzać?

Nagle zaczynam gorzko żałować, że opuściłem moje mieszkanie. Ależ ze mnie dureń. Tam przynajmniej mogłem jakoś przetrwać. Wystarczyło kilka szybkich wypraw do sklepów, żeby się zaopatrzyć. Dlaczego nie zachowałem się tak jak inni? Dlaczego natychmiast nie wyniosłem zmarłych i nie zachowałem domu, zamiast go niszczyć? Dlaczego wiadomość od Khronosa skłoniła mnie do spalenia za sobą mostów? Na dodatek ta wiadomość jest całkiem bez ładu i składu!

A jednak żywię niedorzeczną nadzieję, że uda mi się odbyć podróż do przeszłości, odzyskać przytulne łóżko, komputer... i rodzinę. Cóż mi zostało poza tą nikłą nadzieją? Nic. Nic. Nic. Zmęczenie, żaloba, smutek wsysają mnie jak otchłań. Przed wyruszeniem w drogę muszę się przespać. Happy też jest wykończony. Mój piesek.

Z całej siły napieram na drewniane wrota, ale nie uchylają się nawet na milimetr.

Nieco dalej na ulicy widzę chwiejący się śmietnik. Wyłączam latarkę i kulę się pod ścianą. Teraz nie ufam już nikomu. Dochodzą do mnie urywki rozmów. Rozpoznaję dziewczęce głosy:

– Ruszaj się!

– Jesteś pewna, że nie ma tu patrolu?

– Nie bądź cykorem! Nocą pilnują centrów handlowych. W dzień trzeba się strzec patroli, to wtedy te gnojki próbują poszerzyć swoje strefy wpływów. Teraz nie ma się czego bać.

A więc bandy nastolatków podzieliły miasto między siebie. Jeśli mowa o tych, których spotkałem dzisiaj rano, rozumiem, dlaczego za dnia nikt nie śmie wyjść na zewnątrz. Rzykuję i rzucam okiem na ulicę. Widzę dwie sylwetki z długimi włosami, ubrane w puchówki. Ich czołówki przez chwilę oświetlają martwe ogłoszenia: „Liczniki gazowe będą sprawdzane jutro o piętnastej”, „Precz z wykluczeniem” i „Front Narodowy zwycięży”. Dwie cyklopki zabierają się do wyciągania z muru betonowej cegły, a następnie rzucają nią w szybę restauracji. Włącza się alarm, pewnie na baterie, ale to ich nie niepokoi. Bez pośpiechu znikają w lokalu, a kilka minut później pojawiają się z wypchanymi torbami. Bez wątpienia wnoszą jedzenie.

Alarm wyje przez kilka minut. Na ulicy nic się nie dzieje.

Kiedy hałas wreszcie milknie, wślizguję się z Happyem do wnętrza przez rozbitą szybę okienną. Jesteśmy w chińskiej restauracji, połączonej ze sklepikiem. Lokal ozdabiają papierowe lampiony i parawany. Wchodzę za jeden z nich i wyciągam się na kanapce pokrytej czerwonym aksamitem, przy lśniącym czarnym stole. Leżę bez ruchu z dłonią na sercu. Chcę poczuć jego bicie, a także dotknąć zdjęcia rodziny, które trzymam w wewnętrznej kieszeni. Mimo zmęczenia przez dłuższą chwilę pozostaję czujny. Słucham odgłosów z zewnątrz, z innych budynków. Nagle

rozbrzmiewa muzyka. Przez chwilę czuję coś na kształt szczęścia, ale nie trwa to długo, bo ktoś się wydziera:

– Nie marnuj baterii, głupku!

Później wydaje się, że cisza ogarnia wszystko. Wyjmuję z plecaka śpiwór i rozpinam go, żeby się nim opatulić. Happy kładzie się obok mnie, skamląc cicho.

Nie mam siły sprawdzić, czy dziewczyny zostawiły coś do jedzenia. Zresztą nie lubię chińskiego żarcia. I nie jestem bardzo głodny. Zjadam kilka herbatników, zdejmuję rozbity zegarek, wkładam go do kieszeni i zasypiam z dłońmi zanurzonymi w sierść mojego psa.

W nocy moje sny nawiedzają rodzice i Camila.

– Nie oddałeś nas ziemi, Yannisie. Nasze dusze nie zostały uwolnione. Nie mamy też mocy uwolnienia ciebie od naszej obecności, będziemy musieli zostać z tobą.

– Nie przejmujcie się – odpowiadam. – Ależ zostańcie ze mną, nie zostawiajcie mnie samego. Nie odchodźcie. Poza tym odnajdę Khronosa. Dzięki niemu cofnę się w czasie. Z moimi przyjaciółmi, Ekspertami WOT, odkryjemy, skąd wziął się filowirus U4, i unieszkodliwimy go, zanim zdąży was uśmiercić. Obiecuję.

– Naprawdę, obiecujesz? – pytają z niepokojem w głosie.

– Obiecuję, słowo. Uda mi się. Nie wiedzieliście o tym, ale jestem też potężnym Adriałem.

2 LISTOPADA, RANO

O świcie budzi mnie Happy. Trąca mnie nosem. Z trudem wstaję. Nadal jest mi ciężko na sercu, ale próbuję o tym nie myśleć. Drżąc z chłodu, myję się pobieżnie w zimnej wodzie na zapleczu restauracji. Przemywam ranę na głowie i oglądam strup. Wszystko w porządku, chyba nie wdało się zakażenie. Wrzucam do plecaka torebki z makaronem błyskawicznym, a później układam sobie listę najpotrzebniejszych przyborów kuchennych: maszynka gazowa, garnek. Kiedyś przecież byłem na kempingu, ten jedyny raz, kiedy rodzice wysłali mnie na kolonie. Miałem wtedy dziesięć lat. Tak strasznie mi się tam nie podobało, że nigdy więcej nie zmuszali mnie do podobnego wyjazdu. Pamiętam jednak, że do podgrzewania jedzenia używaliśmy maszynek z niebieskim płomieniem, najprawdopodobniej takich na gaz.

Te maszynki w przedziwny sposób kojarzą mi się z gorącą czekoladą. Królestwo za czekoladę! Mama czasem przygotowywała mi ją z cynamonem, a wtedy całe mieszkanie wypełniało się słodkim, kuszącym zapachem. Tymczasem zadawałam się nugatem i pomarańczami. Cóż, dobre i to. Happy'emu otwieram puszkę z psim jedzeniem. Kiedy skończy jeść, znów spróbujemy zmierzyć się ze światem.

Chłodne, listopadowe ulice skąpane są w wilgotnym, ostrym powietrzu. Dziwne, jaskrawe światło przesywa każdy zakątek. Miasto znów wygląda na opustoszałe, jakby wszystko to, co widziałem nocą, było tylko snem. Muszę przygotować się do wyjazdu. W poszukiwaniu zapasów najpierw penetruję dzielnicę Sainte-Marthe. To miejsce było w przeszłości niezależną wioską i do dziś zachowało swój pierwotny charakter: kościół na wzgórzu, a nieco niżej domki z ogrodami. Jeszcze niżej rozciąga się stare miasto, otoczone typowymi dla północnych dzielnic Marsylii wysokimi kamienicami.

Przede wszystkim szukam apteki, ale w pierwszej kolejności trafiam na sklep sportowy w centrum handlowym Merlan. Ktoś mnie uprzedził. Drzwi są otwarte na oścież, a szyby wybite. A jeśli ukrywanie się we własnym mieszkaniu przez tak długi czas było niewybaczalnym błędem? Jeśli wszystkie przybory z mojej listy zostały już rozkradzione? Jestem naprawdę głupi i opieszali w działaniu.

Wściekły na siebie samego gorączkowo przeszukuję poprzewracane półki. W dziale map wygrzebuję plan regionu. Znajduję też mapę Francji. Zabieram opakowanie batonów i napojów energetycznych, garnek, łyżkę i kubek. Potwierdzają się moje obawy: nie ma już ani maszynek, ani butli z gazem. Zniknęły latarki, paluszki i inne baterie. Znajduję za to koc ratunkowy – nie za bardzo wiem, co to jest, ale nie zajmuje zbyt dużo miejsca. Przekonuje mnie do niego głównie kojąca nazwa. W ręce wpada mi też podręcznik *Survival w lesie*. Waham się, ale przecież muszę jakoś poradzić sobie bez internetu, więc taka książka z pewnością mi się przyda. Na półkach zostało kilka kurtek z polaru – wszystkie za duże, ale trudno. Puchówka, grube skarpety, rękawiczki i czapka. Oto mój arsenał przeciwko zimie. Plecak jest wypełniony po brzegi. Cięży mi, ale ten ciężar daje poczucie bezpieczeństwa. Ostrożnie wychodzę ze sklepu. Mam nadzieję, że nie spotkam patrolu!

Dwie minuty później wreszcie znajduję aptekę, złupioną jak inne sklepy. Podczas gdy Happy na patio rozszarpuje torbę na śmieci, ja przeszukuję długie szuflady. Nie znajduję zbyt wielu lekarstw, ale biorę opatrunki, środki dezynfekcyjne, tabletki przeciwbólowe i...

– Rusz się tylko, a nie żyjesz.

Zimna lufa dotyka mojej skroni. Kątem oka dostrzegam czerwoną czapkę z daszkiem. To patrol. Dwóch innych chłopaków wchodzi do apteki. Żują gumę. Poruszają się chwiejnym krokiem, jak bandziory na filmach.

– Zostały tu tabletki do oczyszczania wody? – pyta wysoki chudzielec.
– A jak myślisz? – odpowiada brunet o zielonkawej cerze. – Uważasz, że wszyscy powtarzają sobie: „Hej, wkrótce nie będzie już bieżącej wody”? Oni martwią się tylko o to, co zjeść za godzinę. Kiedy zabraknie wody pitnej, zdobędziemy megawładzę. Będziemy mogli wymieniać tabletki na każdą potrzebną nam rzecz.

Po chwili wskazuje na mnie ostrzem noża i pyta:

– A ten to kto?

– Koleś, którego nie powinno tu być – cedzi przez zęby chłopak trzymający mnie na muszce. – Skąd się tu wziąłeś, pajacu? Trochę głupio zapuszczać się teraz na starówkę. Można by pomyśleć, że nie połapałeś się jeszcze w prawach dżungli. Albo przyłączysz się do nas, albo jesteś trup. A może pochodzisz z burżujskiej dzielnicy, co? Opływałeś w szmal? Miałeś luzik, co?

– Nie, ja...

– To się skończyło. Już nie możecie nas olewać, burżujskie pomioty. Teraz my przejmujemy władzę. Dzięki temu cholernemu wirusowi...

– Taaa – wtrąca chłopak o woskowej cerze. – Teraz świat należy do tych, którzy od dawna uczyli się walczyć o swoje, nie do tych, którzy nigdy nie musieli się niczym przejmować.

– Ale ja...

– Zamknij się!

Czuję, że lufa jeszcze mocniej wbija mi się w skroń. Drugi chłopak zbliża twarz do mojego ucha, a jego oddech napędnia mnie obrzydzeniem.

– Ładnego mam gnata, co? Zbieraliśmy takie w komisariatach, zbrojowniach i wszędzie, gdzie się dało. Nawet sobie nie wyobrażasz, co można znaleźć pod łóżkiem! W każdym razie świat należy dziś do nas, masz moje słowo!

– Mimo wszystko... – mamrocze chudzielec. – Patrz, to ciapaty. Może jest taki jak my?

Facet z bronią nie ma czasu oceniać mojej dawnej pozycji społecznej, a ja nie mam ochoty dostosowywać się do nowych porządków. Happy wreszcie pojawia się w aptece.

Gdy tylko go widzę, krzyczę:

– Bierz go!

I nagle Adrial znów przejmuje kontrolę. Uchyła się w przewidywaniu strzału, który szczęśliwie nie pada natychmiast. Happy skacze chłopakowi do gardła. Ten krzyczy, przewraca się do tyłu, a pocisk z jego broni trafia w ramię bladawego typa, który zaczyna wrzeszczeć.

Adrial korzysta z chwili zaskoczenia, bierze plecak i rusza biegiem za moim psem.

– Iks, ruszaj się, łap go!

Iks to czwarty facet. Czekał na tamtych na ulicy, jego twarzy nawet nie zdążyłem zobaczyć. Adrial pędzi na złamanie karku. Mimo ciężkiego plecaka osiąga nadludzką szybkość, żeby umknąć tym psycholom, którzy strzelają za nim niecelnie. Niestety, Iks biegnie szybciej niż Adrial i niebezpiecznie się do niego zbliża.

– Hej, ty! Stój, zatrzymaj się!

Adrial biegnie zygzakiem przez uliczkę, próbując go zgubić. Nagle dociera do pustego placu graniczącego z autostradą. Teraz jest całkiem odsłonięty. Tymczasem ja znów staję się sobą – w chwili, gdy słyszę swoje imię. Uznaję jednak, że się przestyszałem. Jeszcze przyspieszam.

W tym miejscu zaczyna się – albo kończy, jak kto woli – słynna Autostrada Słońca. Stoją na niej nieruchome, porzucone samochody. W pewnej odległości od drogi widać kamienice – wysokie, ponure, ściśnięte i puste. W czasach, kiedy wciąż przejeżdżały tędy samochody, ciężarówki i motocykle, musiało tu być niezwykle głośno. Teraz wszędzie panuje grobowa cisza.

Mam wrażenie, że serce zaraz mi pęknie w tej potwornej ciszy. Na nic zdają się długie nogi, nie miałbym szans na olimpijski medal. Adriał biega szybko tylko w WOT. Trzeba było go widzieć w czasie wojny z Rabusiami... Niestety, Yannis nie zadbał o trening fizyczny.

– Stój, mówię!

Wpadam do przejścia dla pieszych pod autostradą. Wewnątrz jest ciemno, choć oko wykol. I śmierdzi szczynami. Happy szczeka, ale nie zwracam na to uwagi. To nie powstrzymuje mojego prześladowcy, który jest coraz bliżej. Wydaje mi się, że słyszę jego oddech. Zbliży się, dotyka mnie, podbiega jeszcze bliżej i rzuca się na mnie. Powala mnie na ziemię. Upadam na beton, moja czołówka spada, toczy się po ziemi i gaśnie. Czuję w ustach smak krwi. Chłopak całym ciałem przyciska mnie do ziemi. Happy szczeka ile sił w płucach. Dlaczego nie broni mnie tak jak w aptece?

Napastnik sapie i dyszy mi w kark. Umrę w tym obskurnym tunelu, przeбитo ostrzem noża albo od kuli w głowie.

– Yannis... Kurczę, Yannis...

– R...? RV, to ty?

– No tak. Nie mogłeś chociaż raz się odwrócić, żeby zobaczyć, że to ja? Happy mnie rozpoznał!

RV! To RV! A ja byłem przekonany, że to koniec! Tak bardzo się cieszę z odnalezienia przyjaciela, że wybucham płaczem. Straszny wstyd, ale to silniejsze ode mnie. RV żyje. To pierwsza dobra wiadomość, odkąd świat rozpadł się na kawałki. Mój kumpel sztywnieje na chwilę, a później przetacza się na bok i bierze mnie w ramiona. Na szczęście jest ciemno i nic nie widać.

RV mocno mnie przytula, a ja płaczę jak dziecko. To spotkanie coś we mnie przełamało – nie wiem co – w każdym razie to się wylewa, wylewa i nie chce przestać. Beczę, zachłystując się powietrzem, jak smarkacz. Zbyt wiele różnych uczuć przepełnia mi serce. Ulga i smutek. Wstyd i porzucenie. Przyjaźń i upokorzenie. W każdym razie żadne uczucie nie będzie już nigdy czyste. Świat ogarnął tak wielki chaos.

Dopiero po kilku minutach udaje mi się opanować. Rozluźniam uścisk. Szybko uwalniamy się od siebie i wstajemy w ciszy. Happy skamle cicho, żeby przypomnieć o swojej obecności. RV mocno klepie mnie po plecach. Rzucam mu przelotny uśmiech, po czym ruszamy w stronę światła na końcu tunelu.

Przez dłuższą chwilę się nie odzywamy. Zawstydzeni przejawem słabości, unikamy nawet patrzenia na siebie. Siedzimy na balustradzie autostrady w pewnym otepieniu, patrząc na surrealistyczny krajobraz ze ściśniętymi, porzuconymi w niewyobrażalnym chaosie samochodami. Sępy wydają się tylko czekać na znak, żeby nas pożreć.

Początkowo nie wiem, co powiedzieć. Nie mam ochoty przyznać się RV, że byłem u niego w mieszkaniu, leżałem na jego łóżku, a nawet zabrałem jego latarkę, która zresztą została w tunelu. Pójdę tam zaraz, ale najpierw opowiem mu wszystko ze szczegółami. Mam wrażenie, że nie widziałem go od wielu tygodni. Uśmiecham się w końcu i mówię:

– Nigdy wcześniej nie miałeś takich fajnych ciuchów.

– Taaa! To Wielki Przewrót, sam widzisz. Musisz się przyłączyć – i to szybko.

Liczebność patroli jest ograniczona. Zasada jest prosta: będzie ich tyle, ile czerwonych czapek. Nie wiem, ile Nike ich wyprodukował, ale w centrum nie sposób już ich znaleźć.

– O czym ty mówisz?

– Yannis, ocknij się! Niektórzy mali spryciarze są bardziej zaradni od innych. Ci, którzy nie mieli nic jeszcze przed wirusem, pozbierali się najszybciej. Patrole założyła niewielka banda chłopaków z miasta. Wybrali czapki z daszkiem jako znak rozpoznawczy. Na samym początku,

żeby się do nich przyłączyć, wystarczyło pójść i wskazać, gdzie mieszkałeś, żeby udowodnić, że byłeś równie biedny jak oni. Potem dawali ci czapkę, a ty zyskiwałeś prawo do ograbiania sklepów. W zamian miałeś pilnować, żeby nie szabrował tam nikt inny. Ci koleśie kompletnie niczego się nie boją i to daje im siłę. Dla nich to jedyna okazja, żeby zemścić się za wcześniejsze życie, kapujesz? Twierdzą, że było im gorzej niż teraz, wyobrażasz sobie?

– Przesadzają. Nie wierzę w to.

– W każdym razie mam nadzieję, że została jakaś czapka dla ciebie, w przeciwnym wypadku będziesz musiał ukrywać się jak szczur... I nie daję ci dużych szans.

– Tak czy owak zmywam się stąd.

– I dokąd pójdziesz? Wszędzie jest podobnie. Wszelkimi sposobami trzeba walczyć o przetrwanie. Tu przynajmniej jesteś u siebie.

– Muszę opuścić Marsylię. Wystarczy, że pójdziesz ze mną.

– Nie. Urodziłem się tutaj. To jest moje miasto i nigdy z niego nie wyjeżdżałem. Udało mi się wejść w szeregi patrolu. To wszystko, co mam, ale zawsze to coś. Zostaję. No dalej, zostań ze mną. We dwóch będziemy silni.

Głos mu się łamie, a ja patrzę na niego ze zdumieniem. Jest wzruszony. I ma rację. Nie mam nikogo poza nim. Nie możemy się rozstać. Kiwam głową na znak, że zostanę z nim w Marsylii. Przyjaciel uśmiecha się do mnie, zdejmuje czapkę i zakłada mi ją na głowę.

– Teraz należysz do patro...

Dźwięk strzału rozdziera powietrze. Ciągle jeszcze słyszę końcówkę zdania wypowiedzianego przez RV. Intensywność jego spojrzenia zmienia się, a oczy nabierają dziwnie szklanego połysku. Prawy policzek wybucha purpurą. Dopiero wtedy dostrzegam plamkę na jego skroni. Czerwoną, tak bardzo czerwoną. Błyszczącą. Otwieram usta, ale mój krzyk jest niemy.

2 LISTOPADA, WCZESNE PRZEDPOŁUDNIE

Dziewczyna i chłopak siedzą na masce ciężarówki. Na głowach mają czerwone czapki Nike z daszkami do tyłu. Happy obszczekuje ich ze wszystkich sił. RV leży na ziemi.

– Całe szczęście, że tu byliśmy, chłopie. Ukradł ci czapkę, co nie? Te bogate dzieciaki są gotowe na wszystko! Trzeba się mieć na baczności, zaczęli dochodzić do siebie po Wielkim Przewrocie. Trochę czasu im to zajęło, ale teraz nie będą mieli litości. To był jego kundel?

Wewnątrz duszy wrzeszczę, płaczę, błagam RV, żeby mnie nie opuszczał, żeby nie...

Za to Adrial pozostaje twardy i niewzruszony, ma suche oczy i poprawia czapkę:

– Dzięki. Nie, pies jest ze mną.

– Nie ma za co, brachu. Po to jesteśmy. Jedna rada, nie oddalaj się od centrum. Nie ma nas tu za dużo. Ryzykujesz.

– OK.

– Chcesz wrócić z nami?

– N... Nie, dzięki... Muszę jeszcze coś załatwić.

Przez chwilę patrzą na mnie podejrzliwie. Dziewczyna rzuca:

– Jak chcesz. Ale lepiej mieć towarzystwo.

– Uwinę się szybko.

Przytakują, ale nie ruszają się z miejsca.

Zamykam oczy na kilka sekund, modląc się w ciszy za RV. Zginął przeze mnie. Kiedy podnoszę powieki, ciągle tu są, rozmawiają, siedząc na masce ciężarówki. Dochodzi do mnie słowo „benzyna”. Orientuję się, że mają nadzieję ściągnąć paliwo z baków porzuconych samochodów. Oczywiście! Każde paliwo czy inny rodzaj źródła energii jest obecnie na wagę złota. Ci, którzy przywłaszczą je sobie najwcześniej, będą nowymi władcami miasta.

Przełykam łzy i odchodzę możliwie najbardziej niedbałym krokiem wzdłuż zewnętrznej barierki autostrady. Happy idzie za mną krok w krok.

Czuję na sobie ich ciężkie spojrzenia. Być może zaczynają się domyślać, jaki błąd popełnili. Zanim odkryją prawdę, znikam na zakręcie, za skupiskiem porzuconych pojazdów. Im bardziej oddalam się od centrum, tym bardziej pustoszeje droga. Ze wszystkich sił staram się iść spokojnie, serce wali mi w piersiach, a ja czekam na cud. Nagle jakiś błysk zwraca moją uwagę. Czy to jest to, o czym myślę? Biorę oddech, zamykam oczy, żeby szybko zmówić modlitwę, podnoszę powieki i rzucam się biegiem.

Przeskakuję przez barierkę.

Biegnę między samochodami ile sił w nogach. Tak, właśnie dostrzegłem kluczyki od skutera! Urodziłem się pod szczęśliwą gwiazdą. Ktoś musiał porzucić swój pojazd i to może uratować mi życie. Wskakuję na siodelko. Kula świzzcze mi koło ucha. Oby tylko bak był pełny.

Gorączkowo przekręcam kluczyk w stacyjce. Na szczęście wcześniej widziałem, jak koledzy odpalali swoje skutery. Motor zaczyna warczeć. Ryczy, kiedy dodaję gazu. Uff! Cały się trzęsę, bo nigdy w życiu nie prowadziłem żadnego pojazdu silnikowego. Staram się wmówić sobie, że to nie różni się niczym od jazdy na rowerze. Odpycham się nogami i powoli ruszam.

– Biegnij, Happy! Biegnij najszybciej, jak możesz!

Myślę tylko o jednym: uciec z tego miasta, uciec z mojego miasta i unikać innych nastolatków.

Jadę slalomem między porzuconymi samochodami. Po kilku kilometrach zatrzymuję się, żeby wziąć na skuter Happy'ego. Umieszczam go przed sobą. Happy siedzi na dwóch tylnych łapach, z przednimi opartymi na kierownicy. Może w końcu odpocząć, a ja mogę jechać trochę

szybciej. Czasem mijają mnie jakiś samochód, motocykl albo inny skuter. Moi rówieśnicy też wpadli na ten pomysł. Może chcą dołączyć do przyjaciół, krewnych, rodzeństwa? Może znają bardziej odpowiednie miejsca do życia? Mnie osobiście nie przychodzi do głowy żadne miejsce, do którego mógłbym się udać. Nie mam nikogo do odnalezienia. Moją jedyną nadzieją jest powrót do przeszłości pod postacią Adriała i odwrócenie biegu wypadków. Być może popadam w szaleństwo, ale coraz mocniej w to wierzę. Tę wiarę podziela moja rodzina, o której nie zapominam. Wierzę w to duszą i sercem. Moja rodzina wierzy we mnie. Nie chcę jej zawieść. Chcę uratować wszystkich z pomocą Khronosa.

Zwalniam, gdy tylko uznaję, że Marsylia została daleko za mną. Zjeżdżam z autostrady i przy pierwszej okazji zatrzymuję się na drodze. Muszę się zastanowić.

Skoro istnieje ryzyko, że inni ocaleni będą do mnie strzelać jak do królika, nie mogę ufać nawet tym, którzy uciekają razem ze mną. Wobec tego nie mam wyboru: muszę za wszelką cenę omijać duże miasta i główne drogi. Patrzę na tablice informacyjne, a później rozkładam mapę Francji na niskiej trawie porastającej pobocze. Ustalam dokładne położenie Paryża i Lyonu, który leży na drodze do stolicy. Myślę o Lady Rottweiler, mieszkającej tam Ekspertce. Może mógłbym ją odnaleźć? Liczę kilometry: prawie osiemset do Paryża. Na jak długo starczy mi benzyny? Jeśli chcę zdążyć na 24 grudnia, nie mogę się ociągać.

Happy kładzie się w trawie. Sprawia wrażenie wyczerpanego. Odpoczywamy przez kilka minut. Dopada mnie przygnębienie i jeden z tych momentów nieobecności, po których zupełnie nie wiem, o czym myślałem. Kiedy wreszcie biorę się w garść, odnoszę wrażenie, że całkiem pomieszało mi się w głowie: po asfalcie idzie żyrafa.

Jest tam, a jej ogromna sylwetka odcina się od lazurowego nieba. Spokojnie toruje sobie drogę między samochodami. Cóż za majestat. Jaka godność. Wspaniały spokój, niemal pogardliwy. Myślę o zoo położonym między Aix i Salon. Byłem tam na szkolnej wycieczce w pierwszej klasie podstawówki i widziałem wzruszającą, młodą żyrafkę. Nie można wykluczyć, że to ta sama. W międzyczasie urosła, a teraz uciekła ze swojego wybiegu. Apokalipsa doprowadziła do zagłady ludzkości i oddała świat we władanie zwierząt. Być może to wszystko okaże się korzystne dla przyrody. A może natura właśnie po to stworzyła tego wirusa, żeby odzyskać swoje prawa?

Żyrafa staje obok mnie. Wydaje mi się, że węszy w powietrzu. Czas się zatrzymuje. Gdybym był w świecie WOT, uznałbym, że to robak, który włączył w grę elementy dokumentu przyrodniczego. Zwierzę rozdyma nozdrza. Opuszcza powieki o długich rzęsach, podnosi je, po czym odwraca się w moją stronę. Przygląda mi się uważnie czarnymi, aksamitnymi oczami. Obserwuje też Happy'ego, który jest zbyt wykończony, żeby reagować. A może po prostu ten widok zrobił na nim równie duże wrażenie jak na mnie? Co najmniej czterometrowa żyrafa robi dwa kroki w naszym kierunku. Pochyliła się i wyciąga szyję. Jej pysk jest zaledwie parę centymetrów od mojej głowy. Siedzę jak skamieniały. Czuję jej oddech, gdy obwąchuje mnie przez kilka sekund. Po chwili prostuje szyję wysoko jak drzewo, przybiera obojętny wyraz pyska i rusza w swoją stronę. Pozostają bez ruchu, czekając, aż zniknie.

Znika.

Dalsza podróż skuterem wydaje mi się zbyt ryzykowna. Po pierwsze ten pojazd jest powolny, a po drugie boję się jechać bez żadnej osłony. Poza tym odczuwam przenikliwe zimno. Idę drogą, rozglądając się za samochodem. Może uda mi się któryś uruchomić? Dwa razy jeździłem po parkingu z tatą, który wyjaśnił mi, jak używać sprzęgła i innych gadżetów. Kiedy miałbym podjąć to wyzwanie, jeśli nie w apogeum apokalipsy?

Niestety, nawet tuż przed śmiercią ludzie zabierali kluczyki ze stacyjek samochodów porzucanych na drodze. W Marsylii dopisało mi szczęście, ale tu musiałbym mu pomóc, a nie za

bardzo wiem, jak połączyć kabelki, żeby odpalić silnik. Wyrzucam sobie, że nie towarzyszyłem kumplowi, kiedy pewnego dnia zaproponował mi kradzież auta. No nie, to byłoby jednak całkiem idiotyczne. Tamten świat zupełnie nie przypominał dzisiejszego.

Nie mam jeszcze samochodu, ale w otwartym bagażniku jednego z pojazdów znajduję kanister z benzyną, a w innym wężyk, co pozwala mi ściągnąć paliwo z baków kolejnych pojazdów. To umiem zrobić. Nauczył mnie tego kolega, który chciał się zemścić na nauczycielu. Wystarczy zanurzyć rurkę w zbiorniku, zassać paliwo z drugiego końca, a kiedy poczuje się w ustach ohydny smak, włożyć wężyk do baniaka. Jak rozpoznać, czy jest to benzyna czy ropa? Nie mam zielonego pojęcia. Wiem jednak – bo kiedyś przydarzyło się to Franckowi – że w razie pomyłki silnik się zniszczy i auto nie pojedzie zbyt daleko. Muszę liczyć na szczęście, kiedy już znajdę odpowiedni samochód. Spluwam i obmywam usta, starając się nie marnować zbyt dużo wody, po czym z kanistrem w ręku ruszam na poszukiwanie pojazdu.

Kilkaset metrów dalej przeszklona witryna salonu samochodowego wydaje się ciąć padające na nią promienienie słoneczne. Podchodzę i stwierdzam, że nikogo tu wcześniej nie było. Tym razem ja będę pierwszy. Już widzę siebie za kółkiem jednego z tych pięknych aut! Ten obraz dodaje mi odwagi, żeby z całej siły rzucić w szybę wielkim kamieniem. Okno pęka, ale nic poza tym. Nie sądziłem, że to będzie takie trudne... W końcu pod ścianą znajduję żelazną sztabę. Podnoszę ją i z całej siły uderzam w witrynę. Dopiero po jakichś dziesięciu ciosach szyba wreszcie rozsypuje się na drobne kawałki.

Alarm się nie włącza. Głaszczę karoserie luksusowych samochodów. Są wspaniałe! Wydaje mi się, że śnię albo biorę udział w nagraniu klipu rap. Ten piękny sen jest miłą odmianą po trwającym od wielu dni koszmarze. Gdzie znajdę kluczyki? Pewnie w biurach. Niestety, to nie jest jedyny problem. Wszystkie pojazdy są zamknięte, a drzwi do nich sprawiają wrażenie zaplombowanych. Nie sposób otworzyć ich siłą. Ogarnia mnie zniechęcenie. Wszystko na nic.

Nie będę mógł wyjechać na ulicę żadnym z tych aut. Prysło kolejne marzenie. Niepotrzebnie zmarnowałem tyle czasu.

Z kanistrem w ręku i Happy'm u boku wracam na drogę. Otwieram po kolei wszystkie samochody albo wybijam szybę, jeśli któryś jest zamknięty na klucz. W nieruchomej ciszy rozbrzmiewają różne alarmy. Przeszukuję schowki na rękawiczki. Znajduję mnóstwo rzeczy poza rękawiczkami: prezerwatywy, telefony, luksusowe okulary, książki, kluczyki... Kluczyki? Próbuje włożyć jeden z nich do stacyjki. Działa! A w baku jest paliwo. Kieruję oczy w stronę mojej szczęśliwej gwiazdy, ku niebu. Samochód przypomina puszkę, jest mały, obły i zielony, ale nie pora teraz na kaprysy. Każę Happy'emu wejść na tylne siedzenie, wkładam kanister do bagażnika i siadam za kierownicą.

Na przedniej szybie widzę GPS. Ułatwi mi to orientację w przestrzeni. Sprawdzam trasę na mapie. Za wszelką cenę chcę ominąć miasta: Aix-en-Provence, Avignon, Valence i autostradę. Zajmie mi to więcej czasu, ale trudno. Przy odrobinie szczęścia aż do Lyonu nie spotkam nikogo na bocznych drogach, biegnących przez departamenty Vaucluse, Drôme i Isère. Włączam GPS. Uff, też działa! W ustawieniach wybieram głos kobiety. To głupie, ale działa na mnie uspokajająco. Przez kilka sekund słucham tylko prostych słów: „Jedź dalej drogą krajową D543...”.

Teraz muszę sobie przypomnieć, jak się prowadzi samochód. Zamykam oczy, żeby przywołać w pamięci gesty wykonywane przez rodziców i to, czego uczył mnie tata. Zwolnić hamulec ręczny. Wcisnąć pedał gazu... po prawej. Nie, najpierw zmienić bieg. A żeby to zrobić, trzeba wcisnąć sprzęgło, ten pedał po lewej... chyba. Aaaaa! Hamulec, hamulec, hamulec! Który to pedał? Środkowy! Gwałtownie się zatrzymuję: silnik gaśnie. Cholera. Jeszcze raz. Te same czynności i silnik znów gaśnie. Nigdy mi się nie uda! Samochód gaśnie mi jeszcze pięć czy sześć

razy. Nie wolno tracić nadziei. Podczas kolejnych prób zaczynam rozumieć, że przed zmianą biegu na drugi trzeba delikatnie wcisnąć gaz i sprzęgło. Udaje się! Powoli pokonuję kilkaset metrów i odważam się zmienić bieg na trzeci, a później na czwarty.

Udało mi się! Juhu! Krzyczę z radości do Happy'ego, który siedzi po mojej prawej stronie. Pies szczeka, żeby mi pogratulować. Prowadzę samochód! Ale czad! Wisienką na torcie jest to, że ogrzewanie działa.

2 LISTOPADA, POPOŁUDNIE

Krajobraz za oknami zmienia się szybko. Od czasu do czasu na poboczu mijam wściekłych, pojedynczych nastolatków. Czasem całe bandy rzucają we mnie kamieniami albo puszkami. Próbują mnie zatrzymać. Niektórzy błakają się pośrodku niczego. Zastanawiam się, dokąd i do kogo idą. Inni też podróżują samochodami. Mijamy się jak w drodze na wakacje, ale wszyscy mamy rozgorączkowane, nieufne spojrzenia. Kodeksu drogowego, delikatnie mówiąc, nikt nie przestrzega. W miarę możliwości staramy się poruszać prawą stroną, ale zazwyczaj ledwie udaje nam się wyminąć przy dźwiękach klaksonów. Jednak na bocznych, piaszczystych drogach obsadzonych nieruchomymi dębami coraz rzadziej spotykam ludzi i pojazdy. Przewidziałem, że tak będzie. Oddycham swobodniej: tam, gdzie mniej ludzi, jest dziś bezpieczniej. Myślę o tych chwilach, kiedy z kolegami snuliśmy marzenia o świecie bez dorosłych. Kurczę! Naprawdę myśleliśmy, że to byłaby pełnia szczęścia...

Słońce rzuca teraz ukośne promienie. Wszystko nabiera pomarańczowego odcienia: niebo, wzgórza, łąki, doliny i czubki drzew, które – można by powiedzieć – zieją ognistym oddechem. Nie zauważyłem, jak upłynął dzień, tymczasem mamy już późne popołudnie. Cienie się wydłużają. Mijam pola. Nie mam zielonego pojęcia, co na nich rośnie, w ogóle się na tym nie znam. Mam tylko nadzieję, że nigdy nie będę musiał zastanawiać się, czy są to rośliny jadalne. Pejzaż powoli się zmienia. Robi się wyżynny i pagórkowaty. Happy pochrapuje. Niepokoję się, bo nie mam ochoty prowadzić w nocy. Nie chcę też, żeby samochód mi się popsuł. Wolałbym uniknąć dodatkowych kłopotów. Zastanawiam się, czy wejść do jednego z domów w miejscowości Manosque, do której właśnie wjeżdżam.

I nagle przypominam sobie, że w szóstej klasie podstawówki korespondowałem z chłopcem w moim wieku z tego miasteczka i nawet przyjechałem do niego w odwiedziny. Mój kolega interesował się tylko rugby, sportem, którego zasad nigdy nie zdołałem opanować, ale w czasie tej wizyty znalazłem wspólny język z pewną dziewczynką – Ariane. Wydaje mi się, że trochę się w niej podkochiwałem i ona we mnie też. Koniec końców zaczęliśmy pisać do siebie listy, nie trwało to jednak zbyt długo. W gimnazjum dziewczyny stały się dla mnie istotami z obcej planety, trzymałem się od nich z daleka. A może Ariane została taka, jaka była? A jeśli...? A jeśli co? Nieważne, nie mogę zlekceważyć takiej okazji: szansa na odnalezienie kogoś, kto choć trochę mnie kochał.

Po wjeździe do miasta szybko tracę złudzenia. Tu także chaos jest pożywką dla przemocy. Na samym środku drogi wznoszą się barykady. Nie sposób przez nie przejechać ani ich ominąć. Widzę trzech chłopaków uzbrojonych w pistolety, karabiny i noże. Najwyraźniej to zwykły rynsztunek wszystkich na tym świecie. Wszystkich poza mną.

– Stój! – krzyczy jeden z nich. – Nie ma przejazdu.

Hamuję i opuszczam szybę samochodu. Zmuszam się do rozmowy, ale warto spróbować ich ułagodzić.

– Dlaczego? Chcę tylko znaleźć nocleg.

– Jedź gdzie indziej. Nie chcemy obcych w naszym mieście.

Oceniam sytuację. Wydają się zdeterminowani, a poza tym są dobrze uzbrojeni. Nie dyskutuję z nimi dłużej. Cofam się i zawracam, nieźle się przy tym męcząc: muszę zrobić co najmniej dziesięć manewrów. Odjeżdżam i znikam im z pola widzenia. Chowam samochód na polu porośniętym wysoką trawą. Biorę plecak, wkładam kluczyki do kieszeni i modlę się, żeby nikt nie ukradł mi bezcennego kanistra z benzyną. Wkładam czapkę, rękawiczki, owijam szyję szalikiem i ruszam przez pole, ukrywając się wśród kłosów jakiegoś zboża, chyba pszenicy.

Happy idzie za mną radośnie, zadowolony, że może rozprostować łapy. Tak jak się spodziewałem, barykady wzniesiono tylko na drogach. Kojarzą mi się z zasiekami, które dorośli zaczęli ustawiać wokół Marsylii, kiedy wybuchła epidemia. Próbowali objąć kwarantanną dużą część miasta, żeby nie dopuścić do rozprzestrzeniania się filowirusa, ale chaos zapanował tak szybko, że zdążyli wybudować tylko kilka metrów zapór. Jednego nie rozumiem: po co obejmować kwarantanną Manosque? Czy nastolatki też zarażają się filowirusem U4? Mogłoby do tego dojść trochę później, jeśli założyć, że jesteśmy najsilniejszym pokoleniem. Ale trudno, ja chcę tam wejść. Poza tym nie mam już nic do picia i muszę znaleźć miejsce na nocleg.

Przechodzę przez ogród na obrzeżach miasta. Pokonuję ogrodzenie z wikliny i ruszam w kierunku czegoś, co sprawia wrażenie grządki z kapustą. Przeskakuję strumyk, idę wzdłuż muru i wychodzę na bulwar obsadzony drzewami o nagich gałęziach. Wieczór już zapadł, ale oczywiście latarnie nie świecą. Niepokoję się, bo nie mam już mojej latarki, a w żadnym z samochodów nie znalazłem drugiej. W każdym razie nikogo nie spotykam – i dobrze.

Tak bardzo chce mi się pić, że fontanna na środku placu przyciąga mnie jak magnes. Zanurzam dłonie w misie z wodą.

Ktoś łapie mnie za ramiona i odciąga do tyłu. Ktoś inny mocno mnie chwyta.

– To on! Widziałem go! To on! – krzyczy jakiś chłopak histerycznym głosem.

– Wszedł tamtędy! – tym razem odzywa się dziewczyna.

– Przeszukajcie go – rozkazuje chłopak o pyzatyach policzkach.

– Jest uzbrojony?

– Tak, patrzcie, nóż! To tylko scyzoryk, ale mimo wszystko.

– Przede wszystkim odbierzcie mu truciznę.

– Trzeba wylać wodę ze zbiornika! Miał wystarczająco dużo czasu, żeby ją skazić, sam widziałem!

Oni mają paranoję, ja przecież tylko zanurzyłem ręce!

– Obijcie mu tę cholerną gębę!

Zebrani przepychają się i przekrzykują jeden przez drugiego. Ci, którzy mnie złapali, wyciągają czop ze zbiornika, żeby spuścić wodę. Happy szczeka i skacze jak na sprężynach. Wysoki blondyn kopie go w brzuch.

Adrial! Adrial jest we mnie i daje kopa temu chłopakowi, a w zamian otrzymuje cios pięścią w żołądek. Happy kuli się, skamłąc. Znika mi z oczu za tłumem, dostrzegam jeszcze, że leży na ziemi. Robi się coraz ciemniej, ale udaje mi się jeszcze rozróżniać twarze.

– A może powiesić tego truciciela, co? Należy do spisku. **Oni** go wysłali, żeby nas też wytruł! **Oni** chcą się nas pozbyć, żeby stworzyć swój nowy, czysty i porządny świat. Świat sprzedawczyków takich jak ten! Łajdaki! Trzeba go powiesić! Niech zdycha! Dla przykładu!

Oczy wrzeszczącego wychodzą z orbit, po chwili zaczyna chrypieć, kaszle i pluje mi w twarz. Adrial wbija łokieć w brzuch chłopaka, który go przytrzymuje. Napastnik zwija się z bólu, a rycerz ucieka w najbliższą uliczkę. Reszta bandy zaczyna krzyczeć i rusza w pogoń.

Adrial pędzi ile sił w nogach. Szybko, to miasto znalazło się w rękach świrów! Wbiega w najwęższe uliczki. Nagle wyrasta przed nim mur. Rycerz rozgląda się wokół. Ma do wyboru troje drzwi. Dwa wejścia są zaryglowane. Tymczasem trzecie... Na szczęście okienko na parterze jest otwarte. Adrial przyciąga kontener na śmieci. Wchodzi na niego, wspina się i wpełza do domu. Sekundę później słyszy krzyki.

– Gdzie on się podział?

– Nie, nie tędy, to ślepa uliczka! Musiał wbiec w ulicę obok.

Wrzaski i kroki oddalają się. Czekamy z Adrialem, aż znów zapanuje cisza.

2 LISTOPADA, WIECZÓR

To było okienko toalety. Oto gdzie ląduję. Kiedy popycham drzwi prowadzące w głąb mieszkania, ogarnia mnie straszna ciemność, a za gardło łapie smród gówna i rozkładających się zwłok. Robię półobrót. Sprawdzam, czy uliczka jest pusta, wyskakuję na zewnątrz przez okno i przemykam na sąsiednią ulicę. Wychodzę na pusty bulwar, obsadzony olbrzymimi drzewami. Wszystko to przywołuje niewyraźne wspomnienia: mam wrażenie, że to tu mieszkała Ariane. Jak przez mgłę przypominam sobie to miejsce. Która może być godzina? Gdzie jest Happy i w jakim stanie? Odpędzam te myśli i idę bulwarem.

Zatrzymuję się przed ciężkimi drewnianymi drzwiami, oznaczonymi numerem 34. Czy to nie ten numer wypisywałem na kopertach, do których wkładałem rysunki i te wyjątkowe zdania, jakich nigdy później nie napisałem do żadnej dziewczyny? Popycham drzwi i bez trudu wchodzę na klatkę schodową. Przez kilka minut stoję nieruchomo, opierając się plecami o wilgotną ścianę i wsłuchując w najdrobniejszy szmer. Wydaje mi się, że nie słyszę żadnych odgłosów. Na czubkach palców wchodzę po schodach.

Rozpoznaję te same ślady plądrowania co w Marsylii: rozprute puszki po konserwach, papiery, puste butelki... Drzwi jednego z mieszkań są na wpół otwarte i zablokowane czymś złocistym. Co to jest?

Nagle rozumiem. To są gęste, połyskliwe włosy, spadające w kaskadach na ziemię, jak cieniutkie, rozrzucone złote nitki. Jakie to piękne... Jak to możliwe, że włosy zmarłej osoby uznają za piękne? A jednak pociągają mnie i nie mogę powstrzymać się przed sprawdzeniem, do kogo należały. Pukle zakrywają twarz, ale szyja jest smukła, a ciało szczupłe i pełne gracji, jak u anioła, który spadł z nieba i się zabił. To nie może być Ariane, bo ona była brunetką. Piękna dziewczyna musiała odejść bardzo niedawno. Pochylam się, żeby zobaczyć jej twarz między złotymi nitkami, ale nagła odraza jest silniejsza niż to pragnienie, więc zatrzymuję się w pół drogi. Wstrząsa mną szloch pochodzący z głębi piersi. Uciekam dwa piętra wyżej.

Nie chcę wchodzić do żadnego mieszkania, przynajmniej nie dziś wieczór. Za bardzo boję się tego, co mógłbym tam znaleźć. Nie mogę jednak pozostać na zewnątrz: za dużo ryzykuję. Gdzie się ukryć? Podnoszę głowę: widzę włącz w suficie na ostatnim piętrze. Dzięki drabince ratunkowej w jednej chwili znajduję się na strychu. To miejsce zapewne roi się od najróżniejszych nieprzyjemnych stworzeń, ale to lepsze niż trupy. Wchodzę na belki pod dachem. Zjadam trzy batony energetyczne i staram się zapomnieć o dręczącym mnie pragnieniu. Wyjmuję śpiwór i się nim opatulam. Ależ tu zimno! W końcu zasypiam. Usta mam spierzchnięte z pragnienia. Modlę się o odnalezienie Happy'ego.

Śpię niespokojnie. Gwałtowne podmuchy wiatru przesuwają dachówki i swobodnie hulają po mojej kryjówce. W jednym ze snów widzę szczury dobierające się do mojej głowy. W innym unosi się nade mną piękna dziewczyna o długich włosach, zasłaniających niewyraźną twarz. Próbuje złapać mnie za rękę i pociągnąć za sobą. Chce mnie pocałować, a ja zaczynam bezgłośnie krzyżeć.

3 LISTOPADA, RANO

Budzę się, kiedy pierwsze promienie słońca przenikają przez szpary między dachówkami. Trudno, nie znalazłem Ariane. Nadzieja, że ją odnajdę, była głupia. Moi rówieśnicy zmienili się w stado wściekłych szaleńców. Przysięgam sobie, że czym prędzej opuszczę to miasto, byle tylko znaleźć się jak najdalej od nich.

Przedtem muszę jednak zdobyć w jakimś sklepie albo mieszkaniu to, czego mi brakuje: zapas wody mineralnej, latarkę, maszynkę turystyczną, butlę z gazem, a przede wszystkim odnaleźć Happy'ego. Jak to zrobić? Ryzykuję, że zostanę zlinczowany, gdy tylko postawię stopę na ulicy, zwłaszcza za dnia. Nie mam wyboru: muszę zebrać się na odwagę i przeszukać mieszkania w kamienicy.

Złote włosy na pierwszym piętrze ściągają promienie słoneczne wpadające zza okna. W ich świetle tańczą drobiny kurzu. Ten widok przypomina mi, jak w dzieciństwie codziennie obserwowałem ich migotanie, zanim wstałem z łóżka. Odwracam wzrok.

Adrial użyłby swojego kałasznikowa, żeby rozbić w pył drzwi zamknięte na klucz. Ja mam do dyspozycji tylko rozum i chude ciało. Czy nie mogę zmienić tego w swój atut? Ależ tak. Udaje mi się wśliznąć do mieszkania przez otwarte okienko, wychodzące na klatkę schodową.

W mieszkaniu odkrywam prawdziwe skarby: całe opakowanie baterii R4, latarkę i dynamo z korbką, pozwalające ją naładować. Na wszelki wypadek zabieram też zapalki, choć mam już kilka pudełek. Tym razem nie zapominam o świecach. Najcenniejszą rzeczą – na jej widok wprost nie mogę powstrzymać okrzyku radości – jest maszynka gazowa z butlą. Pod stosem serwetek trafiam na cztery banknoty o wartości stu euro. Nigdy nie widziałem tylu pieniędzy naraz! Wyciągam rękę i ze wzruszeniem głaszczę łup. Moje podniecenie szybko jednak opada. Te banknoty są obecnie tylko kawałkami zadrukowanego papieru. Mimo wszystko nie mogę się powstrzymać przed schowaniem ich do kieszeni. Może zachowam je do czasu, kiedy wrócę z Khronosem do przeszłości.

Właściciele tego mieszkania albo byli bardzo zapobiegliwi, albo często chorowali. Apteczka w łazience jest wypełniona lekami. Na chybił trafił wybieram opakowania. Na wszelki wypadek odkręcam kran. Leci z niego tylko brunatna ciecz, która szybko się kończy. Wracam do kuchni i postanawiam trochę odpocząć. Potrzebuję tego. Wreszcie znajduję butelki z wodą mineralną. Wypijam połowę jednej, a dwie inne wkładam do plecaka. Znajduję marchewki, jabłka, banany w dość dobrym stanie, a także puszki z tuńczykiem. Chwilę zajmuje mi namierzenie otwieracza do konserw – to kolejny skarb. Fasolę z puszki zjadam na zimno, ale i tak jest przepyszna. Mam ochotę na coś ciepłego, więc włączam maszynkę, żeby podgrzać mleko. Przygotowuję czekoladę na gorąco, o której marzę od wielu dni. Domowej roboty ciasteczka, ładnie ułożone w puszcze, niemal doprowadzają mnie do łez. Jakże przyjemnie zajadać je po zamoczeniu w czekoladzie! Myślę o mamie z czułością przepełnioną smutkiem.

Zakładam plecak i idę do salonu, który wychodzi na werandę. Po otwarciu okna wspinam się na barierkę z kutego żelaza, otaczającą taras, i z łatwością wchodzę na dach. Na szczęście wiatr trochę się uspokoił.

Z góry widzę całe miasto. Nad lasem domów pokrytych dachówkami góruje kilka budowli: dzwonnica kościoła oraz wieże starych budynków, być może młynów. Kłęby kurzu i plastikowe torebki w rytm powiewów wiatru głaszczą rdzawe dachy. Można by powiedzieć, że są to krzewy na pustyni. Wicher podnosi dachówki, świszczce w otworach dzwonnicy i sprawia, że drzewa trzeszczą. Cieszę się, że czuję to życie. Nie jest ono ludzkie, ale i tak daje mi siłę. Wypełniam płuca powietrzem, które wydaje mi znacznie czystsze niż na dole. Adrial wraca, choć

tym razem nie trzeba stoczyć żadnej walki. Adrialu, czyżbyś i ty potrzebował odpoczynku? Nie odpowiada, tylko uśmiecha się i kontempluje ze mną widok.

Ostrożnie pokonuję niebezpieczne miejsca, przez inne przechodzę z łatwością, a czasem udaje mi się nawet zupełnie wyprostować. Niekiedy przeskakuję z dachu na dach nad wąską uliczką, położoną ponad dwadzieścia metrów niżej – nad przepaścią, która chętnie by mnie wessała. Czy jestem Adriałem? Czy nie pomogłoby mi bardziej, gdybym był Spider-Manem? Z czasem zaczynam wyczuwać czyjąś obecność. Patrzę w górę: stado kruków zatacza koła po niebie. Dokładnie nade mną. Koła się zacieśniają, czarne ptaszyska powoli podlatują w moją stronę. Potem kolejno, niczym eskadra, siadają na dachu i podchodzą do mnie w podskokach. Ich pióra połyskują w słońcu. Małe, złośliwe oczka wpatrują się we mnie żarłocznie. Dwa ptaki wydają przenikliwy krzyk, coś jakby sygnał do ataku, i ruszają w moją stronę. One mnie atakują! Kruki nadlatują, ich skrzydła przesłaniają słońce. Dziobami celują w moje oczy. Cholerne ścierwojady, nie jestem trupem! Macham rękami, żeby je odgonić. Jeszcze nie umarłem, wyście się! Udaje mi się je odstraszyć, odlatują trochę dalej. Nadal wymachuję ramionami, żeby odgonić je całkiem.

Leżę na dachówkach. Poniżej widzę plac, na którym rozpalono ogniska, żeby można było się ogrzać. Znów jestem świadkiem bijatyk. Nie zatrzymuję się, nie bardzo interesuje mnie przyczyna rozróby, a zwłaszcza jej konsekwencje.

Szybko docieram do granic miasta. Rozpoznaję barykadę i miejsce, w którym ukryłem samochód. Nigdzie nie widzę Happy'ego. Mam nadzieję, że nic złego mu się nie przytrafiło. Chciałbym go zawołać, ale wówczas mógłbym zostać odkryty. Serce mi pęka na myśl, że miałbym odjechać bez niego.

Biegnę przez pola ile sił w nogach, starając się ukryć przed strażnikami strzegącymi wejścia do miasta. Samochód stoi na miejscu. Ale ktoś przy nim był.

Okno od strony pasażera zostało wybite, a wewnątrz dokładnie przeszukane. Oczywiście kanister zniknął. Złodzieje rozdarli nawet materiał na fotelach. Po co to zrobili? Na szczęście nie potrafili ruszyć auta bez kluczyków. Z niepokojem przekręcam kluczyk w stacyjce. Uff, nie spuścili paliwa z baku, który chyba jest jeszcze do połowy pełny. Ruszam. Jadę do tyłu i słyszę dziwne skomlenie. Natychmiast się zatrzymuję. Rzucam okiem w lusterko. Nic nie widzę. Podskakuję ze strachu, kiedy coś rzuca się na drzwi auta.

– Happy!

Mój pies ukrywał się w pobliżu i przybiegł do mnie na dźwięk silnika. Czekał z nadzieją, że się tu zjawię.

– Mój stary Happy...

Płaczę z twarzą ukrytą w jego sierści.

3 LISTOPADA, POPOŁUDNIE

Niebo jest ciężkie i groźne. Nie lubię tego białego odcienia błękitu, prześwitującego czasem zimną między chmurami. Krajobraz robi się coraz bardziej górzysty, a temperatura coraz niższa. Kontynuuję podróż bocznymi drogami, z myślą, żeby raczej unikać ludzi. Najbliższe etapy do pokonania to miejscowości: Ribiers, Serres, Die, La Chapelle-en-Vercors.

Góry wyglądają jak miasto z żywymi wieżami, które nie mają ochoty zostać zamieszkane. Niektóre szczyty są całkiem białe. Przypominam sobie wiersze ze szkoły. Coś o śniegu jako o płaszczu... ale nie, śnieg też jest czymś żywym, nagim i drżącym migotliwie. Czuję się tu całkiem malutki.

Nigdy dotychczas nie wyjeżdżałem dalej niż do Sisteron. W drugiej klasie podstawówki uczestniczyłem tam w warsztatach lepienia z gliny. Pamiętam, że nie cierpiałem tego tak samo jak kolonii. A teraz, nawet jeśli trochę się boję i czuję się tu obco, w jakiś niezrozumiały jeszcze dla siebie sposób doceniam te miejsca bardziej niż miasta. Happy jest jedyną istotą, której ufam. Przez rozbite okno wpada zimne powietrze. Czas włożyć ubrania, które zdobyłem w sklepie sportowym: grube skarpety, rękawiczki i puchówkę. To jednak nie wystarcza. Muszę zakleić okno materiałem z rozciętych foteli.

Tuż przed Die samochód zwalnia, zaczyna szarpać i w końcu zatrzymuje się na niewielkiej drodze. Co się dzieje? Nie wydaje mi się, żebym źle zmienił bieg, a jednak... Czy ta dioda migająca na desce rozdzielczej to jakaś informacja? Ależ oczywiście, brak benzyny! Czerwony wskaźnik już od dłuższej chwili pokazywał, że jadę na rezerwie.

Dopada mnie ogromne zniechęcenie. Happy za to wyskakuje z auta w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia. Otaczające nas góry przyglądają się nam w milczeniu. Czy zastanawiają się, co ja tu robię? Są tak wysokie, że wydają się osądzać mnie surowo. Słyszę świst lodowatego wiatru, szarpiącego koronami drzew. Tu zima już nadeszła. Jest zupełnie inaczej niż w Marsylii, gdzie ciągle jeszcze było ciepło. Piję wodę, a potem daję trochę w misce Happy'emu, otwieram też puszkę sardynek, żeby zyskać trochę czasu do namysłu. Od chwili, kiedy zdecydowałem się dostać do Paryża, działałem zupełnie bez planu, ale zabranie książki na temat survivalu było dobrym pomysłem. Szybko ją kartkuję. Przeglądam zawartość: trujące rośliny, co zrobić w wypadku ugryzienia przez owada, jak rozpalić ognisko, obozowanie, węzły, orientacja w terenie... Na razie wszystkie te rady zdają się przekraczać moje możliwości, lecz mimo to staram się je zapamiętać. Szacuję drogę do przebycia: według mapy, do Lyonu zostało mi 250 kilometrów. Miejmy nadzieję, że znajdę samochód albo paliwo w Die! Ruszam w drogę z Happy'm u boku i plecakiem na ramionach.

Dotarcie do miasteczka zajmuje mi dobre trzy kwadransy. Miejscowość z daleka wydaje się znacznie mniejsza niż Manosque. Uspokaja mnie całkowita cisza spowijająca to miejsce i ciężąca nad ulicami. Wszyscy pewnie uciekli stąd w pierwszych dniach epidemii. Nigdzie nie widać żadnego samochodu ani motoru. Młodzież też pewnie uciekła, z rodzinami albo samodzielnie. Najbardziej rolgarnięci, przewidując nadejście zimy, ruszyli z pewnością na południe.

Co mnie napadło, żeby w listopadzie jechać w góry? Umrę z zimna, zamarznę, o ile wcześniej nie zagłodzę się na śmierć.

Błąkam się bez celu po wyludnionych ulicach. Nieliczne sklepy zostały splądrowane tylko w nieznacznym stopniu. U optyka znajduję bardzo efektowne okulary przeciwsłoneczne. W sklepie „Super U” objadam się ciastkami i napycham plecak zapasami żywności. Z księgarni zabieram komiksy manga. Będę nimi zabijać nudę. W jednym z czasopism dla dzieci znajduję

kompas. I oto ja, chłopak z miasta: „Mam wszystko, czego potrzebuje odkrywca”. Sam Kubuś Puchatek zapewnia mnie o tym z okładki gazety.

Na stacji benzynowej przy drodze zwanej Alpejską na próżno staram się wziąć trochę benzyny. Z dystrybutorów nic nie leci. Zbiornik z paliwem pewnie został opróżniony już wcześniej.

Przedemną krętą drogą znika wśród gór. Wiatr jeszcze się wzmógł, a słońce zaszło już za szczyty. Nadszedł czas, żeby znaleźć nocleg.

Postanawiam zrobić sobie przyjemność i wybieram najpiękniejszą willę w miasteczku. Dom położony jest nieco na uboczu i góruje nad okolicą. Olbrzymia weranda wychodzi na taras, z którego rozciąga się wspaniały widok. W dolinie widać sporo górskich chat. Inne budynki skupione są wokół dzwonnicy kościoła, górującej ponad dachami. A wokół nieprawdopodobne, wysokie, białe i pełne godności szczyty, przebijające złociste chmury. Tysiące kolorów, odcieni i promieni światła pojawia się w ostatnich sekundach dnia. Ostatni spektakl przed zapadnięciem nocy.

Przynajmniej nie nudzili się przed tym, co się wydarzyło. Chociaż z drugiej strony bogactwo na nic im się nie przydało w obliczu katastrofy.

Nie muszę się nawet włamywać: drzwi są otwarte. Wyposażenie domu jest eleganckie, meble z ciemnego drewna świadczą o klasie właścicieli. Rozsiadam się w dużym, głębokim fotelu. Ostrożnie wchodzę do wszystkich pokoi. Na szczęście nie znajduję żadnego trupa. Jeśli chodzi o trupy w tym miasteczku, dzięki arktycznemu zimnu przynajmniej nie ma ryzyka, że gnijące ciała zanieczyszczą powietrze.

Kiedy stwierdzam, że byli mieszkańcy willi mieli psa, znów zaczynam wierzyć, że urodziłem się pod szczęśliwą gwiazdą. W schowku znajduję dziesiątki puszek z karmą. Otwieram jedną z nich dla Happy'ego, który zjada zawartość z takim smakiem, że natychmiast daję mu dokładkę. Oczywiście nie ma prądu. Przeszukuję dom, ale nie udaje mi się znaleźć żadnego komputera z naładowaną baterią. Chciałbym usiąść i spokojnie obejrzeć sobie film, żeby odpędzić czarne myśli. Budzik na baterie na stoliku nocnym wskazuje datę i godzinę: jest 3 listopada, czwarta po południu. Niemal podskakuję z radości, kiedy na dnie szafy znajduję odtwarzacz CD. Można by pomyśleć, że grzecznie na mnie czekał. I też działa na baterie! Nie ma tu wprawdzie żadnej z moich ulubionych płyt, ale przynajmniej nie będzie tak przeraźliwie cicho. Wybieram nieznaną mi zespół. Muzyka jest łagodna i to mi odpowiada. Siadam w wygodnym fotelu i patrzę, jak noc pochłania góry.

Noc bez elektryczności. Widzę jasną, migoczącą i kolorową Drogę Mleczną. Długo się w nią wpatruję, jeszcze bardziej zafascynowany niż podczas seansu filmu w 3D. To jedyna dobra strona tego całego syfu.

19 LISTOPADA

Happy wyciągnął się przed kominkiem, w którym trzaska ogień. Dziesiątki bierwion leżą obok. Minęły już ponad dwa tygodnie – a mógłbym zostać tu jeszcze dłużej. Jedyne, z czym mam problem, to kwestia mycia i prania. Z uwagi na brak bieżącej wody muszę używać wody mineralnej ze sklepu „Super U”, gdzie robię darmowe zakupy. Myję się jak kot. Slipy piorę w mydle. Jakoś daję radę.

Wciąż mówię do Happy’ego. To pozwala mi przestać myśleć o mojej samotności i odgania inne ponure myśli. Często wyjmuję moją figurkę Froda. Bawię się nią jak w dzieciństwie i wymyślam przygody, by uciec od koszmarnej rzeczywistości.

Jednak gdy tylko zapada noc, duchy powracają. Tata, mama, Camila, ale też Franck, RV i złotowłosa dziewczyna z Manosque... Wszyscy zadają mi pytania:

– Kiedy zamierzysz wrócić do przeszłości? Kiedy przywrócisz nas do życia? Dlaczego nas nie pochowałeś? Nasze dusze się błakają. Nasze zbawienie pozostaje w twoich rękach. Tylko ty coś możesz zdziałać. Ty, Khronos i jego armia.

Irytuję się, kiedy nalegają zbyt mocno. Wtedy wzywam Adriała. On nigdy się nie skarży, ale wczoraj wieczorem, gdy podziwiałem zachód słońca, powiedział:

– Czas się stąd ruszyć. Nie możemy przepuścić spotkania w Paryżu. Musimy pokonać lasy i góry przed intensywnymi opadami śniegu.

A zatem dziś rano w znalezionym notesie zapisuję datę: 19 listopada. Jeśli codziennie będę robił kreskę, zachowam poczucie czasu. Ponownie przeglądam swoje rzeczy. Wkładam do plecaka możliwie najwięcej sprzętów i produktów zalecanych w podręczniku. Kompletuję apteczkę, gromadzę karabńczyki, biorę piłę linkową i żywność, a potem z żalem opuszczam willę.

– Chodź, Happy, nic nie trwa wiecznie.

W całym miasteczku znalazłem tylko jeden pojazd, motor stojący w ogrodzie, ale nie sposób go uruchomić. Będziemy musieli podróżować pieszo. Trzymam kciuki za to, żebyśmy szybko znaleźli sprawny samochód. Mam wprawdzie kompas, ale wolę polegać na tablicach informacyjnych. Kieruję się na miejscowość La Chapelle-en-Vercors, położoną czterdzieści kilometrów dalej.

Przez cały dzień marszu nie spotykam żywej duszy. Mój plecak jest ciężki i szybko zaczynają mnie boleć nogi, ale dobrze się trzymam. Droga biegnie przez gęsty las. Dni stały się krótkie i otacza mnie gęsta mgła, która kojarzy mi się z trującym gazem. Z niepokojem orientuję się, że przed nocą nie uda mi się dotrzeć do La Chapelle-en-Vercors i muszę poszukać miejsca na nocleg. Schodzę z drogi, żeby rozejrzeć się w lesie. Czołówka wykrawa okręgi światła w mroku.

Ostatecznie decyduję się schronić w wydrążonym pniu drzewa. Zapewniam sobie w ten sposób ochronę przed wiatrem. Jestem tu mniej narażony na zimno, mam też nadzieję, że żadne zwierzę nie wyczuje mojej obecności. Obejmuję Happy’ego, żeby dodać mu otuchy, i przykrywam go kocem ratunkowym. Wślizguję się do dziupli, którą staram się w miarę wygodnie wymościć. Księżyc jest w pełni i w zmrożonym lesie wciąż coś szeleści. Zapachy też się intensyfikują, na przemian mocne i piżmowe albo delikatne i anyżkowe. Drzewa, gałęzie i liście wydają się żywe, jakby tańczyły w transie. Nawet zimny wiatr wieje w diabelskim rytmie, przypominającym stłumioną elektroniczną muzykę. Jestem jednak tak wykończony, że szybko zasypiam.

20 LISTOPADA, POPOŁUDNIE

Po południu docieram do La Chapelle-en-Vercors. Ta miejscowość jest jeszcze mniejsza niż Die. Natychmiast wyczuwam tu obecność ludzi. Wydaje mi się, że cienie przemykają za oknami domów i skradają się pod murami. Naprawdę nie zależy mi na powitaniu zgodnym z wszelkimi wymogami grzeczności. Doświadczenie z Manosque było dla mnie nauką. Nie będę się tu włóczył. Zatrzymuję się przed willą przy drodze wylotowej z wioski. W ogrodzie stoi samochód.

– Mam dobre przeczucia – mówię do Happy'ego.

Bez trudu otwieram furtkę do ogrodu, podobnie jak drzwi do domu. Cienie wydają mi się coraz bliższe, więc działam szybko. Zapach w tym miejscu nie jest zbyt przyjemny, ale rozglądam się po korytarzu. Bingo! W miseczce na stoliku leży kilka kluczy. Wyjmuję ten z breloczkiem Peugeota i biegnę do samochodu.

Pilotem przy kluczykach otwieram drzwi samochodu. Wskakujemy z Happy'm do środka. Wskaźnik pokazuje, że w baku jest sporo paliwa. Nie marnuję ani sekundy, obecność ludzi coraz bardziej mnie niepokoi. To z pewnością rozdygotani i nieufni nastolatki, którzy nie mają odwagi się pokazać, ale myślą mi się z nawiedzającymi mnie duchami. Nie otwieram nawet bramy, ruszam i rozbijam ją samochodem, czemu towarzyszy trzask łamanych desek.

Zdopingowany adrenaliną i strachem wciskam gaz do dechy. Im bardziej oddalam się od wioski, tym spokojniej bije mi serce. Niebo staje się coraz bielsze, a temperatura się nie podnosi. Liczyłem, że tak się stanie, kiedy opuszczę góry Vercors. Mimo włączonego ogrzewania trzęsę się z zimna. Ciepło ucieka przez otwierany dach, który nawet po zamknięciu nie jest zbyt szczelny.

Trzy godziny później widzę przed sobą miasto. To Lyon. Czy Lady Rottweiler jeszcze żyje? Pierwsze płatki śniegu rozbijają się o przednią szybę samochodu.

DWA

20 LISTOPADA, PÓŹNE POPOŁUDNIE

Autostrada zastawiona porzuconymi samochodami to zaporą znacznie skuteczniejsza niż ta, którą wzniesiono w Manosque. Gaszę silnik i wysiadam z auta. Na zewnątrz atakuje mnie mróz. Na tym odcinku drogi nie słychać żadnego dźwięku, nie widać żadnego ruchu, śnieg bezgłośnie pokrywa ulicę. Wystawiam twarz ku niebu i pozwalam dwóm płątkom wpaść do ust, jak w dzieciństwie. Na sekundę znów staję się tym malcem na podwórzu obsadzonym platanami, wokół którego dzieci biegały i krzyczały, jakby był centrum wszechświata. To wspomnienie przyprawia mnie o chwilowy zawrót głowy. Po chwili szara rzeczywistość uderza jednak ze zdwojoną siłą.

Pozwalam Happy'emu wyjść z samochodu. Pies czym prędzej idzie obsikać oponę opla corsy. Gwiżdżę na niego, zakładając plecak, a później wbiegam na stos pojazdów, żeby zobaczyć, co się znajduje za nimi.

Jeszcze szybciej schodzę i chowam się za samochody. Serce wali mi w piersiach. Przed chwilą kilkaset metrów dalej, za zasłoną padającego śniegu, na szczycie budki strażniczej wybudowanej z desek i blachy dostrzegłem mężczyznę. Był zwrócony w stronę miasta i opierał się na karabinie.

To mężczyzna, nie nastolatek. Gotów jestem przysiąc. Jego wzrost i postura wskazują na dorosłego. A więc niektórzy z nich nadal żyją. Przyglądam się wartownikowi przez szparę między dwoma samochodami. Ubrany jest w czarny kombinezon, który dokładnie go osłania. Nie jestem całkiem pewien, ale wydaje się, że jest szczelnie odizolowany od otoczenia. Ma kask i dziwną maskę wyposażoną w filtr. Upodabnia go to do muchy. Po Marsylii krążyła plotka, że dorośli na ważnych stanowiskach natychmiast schronili się w bunkrach. Ale kim on jest? I co tu robi?

Brzęk stopniowo przechodzi w ogłuszający warkot. Ponad dachem wartowni najeżonej drutem kolczastym pojawia się helikopter, którego śmigła wzbijają w powietrze papiery, śmieci i kurz. Rozgarniają też płatki śniegu. Mężczyzna w kombinezonie łapie drabinkę linową i wchodzi na pokład. Inny, w takim samym rynsztunku, schodzi, by zająć jego miejsce. Staje z tym samym karabinem i w tej samej pozycji. Czy to są żołnierze na warcie? Jeśli tak, co tu robi wojsko? Przed jakim wrogiem trzeba bronić miasta? Helikopter nabiera wysokości i powoli się oddala. Staje się w końcu ledwie drobnym punktem na niebie, znaczkiem wielkości owada.

Nadal panuje cisza, a śnieg sypie powoli z góry na dół. Nowy człowiek mucha czuwa nad miastem równie nieruchomo jak jego poprzednik.

Ostrożnie opuszczam swoją kryjówkę, żeby pójść wzdłuż obwodnicy i sprawdzić, czy trochę dalej uda mi się przebić do miasta. Wszystko to bardzo mi się nie podoba. Muszę uważać, być może są tu jeszcze inni strażnicy i kolejne wartownie. Nagle słyszę wrzaski dochodzące z miasta i staję jak wryty. Happy przyjmuje pozycję do ataku. Najpierw krzyki dziewczyny, a potem chłopaków. Przylegam do samochodu, żeby lepiej słyszeć. To gdzieś blisko.

– Puśćcie mnie! Cholerne gnojki! Zostawcie mnie w spokoju!

– Co robimy, Reggie?

– Na początek zróbcie coś, żeby się zamknęła, w końcu nas zauważą.

Wspinam się na górę z wraków i odkrywam dzielnicę domków jednorodzinnych z identycznymi budynkami i ogródkami przylegającymi jeden do drugiego. Z powodu biegnącej obok autostrady musiał tu kiedyś panować niezły hałas. Teraz stłumione okrzyki dochodzą do mnie z jednego z domów, ale nie widzę nikogo. Podbiegam więc i przeskakuję dwa ogrodzenia, żeby podejść bliżej.

Docieram do ogrodu i staję w cieniu szopy. Pod okapem, na murze, wiszą narzędzia ogrodnicze: łopata, grabie, konewka. Okno jest ledwie przymknięte. Przez powiewającą na wietrze zasłonkę mogę dojrzeć, co się dzieje w domu. Czuję wonny dym. Być może z grilla?

W kuchni widzę blondynkę o włosach obciętych na boba, z rękami związanymi z przodu, siedzącą na plastikowym krześle. Dwóch wyrostków właśnie knebluje ją skręconą bielizną. Wygląda to tak, jakby knebel rozcinał jej twarz. Napastnicy zwracają się do jednego z kumpli. Nazywają go Reggie. Chłopak siedzi zwrócony twarzą do dziewczyny, a plecami do mnie. Obok grilluje się mięso. Na stole stoją talerze, leży jedzenie, papier śniadaniowy i butelki piwa. Mocny smród gówna i przypiekanego mięsa łapie mnie za gardło.

– W sumie to nie wiem – mówi Reggie, wydmuchując dym z jointa. Trzyma go kciukiem i placem wskazującym.

– Jest naprawdę niezła – stwierdza chłopak o czerwonej twarzy.

– Zostało jeszcze trochę mięsa?

– Tak, trzymaj. Po raz pierwszy w życiu jem żyrafę.

– Pamiętasz? – parska śmiechem jeden z biesiadników. – Minę tego faceta, kiedy kropnąłeś panterę?

– W zoo to było wariactwo. Ja ukatrupiłem wszystkie te zwierzaki, ale gość był twój. To ty go stuknąłeś, Reggie!

– Zamknijcie się! – wrzeszczy Reggie. – Nie lubię takich wspominków. Zajmijcie się lepiej dziewczyną. Odkryjcie jej piersi.

W chwili, kiedy wysoki grubas rozpina dziewczynie zamek kurtki, coś we mnie pęka i eksploduje. Adrial się obudził. Rycerz potępia zachowanie chłopaków, a Happy warczy, wyczuwając jego wzburzenie. Yannis musi jednak uświadomić Adrialowi, że ten nie ma szans pokonać trzech przeciwników. Awatar znika z tej rzeczywistości.

– Poczekajcie – odzywa się Reggie. – Co to za hałas?

– Jakiś pies, nie?

– Raczej nie, kundle nie marnują czasu w tej okolicy. W centrum jest znacznie więcej żarcia.

Kulę się, przyciśnięty do ściany. Zastanawiam się nad ucieczką: ten koleś sprawia wrażenie niezłego świra, więc mam pietra. Kiedy dochodzi do mnie dźwięk otwieranych drzwi, jest już za późno. Stoję w miejscu jak sparaliżowany.

– Co tu robi ten dupek?

Reggie stoi przede mną z długim nożem w prawej ręce i jointem w lewej.

– Co tu robisz, cholerny dupku?

Nie jestem w stanie się odezwać ani zrobić najmniejszego ruchu.

– Co się dzieje, Reggie? – krzyczy jeden z jego kumpli.

– Ha! – kpiąco woła Reggie. – Wydaje mi się, że mamy nową zabawkę.

Kuca, żeby znaleźć się na mojej wysokości.

– Chciałeś sobie popatrzeć, co? Skorzystać z przedstawienia za darmo? Rozumiem, ale to nie jest w porządku. Wstawaj, z boku. I do tego tchórz. Teraz to się trzęsiesz, co?

Reggie podchodzi i przykładą mi ostrze noża do gardła. Zmusza mnie, żebym wstał razem z nim i spojrzał mu prosto w oczy. Happy warczy, gotów do skoku, ale chłopak nie wydaje się wystraszony. Z pewnością nie ma osiemnastu lat, ale wygląda na starszego. Jest twardy i zdeterminowany. Nosi czarną brodę, którą wysuwa przed siebie, unosząc podbródek.

– Zastanawiasz się, ile mam lat, co? – zgaduje, dmuchając mi w nozdrza swoim odrażającym oddechem. – Gdyby cię o to zapytano, powiedziałabyś, że dwadzieścia jeden. Można by pomyśleć, że jestem nieśmiertelny! W każdym razie, śmiertelny czy nie, mam zamiar

korzystać z życia i dobrze się bawić.

Przyciska ostrze do mojej skóry. Chciałbym krzyknąć na Happy'ego, żeby go zaatakował, ale czuję, że za chwilę poderżnie mi gardło. A pies się waha. Reggie za to nie należy do osób, które miewają rozterki.

– Twój kundel mi się nie podoba – mówi i woła: – Ralph, weź swojego gnata i ubij tego pchlarza. W zoo spodobało ci się strzelanie do zwierząt. Chodź, to twoja działka. Tony, zajmij się dziewczyną. Ale zostaw nam coś na potem, OK?

Ralph natychmiast wybiega z bronią w rękę, a moje serce zaczyna walić jak oszalałe. Po policzkach spływają mi łzy bezsilności.

– Patrz, on płacze! Śmiechu warte! No dalej, Ralph, strzelaj.

Wszystko to trwa zaledwie kilka sekund. Z kuchni dochodzi do mnie okrzyk bólu, ale to nie dziewczyna krzyczy. W tej samej chwili pada strzał. Happy skamle, ale nie widzę, czy został ranny. Ostrze na gardle nie pozwala mi odwrócić głowy.

– A to suka! – wydziera się Tony. – Kopnęła mnie w jaja. Uciekła, łapcie ją!

To rozprasza pozostałych i nagle wszystko się zmienia.

20 LISTOPADA, WIECZÓR

Ostrze noża na chwilę odsuwa się od gardła Adrial, który korzysta z okazji, żeby kopnąć napastnika z całej siły, możliwie najwyżej. Nie celuje specjalnie w żadną część ciała, ale mocno uderza Reggiego w ramię, być może nawet wybija mu je ze stawu. Reggie wrzeszczy z bólu i klnie na całe gardło. Adrial widzi dziewczynę ze związanymi rękami, uciekającą przez furtkę, i Tony'ego z ręką na kroczu, niezgrabnie goniącego ofiarę. „Dobrze rozegrane” – myśli.

Jednak broń Ralpha jest teraz wycelowana w jego stronę. Na widok spiętej twarzy chłopaka i ręki zaciśniętej na rękojeści pistoletu Adrial sądzi, że nadeszła jego ostatnia chwila. Tej właśnie chwili zawdzięcza życie. Ralph zaczyna się wydzierać i strzela w powietrze. Happy! Happy żyje i rzuca się na jedną z nóg napastnika, żeby zatopić w niej kły. Adrial mocno kopie chłopaka w głowę, później w brzuch i znów w skroń. Jest równie skuteczny jak w WOT, daje sobie radę, choć nie jest napakowanym mięśniakiem. Ralph się nie rusza. Stracił przytomność, a z nosa, rany na twarzy i ucha cieknie mu krew.

Jednak Adrial popełnił pewien błąd: zapomniał o Reggie, który podniósł swój nóż i rzucił się w jego stronę. Awatar krzyczy. Ostrze wbija się w jego ciało i ociera o zębra. Przez sekundę Reggie i Adrial zastygają jak w tańcu, złączeni w uścisku, a nóż napastnika tkwi w ciele rycerza. Happy u nóg pana obserwuje go z łagodną, prawie nieobecną miną. To wtedy awatar dostrzega, że prawa tylna łapa psa jest zakrwawiona. Zwierzak trzyma nogę w powietrzu, nie może postawić jej na ziemi, łapa jest nienaturalnie wygięta. Pocisk wystrzelony przez Ralph'a ugodził Happy'ego w łapę i roztrzaskał kość.

W Adrialu wzbiera złość. Rozpiera jego duszę, aż wreszcie się wylewa. Awatar robi się czerwony na twarzy i czuje, że jego siła wzrasta, chociaż został ranny. Wstaje. Kładzie dłonie na ramionach Reggiego. Przeciwnik ma całkiem okrągłe oczy i usta otwarte ze zdumienia, ale nie puszcza rękojeści noża. Adrial całym ciężarem i z całej siły naciera na tego, który sam siebie nazwał nieśmiertelnym. Przyciska go do ściany pod okapem – w miejscu, gdzie chwilę wcześniej kulilem się i trząsałem. Reggie wzdycha, jakby doznał zawodu, a jego spojrzenie staje się niemal czułe. Wszystko w nim łagodnieje. To wtedy Adrial zauważa długi, zardzewiały gwóźdź wystający z gardła przeciwnika.

Przerażony cofam się o dwa kroki. Oddycham z trudem. Reggie jednak nie był nieśmiertelny. Teraz wspiera się o ścianę, stoi grzecznie w szeregu obok łopat i grabi. Po chwili pochyla się naprzód.

I upada twarzą do ziemi.

Nagle czuję ostry ból brzucha i przypominam sobie o nożu. Mocno krwawię, ale jednak żyję. Ranny Happy skamle i podchodzi, żeby powąchać krew na szyi Reggiego.

Klękam w śniegu. Happy ociera się o mnie, a ja go przytulam, żeby poczuć jego ciepło. Nie wiem, jak długo trwamy w tej pozycji naprzeciw dwóch leżących przed nami ciał, które zaczynają znikać pod prószącym śniegiem. Łzy spływają mi po policzkach i po sierści mojego psa. Mam wrażenie, że minęła wieczność, zanim w końcu zdecydowałem się wziąć głęboki oddech i dowlec się do ciała Ralph'a. Przykładam dwa palce do jego czerwonej od krwi szyi, żeby wyczuć puls.

Żyje.

Później z szaleńczą nadzieją robię to samo z Reggie.

Jest martwy.

Oglądam swoje czerwone, lśniące ręce. Całe we krwi: mojej, Happy'ego, Ralph'a i Reggiego... Którego zabiłem. Powstrzymuję krzyk.

Zabiłem człowieka.

Zabiłem go. Zabiłem. Zabiłem.

Muszę działać szybko, zanim opuszczą mnie siły. Straciłem dużo krwi i nie mam odwagi usunąć noża wbitego w moje ciało. Wysoka gorączka każe mi działać, chociaż już majaczę. Niedaleko dostrzegam jamę. Nie wiem, po co została wykopana. To nieważne. To duży dół w ziemi i tylko to się dla mnie liczy. Pochować zmarłych, pochować. Uwolnić ich. Uratować, co się da, z duszy Reggiego. Zrobić to. Koniecznie. Przynajmniej dla niego. Przynajmniej dla niego, choć był, kim był. Nie wiem, skąd biorę siły, żeby przeciągnąć jego ciało. Chwytam go za przedramiona i niczym sanki ciągnę po śniegu pokrywającym ziemię. Gdzie jest jego dusza? Nie wiem. Podążaj za mną, duszo Reggiego, uratuję cię.

Wrzucam ciało do dołu. Odczuwam pewną ulgę. Małeńką. Ale dobre i to. Dalej. Wziąć łopatę. Zasypać ciało. Poszukać łopaty. Uwolnić tę duszę. Idę w stronę nieprzytomnego Ralpa. Niepewny i obolały Happy podąża za mną. Zdejmuję łopatę z gwoźdźca. Łopata równa się uwolnieniu. Nagle widzę mgłę przed oczami. Zataczam się i wpadam w inną dziurę – tę w moim umyśle. W czarną dziurę.

21 LISTOPADA, RANO

Zimno mi w ponurej, wilgotnej i cuchnącej dziurze moich koszmarów. Garbaty księżyc przeszywa mnie swoim wylupiastym okiem. Księżycyca strzegą gwiazdy. Nagle słyszę jakiś szelest. Zrywam się na równe nogi. To Reggie wyskakuje z grobu i rzuca się na mnie.

– Witam cię, Yannisie.

Opiera nogę na moim brzuchu. Czuję przeszywający ból. Jego źrenice są pomarańczowoczerwone. Uśmiech skrywa się pod włóknami rozkładającego się ciała.

– Tak, witam cię. Dołącz do mnie u boku Śmierci, bracie. Chodź. Zabiłeś mnie. Jestem wolny, ale się tułam, a ty jesteś przeklęty. Ty też się tułasz, prawda? Nie martw się, nie jesteś sam. Dopóki będę wolny, będę cię nawiedzał.

Reggie – albo to, co z niego zostało – zaciska na moim gardle kościste palce. Silny jest jak na umarlaka. Nawet się nie bronię. Zaslужuję na to, co mi się przydarza. Dławię się. Cierpię. Chcę umrzeć. Tak będzie chyba lepiej.

Nie tym razem.

– Nie teraz, Soph. On żyje, popatrz.

– Cholera, masz rację. Ma taki słaby puls.

– Wraca z daleka.

– Jak my wszyscy...

Otwieram oczy. Leżę na podłodze, na kołdrze, w dużej sali. W pomieszczeniu stoją trzy rzędy łóżek, a oprócz tego są legowiska takie jak moje, wszystkie zajęte. Pachnie tu jak w szpitalu. Wygląda też jak w szpitalu, jednak światło wpadające przez duże brudne okna bardziej pasuje do kościoła. Ale przede wszystkim ten zapach... Mam wrażenie, że przenika do głębi serca i próbuje je zniszczyć. Kwaśny i słony zapach. Potu, strachu, śmierci.

Naprzeciwko, między dwoma metalowymi łózkami dostrzegam ducha Reggiego. Stoi oparty niedbale o starą kamienną ścianę i uśmiecha się do mnie złowieszczo. A potem znika, jakby się ulotnił. Tuż nade mną materializują się dwie nieznane mi twarze: dziewczyna i chłopak.

– Jak się nazywasz? – pyta dziewczyna.

Próbuję jej odpowiedzieć, ale żaden dźwięk nie wydobywa się z mojego gardła.

– Twój głos został ze mną – słyszę w głowie szept Reggiego.

– Spokojnie, spokojnie – mówi chłopak, kładąc mi dłoń na czole. – Ma chyba gorączkę.

– Wydaje mi się, że jest w poważnym szoku. Zastanawiam się, skąd pochodzi.

– Znalaziono go w dzielnicy domków jednorodzinnych na południu. Wpadł na niego żołnierz podczas obchodu. Obok leżał jeszcze jeden ranny typek. Podejrzewam, że się pobili. Cudem przeżyli. Ten drugi był tylko ogłuszony i zwiął, gdy odzyskał świadomość. To jeden z tych rabusiów, którzy cenią sobie wolność. Ale ten tu był poważniej ranny. Kiedy go znaleziono, w jego boku nadal tkwił nóż. Trzeba mu było założyć kilka szwów.

Słowa chłopaka trafiają do mojego zamglonego umysłu. Stopniowo zaczynam rozumieć, że nikt nie znalazł ukrytego w jamie ciała Reggiego.

– Nie możemy go tu zatrzymać – szepcze dziewczyna z zakłopotaniem. – Nie mamy wystarczająco dużo miejsca i nie będziemy potrafili się nim odpowiednio zająć.

– Trzeba go przenieść do Z-Punktu w parku Tête d’Or. Tam zajmą się nim studenci medycyny. Niemal wszyscy zostali zakwaterowani w Liceum Parkowym.

– On chyba próbuje coś powiedzieć, nie? Chyba „a” i „i”.

– Pewne woła mamusię albo coś w tym rodzaju, ale nie bardzo mu to wychodzi.

Widzieliśmy już wielu takich jak on. To szok. Nie przejmuj się.

– Happy... Happy... Gdzie jest Happy? Nagle czuję przejmujący, ostry ból w lewym boku. Zwijam się, krzyczę i znów tracę świadomość.

Budzę się z tyłu ciężarówka, która robi piekielny hałas i nie jest ani trochę tak wygodna jak karetka. To raczej furgonetka do drobnych przeprowadzek. Zamiast kanap, krzesel i kartonów obok mnie leży dwóch chłopaków w równie złym stanie. Cienki stos kołder ma amortyzować wyboje na drodze, ale co trzy sekundy mam ochotę wrzeszczeć z bólu. Ranni jęczą. Towarzyszą nam dziewczyna i chłopak, inni niż ci, których widziałem poprzednio. Brunetka z końskim ogonem patrzy przez tylną szybę i zwraca się do potarganego szatyna, jakby nas tu nie było.

– Znów pada... Nie lubię tych transportów. Nie lubię widoku miasta. Jest w opłakanym stanie. I te psy. Co się z nimi stało?

– Nie mają już panów, więc błakają się i szukają jedzenia. Dziczeją i gromadzą się w watahy jak wilki.

Twarz brunetki tężeje.

– Stają się niebezpieczne. Należałoby je wszystkie wystrzelać.

– Są mniej niebezpieczne niż rabusie. To ich się boję w czasie transportów. **Oni** nie chcą nawet zostawić nam wozów opancerzonych do tego rodzaju zadań. Mówią, że szkoda takich wozów do przewożenia uchodźców. A co z nami? Po raz ostatni to robię.

– Ja też, możesz mi wierzyć. Zrobię wszystko, żeby trafić do Z-Punktu w parku Tête d'Or. Mogę nawet szorować kible, proszę bardzo, byle tylko znaleźć się w bezpiecznym miejscu! Opuściłam dom nie po to, żeby zgrywać Matkę Teresę i jeszcze ryzykować życie.

Boję się, że umrę. Nie wydaje mi się, żeby ci tutaj byli zdolni ochronić mnie przed czymkolwiek. Niepokoję się też o Happy'ego. Co się z nim stanie, gdy straci łapę?

– Dojechaliśmy – oznajmia potargany chłopak.

Przed ciężarówką czekają nosze.

– Przenieście ich do liceum.

Ktoś unosi moje ciało, układa na noszach i wnosi do imponującego budynku. To było liceum? W żaden sposób nie przypomina mojej budy w Marsylii. Ściany są białe i czyste, bez jednego pęknięcia, choć wszystko wydaje się bardzo stare. Złocenia, gzymsy, ogromne okna, monumentalne schody, żelazne poręcze zdobione arabeskami, wysokie stropy. Wszystko to bardziej przypomina Pałac Elizejski czy coś w tym rodzaju. Spokojnie można by na te korytarze wpuścić ministrów albo bankowców. Teraz to wszystko już niczemu nie służy i myśl ta nie niesie mi ulgi.

21 LISTOPADA, POPOŁUDNIE

W ciągu zaledwie kilku minut mimo osłabienia zauważam, że sytuacja w Lyonie jest zupełnie inna niż w Marsylii. Nikt tu nie mówi o Wielkim Przewrocie. Nie słychać krzyków i nie widać chamskich gestów. Niektórzy zwracają się do innych, jakby byli starsi albo piastowali wyższe stanowisko. Ci ostatni odpowiadają spokojnie, z naturalną pewnością siebie. Każdy jest czymś zajęty – jak w mrowisku. Porządek i hierarchia. Trafiam na dziedziniec otoczony galerią z arkadami i dużymi, przeszklonymi oknami. Później wnoszą mnie przez starą, kamienną klatkę schodową – dysząc i sapiąc – na trzecie piętro.

– Umieście go w pokoju najbliższej dyżurki – mówi dziewczyna z końskim ogonem. – Jedno miejsce się zwolniło. Trzeba się nim natychmiast zająć.

Przenoszą mnie na łóżko z lakierowanego drewna. Biała pościel nie pachnie przyjemnie płynem do płukania, jak u mnie w domu, ale jest czysta. Materac jest miękki jak puch. Nawet jeśli samo miejsce nie jest zbyt zachęcające, czuję się pokrzepiony.

– W porządku, nóż nie uszkodził żadnego ważnego organu – stwierdza jeden z badających mnie pielęgniarzy, niski brunet z kręconymi włosami. – I szew został dobrze założony. Rana powinna niebawem się zagoić. Podamy ci środki przeciwbólowe i antybiotyki. Zajmę się tobą, nie bój się. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, zawołaj mnie, nigdy się stąd nie oddalam. Nazywam się Pierre. A ty?

– On nie mówi – informuje go dziewczyna.

– Rozumiem. To przejdzie. Musiał przeżyć coś strasznego i jest w szoku. No dobrze, tymczasem przedstawię ci François. Będzie dzielił z tobą pokój. Niemal umarł na dyzenterię. Ale już z niej wyszedł. Ma tylko lekkie roz...

– Hej, nie musisz opowiadać mu wszystkich szczegółów!

– OK, OK. Zostawiam was, robota czeka. Odpoczywajcie, niedługo przyniesiemy wam obiad.

Pierre i dziewczyna wychodzą z sali o białych ścianach i dwóch kwadratowych oknach. Zamykają za sobą drzwi.

Staram się dojść do siebie. Mam wrażenie, że znalazłem się na innej planecie. Myślałem, że na świecie nie ma już normalnych ludzi. Że zostały tylko łajdaki i świry. Jak ci, których spotykałem po drodze, od kiedy opuściłem dom. I oto jakbym został teleportowany do zorganizowanego społeczeństwa, gdzie ludzie rozmawiają ze sobą spokojnie i opiekują się nieznajomymi. Choć słychać w ich głosach to pęknięcie, które przypomina, że wszyscy jesteśmy sierotami i wszystkich straciliśmy. Jednak tu, w Lyonie, przynajmniej w tym miejscu, który nazywają Z-Punktem, dokonano wyboru. Postawiono na porządek i solidarność. Jak udało im się to osiągnąć?

– Skąd jesteś?

Jak ma na imię mój sąsiad z sali? Ach tak, François. Czy to możliwe, żeby miał piętnaście lat? Wygląda najwyżej na trzynaście. Chudy, niski, z bladezielonymi policzkami i matowymi blond włosami. Obserwuje mnie dużymi brązowymi oczami, które zajmują niemal całą jego uśmiechniętą twarz.

– Naprawdę jesteś niemową?

Otwieram usta. Próbuję wydać z siebie jakiś dźwięk. Trwa to kilka minut. François spojrzeniem dodaje mi otuchy. Jest tak wątpy, że robię to trochę po to, żeby sprawić mu przyjemność. W końcu udaje mi się wydusić z siebie:

– Na... Nazy... Nazywam się... Ya... Yannis.

Chłopak zaczyna klaskać, co wywołuje uśmiech na mojej twarzy. Prawdziwy z niego dzieciak.

– Bravo! Cieszę się, że nie jesteś niemową. Ja uwielbiam mówić. Uwielbiam też słyszeć czyjś głos. Ale powiedz, kiedy zacznę cię wkurzać, dobra? A więc jesteś uchodźcą? Skąd pochodzisz?

– Z Ma... Ma... Marsylii.

Chłopak gwizdże.

– No, no! To strasznie daleko. Udało ci się pokonać tyle kilometrów i nie zostać zabitym. Szacun! Ja mieszkałem w małej wiosce na północ od Lyonu. Ta wioska nazywa się Saint-Cyr-au-Mont-d'Or. Dwa dni temu wszyscy zostali stamtąd ewakuowani z powodu epidemii grypy żołądkowej. Grypa żołądkowa wydaje się błahostką w porównaniu z filowirusem U4, nie?

Parska śmiechem, po czym znów przybiera poważny ton.

– A jednak kilka osób zmarło, bo skończyły się już butelki z wodą mineralną, a nikt nie miał siły pójść na poszukiwanie nowych. Odwodnienie. Masakra. Umrzeć na niezbyt jelit, nawet sobie tego nie wyobrażasz! Niewiele brakowało, a mnie by się to przytrafiło. Szczęśliwie sąsiad znalazł mnie na czas i tu przyprowadził.

Uprzedza mnie, kiedy otwieram usta z pytającym wyrazem twarzy:

– Myślę że **oni** wybrali to miejsce na Z-Punkt z powodu sąsiedztwa parku Tête d'Or, jeziora, przepływającego w pobliżu Rodanu i tak dalej. Idealna okolica, nie? A poza tym tutejsze towarzystwo to prawdziwy *crème de la crème*, czyli przede wszystkim byli uczniowie tej budy, a to liceum miało znacznie lepszą renomę niż moje. A poza tym **oni** poprosili studentów medycyny z pobliskiego campusu, żeby się tu przenieśli. I dlatego mogą sprowadzać do liceum wszystkich rannych.

– Jacy **oni**?

Dokładnie w tym momencie słyszymy warkot, od którego wszystko w sali drży. Rozpoznaję dźwięk helikoptera, taki sam jak nad wartownią. Pewnie zbłądłem, bo François mnie uspokaja:

– Nic się nie bój. To tylko aprowizacja. **Oni** dostarczają nam jedzenie, wodę i produkty pierwszej potrzeby.

– Ale kto?

Nagle całkowicie odzyskuję głos.

– No, dorośli.

Po tych słowach czuję się, jakbym dostał obuchem w łeb.

– Do... dorośli? Ale... Ale przecież wszyscy umarli.

– Prawie wszyscy, racja, ale nie zupełnie wszyscy. Nie zostało ich zbyt wielu, a jednak. Czekaj, chcesz mi powiedzieć, że jeszcze żadnego nie spotkałeś? Łatwo ich rozpoznać po dziwacznych kombinezonach, które zakładają, żeby nie złapać filowirusa.

– W Marsylii nie widziałem ani jednego.

– Jeszcze dwa tygodnie temu tutaj też żadnego nie było, panował niewyobrażalny chaos. Wojsko pojawiło się w zeszłym tygodniu. To właśnie żołnierze umieścili mnie w tym Z-Punkcie.

– Pierwszego dorosłego zobaczyłem na rogatek Lyonu. Był uzbrojony i nieźle napędził mi stracha.

– Zdumiewasz mnie. Ale nie masz się czego bać, ci żołnierze nas ochraniają. Noszą broń z powodu gangów. Uzbrojone nastolatki łupią miasto i atakują innych mieszkańców. Żołnierze są tu po to, żeby przywrócić porządek. Mówią nam też, jak się zorganizować, żeby przeżyć.

A zatem nie zostaliśmy pozostawieni samym sobie? Dorośli będą nad nami czuwać?

Drzwi się otwierają i wchodzi chłopak z wózkiem zastawionym plastikowymi tackami

obiadowymi. Jestem tak głodny, że bez słowa zabieram się do jedzenia.

Na całe popołudnie pogrążam się w głębokim, krzepiącym śnie. Naprawdę muszę odzyskać siły. Od czasu do czasu otwieram oczy i widzę, że François sam ze sobą gra w szachy na małej, przenośnej szachownicy. Nigdy nie rozumiałem tej gry, choć trzeba też dodać, że nigdy wcześniej nie widziałem, aby ktoś w nią grał. Wolę wsłuchiwać się i wczuwać w to, co mnie otacza. Miejsce wydaje się przeludnione. Słyszę krzyki, płacz, klótnie. Koniec końców w tej budzie nie wszystko jest pod kontrolą. Moje początkowe wrażenie – że jest tu bardzo spokojnie – było fałszywe. Nadchodzi wieczór, zachodzi słońce, ogarnia nas półcień, a jednocześnie w budynku zapada cisza. Dzięki światłu księżyca atmosfera w sali robi się intymna, a zarazem chłodna. Nagłe czuję się całkiem zagubiony, bardzo daleko od domu.

Wyjmuję z plecaka mój zeszyt i rysuję kolejną kreskę oznaczającą wschód słońca. Minęło dwadzieścia dni, odkąd wszystko rzuciłem. Od spotkania z Khronosem dzieli mnie zaledwie nieco ponad miesiąc. Choć nie są to długie okresy, przyprawiają mnie o zawrót głowy.

NOC Z 21 NA 22 LISTOPADA

Tęsknię za Happy'm i niepokoję się jego losem. François śpi na łóżku obok. Jego cichy oddech mnie uspokaja. Pod pościelą sylwetka chłopca sprawia wrażenie tak kruchej, że wydaje mi się, iż jestem w domu i to moja siostrzyczka Camila drzemie obok mnie. Ja także usypiam.

W łagodnym śnie pojawiają się uśmiechnięte duchy mojej rodziny, żeby mnie uspokoić. Wyciągają do mnie ramiona, żeby mnie przytulić. Nagle wszystko robi się czerwone, staje w płomieniach, a pośród życzliwych duchów pojawia się widomo Reggiego. Dołączył do nich, żeby powtarzać mi:

– Staw się na spotkaniu z Khronosem, wróć do przeszłości, do czasów, kiedy wszyscy żyliśmy. Znajdź sposób, żeby nie dopuścić do katastrofy.

Jednak podczas gdy twarze pozostałych duchów są miłe, Reggie wykrzywia się w grymasie wściekłości. Ponownie słyszę jego krzyki i rżenie. Widzę swoje dłonie umazane krwią.

– Tak, odbądź podróż w czasie, cholerny draniu, przywróć mi życie, żebym mógł zniszczyć twoje. Nie zapomnę tego, co mi zrobiłeś, nawet w przeszłości. Duchy mają pamięć i ja ci się odplączę.

Później rzuca mi się do gardła i z całej siły zaciska na nim dłonie.

– Nie, Reggie, puść mnie! Puść mnie!

– Zabiję cię!

– NIE!

– Miałeś czelność mnie zabić? Miałeś?

– Tak, zabiłem cię! Ale nie chciałem! Nie...

– Hej, hej, chłopie, obudź się, wszystko dobrze.

Co? Gdzie ja właściwie...? Tak, ta sala... Notes pod materacem. Biorę głęboki oddech, podnoszę się, żeby usiąść. Pielęgniarka o jasnych włosach kładzie mi dłonie na ramionach i patrzy w oczy.

– Co ty powiedziałeś? – pyta.

– N... Nic, to był tylko koszmar.

– Wykrzykiwałeś jakieś imię. Reggie, prawda?

– A...eee, no tak. Ale daj spokój.

– Spotkałeś faceta o takim imieniu? To ważne, musisz mi o tym opowiedzieć.

Może Reggie to jego kumpel. Nie, to się kupy nie trzyma. Ten człowiek tchnie uczciwością i prawością.

– Właściwie to... tak.

– Kiedy? Dawno?

– Nie... wczoraj...

Naprawdę nie mam ochoty mówić nic więcej. Pielęgniarka prostuje się i chyba się nad czymś zastanawia. François nie rusza się, pewnie w osłupienie wprawiło go to, co wykrzykiwałem.

– Choć ze mną – decyduje w końcu blondyn. – Włóż sweter. Usiądziesz na wózku inwalidzkim, który zaraz przyprowadzę.

– D... dlaczego? Dokąd pójdziemy?

Pielęgniarka patrzy na mnie łagodnie.

– Musiałeś niejedno widzieć, skoro jesteś taki nieufny. Nie martw się, nic ci nie zrobimy. Myślę, że powinieneś z kimś porozmawiać.

– Jestem zmęczony. Nie chcę z nikim rozmawiać.

– To nie potrwa długo. No, chodź.

Wkładam sweter i skarpetki, a chłopak pomaga mi usiąść na wózku. Nadal jestem obolały, ale sen przywrócił mi siły. Blondyn pcha wózek. Wyjeżdżamy z sali. François odprowadza nas zaintrygowanym spojrzeniem.

Korytarze pogrążone są w ciemnościach i dochodzą do nas tylko szepty. Pielęgniarz wjeżdża wózkiem do sali, w której ogień przygasa na kominku.

– To jest biblioteka. Ustawię cię przy kominku. Poczekaj chwilę.

Nie mam czasu zaprotestować, bo natychmiast wychodzi.

Wyciągam ręce w stronę żaru i przez chwilę im się przyglądam. Ręce, które zabiły. Czy przyprowadzono mnie tu, aby mnie osądzić?

Po kilku minutach w ciemnej sali pojawia się prostokąt światła. Ktoś wchodzi, trzymając w ręku trójramienny świecznik. Drzwi się zamykają, a ja widzę tylko płomień świec. Trzy płomyki otoczone niewyraźną aureolą wydają się same zbliżać, oświetlając kolejne półki z książkami. Stopniowo w świetle kominka pojawia się postać. Dopiero kiedy znajduje się metr ode mnie, mogę wyraźniej zobaczyć ją w tańczącym blasku świec.

To wysoka dziewczyna o krótkich, dziwnie siwych włosach oraz subtelnej twarzy. Ma bladą cerę, a kiedy się zbliża, dostrzegam popłoch w jej oczach. Drży jej ręka. Stawia lichtarz na ziemi między sobą a mną i siada przodem do mnie.

– A zatem – odzywa się – podobno poznałeś Reggiego.

Nie przyszła tu, żeby mnie osądzać. Po co przyszła? Mówi o Reggie, jakby też miała z nim styczność. W jaki sposób? Kiedy? Wymówiła jego imię z trudnością, a w jej źrenicach płonie nienawiść. Ona też miała kontakt z tym psycholem, nagle jestem tego pewien.

– Taaa.

– Wysokiego typu z czarną brodą?

Potwierdzam.

– I... on nawiedza twoje sny?

Nawiedza? Pewnie zauważyła, że zbladłem, bo lekko nachyliła się ku mnie, jakby chciała mnie uspokoić.

– Opowiedz mi o tym. Mnie możesz.

Waham się, ale ona nie spuszcza ze mnie swoich szarych oczu, płonących żądzą poznania prawdy. Ta dziewczyna mi nie odpuści. A nie należy do osób, które można okłamać.

– Opowiedz – powtarza.

– To było na południe od miasta, na przedmieściach, tuż obok barykady na autos... Ja... ja...

Szare oczy wpatrują się we mnie nieruchomo, jakby chciały wnikać w moją duszę. Dziewczyna nie zachowuje się jak intruz, raczej jak uparta kapłanka. Wzdycham, kładę łokcie na kolanach i opieram głowę na rękach. Ze spuszczonej oczami szepczę:

– Kiedy zobaczyłem krew mojego psa, ja... On go zranił w łapę. To było tuż po tym, jak chciał zrobić krzywdę tej dziewczynie... Nie wiem... Tak jakbym stał się kimś innym i...

– I?

– Przestałem nad sobą panować. Ja nie chciałem, nie chciałem, ale to się po prostu stało. Ja...

Znów widzę krew na dłoniach i wybucham płaczem. Dziewczyna się nie rusza.

– Zabiłeś go? – pyta w końcu.

Sklada ręce, jeszcze bardziej pochyla się w moją stronę.

– Ja nie chciałem. Nie, nie chciałem. Nigdy wcześniej nie zrobiłem niczego złego.

Siedzę i płacę w najlepsze. Co by pomyślał mój ojciec, gdyby się dowiedział, że jego syn został mordercą? Oszalałby z bólu, to pewne! Kiedy w końcu podnoszę głowę, na krześle przede mną nikogo już nie ma. Dziewczyna zniknęła, pozostał tylko lichtarz.

23 LISTOPADA, RANO

Zdaniem Pierre'a żadne niebezpieczeństwo nie grozi już François. Mnie również nie, choć nadal jestem bardzo słaby. Inni, poważniej chorzy, potrzebują miejsca w prowizorycznym szpitalu w Z-Punkcie, a nas przenoszą na zarezerwowane dla chłopców pierwsze piętro w prawym skrzydle, do części przeznaczony dla uchodźców.

Poprosiliśmy z François, żeby nas nie rozdzielać. W normalnych okolicznościach uznałbym go za zbyt gadatliwego, ale teraz wręcz mi to pasuje, bo jego obecność odpędza ponure myśli. Poza tym lepiej się tu orientuje i uczy mnie wszystkiego, co muszę wiedzieć o Z-Punkcie i panującej sytuacji, więc nie muszę zadawać nikomu żadnych pytań. Co więcej, François jest zabawny, zwłaszcza gdy nabija się z samego siebie. Musiał nasłuchiwać się drwin z powodu niskiego wzrostu i znalazł najlepszy sposób obrony: umie śmiać się z siebie, przynajmniej trochę.

W czasie naszych przenosin wśród tych, którzy jako pierwsi wstąpili do Z-Punktu, dochodzi do wielkiego poruszenia. Nie wiemy nic na ten temat, bo miejscowi zazdrośnie strzegą swojej pozycji i o wszystkim dowiadują się przed nowymi, których nazywają uchodźcami. Widzimy, jak z ożywieniem dyskutują na korytarzach i rzucają spojrzenia w stronę parku. François pyta:

– Co się dzieje?

Nikt nie raczy mu odpowiedzieć. Nieświadomi przyczyn zamieszania instalujemy się w naszym nowym miejscu – dawnej klasie zmienionej w sypialnię. Każdy z nas ma żelazne połowe łóżko. Znacznie mniej wygodne niż szpitalne, ale nie to stanowi problem. Najtrudniejsze jest dzielenie „pokoju” z innymi – licznymi innymi.

Przyzwyczałem się do samotności oraz zapachu lasu i gór. Tak mi było dobrze w tej willi górującej nad Die... Nie mogę znieść dźwięków, humorów i zapachów obcych ludzi. Nie chcę widzieć nieszczęścia i żałoby na ich twarzach ani stykać się z uczuciami, od których w głębi duszy za wszelką cenę pragnę uciec. Nienawidzę tego zwierciadła. Kiedy dostrzegam łzy albo słyszę pociągnięcie nosem, mam ochotę wymierzyć komuś policzek.

W każdym razie nie mam zamiaru długo zabawić w tym Z-Punkcie, chociaż François zapewnia mnie, że tylko tu jesteśmy bezpieczni, nie ryzykujemy śmierci z głodu i pragnienia, mamy zapewnioną opiekę, dach nad głową i opierunek. Dla mnie to tylko jeden z etapów. Mam określone zadanie do wykonania i nie pozwolę François osłabić mojego postanowienia. Najważniejsze jest dla mnie odnalezienie Lady Rottweiler przed udaniem się w dalszą drogę do Paryża.

Właśnie skończyliśmy ścielić łóżka i chwilę odpoczywamy. Jeden z uchodźców wraca z parku i wyjaśnia nam przyczynę całego zamieszania. Wojskowi przyjechali w wozach opancerzonych i umieścili na ogrodzeniu płachtę papieru z nowymi zaleceniami.

– Już wcześniej odradzano nam wyprawy poza Z-Punkt, ale teraz jest to zakazane – mówi nasz informator.

– Zabronione?! – wołam.

To istna katastrofa.

– Rabusie na zewnątrz robią się coraz bardziej niebezpieczni – wyjaśnia chłopak. – Wojsko jest bezsilne. Znalezli tylko takie rozwiązanie, żeby przywrócić spokój na ulicach.

Dziwne więzienie, z przestępcami na zewnątrz... To jakiś koszmar! Jedno jest pewne, nie pozwolę się zamknąć, nawet dla własnego bezpieczeństwa.

23 LISTOPADA, POŁUDNIE

Teraz mogę się już poruszać bez fotela na kółkach. Każdy krok sprawia mi ból, ale da się wytrzymać. François musi mnie podtrzymywać, kiedy schodzę albo wchodzę po schodach, żeby dołączyć do wspólnych posiłków na parterze. W południe w jadalni i pod plandeką zawieszoną nad dziedzińcem wszystkie miejsca są już zajęte. Przez kilka chwil bezradnie stoimy z tackami w rękach, aż jeden z funkcyjnych każe nam wyjść na zewnątrz, do parku. A przecież jest naprawdę zimno, leży nawet śnieg, który spadł w ostatnich dniach.

– To obrzydliwe, widziałeś? – oburza się François. – Tylko dla uchodźców nie ma miejsca w ciepłe i pod osłoną!

Sam od dawna nie denerwuję się tego rodzaju niesprawiedliwościami. „Ostatni gaszą światło” – mawiała mama, kiedy wyjaśniała mi sytuację nowych emigrantów, odrzucanych przez tych, którzy wcześniej przyjechali do Marsylii. François to dzieciak bogaczy, pewnie nie jest przyzwyczajony. Wzruszam ramionami dokładnie w chwili, kiedy w drzwiach do kuchni wybucha kłótnia. Jeden z uchodźców gardłuje:

– Jak to nie ma więcej mięsa? A ci tam wewnątrz co mają na talerzach? Sam widziałem przez okno!

– Powinieneś być wdzięczny, że w ogóle masz co jeść, cholerny pasożycie! – rzuca do niego pogardliwie wysoki chłopak.

– Coś ty powiedział? – eksploduje uchodźca. – Pasożycie? Zapłacisz mi za to!

Cios pięścią, kop, chwyt judo i wysoki chłopak leży na ziemi z potarganymi włosami, krzycząc z wściekłości. Czuję, że Adrial ma wielką ochotę przyłączyć się do bójki, ale nigdy więcej nie pozwolę mu się ujawnić. Przeraza mnie przemoc, do której jest zdolny. Muszę go kontrolować.

– Chodźmy stąd – mówię do François.

Nie daje się prosić. Odstawiamy nasze tacki, omijamy miejsce bójki i szybko się oddalamy.

– Nie mam zamiaru długo tu zabawić – cedzę przez zęby, wracając do sypialni.

– A jednak mają trochę racji – odpowiada François. – Powinniśmy być wdzięczni...

– Za co? Za co powinniśmy być wdzięczni? Z jakiego powodu mamy uważać się za szczęśliwców, co? Możesz mi to wyjaśnić? – odpowiadam gwałtownie. Zbyt gwałtownie. Potrząsam głową i na sekundę zamykam oczy.

– Przepraszam... Ale nie mogę żyć w taki sposób po tym wszystkim, czego doświadczyłem. Nie mogę żyć tak, jakby nic się nie stało. Przecież trzeba wszystko zmienić. Wszystko jest teraz nowe. Nie kapujesz tego? Po co wciąż na nowo odtwarzać przemoc i dawne nierówności? Jak można napadać na siebie, gdy doświadczyliśmy niemal końca świata?!

François nic nie odpowiada, patrzy tylko na mnie wielkimi oczami. Oczywiście, że nie może tego zrozumieć. Staram się uspokoić. W końcu jemu nic do tego.

– Poza tym muszę odnaleźć mojego psa. I stawić się na pewnym spotkaniu. Nie mogę tu zostać.

– Ale jak chcesz to zrobić, skoro zakazano wychodzenia z Z-Punktów, a na zewnątrz są wozy opancerzone?

– Mam to gdzieś. Znajdę jakiś sposób.

Teraz dostrzegam przerażenie w oczach François. Wzruszam ramionami.

23 LISTOPADA, POPOŁUDNIE

Przebywanie w Z-Punkcie to tortura. Duszę się w tym miejscu, które rzekomo ma mnie chronić. Na dodatek jeden z chłopaków w sypialni jest totalnie szurnięty. Bez przerwy powtarza, że wszystko, co nam się przytrafiło: epidemia i cała reszta, to wina komety, która 21 października przeleciała tuż koło Ziemi. Najgorsze jest to, że niektórzy go słuchają i mu wierzą. Nigdy wcześniej nie słyszałem takiego steku bzdur.

François nie cieszy się taką wolnością jak ja. Razem z pozostałymi mieszkańcami Z-Punktu uczestniczy w robotach publicznych. Mnie jako rekonwalescenta omija ten obowiązek. W czasie przerwy udaje mi się przekonać kolegę, żeby przeszedł się ze mną po parku, mimo że nieustannie jest mu zimno. Chmury i mgła następują po sobie, ale temperatura ciągle jest niska. W liceum działa ogrzewanie: znaleźli sposób na podgrzewanie wody, która napęlnia kaloryfery, dzięki czemu jest dość przyjemnie. Ale muszę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Park Tête d'Or jest olbrzymi. Rosną w nim różne gatunki egzotycznych roślin, jest tu też ogród botaniczny, duże jezioro, a w samym środku – zoo. Kiedy zbliżamy się do ogrodu zoologicznego, zauważamy chłopaka biegnącego w naszą stronę.

– Stop, nie idźcie dalej! Dziewczyny myją się w jeziorze.

W oczach François widzę iskierkę zainteresowania i bawi mnie to nieco, ale sam nie jestem wart dużo więcej. Wbrew woli staje mi przed oczami obraz wysokiej dziewczyny o szarych oczach, całkiem nagiej, radośnie zanurzającej się w wodzie. Wyobrażam sobie, że się śmieje, choć gdy kilkakrotnie mijałem ją na korytarzach, nigdy nie widziałem jej uśmiechu. Ona nawet mnie nie zauważa. Nie istnieje dla niej.

Ta myśl zaczyna mnie prześladować. Nie istnieję tu dla nikogo poza François. Moje miejsce jest gdzie indziej. Spotkanie z Khronosem się zbliża. Czas się stąd ruszyć. Przed opuszczeniem Lyonu muszę jednak odnaleźć Lady Rottweiler i zrobić jeszcze coś ważnego, dzięki czemu uwolnię mój umysł. Uwolnię moje sny i zduszę koszmary. Jutro, gdy zapadnie noc, zacznę działać.

Muszę obmyślić moje odejście. Po powrocie do budynku liceum daję François do zrozumienia, że chcę teraz pobyć sam. Nie wie dlaczego i błędnie interpretuje moje zachowanie.

– Wiesz, że możesz pójść na Wyspę Wspomnień? – sugeruje. – Niektórzy tam się modlą. Mogę ci też zaproponować cmentarzyk w parku, to tam grzebie się tych, którzy umarli w Z-Punkcie z powodu choroby albo... popełnili samobójstwo. Ale wówczas mógłbyś podejrzeć kąpiące się dziewczyny, a to wzbudziłoby we mnie dużą zazdrość! Brzegi jeziora są zbyt daleko od wyspy, więc nic stamtąd nie zobaczysz. Szkoda, ale to najlepsze miejsce, żeby się odizolować.

François i te jego „najlepsze miejsca”...

Mój kolega kieruje się w stronę budynków, a tymczasem na zewnątrz wychodzi szarooka. Rozmawia z jakimś brunetem, który odchodzi nagle z niezadowoloną miną. Wygląda na to, że zirytował go widok pielęgniarza, który tamtego pamiętnego wieczoru zawiózł mnie do biblioteki. Ja zwracam się w stronę parku i dostrzegam Wyspę Wspomnień. Odrobina samotności dobrze mi zrobi.

Idę powoli, ciesząc się tym skrawkiem natury w środku miasta. Nie jest tu tak pięknie jak w górach, ale jest zielono i spokojnie. Alejki ciągle jeszcze wyglądają na dobrze utrzymane, dzięki czemu można odnieść wrażenie, że nic strasznego się nie wydarzyło. Staram się skupić na dobiegających mnie dziwnych krzykach pawi. Nieświadomie wchodzę do ogrodu zoologicznego. Klatki stoją wzdłuż ścieżki, ale poza pawiami nie ma tu już żadnych zwierząt. Chciałbym znów zobaczyć żyrafę o długich rzęsach. Czuję obrzydzenie na myśl o ponurym grillu Reggiego.

Pod jeziorem biegnie tunel. Wchodzę do niego. Po jakiejś minucie marszu w mroku docieram na wyspę i mam wrażenie, że nagle znalazłem się w innym świecie. Całą przestrzeń zajmuje imponujący pomnik poświęcony zmarłym. Rzeźba przedstawia mężczyzn niosących ciężar w kształcie trumny. To jest trumna i na oko waży jakieś trzy tony. Tak, jest ciężka, w środku znajduje się ktoś martwy. Widzę go. Siadam na ziemi, opierając się o cokół.

Zamykam oczy.

Kładę dłoń na piersi, na zdjęciu mojej rodziny... i przypominam sobie o liście od ojca. Jak mogłem zapomnieć? Skoro przypomniałem sobie o nim właśnie teraz, to znaczy, że czas go otworzyć i przeczytać.

Wyjmuję kopertę z kieszeni i rozrywam ją ze wzruszeniem.

To kartka z zeszytu w kratkę. Tata napisał na niej kilka słów po francusku. Wiedział, że źle czytam po arabsku. Musiał bardzo się skupić, by pokonać trudności, jakie sprawiało mu pisanie w obcym języku. Widać to po niewielkiej liczbie błędów ortograficznych – a przecież nie chodził do szkoły we Francji.

Mój synu, mój Yannisie,

świat się wali. Czy na to zasłużyliśmy? W każdym razie nie Ty. Nie Wy, młodzi. Wy na to nie zasługujecie. To jest próba i Bóg jeden wie, dlaczego na Was ją zesłał. Przyjmij ją i porzuć wszystko poza naszą miłością. Nie przejmuj się tym, co może Cię powstrzymać. Idź swoją drogą, jeśli wyda Ci się właściwa. Ale bądź dobry. Szanuj życie i śmierć. I nie zapominaj nas. Nie zapomnij, że Cię kochamy, nawet w krainie zmarłych. A przede wszystkim nie zapominaj o tym, kim jesteś. Jesteś Yannisem, człowiekiem. Wspaniałym człowiekiem.

Twój ojciec, który Cię kocha i zawsze będzie kochał

– Hej, wszystko dobrze?

Po moich policzkach płyną łzy. Patrzy na mnie jakiś chłopak. To ten brunet, który przed chwilą rozmawiał z szarooką. Co on tu robi? Składam list i szybko wsuwam do kieszeni.

Nastolatek patrzy przed siebie, w stronę brzegu, pewnie po to, żebym nie czuł się zawstydzony.

– Nazywam się Marco, a ty?

Z trudem przełykam ślinę.

– Yannis.

Siada obok.

– OK, Yannis. Mam wrażenie, że w Z-Punkcie nie jest ci łatwo?

Wzruszam ramionami.

– Co ci do tego? Zresztą, muszę się stąd zmywać. Dokładnie za miesiąc mam spotkanie w Paryżu – mówię.

Prostuje się i szeroko otwiera oczy ze zdumienia.

– Spotkanie...? Czy to nie...? Nie, to niemożliwe...

– Co?

– Czekasz na spotkanie pod najstarszym zegarem Paryża?

– Ty... Ty też jesteś Ekspertem WOT?

– Niewiarygodne! Kiedy cię zobaczyłem, natychmiast wyczułem, że mamy ze sobą coś wspólnego – odpowiada Marco z uśmiechem. – I dlatego poszedłem za tobą, ale nigdy bym nie pomyślał o grze. Ja jestem Long John Silver, do usług. A ty?

Ściskam dłoń, którą do mnie wyciągnął.

– Adrial. Awatar zdolny do najlepszego i do najgorszego.

Marco uśmiecha się i jednocześnie marszczy brwi. Dobrze widzę, że jest zaintrygowany.

Próbuję więc:

– Czy... Czy znasz może przez przypadek innego Eksperta z Lyonu? Chodzi o Lady Rottweiler.

– Lady? Ależ tak!

Zna Lady Rottweiler! Patrzę na niego pytającym wzrokiem, żeby dowiedzieć się więcej.

– Nie ciesz się za bardzo – mówi. – Mało prawdopodobne, żeby udało ci się porozmawiać z nią o Khronosie i WOT. Opuść.

Czy on chce powiedzieć, że Lady Rottweiler nie żyje?

– A poza tym co myślisz o wiadomości od Khronosa? – pyta Marco. – O powrocie do przeszłości? On oszalał czy jest oszustem?

– Tak czy owak, chcę stawić się na miejsce spotkania, żeby mieć pewność, że niczego nie straciłem ani niczemu nie przeszkodziłem. Przedtem muszę jednak załatwić pewną pilną sprawę.

Tu milknę. Ten chłopak wzbudza moje zaufanie, ale wolę pozostać ostrożny.

– Ach, tak? Pilną sprawę?

– Tak, uporam się z tym tej nocy, a potem spadam.

– Przemyśl to dobrze, Yannis, nie rób głupstw. Opuszczenie Z-Punktu jest bardziej niebezpieczne, niż ci się wydaje.

– Ilu tych twoich dorosłych jest w Lyonie? Kilkudziesięciu, nie więcej, prawda? To mnie nie przeraża. Chodź ze mną do Paryża. Chodź na spotkanie z Khronosem. Jeśli musimy odbyć podróż w czasie, żeby uniknąć katastrofy, im będzie nas więcej, tym lepiej.

Marco znów obrzuca mnie niepewnym spojrzeniem.

– Słuchaj, ja... obiecuję zastanowić nad tym. Informuj mnie na temat swojego wyjazdu.

OK? Nigdy nie wiadomo.

– A zatem bądź gotów.

25 LISTOPADA

Cały wczorajszy dzień spędziłem na planowaniu ucieczki. Przede wszystkim nikt nie może zauważyć, że mnie nie ma. Jestem pewien, że zorientują się bardzo późno, a wtedy będę już daleko. Nocą da się to zrobić. Poza tym muszę się dowiedzieć, gdzie na zewnątrz stacjonuje wojsko, żeby móc ominąć żołnierzy. Uznałem, że dobrze będzie pogadać, niby od niechcienia, z kilkoma miejscowymi. Postanowiłem ruszyć do Paryża, gdy tylko pochowam ciało Reggiego. Zastanawiam się tylko nad jednym: czy wtajemniczyć w moje zamiary François? Trudno mi go opuścić, ale z drugiej strony on nieustannie powtarza, że nie ma lepszego miejsca niż Z-Punkt. Nie śmiem nawet wyobrazić go sobie w sytuacji całkowitej wolności. Bez dwóch zdań by spanikował. A poza tym po co miałby iść do Paryża? Nie ma przecież nic wspólnego z WOT.

Natomiast Marco jest Ekspertem. Za wszelką cenę muszę go przekonać, żeby poszedł ze mną. Przez całe rano go poszukiwałem. Czuję się znacznie lepiej, ale staram się tego nie okazywać, żeby uniknąć wcielenia do brygady robotniczej, co przeszkadzałoby mi skupić się na ucieczce. Z powodu ogromnego napływu nowych uchodźców, których armia zbiera z ulic Lyonu i sąsiednich miejscowości, coraz trudniej znaleźć kogokolwiek w budynku czy w parku.

Na wolnej przestrzeni pojawiły się nowe namioty. Uchodźcy muszą kolejno przez nie przejść i zarejestrować się u nastolatka ubranego w żółtą kamizelkę. To oznaka funkcji „służba publiczna”. Jeden namiot służy jako punkt pobierania krwi. Nagle w sypialni zjawia się Pierre, żeby nas poinformować, że wszyscy musimy się tam udać z powodów higienicznych i medycznych, jeśli nie mamy swoich książeczek zdrowia. Co oni sobie wyobrażają? Że grzecznie zabraliśmy z domu swoje książeczki zdrowia w chwili, kiedy nasze życie wisiało na włosku?! Oczywiście nikt z nas nie ma tego dokumentu. Nie mogę się powstrzymać przed mruknięciem pod nosem:

- Boją się, że uchodźcy przywleką choroby czy co?
- To jest bardziej skomplikowane...

Odwracam się. Obok stoi Marco i tak jak ja obserwuje całe to zamieszanie. Ma bardziej ponurą minę niż dwa dni temu. Wydaje mi się wręcz posępny. Co mu się stało?

– Miejscowi również oddają krew, tyle że wewnątrz budynku – oświadcza poważnym tonem. Tutejsi studenci medycyny odkryli, że to szczepionka przeciwko zapaleniu opon mózgowych, MeninB-Par, którą podawano nam kilka lat temu, uodporniła nas na filowirusa U4.

Przypominam sobie, że widziałem w mojej książeczce zdrowia nazwę tej szczepionki. Zapamiętuję tę informację jak wielki skarb. Będzie dla mnie bardzo cenna podczas spotkania 24 grudnia. Dzięki temu, jeśli Khronosowi rzeczywiście uda się przenieść nas w czasie, będziemy znali sposób na uniknięcie katastrofy – wszystkim podamy szczepionkę! Coś jednak mnie zastanawia:

- Po co im ta wiedza? – pytam.

Marco wyjaśnia:

– Władze medyczne zaszczepią dorosłych, którzy przeżyli, a wtedy nie będą musieli już nosić kombinezonów ochronnych. Będzie można też zaszczepić nastolatków, zdrowych nosicieli filowirusa, którzy mogliby nim zarażać. Rozumiesz?

- Nie jestem przecież debilem.

– Przepraszam. Wiem, co myślisz. Idiotycznie jest się tak mobilizować, skoro sprawa dotyczy tylko dorosłych. Całkowicie się z tobą zgadzam! Działamy według rozkazów wojska. Traktują nas instrumentalnie!

- A dorośli zdrowi nosiciele?

– Naprawdę wierzysz w to, że tacy są? Filowirus U4 nie atakuje połowicznie. Zabija, to wszystko. Natomiast naszym problemem jest przeżycie w tym nowym świecie. Cała reszta to strata czasu.

Co przeżył, że stał się taki twardy? Nie śmiem nawet przypominać wezwania Khronosa, które powinno dać mu nadzieję.

– Cieszę się, że cię widzę – mówi po kilku sekundach. – Nie powiedziałem ci jeszcze, że zostałem wybrany na reprezentanta uchodźców. Powinieneś wiedzieć, że dzisiaj będziesz musiał się przeprowadzić, podobnie jak wszyscy twoi koledzy z sypialni. Szacuje się, że zjawi się tu do pięciu tysięcy nowych uchodźców, niektórzy w tragicznym stanie fizycznym i psychicznym. Oni zajmą budynek liceum, żeby można było odpowiednio się nimi zaopiekować. W związku z tym wy zostaniecie przeniesieni do pobliskich kamienic.

– Tylko my? A miejscowi nie?

Marco wlepia we mnie ponure oczy. Wyczytuję w nich bunt. Nie ma śmiałości ujawnić swoich myśli, ale wyczuwam w nim życzliwość. Zniżam głos.

– Dobrze, ustąpię miejsca. Zwolnię raczej dwa niż jedno. Mam coś do załatwienia na zewnątrz, a później się zmywam. Tej nocy.

– Już odchodzisz?

– Chodź ze mną. Musimy stawić się na spotkaniu z Khronosem.

Nie odpowiada. Czy się waha? Nalegam, żeby go przekonać:

– Jesteśmy potrzebni w Paryżu. Tu nie jesteśmy wolni. Chodź ze mną!

Wciąż nie odpowiada. Odwracam się ze złością, ale łapie mnie za rękę.

– Yannis, a jeśli Khronos się nie zjawi? A nawet jeśli się zjawi... Naprawdę wierzysz, że potrafi podróżować w czasie? Może lepiej zostać tutaj i zrobić, ile się da? A poza tym na zewnątrz jest niebezpiecznie. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo niebezpiecznie.

– To ty nie jesteś w stanie sobie wyobrazić. Znam to cholerne „na zewnątrz” sto razy lepiej od ciebie. Tu jest jeszcze gorzej, a ty nie chcesz tego zobaczyć!

Uwalniam się i odchodzę. Jestem wzburzony i rozszłoszczony. Bardzo chciałbym tym razem mieć towarzysza podróży. Nie ma przy mnie nawet Happy’ego. A Lady Rottweiler? Być może nie żyje. Nie mam jednak ochoty pytać Marca o szczegóły. Już w głębi duszy w to nie wierzę. Cuda nie zdarzają się na tym świecie. Szloch wzbiera mi w gardle.

Przez cały posiłek czuję na sobie wzrok Marca. Czasem jada z nami, uchodźcami. Mimo że czeka na niego miejsce w ciepłe. Wytrzymuję jego spojrzenie. Traktuję to jako wyzwanie i próbę przekonania go, by przyłączył się do mnie. Marco za każdym razem w końcu pochyła głowę.

Ogarnia mnie coraz większe zniecierpliwienie. Z największym wysiłkiem ukrywam to przed François, który nie przestaje gadać, żeby zapomnieć o zdenerwowaniu wywołanym przenosinami do kamienicy naprzeciw liceum.

Po kolacji jest czas na wieczorne rozrywki indywidualnie lub w grupie. Organizowane są nocne pogawędki, opowiada się historie, gra muzykę, często wokół ogniska. Wszystko to sprawia, że Z-Punkt zaczyna przypominać ponury obóz skautów. Okruchy pogrzebanego szczęścia i isierki utraconej przeszłości ściskają gardła i napełniają oczy łzami. Cóż, uznaję to za zbyt melancholijne. Muszę czym prędzej stąd spadać.

Kiedy nadchodzi godzina snu, idę do mieszkania, do którego nas przeniesiono, i robię to, co inni. Kładę się na materacu i owijam śpiworem obok François. Wsłuchuję się w jego oddech, który stopniowo robi się głęboki i regularny, podobnie jak oddechy dwóch innych chłopców z pokoju. Szyderczy śmiech Reggiego znów rozbrzmiewa w mojej głowie. Nie mogę czekać ani minuty dłużej. Wstaję.

Zakładam plecak, rzucam ostatnie spojrzenie na François, bezgłośnie mówię do niego: „Żegnaj” i „Wybacz”, a potem możliwie najciszej otwieram drzwi. Zapalam latarkę i jak kot przechodzę przez korytarz. Znalazłszy się na zewnątrz, gaszę światło. Barykady z drewnianych i metalowych mebli oraz innych niezidentyfikowanych obiektów zamykają ulicę, która oddziela mój budynek od liceum.

NOC Z 25 NA 26 LISTOPADA

Na ulicy panuje ciemność. Gmach liceum wydaje mi się żywą, ponurą bryłą. Czy rzuci się na mnie, żeby uniemożliwić mi ucieczkę? Delikatne światła pojawiają się i znikają w jego oknach jak oczy kota. Niektórzy nie śpią... Być może szarooka dziewczyna? Ale dlaczego o niej myślę? Zapewne więcej już jej nie spotkam. Muszę podążać swoją drogą, nie tracąc z horyzontu mojego celu, nawet jeśli wydaje się on niedorzeczny komuś takiemu jak Marco.

Wstrząsa mną dreszcz.

Słyszę głosy tuż obok. Przywieram do muru kamienicy. W mroku na barykadzie dostrzegam zarys sylwetek, jak w chińskim teatrze cieni. Wydaje mi się, że księżyc, który wychyla się spoza barykady, puszcza do mnie oko, jakby chciał dodać mi otuchy.

– Bardzo ładnie z ich strony, że powierzyli nam wartę – burczy jedna z postaci, wypuszczając z ust kłęby pary. – Ale zabrali nam broń. Po co więc marzną nam tyłki?

– Służymy jako wartownicy. Gdy zobaczymy rabusia próbującego wejść do Z-Punktu, gwizdźmy – to wystarczy, żeby zaalarmować żołnierzy.

– Gadanie. Oni są uzbrojeni. A my ryzykujemy życiem.

– Żołnierze patrolują miasto, nie martw się. Wolałbyś czyścić kible? Ja uważam, że tu jest lepiej. Dwie godziny co noc, wielka mi rzecz.

Na nieszczęście dla mnie stráže są dobrze rozstawione. Nie sposób niezauważenie przekroczyć barykady. Wracam do budynku, z którego wyszedłem. Drugie wyjście prowadzi na uliczkę z innej strony. Ona też jest strzeżona – i jeszcze węższa. Zmartwiony idę w kierunku barykady, kiedy nagle uśmiecha się do mnie szczęście. Chłopcy stojący na straży wymieniają się papierosami i podają sobie ogień pod schodami prowadzącymi do gmachu liceum. Muszą osłonić się od wiatru, więc odwracają się do mnie plecami. Rozpędzam się i kilkoma skokami pokonuję zaporę. Zsuwam się na drugą stronę. Nie widzieli mnie.

Pędzę ile sił w nogach. Przemykam pod ścianami, nasłuchując najcichszych dźwięków. To miasto jest pocięte bocznymi uliczkami, w których łatwo się przycziąć w razie potrzeby. Zastanawiam się, czy w kamienicach ukrywają się jeszcze jakieś nastolatki. Z pewnością nie wszyscy są rabusiami, nawet jeśli nie chcą wstąpić do Z-Punktu. Wyobrażam sobie miasto niejako nawiedzone przez tych samotnych mieszkańców, bawiących się w chowanego z wojskowymi. Niech Najwyższy-Nie-Wiem-Już-Kto nad nimi czuwa. Niech watahy psów w uśpionym mieście zostawią ich w spokoju. I niech pomogą mi stać się tej nocy takim cieniem jak one.

Patrzę na wskazówkę kompasu i kieruję się na południe. Im bardziej zbliżam się do granic miasta i wartowni, tym jestem ostrożniejszy. W dzielnicach o rzadszej zabudowie zmieniam taktykę. Przechodzę przez ogrodzenia oraz żywopłoty i przemykam ogrodami, żeby uniknąć wyeksponowanych ulic. Czasem tracę czas, bo nie znam najkrótszej drogi. W końcu docieram na wysokość obwodnicy i tego zjazdu, przy którym po drugiej stronie zapory zostawiłem samochód. Z daleka rozpoznaję odcinającą się od nocnego nieba sylwetkę człowieka muchy, czuwającego nieruchomo, w takiej samej pozycji jak poprzednio. Wygląda, jakby pilnował kolonii mrówek. Ciarki przechodzą mi po plecach. Gdybym tak miał pierścień pozwalający stać się niewidzialnym... Ale nie jestem Frodem.

Dzięki wieży ciśnień, która służy mi jako punkt odniesienia, odnajduję dom z drewnianą szopą na narzędzia. Nie odwróciłem wzroku wystarczająco szybko: gwóźdź zabrudzony rdzą i krwią nadal tkwi w ścianie. Ostry ból w lewym boku przypomina mi o zranieniu, jakby ktoś wymierzał mi karę. Muszę oprzeć się o ścianę, jeśli nie chcę tu zemdleć. Wyrównuję oddech

i mgła przestaje przesłaniać mi obraz. Szum w uszach cichnie. Powoli się prostuję. Robię kilka kroków w ciemności i moja czołówka oświetla rów, do którego zaciągnąłem Reggiego. Dół rozciąga się przede mną. Dopiero teraz dociera do mnie, że ten wykop miał pierwotnie stać się basenem.

Na kilka sekund zamykam oczy, że zebrać się na odwagę. Później otwieram je i kieruję wzrok na ziemię. Ogarniają mnie mdłości, przyciskam dłonie do ust.

– To twoja wina – szepcze duch Reggiego. – Moje ciało gnije. Nie przestałem nawiedzać świata, a przede wszystkim ciebie.

– Zamknij się!

Widzę tylko jeden sposób, żeby nie oszaleć. Z wrzaskiem rzucam się ku łopacie, nadal wiszącej na ścianie pod okapem. Najpierw wymachuję nią w powietrzu, żeby odgonić ducha Reggiego, później atakuję ziemię. Jest zamarznięta, ale mnie wypełnia siła Adriała. Awatar musi dokończyć to, co zaczął.

– Przypomnij sobie Wojnę Saperów z WOT, ziemię i pochowanych.

Wrzucam do rowu łopaty zamarzniętego błota. W miarę jak trup Reggiego znika, uspokajam się.

Po wrzuceniu ostatniej łopaty wykończony, ubrudzony ziemią aż po włosy, upadam, przyciskając łopatę do piersi. Leżę i kontempluję gwiazdozbiory. Gwiazdy przysięgają, że Reggie więcej już się nie pojawi. Tym razem w końcu się do niego uwolniłem. O dziwo, nie czuję ulgi. Mimo że działałem w obronie własnej, zabiłem człowieka i ten czyn już zawsze będzie obciążać moje sumienie. Nie potrzebuję ducha, żeby mi o tym przypominał. Jestem odpowiedzialny za swoje czyny, a od tego nie uwolnię się za pomocą łopaty. Czy to właśnie znaczy być dorosłym? Cholera jasna, samemu nie sposób sobie z tym poradzić. Tato, mamu dlaczego mnie porzuciliście? Dlaczego...?

Przyciskam brudne dłonie do twarzy, żeby powstrzymać gwałtowne łkanie. I wtedy coś wilgotnego, ciepłego i szorstkiego liże mnie po policzku.

– Co to...? Happy!

To Happy! Wstaję, przytulam go i nie mogę już dłużej powstrzymywać płaczu. Moje łzy spływają na jego sierść, a jednocześnie śmieje się z ulgą. Happy żyje!

– Cuchniesz, piesku, gdzieś ty się włóczył, co? Ale najważniejsze, że żyjesz, żyjesz! Nie mogę w to uwierzyć, a przecież jesteś tu, jesteś!

– Ja też tu jestem, ale to pewnie nie wzbudzi tyłu emocji.

Metr ode mnie stoi Marco z założonymi rękami. Ale co on tu robi?

– Tak – przyznaje. – Śledziłem cię.

Siada na ziemi obok mnie i gładzi Happy'ego po sierści. Pies się nie opiera.

– Widziałem, jak zakopujesz Reggiego. Chciałem ci pomóc, ale czułem, że to osobista sprawa, którą musisz sam załatwić.

Pośród mroźnej nocy zapada ciężka cisza.

– Kiedy cię obserwowałem, ukryty za domem, nadszedł ten pies. Przytrzymałem go do czasu, aż skończysz. Pieszczotami można go skłonić do wszystkiego. Od razu wiedziałem, że to twój, z powodu łapy...

– Kurczę, to prawda, jego łapa...

– Taaa, jest w cholernie złym stanie. To cud, że przeżył. Ale jeszcze jeden dzień i nie daję mu dużych szans.

Patrzy mi prosto w oczy.

– W Z-Punkcie mamy wszystko, żeby go wyleczyć. A poza tym znam osobę, która ma o tym pojęcie, a przede wszystkim może załatwić leki. To Stéphane.

Kilkakrotnie słyszałem o tym chłopaku, ale nigdy go nie widziałem.

– Jeśli nie wrócisz do Z-Punktu, żeby go wyleczyć, on umrze. Rozumiesz.

Marco rzuca okiem na mój plecak, a ja pytam:

– Po co mnie śledziłeś...?

Może chciał iść ze mną na spotkanie z Khronosem? Jednak on wzrusza ramionami i nie pozwala mi dokończyć zdania:

– Naprawdę nie wiem. W zasadzie to martwiłem się o ciebie. Popatrz, po raz pierwszy widzę, żebyś się uśmiechał.

W rzeczywistości śmieję się z siebie samego. Jak mogłem myśleć, że zechce mi towarzyszyć do Paryża? Zawsze jestem taki naiwny. Marco ma jednak rację, jeśli chodzi o Happy'ego. Z zalem postanawiam wrócić do tego więzienia, gdzie istnieje mniejsze ryzyko śmierci niż gdzie indziej, ale są również mniejsze szanse na pozostanie wolnym.

Happy nie zdoła pokonać tej drogi z ranną łapą, idziemy więc do opuszczonego domu poszukać prześcieradeł. Znajdujemy je w szafie. Na kilku złożonych prześcieradłach kładziemy mojego psa. Każdy z nas chwytą dwa narożniki i w ten sposób otrzymujemy coś na kształt noszy. Głaskaniem udaje mi się na tyle uspokoić Happy'ego, żeby się za bardzo nie kręcił. Biedak wydaje się wykończony i chyba jest zadowolony, że niesiemy go w ciepłe, szczelnie okrytego kołdrą.

Po drodze Marco wyjaśnia mi, że będzie trzeba gdzieś ukryć Happy'ego. W Z-Punkcie nie wolno trzymać zwierząt, a zwłaszcza psów, ze względu na ryzyko przywleczenia wścieklizny.

– Znam odpowiednie miejsce, niewielką szopę na obrzeżach zoo. Tam pozostanie do czasu, aż dojdzie do siebie.

Po dotarciu do centrum milkniemy. Happy wyczuwa obecność innych ludzi i staje się nerwowy. Coraz trudniej nam w ciszy pokonywać drogę. Jesteśmy najwyżej sto metrów od Z-Punktu, kiedy mój pies ze skowytem zeskakuje z prześcieradła.

– Trudno – mówię. – Zostało już tylko kilka kroków. Hej, Marco, co ci się stało? Grom cię raził czy co?

Zapalam czołówkę, nie zważając na środki ostrożności. Marco coś mi pokazuje. Z drugiego końca ciemnej ulicy człowiek mucha obserwuje nas okrągłymi oczami.

Celuje do nas z broni przypominającej wąż, jakiego strażacy używają do gaszenia pożarów.

– To miotacz ognia – szepcze Marco drżącym głosem. – Widziałem... Stéphane i ja wczoraj widzieliśmy na ulicy zwęglone ciała nastolatków...

Potrzebuję kilku ułamków sekundy, żeby ta informacja dotarła do mojego mózgu. Ten facet gotów jest użyć swojej broni, żeby nas spalić, tak jak tamtych nastolatków.

Marco podnosi ręce do góry na znak, że jesteśmy gotowi współpracować, i zwraca się do osobnika, który tylko budową ciała przypomina człowieka.

– Nie jesteśmy szabrownikami. Mieszkamy w Z-Punkcie Tête d'Or. Właśnie tam wracaliśmy.

Happy warczy, odsłaniając dziąsła.

– Przytrzymaj psa – szepcze spięty Marco.

Mucha robi krok w naszą stronę. Jest już za późno. Happy rzuca się na niego, żeby mnie obronić.

– Nie! – krzyczy Marco.

Biegnę, żeby przytrzymać psa. Marco znów krzyczy, tymczasem żołnierz zdążył już wycelować we mnie miotacz ognia. Happy zatapia kły w jego łydce, ale nie słyhać okrzyku

bólu, jakby postać rzeczywiście nie była ludzką istotą. Jednocześnie z węża wystrzeliwiają płomień i słyszę odgłos strzału. Mucha się chwieje. Happy znów rzuca się w jego stronę. Płomień gaśnie, a wąż upada na ziemię razem ze strażnikiem. Powietrze przez sekundę drży od wystrzału. Happy szceka jak opętany, ale najbardziej przeraża mnie coś innego. Człowiek mucha wcale się nie rusza, leży na ziemi w dziwacznej pozycji, z jedną nogą podkurzoną pod siebie. Pozostaje nieruchomy, podczas gdy Happy w najlepsze ujada i skacze wokół niego. Wreszcie odwracam się do Marca.

– O, cholera...

Mój towarzysz nadal stoi ze wzrokiem wbitym w jedno miejsce, ale tym razem w jego oczach dostrzegam przerażenie. W zaciśniętych kurczowo dłoniach trzyma jeszcze dymiący pistolet, jak policjant z serialu telewizyjnego... przed tym wszystkim. Tyle że przedtem to nie było naprawdę. Cholera jasna...

– Strzeliłem dwa razy – mamrocze Marco lodowatym, mechanicznym głosem. Para, która wylatuje z jego ust, miesza się z dymem z jego pistoletu. – Dwa razy, dla pewności. Strzeliłem dwa razy. Nie wiedziałem, że pocisk przebije jego kombinezon.

Nagle przychodzi mi do głowy szalona myśl: może żołnierz jest tylko w stanie szoku, może...

Ostrożnie pochylam się nad ciałem. Oczy muchy dziwacznie rozbiegły się w dwie strony. Pośrodku maski widnieje dziura. Cieknie krew. Obok głowy, na asfalcie, tworzy się kałuża. Jest coraz większa. Marco naprawdę dobrze wycelował, a moje serce wypełnia ogromny smutek.

Odwracam się do niego i delikatnie odbieram mu broń. Po policzkach cieką mi łzy, ale nie szlocham. Mam już dość wszystkich tych zmarłych i przemocy.

– Wszystko będzie dobrze, Marco – mówię łagodnie. – Gdyby nie ty, pewnie zostałbym spalony, więc...

– Nie ruszajcie się!

Dwóch chłopków w żółtych kamizelkach pojawia się nagle za ciałem mężczyzny. To strażnicy pełniący wartę na barykadzie Z-Punktu. Przyciągnęły ich odgłosy strzałów. Wiem, że nie są uzbrojeni, ale czy doniosą na nas wojskowym? Przygotowuję się do obrony, kiedy jednym głosem wołają:

– Marco! Co ty tu robisz?

Marco potrzebuje chwili, żeby dojść do siebie. W końcu odpowiada:

– Ja... Pomóżcie nam... Pomóżcie nam wrócić do Z-Punktu. I proszę, nie mówcie im, że... zabiłem jednego z nich... Ja... My... To była obrona konieczna. Rozumiecie? Proszę was. Nie mówcie im.

Strażnicy najwidoczniej czują się niezręcznie. Starają się ocenić sytuację.

– Cholera – mamrocze jeden z nich na widok miotacza ognia. – OK, Marco, ale trzeba działać szybko. Twoje wystrzały narobiły hałasu. Czym prędzej wracajcie do obozu. Powiemy, że nadbiegliśmy za późno i zobaczyliśmy tylko trupa. I... Przede wszystkim zabierz swoją broń. Niezłe ryzykowałeś. Powinieneś oddać ją wojskowym już dawno temu. Jak najszybciej się jej pozbądź.

– Dzięki chłopaki. Naprawdę, odwdzięczymy się wam za to.

– Zwiewajcie do obozu, szybko! Jeśli was zobaczą, nie będziemy już mogli wam pomóc.

Nie ociągamy się dłużej. Również im dziękuję i uciekamy. Happy kuśtyka, ale robi, co może, żeby dotrzeć nam kroku.

Przełazimy przez barykady pilnowane przez kumpli Marca, nie przejmując się, że zostaniemy zauważeni. Wiemy od nich, że wozy opancerzone nadal są w północnej części miasta, a patrole na południe od Z-Punktu ograniczają się do dwóch czy trzech pojedynczych

żołnierzy, takich jak ten, którego zabił Marco. Pewnie teraz ruszyli w stronę tej przekłętej uliczki, skąd dziesięć minut wcześniej dobiegły ich odgłosy wystrzałów. Teren wokół liceum powinien być wolny. Widzę, że Marco nadal jest w szoku, choć wystarczająco przytomny, żeby poprowadzić mnie przez park do budynku, o którym mi mówił.

– Cholera, zamknięty na klucz – klnie przed drzwiami. – Słuchaj, ukryjmy Happy’ego w zagrodzie żyraf. Jutro z łatwością zdobędę klucz, znam wszystkich w zarządzie. Powiem im, że chcę wykorzystać ten budynek jako magazyn. Jutro coś wymyślę.

Żyrafiarnia jest otwarta, bo zostało w niej tylko jedno zwierzę. Przenosimy tam Happy’ego i go ukrywamy. Otulam go kołdrą i zdejmuję but.

– Co ty wyprawiasz? – niecierpliwi się Marco.

– Daję Happy’emu jeden z moich butów. Mój zapach go uspokoi i nie będzie próbował wyjść, żeby mnie odszukać. Poza tym wszystko mu wytłumaczę.

Tylko połowicznie wierzę w skutek moich działań, ale szepczę psu do ucha, że nie wolno mu się ruszać z kryjówki i że szybko do niego wrócę. Wydaje się tak osłabiony, że nie sędzę, by wiele z tego zrozumiał. Następnie zamykamy za sobą drewniane drzwi. Nie mamy klucza, więc każdy może tam wejść, ale Happy nie będzie w stanie sam się wydostać. Mam nadzieję, że zbytnio nie zmarznie...

Chciałbym natychmiast zająć się jego leczeniem, ale to niemożliwe. Musimy z Markiem czym prędzej wrócić do budynków.

Wykończony i nadal w szoku docieram do mieszkania, które miałem opuścić na dobre. François śpi spokojnie, jakby tej nocy nic się nie wydarzyło.

26 LISTOPADA

– Chciałeś mnie opuścić, tak? Cholera, Yannis, myślałem, że jesteśmy kumplami. Jak mogłeś mi to zrobić?

François siedzi po turecku na pościeli. Najwidoczniej czekał, aż się obudzę. Musiałem długo spać, mimo niespokojnych snów, ponieważ światło wypełnia sypialnię.

– Nasi współlokatorzy już wstali, bo mają dzisiaj dyżur w kuchni. Ja dziś rano nie mam żadnych obowiązków, poza jednym, bardzo osobistym: otrzymać wyjaśnienia z twojej strony. No więc?

Dochodzę do siebie i pierwsze, o czym myślę, to Happy. Chcę szybko wstać, ale François ze zdecydowanym wyrazem twarzy dalej robi mi wyrzuty. Orientuję się też, że cały jestem ubrudzony ziemią, a mój plecak ze wszystkim rzeczami w środku leży na podłodze.

– Złapali cię, co? Musiałeś wrócić, ale chciałeś odejść, prawda? Dlaczego nic mi nie powiedzialesz?

– Ależ François, dobrze wiem, że nie miałeś najmniejszej ochoty stąd uciekać.

– Co ty możesz o tym wiedzieć, do jasnej cholery? Nie przyszło ci do głowy, że mnie też wkurza słuchanie rozkazów i to, że przydzielają mi najbrudniejszą robotę? Być może na zewnątrz jest jeszcze gorzej, ale przynajmniej...

– Przynajmniej co?

– Posłuchaj, Yannis. Dla mnie liczy się tylko to, żeby nie być samemu, a ty... Ty jesteś moim jedynym przyjacielem.

Ja jestem czyimś jedynym przyjacielem.

– Obiecuj mi, że nie zostawisz mnie tu samego.

Przez chwilę się waham, po czym mówię:

– A zatem przygotuj się do drogi. Wyruszam do Paryża. Jak tylko wyleczę swojego psa. Możesz iść ze mną, jeśli chcesz i wszystkiego nie sknocisz. Obiecujesz?

– Twojego psa?

– Taaa. Chodź, muszę do niego iść, to pilne. Ale bądź ostrożny i nikomu nic nie mów.

– Obiecuję! Krzyż z drewna, krzyż z żelaza, jeśli skłamałem, niech mnie za...

– Daj spokój, przecież już mamy zarazę.

Szybko się myję i pędzę na dwór, François idzie za mną.

– Gdzie on jest?

Dotarliśmy z François do żyrafiarni, ale tam nie ma ani śladu Happy'ego. Nie ma też kołdry ani prześcieradeł. Został tylko porzucony na ziemi but. Przepenia mnie niepokój. Później wpada mi do głowy pewna myśl. Prowadzę kolegę do budynku, który poprzedniej nocy był zamknięty. Pawilon stoi obok baru, takiego jak ten w parku Longchamp w Marsylii, gdzie mama czasem kupowała mi colę. Biały budynek z niebieskimi okiennicami i kratami był kiedyś siedzibą policji, a później częściowo spłonął. Idziemy przez przedsionek, zbliżamy się do wejścia, naciskam klamkę. Nie stawia oporu. Wchodzimy do kuchni skąpanej w porannym słońcu.

Widzę Happy'ego – leży na kołdrze ułożonej na słomie. Ma obandażowaną łapę. Wydaje mi się, że śpi. Marco i szarooka dziewczyna siedzą obok niego na poduszkach z kanapy. Skąd ona się tu wzięła?

– A gdzie twój kumpel Stéphane? – pytam Marca.

Dziewczyna kieruje na mnie ostre spojrzenia, a Marco parska śmiechem i wskazuje swoją towarzyszkę.

– Stéphane to ona.

Nie mogę otrząsnąć się ze zdumienia. Ta dziewczyna nosi męskie imię!

– Twój pies dostał narkozę – wyjaśnia Stéphane. – Hej, zamknij szybko drzwi – rzuca do François.

Ten się czerwieni i pospiesznie przeprosza. Marco kontynuuje wyjaśnienia, głaszcząc Happy'ego.

– Obudziłem się wcześniej. Powiedzmy raczej, że w ogóle nie udało mi się zasnąć.

Z samego rana poszedłem więc do Stéphane i wszystko jej wyjaśniłem. Gdy tylko zobaczyła łapę Happy'ego, wiedziała, co trzeba zrobić. Jej ojciec był lekarzem, więc zna się na tym trochę.

Stéphane potwierdza skinieniem głowy.

– No więc – ciągnie Marco. – Zrobiliśmy jedyną rzecz, którą można było zrobić, żeby uratować twojego psa...

– Musieliśmy amputować mu łapę – kończy za niego Stéphane.

Czuję się tak, jakby to mnie odcięto nogę. Dopiero teraz zauważam zakrwawione narzędzia leżące na stoliku obok zlewu: bandaże, miskę, piłę... Próbuję wyobrazić sobie tę okropną scenę, a po chwili czym prędzej odpędzam ten obraz. Patrzę na Marca, potem na Stéphane i nie mogę zrozumieć, jak udało im się zdobyć na odwagę i zrobić coś takiego.

– Teraz Happy'emu nic już nie grozi – łagodniej odzywa się dziewczyna. – Umarłby, gdybyśmy tego nie zrobili.

Marco prosi, żebyśmy razem z François wrócili do Z-Punktu. Nie chce wzbudzać podejrzeń. Znów kraje mi się serce, gdy muszę opuścić mojego psa, ale Marco zapewnia mnie, że się nim zaopiekuje.

Na dworze Stéphane ponownie doradza nam ostrożność. Odpowiadam, że tak czy inaczej nie będę musiał długo zachowywać tej ostrożności, bo mam zamiar wkrótce się ulotnić. Dziewczyna marszczy brwi. Dowiaduję się, że sporo wie na temat moich nocnych doświadczeń i planów.

– Jeśli naprawdę chcesz zwiąć, nikogo nie wtajemniczaj w swoje plany, Adrialu...

François patrzy na mnie, jakbym właśnie wrócił z Marsa. Jego wargi bezgłośnie powtarzają ostatnie słowo: „Adrial?”.

– Znasz mojego... awatara?

– Tak. Marco mi powiedział. Ja jestem Lady Rottweiler – odpowiada dziewczyna.

Lady Rottweiler! A więc ona żyje! Lady Rottweiler to Stéphane, szarooka dziewczyna. Dwukrotnie uderza się pięścią klatkę piersiową, jak w Ukraïn.

– I na twoim miejscu nie liczyłabym zbyt na Khronosa.

Te słowa są dla mnie jak zimny prysznic. Czuję się zawiedziony, ale mimo to ograniczam się do rzucenia jej pytającego spojrzenia. Co chce mi powiedzieć o Khronosie? Niczego nie wyjaśnia. Być może Marco nie uznał za wskazane przedstawić nas sobie dlatego, że ta dziewczyna nie wierzy w apel mistrza gry? W każdym razie tylko w tym Z-Punkcie co najmniej trzy osoby wiedzą o spotkaniu. To znaczy, że w całym kraju musi nas być kilka setek! Gdyby tylko udało mi się przekonać Stéphane i Marca, żeby mi towarzyszyli.

Wczesnym popołudniem nie mogę się powstrzymać i wracam do pawilonu. Chcę zobaczyć Happy'ego. Tak bardzo się o niego martwię.

Z trudem patrzę na kikut łapy. Biedny psiak. Stéphane jest przy nim i podaje mu środki przeciwbólowe, antybiotyki, a także zmienia bandaże. Robi to w milczeniu. Wyczuwam w niej siłę, która mi imponuje, ale równocześnie mnie niepokoi, bo sprawia wrażenie, jakby szarooka zupełnie nie myślała o innych.

Wiem, że to nieostrożne, ale tego popołudnia raz jeszcze wracam do kryjówki, a Stéphane

wciąż jest przy moim psie. Można by pomyśleć, że opieka nad zwierzęciem dobrze jej robi. W drodze powrotnej spotykam Marca przy polance danieli. Głos mu się łamie, serce pewnie też, z powodu tego zabójstwa. Mnie też jest ciężko. Podczas dzisiejszego zbyt krótkiego snu ta straszna scena wciąż powracała w koszmarach. Marco przywołuje potworny obraz, który nocą wywołał u niego panikę: grupę nastolatków, z pewnością szabrowników, zwęglonych za pomocą miotacza ognia. Na pewno chce w ten sposób usprawiedliwić swój czyn. Próbuję go uspokoić: działał przecież w stanie wyższej konieczności, ocalił mi życie, nie powinien mieć z tego powodu wyrzutów sumienia. Jednak dobrze wiem, że słowa niewiele znaczą, kiedy nawiedza cię wizja zabójstwa, nawet popełnionego w takich okolicznościach.

Tylko nieustanna paplanina François rozprasza moje myśli. Mój kumpel nie zostawia mnie samego ani na chwilę, chce wiedzieć wszystko o WOT i planowanym spotkaniu. Jest zafascynowany tym tematem. Biegnie w moją stronę, kiedy późnym popołudniem zbliżam się do gmachu liceum.

– Chyba mam plan – wysapuje rozpromieniony.

Alejka jest pusta, mimo to szepczemy konspiracyjnie.

– Jaki plan?

– No, wydostania się stąd! Zastanawiam się nad tym od rana. Ty działasz pod wpływem impulsu. Twoja ucieczka bez planu mogłaby się udać w pojedynkę, ale jeśli uciekniemy we dwóch albo trzech, o ile uda nam się przekonać Marca – a ze Stéphane może nawet we czworo – trzeba to dobrze przemyśleć, żeby nie dać się złapać. Rozumiesz?

– Hmm... I jaki jest ten twój plan?

– Wszystko przygotowałem. W bibliotece liceum przestudiowałem plany Lyonu i całego regionu, wyznaczyłem też trasę do Paryża.

– To nam nie pomoże wydostać się z Z-Punktu.

– Zaraz do tego dojdę. Wcześniej istniały tu wypożyczalnie kajaków dla turystów i rodzin, które chciały popływać po jeziorze. Kajaki są dwuosobowe, trzeba będzie więc zabrać jeden lub dwa, w zależności od tego, ilu nas będzie. O zmroku spuścimy je na wodę. Tu niedaleko płynie Rodan. Weźmiemy linkę i zaciągniemy je do rzeki, nie robiąc hałasu.

– Mam linkę w plecaku.

– Świetnie. Być może nie należy czekać z tym do nocy, światła latarek mogą nas zdradzić.

– Chyba masz rację.

– A więc raczej wczesnym rankiem. Popłyniemy Rodanem aż do ujścia Saony, a potem hop! w górę Saony do Saint-Cyr-au-Mont-d'Or, gdzie mieszkam. Czy raczej... **mieszkalem**. Według moich obliczeń zabierze nam to jakieś siedem godzin. Tam zostawimy kajaki, pójdziemy do mnie, odpoczniemy trochę i...

– Twój rodzice mieli samochód?

– Tak, ale ja nie prowadzę.

– Ja prowadzę. No, trochę. Weźmiemy samochód twoich rodziców – mam nadzieję, że w baku została benzyna – i pojedziemy w stronę Paryża. Ile twoim zdaniem zajmie nam podróż autem?

– Najwyżej pięć godzin. Możemy się znaleźć w Paryżu w niecałe trzy dni.

– Fantastycznie. To naprawdę *cool*! Brawo, przyjacielu!

Dzięki temu będziemy mieli czas, żeby ocenić sytuację w stolicy i przygotować się do spotkania z Khronosem i Ekspertami. Lekko się uśmiecham, kładąc dłoń na ramieniu François. Jestem z niego dumny. Postanawiam, że jutro rano omówię ten plan z Markiem.

28 LISTOPADA

Wczoraj rano Marco powiedział mi, że zmuszono go do rezygnacji z roli reprezentanta uchodźców.

– Z powodu mojego... z powodu zabójstwa. Pojawiły się plotki. Nikt nie wie, czy to prawda, ale wszyscy mają wątpliwości. Patrzą na mnie jakoś inaczej, wyczuwam to. Boją się mnie. Co gorsza, każdy może mnie w dowolnej chwili zadenuncjować wojskowym. Nie jestem już tu bezpieczny.

To była odpowiednia chwila, żeby przedstawić mu plan ucieczki, więc wszystko wyjaśniłem. Wysłuchał mnie cierpliwie, po czym rzekł głuchym głosem:

– Idę z tobą i François.

Miałem ochotę podskoczyć z radości. Ale był taki ponury...

To o nim myślę tego ranka, podziwiając spokój i precyzję ruchów Stéphane. Podsunęła mi pomysł założenia szyny na łapę Happy'ego, żeby nie opóźniał nas podczas ucieczki. Marco wtajemniczył ją w nasze plany z nadzieją, że do nas dołączy.

– Powinnaś pójść razem z nami, Lady Rottweiler – mówię. – Naprawdę.

– To całe spotkanie z Khronosem to idiotyczny pomysł. Nie wierzę w możliwość podróży w czasie.

Waham się, zanim decyduję się użyć mojej karty przetargowej, być może trochę nielojalnie.

– Z Markiem jest źle.

Nic nie odpowiada. Nie podnosi głowy.

– Mam wrażenie, że nawiedza go duch.

– Duch?

Zamykam oczy, otwieram je, oddycham głęboko.

Po raz pierwszy ośmielam się przywołać moje zwidy, żeby lepiej zrozumiała, o czym mówię:

– Ja nie mogłem pochować moich rodziców. Ani siostry. Dlatego błakają się wokół mnie, nawiedzają mnie. A Marco też wygląda tak, jakby prześladował go ten zabity żołnierz.

Dlaczego to jej opowiadam o tych wszystkich duchach, a nie na przykład François? Być może z powodu jej wielkich, szarych oczu, czasem spokojnych jak uśpiona woda, innym razem wzburzonych jak niebo podczas nawałnicy. Kiedy są wzburzone, sprawiają, że się denerwuję. Gdy są spokojne, wypełniają mnie ufnością. Nagle pytam:

– A ty mogłaś go pochować? Swojego ojca?

– Nie.

Czekam, żeby powiedziała coś więcej, ale milczy.

– Miałas jakichś braci? Siostry?

– Jednego brata, Nathana. To z powodu tych duchów chciałaś pochować Reggiego?

Kiwam głową.

– Nie powinieneś mieć wyrzutów sumienia. Tak samo jak Marco. W gruncie rzeczy trwa wojna.

– Nie wiesz, jak to jest kogoś zabić.

– Wiem. Ja też to zrobiłam.

Stoję oniemiały. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie, że ta dziewczyna kogoś zabija. Że się bije, owszem. Zresztą po całym Z-Punkcie krąży historia o pewnej bijatyce z dziewczynami ze szpitala. Ale zabić...?

– To był szabrownik. Zabójca, tak samo jak ten twój. Było ich dwóch, chcieli mnie zgwałcić. Nie mam żadnych wyrzutów sumienia... To znaczy, tak samo jak ty działałam w obronie własnej. I nie zamierzam pozwolić, żeby ten drań mnie nawiedzał.

Obrona własna wystarcza, żeby móc żyć ze śmiercią człowieka na sumieniu? Nie mogę uwierzyć, że tak łatwo sobie z tym poradziła. Stéphane głęboko wzdycha, a potem przyklęka na ziemi.

– Czuję się bardzo dziwnie w tym miejscu.

Ona płacze? Tak, ona, która wydawała się z kamienia, płacze! To jest tak nieoczekiwane, że wzrusza mnie do głębi serca.

– Znałam kogoś, kto tu mieszkał – mówi. – Alex... Razem doglądaliśmy zwierząt w zoo, kiedy wszyscy pozostawili je samym sobie. To było miesiąc temu. Potem Alex został zamordowany... właśnie przez Reggiego. Tego, którego zabiłeś.

Łzy nadal spływają po jej twarzy, a ona odwraca się, żebym ich nie widział.

– Alex... Kochałam go, tak myślę. Będzie ze mną zawsze. Ale mnie nie nawiedza.

Myli się. Gdyby jej nie nawiedzał, nie mogłaby płakać.

Po obiedzie nadal jestem głodny, choć zjadłem już swoją porcję. Na miejscu mojej tacki pojawia się nowa. Wypełniona jedzeniem.

– To dla ciebie – mówi dziewczyna, którą już gdzieś kiedyś widziałem.

François daje mi kuksańca w bok, uśmiechając się kącikiem ust.

– Żeby ci podziękować – dodaje dziewczyna.

– Za... za co?

Przyglądam jej się. Kasztanowe oczy, delikatny nos, blade usta, krótkie blond włosy.

– Uratowałeś mi życie.

W jednej chwili wszystko staje się jasne. To ta dziewczyna, którą zaatakował Reggie ze swoim gangiem.

– Tego dnia widziałam cię przez niedomknięte okno. Dzięki tobie udało mi się uciec. Proszę, weź też to, zwinęłam z kuchni, kiedy miałam dyżur.

Podaje mi tabliczkę czekolady. To prawdziwy skarb! O ile czekoladę łatwo znaleźć na zewnątrz, o tyle w Z-Punkcie jest czasem wydzielana wyłącznie miejscowym, którzy niemal nigdy nie dzielą się nią z nami. Waham się, po czym odpowiadam:

– Dziękuję. Wezmę czekoladę, ale zjedz obiad. Jesteś taka chuda...

Czerwieni się, kiedy stawiam przed nią tackę. Szeroko się do mnie uśmiecha, a potem zabiera się do jedzenia. Była głodna. Musi być też nieśmiała, bo nie odzywa się ani słowem, rzuca tylko pełne wdzięczności spojrzenia. Kiedy docieramy do naszej kwatery, François woła:

– Ha! Wiedziałem, że jesteś bohaterem!

Nic nie odpowiadam, ale robi mi się ciepło na duszy, kiedy wyczuwam kształt tabliczki czekolady w swojej kieszeni. Jestem pewny, że będzie miała wyjątkowy smak.

Wieczorem odnajdujemy Marca w pawilonie i zabieramy się za przygotowania do ucieczki. Marco powierza nam bezcenną informację, znaną tylko wybranym, do których sam należał jeszcze tak niedawno: 1 grudnia w całym kraju zostanie wprowadzona godzina policyjna od osiemnastej do szóstej. Wejdzie także w życie zakaz posiadania broni i przemieszczania się samochodem. Zarządzenia obowiązujące teraz w Lyonie będą obowiązywały na terytorium całej Francji, a każda osoba nieprzestrzegająca nowego prawa zostanie siłą przeniesiona do Z-Punktu.

– Przy okazji dowiedzieliśmy się, że sytuacja w Lyonie jest znacznie trudniejsza niż w innych miastach. Uważa się, że powodem są ataki szabrowników, którzy są tu wyjątkowo niebezpieczni, oraz koncentracja znacznych sił wojskowych wokół laboratorium P4.

– Co to jest P4? – pytam.

– Oznaczenie w klasyfikacji. W laboratoriach P4 bada się najniebezpieczniejsze wirusy. Właśnie w Lyonie, cenionym ośrodku badawczym, od początku epidemii prowadzone są badania, żeby znaleźć szczepionkę przeciwko filowirusowi U4.

Wynika z tego, że po 1 grudnia dotarcie do Paryża będzie jeszcze trudniejsze niż teraz. Przygnębiają mnie nowiny o zaostrzeniu stanu wojennego w całym kraju. Widziałem przecież człowieka muchę uzbrojonego w miotacz ognia, którym o mało co mnie nie spalił. Czy dorośli boją się, że wymkniemy im się spod kontroli i dzięki przewadze liczebnej ich zdominujemy? Boją się nas? To jakaś absurd! Powinni nas raczej traktować jako nowe pokolenie, a nie wrogów, których trzeba sobie podporządkować. Nawet w centrum apokalipsy nie są w stanie nam zaufać?

Marco, François i ja próbujemy tego wieczoru włamać się do budynku z kajakami. Drzwi zamknięte są na dużą kłódkę z szyfrem. Nie sposób otworzyć jej siłą. Pozostaje nam wyważenie drzwi. Niestety, nie da się tego zrobić dyskretnie. Mamy po prostu nadzieję, że nikt nie będzie przechodził obok.

– Powiemy w razie czego, że zbieramy drewno na opał – proponuje François pewnym tonem, ale Marco nie jest przekonany do tego pomysłu.

W trójkę napieramy całym ciężarem na wiosło znalezione nad jeziorem. Wsunęliśmy je między dwie listwy, żeby uzyskać dźwignię. Udało nam się oderwać dwie deski i złamać jedną. Zwycięstwo! Teraz wystarczy wśliznąć się do środka z latarką. Szczęście nadal nam sprzyja: na metalowych stelażach leży sześć kajaków. Zdejmujemy jeden czerwony i jeden żółty, a później wyłamujemy jeszcze kilka desek w drzwiach, żeby powiększyć otwór i wynieść kajaki na zewnątrz. Jak złodzieje przenosimy jeden kajak po drugim pod ogrodzenie dzielnicy Cité Internationale, na północy parku. Wysokie zarośla pozwalają nam je ukryć. W końcu dołączamy do Stéphane i kilku innych osób siedzących wokół ogniska na łączce, starając się wyglądać jak najmniej podejrzanie.

Stéphane nachyla się w moją stronę, kiedy wszyscy zaczynają zbierać się do łóżek.

– Nie pójde z wami – szepcze mi na ucho. – Ale pomogę wam jutro. Obiecuję.

Staram się ukryć zawód. Miałem nadzieję, że zjawię się na spotkaniu z Khronosem w towarzystwie Lady Rottweiler, Ekspertki WOT.

29 LISTOPADA

Przez cały dzień ucieczka zaprzęta wszystkie nasze myśli. W jaki sposób zdobyć wodę i żywność?

– Kradzież z kuchni wiąże się ze zbyt dużym ryzykiem – szepcze François. – Zawsze panuje tam tłok i ktoś mógłby nas przyłapać na gorącym uczynku.

– Więc wślizgniemy się do namiotu, w którym przechowywane są zapasy dla obozu!

Podczas gdy Marco rozmawia z chłopakiem i dziewczyną pilnującymi magazynu, François i ja przechodzimy między ścianką namiotu i murem liceum. Nikt nas nie zauważa. Zabieramy też plastikowe worki, które posłużą nam do owinięcia różnych rzeczy, na wypadek, gdyby wpadły do wody. Jeśli chodzi o Stéphane, zgodnie z obietnicą pomaga nam wyposażyć apteczkę. Pozostaje nam tylko iść wieczorem spać, jak gdyby nigdy nic. François i ja udajemy się do naszego pokoju, a Marco i Stéphane do liceum. Czekamy na świt, żeby uciec. Uciec! A później świat będzie należał do nas.

Wieczorem jesteśmy spakowani. Schowaliśmy nasze plecaki w słomie obok Happy'ego. Pozostaje jeszcze jeden – i to poważny – problem do rozwiązania: jak niezauważenie przetransportować mojego rannego psa do kajaka. Marco, François i ja omawiamy tę sprawę w kuchni pawilonu, wygodnie wyciągnięci na poduszkach. Moglibyśmy pójść do jadalni, tu nam się jednak podoba. Można niemal pomyśleć, że jesteśmy rodziną.

Łapa goi się dobrze, ale Happy jest jeszcze zbyt słaby, żeby używać szyny.

– Już wiem – woła François. – Użyjemy taczki ogrodników!

– Ha, niezły pomysł – zgadza się Marco. – Trzeba tylko... O, proszę, to Lady Rottweiler. Słyszymy trzy uderzenia w drzwi, potem jeszcze dwa. To ustalony znak. Marco wstaje, żeby otworzyć.

– Przyniosłaś piguły, Lady?

Kiedy podchodzę do wejścia, Stéphane opiera się o drzwi. Dyszy. Natychmiast wyczuwam, że stało się coś złego. Dziewczyna nie odrywa wzroku od Marca.

– Są w Z-Punkcie. Pięciu uzbrojonych wojskowych. Może więcej. Szukają cię!

Jakiś drań doniósł na Marca.

– Zwijamy się od razu – mówi dalej Lady Rottweiler. – Zmiana planów, Marco, wyruszam z wami. Nie mam wyboru. Uciekłam, kiedy chcieli mnie przesłuchać.

Stojący za mną, blade jak ściana François mamrocze:

– O ile dobrze zrozumiałem, z taczki nici.

Na poczekaniu wymyślam plan B. Rzucam się do swojego plecaka i wyciągam linkę. Odcinam nożem kawałek i proszę François, żeby mi pomógł. Razem z Markiem układają psa na plecaku. Happy skamle, ale się nie wrywa, gdy przywiązują go sznurkiem, uważając, by nie zrobić mu krzywdy. Konstrukcja powinna wytrzymać na tak krótkim dystansie. Bez dwóch zdań. François i Marco zakładają swoje plecaki, a Stéphane w pośpiechu łapie kilka rzeczy. Całą czwórką wybiegamy na zewnątrz. Na szczęście wieczorem podniosła się mgła, w której się ukrywamy

NOC Z 29 NA 30 LISTOPADA

– Z pudełkiem miniaturą byłoby łatwiej – mruczy pod nosem François, choć to ja dźwigam Happy’ego.

Mimo napięcia wymieniamy porozumiewawcze uśmiechy. Mgła jest tak gęsta, że trzeba ostrożnie stawiać każdy krok, a także uważać, żeby się nie zgubić. Za nami, od strony liceum, rozlegają się krzyki i migają światła. Rozpoczęły się poszukiwania. A raczej oblawa. Jakby Marco był zwierzęciem. Tu wszystko wydaje się przytłumione przez gruby woal mgły.

Kajaki na nas czekają. Marco i François wrzucają plecaki do środka. Ja nadal dźwigam na barkach Happy’ego. Każde z nas łapie jeden koniec kajaka. Musimy donieść je na brzeg. Wchodzimy po schodach prowadzących do dzielnicy Cité Internationale. Brama jest otwarta, bez problemu przechodzimy przez dzielnicę. W mroku słysząc tylko nasze oddechy.

Po zejściu z kolejnych schodków docieramy na bulwary Rodanu. W końcu. Serce wali mi w piersiach i cały trzęsę się z ekscytacji. François pomaga mi zdjąć Happy’ego z ramion. Za pomocą mojej linki bezgłośnie ściągamy kajaki na wodę i przytrzymujemy je, żeby nie odpłynęły, gdy będziemy wsiadać. To najtrudniejszy moment. Pierwszy wsiada Marco. Podaję mu Happy’ego, ale przerażony pies zaczyna się miotać, wrywa mi się z rąk i z łoskotem wpada do kajaka. Wstrzymujemy oddech, podczas gdy łódka kołysze się pod wpływem uderzenia. Na szczęście Marcowi udaje się utrzymać równowagę i już za chwilę pomaga François wsiąść do kajaka, w którym leży Happy. Następnie łodzie się wymieniają i wsiada Stéphane. W końcu ja dołączam do Happy’ego i François. Na szczęście wzięliśmy cztery wiosła. Mieliśmy cichą nadzieję, że Stéphane jednak z nami wyruszy.

Mimo pośpiechu dobrze zaplanowaliśmy naszą ucieczkę. Każdy wie, co ma robić, a Stéphane bez słowa wykonuje nasze polecenia. Łączymy kajaki linką – na tyle długą, żeby się nie wywróciły. Później pozwalamy unieść się rzece. Nie jesteśmy już w Z-Punkcie! Niemal nam się udało. Kajaki cicho suną przez noc, niosąc nas ku wolności.

Wioseł używamy tylko wtedy, gdy grozi nam, że uderzymy w betonowe nadbrzeże. Uważnie przestudiowałem mapę Francji i rozpoznałem most Churchilla. Mgła jest gęsta, falująca, a cisza, która nas ogarnia, wydaje mi się wypełniona szeptami. Słyszymy wodę uderzającą o plastikowe kadłuby. Wszystkie dźwięki są przytłumione, ale odległy warkot helikopterów przypomina nam o grożącym niebezpieczeństwie. Na szczęście mgła czyni nas niewidzialnymi. Przepływamy pod mostami, jakbyśmy mijali kolejne bramy prowadzące ku wolności. A może ku jeszcze większemu piekłu?

Pierwotny plan zakładał, że nasza podróż rozpocznie się wraz ze wschodzącym słońcem, jednak okoliczności poważnie zmieniły sytuację. Jest środek nocy i panują egipskie ciemności. Nawet powietrze wydaje się czarne i ciężkie. Serce bije mi szybciej, jak w dzieciństwie, kiedy bałem się, że potwór siedzący pod łóżkiem złapie mnie za kostki, jeśli będę chciał pójść zrobić siusiu.

– Mamo.

Na próżno szeroko otwieram oczy. Nicość pochłania mnie, w miarę jak posuwamy się naprzód. Słyszę szepty – mieszają się ze sobą, są pospieszne i zapalczywe. Czy to Stéphane i Marco? Nie widzę ich kajaka. Czy odwiązali linkę? Jeśli się oddalili, to nie ich głosy słyszę. A zatem czyje? Co to za chłupot? Czy tylko wyobrażam sobie te dźwięki? Gdzie się podzieli Stéphane i Marco? Zboczyli z kursu? Zgubili się, zostali pochłonięci przez Rodan? Nie, ja tylko śnię.

A jeśli wcale nie śnię?

– Mamo, tato...

Ogarnia mnie blady strach. Przede wszystkim nie wolno mi krzyczeć, żeby nas nie zauważono. Muszę powstrzymać się od gwałtownych ruchów, mimo oddechów, które czuję na karku. Muszę opanować strach. Odsunąć duchy.

Nagle na powierzchni wody pojawia się blade światło. Kształtem przypomina twarz! Przecieram oczy, chcę zapytać François, czy widzi to samo, ale udaje mi się wydusić z siebie tylko szept, którego on nie słyszy. Pojawiają się kolejne światła, spirale przypominające upiorne żagle. I znów twarze pod wodą. Słyszę swój przerażony głos:

– Martwe Bagna...

– Co? – pyta François.

Nie może wiedzieć, o czym mówię, jeśli nie czytał *Władcy Pierścieni*, a konkretnie fragmentu dotyczącego Martwych Bagien.

– Co ty powiedziałeś? – dopytuje się mój towarzysz niespokojnym głosem.

Muszę wziąć się w garść, w przeciwnym wypadku wpadnie w panikę.

– Powiedziałem tylko, że mi zimno.

Na próżno przywołuję się do porządku. Nagle zaczynam myśleć o wszystkich zmarłych, których dusze teraz się błakają. Są ich setki, tysiące: dorosłych i dzieci. Otaczają mnie i przyszli właśnie do mnie. Znajduję się w ich królestwie. Wszyscy próbują zobaczyć moją twarz, dotknąć jej. Są ohydni i przerażający, ale przede wszystkim błagają mnie:

– Pochowałeś Reggiego. Zrób to samo dla nas, uwolnij nasze dusze od tego mrocznego, wilgotnego i zimnego miejsca.

Inni rozdają kuksańce, żeby znaleźć się jeszcze bliżej mnie, i szepczą:

– Nie zdołasz nas wszystkich pochować, lepiej wróć do przeszłości, żeby nas zaszczepić i uchronić od śmierci.

Czuję ich oddech na karku. Mógłbym przysiąc, że niektórzy przeniknęli przez moją puchówkę. Jest mi coraz zimniej, ale moje serce wali jak szalone. Boję się i jest mi smutno.

– Ja śnię – mówię, żeby się uspokoić. – To musi być sen.

– Ale o czym ty mówisz, do cholery!

– Właśnie obudziłem się z koszmaru.

– Co się z tobą dzieje? Przestań!

– One są tylko w mojej głowie!

– Kto taki?

– Duchy...

– C... c... co?

Krzyk trwogi rozdziera noc. To François. Czy to on tak się rzuca w kajaku, czy to duchy nim potrząsają? Chwytam się burty, ale za późno, kajak się wywraca. Happy szczeka kilkakrotnie i słyszę plusk jego łap. Czy to François woła mnie na ratunek? Wszystko jest niewyraźne: i obrazy, i dźwięki. Moje ubrania nasiąkają wodą i stają się ciężkie.

Mocne kopnięcie w brzuch zapiera mi dech w piersi. Coś gwałtownie ciągnie mnie na dno. Nie jestem w stanie się ruszać. Wszystko staje się jeszcze ciemniejsze. Woda. Wszędzie czarna woda, nawet we mnie.

W pewnej chwili atmosfera łagodnieje. Falująca woda staje się świetlista i ciepła. Duchy są teraz spokojne i nieme, patrzą na mnie z czułością. Przychodzi Camila, żeby wziąć mnie za rękę. Towarzyszą mi tata i mama. Czuję się szczęśliwszy niż kiedykolwiek wcześniej. I nagle siostra puszcza moją rękę. Rodzice się oddalają. Znów robi mi się bardzo zimno.

30 LISTOPADA

Coś miękkiego gładzi mnie po policzku.

– No cześć! – woła Stéphane. – Witamy wśród żywych!

Leżę w łóżku, nagi pod kołdrą. Mam nadzieję, że to nie Stéphane mnie rozebrała! Gdzie my jesteśmy? Pokój należał do małego chłopca, na półkach stoją pudełka z puzzlami, a pod sufitem zawieszono modele raket. Na komodzie z sosnowego drewna, oklejonej smerfami i superbohaterami, stoją dwie zapalone świece. W kominku płonie ogień.

W innym pokoju ktoś gra na pianinie. Rzadko zdarzało mi się słyszeć równie piękną melodię. Stéphane, która siedzi obok mnie na krześle, z Happy'm śpiącym u stóp, odpowiada na moje niewypowiedziane pytanie:

– To François. Niesamowite, czyż nie? Mówi, że zaczął uczyć się gry na pianinie w wieku czterech lat.

Muzyka na chwilę przenosi nas w inną przestrzeń. Patrzę na Stéphane i stwierdzam, że nie jesteśmy tu sami. Strach nie trwa długo. Są tam, w cieniu, tym razem życzliwe. Nie boję się. Jest ich ponad dziesięć. Otaczają nas. Duchy. Wśród nich tata, mama i Camila. Czy oni nie kryją się tylko w mojej głowie? Czy ja naprawdę postradałem zmysły? Posyłam im krótki, lękliwy uśmiech, a oni odpowiadają mi tym samym.

– Całe szczęście jesteś już z nami, Yannis.

Stéphane ich nie widzi, potwierdza to jej spokój. „Z nami” – ona nie wie, co to rzeczywiście znaczy.

– Niewiele brakowało, żebyś się utopił – kontynuuje. – Wyciągnęliśmy cię z wody, ale baliśmy się, że ktoś nas zauważy z powodu krzyków François. On naprawdę uwierzył w te twoje duchy! Przenieśliśmy cię we dwójkę. Na szczęście Happy zdołał dokuśtykać z nami aż do tego domu.

– A kto...

Mam trudność z mówieniem z powodu zdrętwiałej twarzy i uczucia przytłaczającej słabości.

– Kto mnie uratował? Marco?

Triumfalny uśmiech rozjaśnia twarz szarookiej.

– Ha, nie, wyobraź sobie, że to byłem ja! Nie rób takiej miny. Zawsze dobrze pływałam. Nie widziałem jej jeszcze w tak żartobliwym nastroju. Do twarzy jej z tym.

– Dziękuję, Steph.

– Stéphane. Nie lubię zdrobnień.

– Przepraszam. Dziękuję, S...

– Już ci nie przeszkadzam. Musisz wypoczywać.

Mówi jeszcze coś, ale jej słowa mieszają się z dźwiękami pianina i uspokajają duchy. Zасыpiam.

Dużo śpię, ale wieczorem nadal czuję się bardzo słaby. Przeraża mnie myśl, że opóźnię naszą ucieczkę. Jutro będzie 1 grudnia i stan wojenny zacznie obowiązywać w całym kraju. Z mojej winy nasza podróż stanie się jeszcze bardziej niebezpieczna.

Moi towarzysze starają się jak najlepiej wykorzystać ten przymusowy postój. Dom uniknął grabieży, możemy więc uzupełnić zapasy żywności i ekwipunek. W wodzie straciłem plecak z całą zawartością, figurką Froda i notesem, w którym zaznaczałem mijające dni. Leżą teraz na dnie rzeki w towarzystwie ryb i trupów. Co gorsza, list od ojca oraz zdjęcie rodziny, które trzymałem na sercu, całkowicie przemokły i nie da się ich uratować. Słowa się zatarty,

a fotografia podarła się na strzępy. To tak, jakbym znów ich stracił. François też zgubił w Rodanie swój bagaż. Na szczęście w szafie znaleźliśmy inne plecaki.

Z poprzedniego życia zostały mi tylko niepotrzebna komórka i to, co trzymałem w kieszeni kurtki. Z pamięci starannie przepisuję słowa z listu od ojca. Wydaje mi się, że inaczej o nich zapomnę. Próbuję też znalezionym w pokoju ołówkiem narysować twarze moich rodziców i Camili. Rezultat jest nędzny – zupełnie nie umiem rysować – ale to lepsze niż nic. Na podstawie tych koślawych kresek będę mógł mniej więcej odtworzyć ich rysy. Mimo to moje serce jest ciężkie jak kamień na dnie Rodanu.

Wyczuwam nerwowość moich towarzyszy. François stara się rozładować atmosferę żartami i grą na pianinie, zesłanym nam przez Opatrzność. Zna mnóstwo wesołych, intrygujących melodii, które przypominają nam, że istnieje jeszcze coś poza ciszą i ponurymi myślami.

Kiedy w końcu wstaję, wszyscy przed kominkiem są zajęci studiowaniem drogi. Ton ich głosów wskazuje na dużą koncentrację i przypomina mi, że czas nagli. Najwidoczniej François określił naszą pozycję – jesteśmy we Francheville – i oznaczył boczne drogi, które pozwolą nam dotrzeć do Paryża. Na miejscu Marco zaprowadzi nas do znajomego gracza w WOT, który mieszka w Gentilly.

Machinalnie przebiegam wzrokiem tytuły artykułów w magazynach rozrzuconych po całym pokoju. *Dlaczego Kate nie jest księżną?*, *Czy skrzydelka kurczaków wzmagają agresję u dzieci?* – to jak pytania z innego świata. Koledzy patrzą na mnie zaniepokojeni.

– Powinniśmy wyjechać tej nocy – mówię. – I jak najbardziej oddalić się od Lyonu przed ogłoszeniem stanu wojennego o północy. Czuję się wystarczająco silny, będzie dobrze.

– Nie zgadzam się – odpowiada Stéphane. – Nadal jesteś bardzo blady i ledwie trzymasz się na nogach.

– A może – odzywa się Marco – jest w stanie przemieszczać się w inny sposób niż pieszo?

– Na przykład rowerem?! – woła François. – W domu obok mieszkała liczna, wysportowana rodzina. W garażu znalazłem pięć rowerów.

– Yannis mógłby podróżować rowerem, nie? – zauważa Marco. – Przynajmniej do domu François, położonego kilkanaście kilometrów stąd. Wydaje mi się, że to będzie wymagało mniej wysiłku niż pójście pieszo. Jutro z pewnością będzie to bardziej ryzykowne.

– Ty chyba nie wiesz, co mówisz – denerwuje się Stéphane. – Popatrz tylko na niego, wygląda jak śmierć na urlopie...

Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby Stéphane w ten sposób zwracała się do Marca. On jest jeszcze bardziej ponury niż zwykle, a jego oczy rzucają czarne błyskawice. François obserwuje tych dwoje z takim zaskoczeniem jak ja. Co się między nimi wydarzyło?

Nagle robi mi się ciemno przed oczami. Cisza wręcz mnie ogłusza. Paraliżuje mnie uczucie, że nie panuję nad własnym ciałem, po czym ogarnia mnie całkowita czerń.

Kiedy odzyskuję świadomość, Stéphane siedzi obok mnie z łagodnym uśmiechem. Jej życzliwa obecność mnie uspokaja, ale ponownie pogrążam się w ciemnościach.

– Znów straciłeś przytomność, Yannis.

Tym razem przy moim łóżku jest François.

– Dobrze się czujesz? – pyta. – Miałeś szczęście, że nie zrobiłeś sobie krzywdy podczas upadku.

– Dobrze.

François przesuwając dłoń po swoich blond włosach. Jest wyraźnie zmartwiony.

– Chcesz mi coś powiedzieć? – pytam.

Wydaje się, że z radością przyjmuje tę propozycję.

– No cóż, przede wszystkim chcę przeprosić, że spanikowałem na kajaku. A poza tym chciałem zapytać...

– O co?

– Czy... czy ty naprawdę widziałeś te duchy? To znaczy... Czy one naprawdę istnieją?

Nie mam czasu mu odpowiedzieć, bo w drzwiach staje Marco, ponury jak cień. François wzdryga się, jakby Marco był kolejnym duchem w tym nawiedzonym domu.

– Przepraszam cię, François – mówi Marco. – Mogę pomówić z Yannisem sam na sam?

François bełkocze:

– Eee... Właśnie rozmawialiśmy, ale...

– Proszę – nalega Marco.

– No dobrze, pogram trochę na pianinie, może być Schubert?

Marco wzrusza ramionami. Najwyraźniej zna się na muzyce klasycznej tyle co ja.

François wymyka się, onieśmielony surową miną kolegi. W przejściu bierze świecę.

Podejrzewam, że on też boi się ciemności.

Pierwsze nuty kojarzą mi się z wodą płynącą po otoczkach. Marco siada i wbija we mnie wzrok jak ostrze noża:

– Co jest między tobą i Stéphane?

– Między Stéphane i... Ale... Nie rozumiem, o co...

– Gdy tylko może, spędza czas przy tobie. To chyba coś znaczy, nie?

O czym on mówi? A, już wiem: Stéphane pewnie kilkakrotnie przychodziła do mnie, kiedy byłem nieprzytomny.

– Mylisz się, Marco, zapewniam cię. Łączy nas tylko przyjaźń, a poza tym... Tak naprawdę się nie znamy. No i ona nie jest w moim typie. Ona jest zbyt... W sumie sam nie wiem. Chyba zbyt wszystko. No nie wiem, ale to niemożliwe.

– I nic się między wami nie wydarzyło?

– No, nie. Zupełnie nic. Nawet by mi to przez głowę nie przeszło!

Marco spuszcza wzrok.

– A więc jest gorzej, niż myślałem.

– Dostałeś od niej kosza czy co?

Z jego milczenia wnioskuję, że trafiłem w sedno.

– Nie martw się. To nic nie znaczy. Wiesz, ona ciągle jeszcze przeżywa śmierć Aleksa.

Musisz być cierpliwy.

– Tak myślisz?

Obym się tylko nie mylił. Dostrzegam światełko nadziei w jego oczach. Nagle do pokoju wchodzi Stéphane.

– Dobre nowiny, chłopaki: rowery są w niezłym stanie. Jak tylko Yannis stanie na nogi, zmywamy się stąd... Wszystko dobrze, Yannis?

Przytakuję, unikając spojrzenia Marca.

2 GRUDNIA, WIECZÓR

Odzyskałem już siły, w dużej części dzięki opiece Stéphane, która rzeczywiście często zjawia się przy moim łóżku. Happy też czuje się lepiej. François dobrze się nim opiekował, kiedy dochodziłem do zdrowia. Znalazł też sposób, żeby go przetransportować. To uparty chłopak. Przeszukiwał wszystkie garaże i szopy w okolicy, aż znalazł to, czego szukał: dziecięcy wózek, który można przymocować do roweru! Marco oświadczył, że będzie ciągnął przyczepkę, i nikt nie śmiał odebrać mu tej okazji do udowodnienia swojej siły.

Z godziny na godzinę robi się coraz bardziej milczący. Serce mi pęka, gdy widzę go w takim stanie, ale nic nie mogę poradzić na to, że jesteśmy ze Stéphane coraz bliżej. Opowiedziała mi, jak bardzo smutno jej z powodu Marca, którego bardzo lubi... ale jego miłość oddala go od niej, a nie do niej zbliża, na co miał nadzieję. Zapytałem ją też, dlaczego idzie z nami na spotkanie z Khronosem, skoro w niego nie wierzy, ale mi nie odpowiedziała. To wszystko mnie trochę niepokoi, bo powinniśmy być zjednoczeni, żeby mieć siłę, kiedy 24 grudnia nadejdzie ten moment.

Dzień zbliża się do końca. Już czas.

Dorzucam do plecaka kilka rzeczy, o których nie pomyśleli moi przyjaciele: zapalniczkę, palnik gazowy, nowy kompas wygrzebany w szufladzie, linkę odzyskaną z hamaka wiszącego w domu, makaron błyskawiczny. Jeśli chodzi o przeżycie na łonie natury, mam większe doświadczenie niż cała ich trójka i doskonale pamiętam, czego mi brakowało w pierwszych dniach mojej podróży, po opuszczeniu Marsylii. Wreszcie możemy wyruszać.

Musimy być podwójnie ostrożni. Wczoraj słyszeliśmy helikoptery przelatujące nad dachami. Wraz z ogłoszeniem stanu wojennego liczba patroli zapewne się zwiększyła.

Jedziemy na rowerach jak dzieciaki, po niewielkich, ciemnych drogach. Opatuleni w puchówki, rękawiczki, szaliki i czapki, wieziemy też ciężkie plecaki. Od czasu do czasu rzucam okiem na Happy'ego, dobrze okrytego ciepłą kołdrą. Pies jedzie w przyczepce. Mogłoby się wydawać, że jesteśmy na wakacjach, gdyby nie ta dojmująca cisza, do której nie mogę się przyzwyczaić, powybijane szyby, porzucone samochody, walające się śmieci i ulotki wzywające do pilnego stawienia się w najbliższych Z-Punktach ze względów bezpieczeństwa.

Bezpieczeństwo! Tylko to mają do zaferowania! I jakie bezpieczeństwo... Lepiej czuję się tu, na rowerze, z przyjaciółmi. Przynajmniej mogę udać się tam, gdzie mi się żywnie podoba, i nie muszę się cisnąć w przepełnionym Z-Punkcie, w którym obowiązują sztywne reguły. Nasze rowery tną powietrze, a towarzyszy temu tylko dźwięk wydawany przez ich mechanizmy i opony dotykające drogi. Podziwiam moich towarzyszy. Nikt się nie skarży. Ja czuję, że na podjazdach trochę brakuje mi tchu, ale nie ma mowy, by pokazać to pozostałym. Nie chcę być dla nich ciężarem.

Noc nas osłania. Księżyc jest w ostatniej kwadrze i słabo oświetla drogę. Gwiazdy świecą jaśniej niż on. François szepcze:

– Będziemy znacznie lepiej widzieli, kiedy przyjedziemy do mnie.

– Dlaczego? – pyta Marco.

– Zobaczycie – odpowiada François wesołym głosem. – Dam wam pewną wskazówkę: mój ojciec pracował w armii!

Czuję się trochę niezręcznie. Obecnie wszystko, co związane z wojskiem, przywołuje złe wspomnienia.

Po godzinie docieramy do Saint-Cyr-au-Mont-d'Or. François prowadzi nas do swojej dzielnicy. Jego ulica. Jego dom: ponury gmach otoczony ogrodem.

– Chodźcie za mną – mówi szeptem. – W środku będziemy mogli zapalić latarki. Zamknąłem wszystkie okiennice, bo się...

„Bałem” – domyślamy się, choć nie dokończył zdania. Bał się szabrowników, nieznanego, wszystkiego. Jak każdy z nas w tym czasie. Opieram mój rower o mogiłę z płaskich i podłużnych kamieni. Trzy ziemne kopce. Bez wątpienia leżą tu jego rodzice i starszy brat, o którym kilkakrotnie mi opowiadał. Miał odwagę, żeby pochować swoich w ogrodzie. Odwagę i – w pewnym sensie – szczęście.

Moim szczęściem jest to, że mam Happy’ego. Wynoszę go z wózka i obejmuję. Pies przytula wilgotny pysk do mojego policzka i mnie liże. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że można uznać za cud, iż przeżył wywrotkę kajaka. I tu, obok grobu rodziców François, moje serce wypełnia ulga.

Drzwi do domu są otwarte. François wchodzi pierwszy i zamyka za nami. Happy skamle trochę i przywiera do moich nóg, jakby wyczuwał czyjąś wrogą obecność. Słyszę jęk François.

Wszystkie szuflady, szafy, szafki zostały opróżnione, ich zawartość leży na ziemi. Lustra i ramki są potłuczone. Podnoszę podarte i podeptane zdjęcie dwóch małych chłopców w objęciach rodziców. To François i jego starszy brat. Ściany, podłoga, sufit, fotele i zasłony zostały pomazane sprayami. Po co niszczyć te resztki, które zostały z tamtego świata? Ci szabrownicy są prawdziwymi dupkami. François krąży po pokojach z nieprzytomnym spojrzaniem. Po policzkach cicho spływają mu łzy.

– Zbierajmy się stąd – szepcze Stéphane. – Nic tu po nas.

Przeraźliwy dźwięk sprawia, że wszyscy podskakujemy z przerażenia. To François siedzi w swoim zdewastowanym pokoju przed resztkami pianina. Szabrownicy niemal całkowicie zniszczyli instrument, prawdopodobnie łomem. François uderza kolejny klawisz i kolejny, i kolejny...

Marco łagodnie kładzie dłoń na jego ramieniu. Chłopak sztywnieje. Przez dłuższą chwilę jak porażony siedzi nad rozbitą klawiaturą. Następnie podnosi głowę i cedzi przez zaciśnięte szczęki:

– Muszę znaleźć coś w pokoju rodziców.

Idzie na piętro, a później schodzi, by przeszukać garaż. Słyszymy, jak przetrząsa skrzynie, śmietniki, torby, aż wreszcie woła z radością:

– Mam!

Wraca i podaje mi dziwną, czarną maskę z dwiema dużymi soczewkami.

– Co to jest? – pytam. – Można by pomyśleć, że okulary.

– Ale to nie są byle jakie okulary. To okulary ze wzmacniaczem obrazu.

– Co to takiego?

– Noktowizor ze wzmacniaczem obrazu.

– A po ludzku? – niecierpliwi się Stéphane.

– Nie rozumiecie? W tych okularach można widzieć w ciemności! Jak... Jak Happy.

Wzmacniają słabe źródła światła, na przykład światło gwiazd.

Po kilku chwilach otrząsamy się ze zdumienia i serdecznie gratulujemy François fantastycznego pomysłu. Te okulary będą dla nas bezcenną pomocą!

– A teraz chodźmy stąd – decyduje poważnym głosem François. – Mam kluczyki do samochodu.

Przed chwilą Marco ściągnął benzynę z auta porzuconego na drodze, a teraz dołącza do nas w garażu. Czerwone audi jest w doskonałym stanie, a bak ma pełny do połowy. Moglibyśmy znaleźć samochód w bardziej dyskretnym kolorze, ale w nocy wszystkie koty są czarne. Nasz pojazd bez wątpienia też.

Teraz moja kolej. Wkładam dziwne okulary, które przywodzą mi na myśl wyposażenie Adrialia przeniesionego w przyszłość w świecie WOT. François daje mi kluczyki, a ja zajmuję miejsce kierowcy. Marco siada z impetem z tyłu i wyciąga rękę do Stéphane, która udaje, że nie widzi jego gestu. Wybiera fotel z przodu, obok mnie. François podnosi metalową bramę garażu i zajmuje tylne siedzenie. Kiedy Marco gasi latarkę, pogrążamy się w całkowitej ciemności. Tylko Happy i ja jesteśmy w stanie coś dojrzeć. Korzystam z tego, żeby wypiąć pierś – na wzór Adrialia w akcji.

– Ruszamy – mówię tonem poważniejszym i bardziej uroczystym, niż zamierzałem.

Stéphane parska śmiechem, uważając pewnie, że to zbyt pompatyczne. Ja też się śmieję, trochę z samego siebie, po czym przekręcam kluczyk w stacyjce i zapalam silnik. Wszystkim nam ulżyło – pracuje bez zarzutu.

– Ruszamy – powtarzam, jakby to było zaklęcie mające nam przynieść szczęście po opuszczeniu Saint-Cyr-au-Mont-d'Or. Noc otwiera przed nami ramiona.

NOC Z 2 NA 3 GRUDNIA

Lokalna droga stopniowo prowadzi ku coraz bardziej odizolowanym terenom wiejskim. Nawet z noktowizorem nie widzę na dużą odległość i muszę jechać bardzo wolno. Tutaj nie ma żadnych śladów katastrofy. Kojarzy mi się to z wyjazdami szkolnymi, kiedy odwiedzaliśmy Saint-Rémy-de-Provence albo Baux. To był ten sam rodzaj mało uczęszczanych, wąskich dróg.

– Przypominam sobie też...

Pojawia się duch mamy, siada na masce, ma włosy rozwiane na wietrze. Gwałtownie skręcam z zaskoczenia i strachu. Mocno uderzam w kierownicę.

– Pewnego razu pojechałam z twoją klasą, pamiętasz? Było pięknie, to było Baux...

Mrugam oczami: duch znika.

Koncentruję się na drodze. Nikt w samochodzie się nie odzywa. Happy i François zasnęli, ukołysani łagodnym ciepłem ogrzewania. Stéphane i Marco zatopili się w myślach. Dobrze zapamiętałam trasę wyznaczoną przez François i jak wcześniej podążam za tablicami informacyjnymi.

Wolałbym, żeby Marco też zasnął. Z jego milczeniem czuję się niezręcznie.

– Przecież możecie rozmawiać – mówię. – Nie powinno to być głośniejsze niż silnik.

Albo może włączymy jakąś muzykę?

– Na rozkaz, panie kierowco! – woła Stéphane, a ja uświadamiam sobie, że cisza krępuje ją równie mocno jak mnie.

Zwalniam i pochylam się, żeby poszukać płyty w schowku, bo tylko ja coś widzę. Biorę pierwszą lepszą i wkładam do odtwarzacza. Wszyscy natychmiast rozpoznajemy zespół Fauve. Płyta należała do starszego brata François. Mam nadzieję, że muzyka nie wprowadzi złych wspomnień do snów naszego kolegi. Wreszcie nasza podróż nabiera energii.

Ile kilometrów przejechaliśmy? Sto? Sto dwadzieścia? W każdym razie po dwóch godzinach zaczynam odczuwać zmęczenie. Prowadzenie samochodu w takich warunkach wymaga ogromnej koncentracji: każdy zakręt jest zaskoczeniem, a ja mam zbyt małe doświadczenie. Oczy same mi się zamykają. W końcu mówię kolegom, że muszę zrobić sobie przerwę. Zjeżdżam na pobocze i gaszę silnik. Muzyka też się wyłącza i ogarnia nas cisza. Otwieram okno, żeby usłyszeć szum lasu i krótkie okrzyki nocnych zwierząt. Zamykam oczy, żeby wsłuchać się w te dźwięki i odpocząć.

– Chcesz...? – zaczyna Stéphane.

Nie słyszę już końca zdania. Marco pospiesznie opuszcza samochód. Każe nam być cicho. Wszyscy wstrzymujemy oddech, poza François, który spokojnie pochrapuje.

Słaby warkot z każdą minutą staje się wyraźniejszy. Na niebie dostrzegamy niezgrabny, przypominający szerszenia czarny obiekt, zwieńczony szarą półkulą i wyposażony w sześć ramion z kręcącymi się śmigłami.

– Dron... – szepcze przerażona Stéphane.

Przerażenie zupełnie nas obezwładnia. Dzięki okularom dostrzegam coś w rodzaju aparatu fotograficznego między łapami urządzenia. W tym miejscu migocze słabe, czerwone światełko.

– Cholera, wojskowi! – krzyczy Marco. – Są tutaj.

Ogarnia mnie wściekłość. Dlaczego tak bardzo zawzięli się na Marca? Jakby spośród wszystkich przestępstw popełnionych w tym chaosie tylko jego czyn dorośli chcieli potępić za wszelką cenę! Może najpierw zajęliby się ratowaniem życia?!

Potrząsamy François. Marco bierze plecak Stéphane, a mój niesiemy we dwójkę. Czym

prędzej porzucamy samochód i ruszamy przez pole. Happy wydaje się uszczęśliwiony tą zmianą planów. Biegniemy, ile sił w nogach, po lepkiem błocie, a drogę oświetla nam tylko słabe światło gwiazd. Przez wysoką trawę dostrzegamy czerwone oko drona zbliżającego się do naszego auta. Mam wrażenie, że zostałem wrzucony do kiepskiego filmu, że uczestniczę w jednej z tych scen polowania na ludzi, w które obfitują amerykańskie seriale policyjne. Oby tylko ten dron nie był wyposażony w kamerę termiczną.

Znów zaczynamy biec. Trzymamy się blisko siebie. François potyka się, więc pomagam mu wstać. Stéphane i Marco poganiają nas szeptem i wskazują schronienie. Jesteśmy na skraju lasu i wreszcie do niego docieramy. Dron nagle nabiera zwinności i szybkości kolibra. Zlokalizował swój cel i bez wahania nurkuje w jego stronę. Jednak tuż nad dachem samochodu maszyna traci rezon – zawisa nieruchomo i nie wie, co zrobić z ofiarą. Być może została zaprogramowana tak, by wykrywać pojazdy tylko w czasie obowiązywania godziny policyjnej? A może zmyliły ją ciemności? Tak czy inaczej mamy teraz tylko jedno wyjście: kontynuować podróż pieszo.

NOC Z 4 NA 5 GRUDNIA

Śpimy w dzień, opatuleni w nasze śpiwory, skuleni w jamach, stodołach lub opuszczonych domach. Happy śpi przytulony do mnie. W czasie tych lodowatych, zimowych dni niebo jest matowe, a słońce ledwie wygląda zza chmur. Światło jest białe, cienie szare, ptaków niemal nie widać.

Nocą, kiedy przemierzamy zalesiony teren, wiążemy się linką. Przewodnik zakłada okulary i prowadzi resztę.

Wbrew sobie idę coraz wolniej. Rwie mnie w lewym boku, a zimno przenika do kości. Nie śmiem nic mówić – po pierwsze, żeby nas nie spowalniać, a po drugie, żeby odgonić wspomnienia o Reggiem, który w to właśnie miejsce wbił swój nóż.

Ból staje się jednak tak silny, że nie mogę powstrzymać jęku.

– Yannis? – pyta Stéphane. – Dobrze się czujesz?

Idący z przodu Marco nie zwalnia. Sznurek zaciskający się wokół mnie sprawia, że ponownie jęczę.

– Marco, zatrzymaj się, do licha! Dobrze wiesz, że Yannis ma trudności z chodzeniem!

Czuję, że ciągnie za linkę, żeby zmusić Marca do zatrzymania się.

– Co się dzieje? – odzywa się zaniepokojony François.

Od trzech dni powtarza to pytanie jak refren. Wypowiada je na wszelkie możliwe sposoby, najczęściej z niepokojem. Zadaje je na przemian z: „Gdzie jesteście?”, „Co to jest?”, „Zgubiliśmy się?”. On, taki pewny siebie i rozsądny między murami, na łonie natury całkowicie stracił swoje zdolności. Żeby się uspokoić, robi obliczenia w rodzaju: „Idziemy z prędkością trzech kilometrów na godzinę, tak myślę. Może czterech. W ciemności, z osłabionym Yannisem i Happyem na trzech łapach nie możemy posuwać się szybciej. Minęły trzy godziny, przebyliśmy więc jakieś 10–11 kilometrów. Zostawiliśmy samochód od strony Montceau-les-Mines, musimy zatem znajdować się w...”.

Nocą i bez punktów odniesienia myli się jednak często, więc i tak musimy sprawdzać położenie na mapie, posiłkując się kompasem.

Na chwilę przyciągam uwagę wszystkich. Padam na kolana. Stéphane odbiera Marcowi okulary i rozkłada swój śpiwór na ośnieżonej ziemi, żebym się położył. Zapach żywicy i chrząstki zmarzniętych liści pod moim ciałem nagle nadają wszystkiemu większą realność.

– Wiem, że jest zimno jak w psiarni, ale pozwól mi obejrzeć bliznę. To chyba ta stara rana ci dokucza.

Stara rana... Ledwie miesiąc po końcu świata wszystkie rany są nowe. Nic nie mówię. Stéphane rozpina moją kurtkę, podciąga sweter i T-shirt. Kładzie chłodne dłonie na moim torsie. Płatki śniegu padają mi na twarz. Happy je zlizuje. Mógłbym teraz umrzeć, to byłoby nawet przyjemne.

– Cholera – cedzi Stéphane przez zęby. – Rana się otworzyła. Trzeba ją zdezynfekować.

– OK – zgadzam się.

– Tak mało cię to obchodzi?

– Czy on umrze? – pyta François, który też ukląkł obok mnie.

Słyszę suche, krótkie uderzenie. Stéphane nagle podniosła dłoń.

– Hej, nie musiałas mnie bić po twarzy! Co cię napadło, Stéphane?

– Odpuść, François – rzuca Marco. – To wybuchowa dziewczyna...

Oddech Stéphane przesuwają się po skórze mojego brzucha. Szarooka precyzyjnymi ruchami szybko odkaża ranę, a później mnie ubiera.

– Dasz radę jeszcze trochę przejść? – szepcze do mnie. – Na tę noc już wystarczy, ale musimy przynajmniej znaleźć jakieś schronienie.

Marco idzie się rozejrzeć. Niedługo potem wraca. Prowadzi nas do domku myśliwskiego. Stéphane przydziela mi jedyne łóżko i miękko mi je ścieli, żebym lepiej odpoczął. Chciałbym ją przytulić, tylko po to, żeby wyrazić jej swoją wdzięczność, ale Happy zwija się obok mnie. Zanurzam nos w sierści psiaka. Jego zapach, zawsze ten sam, odkąd byłem mały, pozwala mi zasnąć jak dziecku.

5 GRUDNIA

Budzi mnie inny zapach, owocowy i słodki. To brzoskwinie w syropie.

– Cześć – wita mnie z uśmiechem Stéphane. Jej wargi są sine z zimna. – Właściciel tej chatki przepadał za owocami w puszcze! Masz, zjedz trochę, dobrze ci to zrobi.

Znów konserwa... Od wielu dni żywimy się tylko zawartością puszek. Podgrzewamy je na niewielkiej kuchence gazowej zdobytej we Francheville. Marzę o świeżej żywności. Na samą myśl cieknie mi ślinka. Mimo to uśmiecham się, żeby zrobić przyjemność Stéphane. Słabym punktem naszej ekipy jest brak w niej jakiegokolwiek zbieracza, łowcy i kucharza. Żadne z nas nigdy nie musiało się tego uczyć. Mówię sobie, że będzie trzeba to nadrobić, i odgryzam kawałek miękkiej, niezbyt smacznej brzoskwini.

Rozglądam się po wnętrzu. To prosta chatka z desek, z blaszonym dachem. Na klepisku stoi tu zaledwie kilka sprzętów: metalowe łóżko, którego materac cuchnie stęchlizną, stolik z tworzywa sztucznego, plastikowe krzesła i krzywa szafka.

– Gdzie są pozostali?

– Na zewnątrz. Chcieli wyjść na światło dzienne po tych wszystkich nocach spędzonych w drodze. No, trochę ich do tego zmusiłam – przyznaję – żeby cię nie obudzili.

– Dzięki. Nie trzeba było. Czuję się trochę niezręcznie.

– Ależ nie. Twoja rana jest poważna. Musisz trochę zadbać o siebie.

Dziś jej szare oczy są nieco jaśniejsze, ale jest też bledsza. Długie ręce trzyma na udach. Dostrzegam na nich żyły. Próbuję sobie wyobrazić jej ciało bez ubrania. Czy schudła? Stéphane emanuje siłą, ale przede wszystkim ogromną samotnością.

– Kogo najbardziej ci brakuje? – pytam nagle, podnosząc twarz znad puszeki.

Zaskoczona najpierw gromi mnie spojrzeniem, a później się rozluźnia, uśmiecha i kiwa głową.

– Ze wszystkich osób najbardziej brakuje mi... ojca.

– Rozumiem cię. Okropnie tęsknię do moich rodziców. Może to głupie, co powiem, ale pociesza mnie fakt, że wszyscy doświadczyliśmy tej samej straty. Że wszyscy jesteśmy sierotami. To nam daje powód, żeby żyć dalej, razem.

Dziewczyna przygryza wargę.

– Boisz się? – pytam. – Boisz się, że nie zdołamy sobie poradzić zupełnie sami?

– Ani trochę.

Trudno mi w to uwierzyć.

Zapada długa cisza. Stéphane wzdycha, a później wstaje, żeby otworzyć okiennice.

– Chodź zobaczyć – mówi do mnie.

Wstaję. Ból jest łagodniejszy. Siadam obok niej przy oknie. Otwartym, bo na zewnątrz jest równie zimno jak w środku. Dotykamy się ramionami i czujemy, że każde z nas drży. Przed naszymi oczami roztacza się całe piękno zimowego dnia. Śnieg pokrywa polanki i drzewa. Wszystko lśni, a w oddali dostrzegamy dym z komina. Zresztą nie po raz pierwszy. Można odnieść wrażenie, że w tej okolicy nie ma armii. Nastolatki próbują przeżyć, uprawiając pola swoich rodziców. Jak się wydaje, nikt ich nie niepokoi. Mają szczęście. Tutaj nie istnieje kwestia łapanek ani Z-Punktów. Wszystko emanuje spokojem. Przepełnia nas takie poczucie bezpieczeństwa, że chyba zaryzykujemy rozpalenie ogniska, żeby się ogrzać, bo z łatwością będzie można uznać, że dym pochodzi z któregoś z pobliskich gospodarstw.

– Patrz!

Stéphane pokazuje coś za oknem. Rudy kształt kuli się, a potem zastyga w bezruchu na

białej powierzchni. Lis! Obserwujemy go w milczeniu, zafascynowani, aż w końcu znika za prostymi pniami gęsto rosnących drzew.

– To był mój lisi chrzest – mówię.

Stéphane wybucha głośnym, świeżym śmiechem. Pierwszy raz widzę, żeby się śmiała. Powstrzymuję się przed powiedzeniem jej, że jest wtedy piękna. Zmienia mi bandaż, ręce lekko jej się trzęsą. Lubię czuć dotyk jej dłoni na mojej skórze, gdy rozmawiamy od niechcienia, cicho jak dzieci szepcące pod stołem w czasie rodzinnego posiłku, gdzieś w poprzednim życiu.

Kiedy wokół nas bledną kolory, słodycz tej chwili nagle ustępuje. Apokalipsa znów staje się rzeczywista, łapie mnie za żołądek i wywołuje suchość w gardle. Marco, jak każdego wieczoru, staje na czele pochodu. Wkłada noktowizor, a my wiążemy się sznurkiem i wychodzimy do lasu. Stéphane chce mnie podtrzymać, ale kręcę głową. Mimo wszystko jestem w stanie iść samodzielnie.

W czasie marszu staramy się iść blisko siebie, żeby zamienić kilka słów lub pożartować. Także mroczny Marco potrzebuje wspólnoty. To zew natury – nawet pod śniegiem przywraca nas życiu, przypomina nam o życiu. Nie wspominamy o mrozie, od którego grabieją nam stopy. O odmrożeniach. Spękanych wargach. Rozmawiamy o czymś innym. François opowiada anegdotki z liceum, dziecinne żarty, które robił z kumplami. Później nagle wraca do swoich niekończących się obliczeń, żeby możliwie najdokładniej określić nasze położenie. Z Markiem rozmawiam przede wszystkim o przyszłości. On ma wielkie wyobrażenia dotyczące odrodzenia się społeczeństwa. Słucham go cierpliwie, starając się nie wspominać o wszystkich niespójnościach, jakie dostrzegam w jego wizji. Marco opowiada się za dziwną mieszanką utopii i rozpacz. Mówi o tym społeczeństwie, jakby miało powstać bez niego. Jakby on sam był już stracony... W towarzystwie Stéphane wszystko wydaje się jaśniejsze, zwłaszcza podczas długich chwil ciszy, kiedy pozwalamy, by opanowało nas pulsowanie wszechświata. Ona nie chce rozmawiać o przeszłości ani o przyszłości, ale to mi nie przeszkadza. Jeśli chodzi o mnie, wyznałem jej, że często obcuję z duchami, nawet na jawie. Chyba nie uznała mnie za kompletnego wariata.

Co dwie godziny robimy przerwę. Stéphane poprawia mi wówczas bandaż. Jej dłonie na mojej skórze. Jej oddech. Nasze słowa wypowiedane szeptem. To chwile czystego szczęścia w lodowatej aurze, lecz zawsze trwają krótko, bo Marco staje się wówczas napastliwy i niecierpliwy.

NOC Z 6 NA 7 GRUDNIA

Wczoraj po raz pierwszy postanowiliśmy przedłużyć nasz marsz do wczesnych godzin rannych, ponieważ wydaje się, że w tej okolicy wcale nie ma wojska.

Resztę dnia spędziliśmy w zawilgoconej i słabo chroniącej od wiatru stodole na obrzeżach miasteczka Saulieu, a o zmierzchu ruszyliśmy dalej. Oddaliliśmy się od drogi D906, żeby pójść ścieżkami prowadzącymi do lasu porastającego góry Morvan.

– Dlatego właśnie wybrałem to przejście – wyjaśnił François. – Wśród drzew będzie trudniej nas dostrzec niż na drogach. Na papierze to wydawało się rozsądne.

W środku nocy nikt już nic nie mówi. Robi się coraz zimniej, a wilgoć przenika nas do kości. Odgłosy lasu wydają się takie bliskie. Pohukiwania, okrzyki, świergotanie, szeleszczenie, ryki. Gdy nic nie widzimy, wyostają się pozostałe zmysły. Happy warczy. Zdaję sobie sprawę, że mocniej niż powinienem zaciskam dłoń na sznurze. Kiedy wschodzi księżyc, cieniutki rogalik odcina się od nieba czarnego jak atrament i oświetla nam drogę nieco lepiej niż podczas poprzednich nocy.

Nagle wszyscy krzyczymy: sowa albo jakiś inny ptak przelatuje nam tuż nad głowami.

– My... Myślicie, że są tu nietoperze? – wysapuje François.

– Zatrzymajmy się na chwilę – decyduje Marco. – François wydaje się wykończony.

Chłopak protestuje, ale wszyscy chętnie trochę odpoczniemy. Żeby się ogrzać, rozpalamy ognisko z chrustu, którego nazbieraliśmy za dnia.

Patrzymy w płomienie, drapiąc się niemilosiernie. To brud albo wszy, trudno stwierdzić. Ogień snuje opowieści z innych wieków. Czasem widzę w nim obrazy z WOT. Bolą mnie mięśnie nóg, a żołądek domaga się trochę więcej jedzenia niż te resztki, które nam zostały. Chce mi się także pić. Brakuje nam wody. Owijamy się w śpiwory i układamy wokół ogniska. Happy kładzie się tuż obok mnie. Przed zanurzeniem się w samotność snu ustalamy porządek wart. Marco nalegał, żeby nie tracić czujności mimo spokoju panującego w tej okolicy. Jako pierwszy stanął na straży.

Budzi mnie godzinę później, pokazując na migi, że nie widział nic podejrzanego. Oddaje mi bez słowa okulary i pogrąża się w głębokim śnie.

Tylko ja czuвам, przyglądam się niebu i granicy lasu. Stéphane porusza się i wychodzi ze śpiwora.

– Jakiś problem, Stéphane? – pytam szeptem.

– Nie. Muszę siusiu – odpowiada równie cicho.

Uśmiecham się i podaję jej noktowizor.

– Z tym będziesz lepiej widziała.

Bierze ode mnie okulary i je wkłada. Gwiazdy są tak jasne, że widzę, jak Stéphane wchodzi do lasu. Czekam na jej powrót.

Czekam na jej powrót.

Happy, tuż obok mnie, zaczyna nagle warczeć.

– Czego chcesz, staruszku?

Złe przeczucia zmieniają się w panikę.

Bez chwili namysłu wstaję i biegnę ile sił w nogach, Happy podąża za mną.

– Stéphane!

Jej imię więźnie mi w gardle. Gdzie ona jest? Im bardziej zagłębiam się w las, tym mniej widzę. Opieram się pokusie zapalenia czołówki, w obawie, że jeszcze bardziej wystawię się na potencjalne niebezpieczeństwo. Biegnę za Happy, który wysunął się na prowadzenie i chyba

wie, dokąd iść.

Nagle widzę Stéphane na polance niemal takiej samej jak ta, którą właśnie opuściłem, i przez głowę przebiega mi absurdalna myśl o świecie równoległym. Nigdy jeszcze nie widziałem takiej Stéphane, jak teraz, w świetle gwiazd, w którym skąpane jest to miejsce. Stoi nieruchomo, zeszywniała, z rękami wzdłuż ciała, jakby sparaliżowana. Pozostaję ukryty na skraju lasu i szepczę:

– Stéphane?

Dziewczyna ma spiętą twarz, oczy wlepione w jeden punkt. Całe jej ciało jest nieruchome, jak skamieniałe. Wreszcie podążam za jej wzrokiem.

Serce zaczyna mi walić jak szalone.

Dopiero teraz zauważam, że Happy znów warczy od kilku sekund.

Wilk stojący naprzeciw Stéphane warczy znacznie głośniej.

Cztery inne czatują zaledwie dwa metry od pierwszego.

To dorosły, może nawet stary wilk o siwej sierści, w dziwny sposób przypominającej barwą włosy i oczy Stéphane. Oczy zwierzęcia mają za to pomarańczowy odcień. Wilk próbuje ją zdominować. Boi się, ale wyczuwa, że dziewczyna boi się jeszcze bardziej. Ojciec powtarzał mi, że nigdy nie wolno okazywać strachu w obecności przeciwnika, bez względu na to, kim jest. Ale jest już za późno, Stéphane nad niczym nie panuje, dobrze to widzę.

Wilk robi krok w przód i napina mięśnie. W całej watasze wzrasta napięcie.

Budzi się we mnie Adrial, ale się mu opieram. Od zabójstwa Reggiego ta postać mnie niepokoi. Boję się okrucieństwa, do którego jest zdolna. Koncentruję się, szukając jednocześnie noża w kieszeni.

Wyjmuję broń.

Bestia zbiera się w sobie i szykuje do skoku.

Mocno ściskam rękojeść noża.

Strach tak bardzo opanował Stéphane, że wyczuwam jej przerażenie, niemal mogę go dotknąć.

Czy ostrze jest wystarczająco duże, żeby...? Żeby co tak naprawdę? Żeby znów przelało krew, zadało ból? Śmierć? Tego rodzaju broni użyłby Adrial. A ja? Czy to jest mój rodzaj broni?

Nie. Nie jestem Adrialem. Chowam nóż.

Wilk warczy głośniej. Z pyska leci mu strużka śliny.

Happy jest cały spięty. Obnaża dziąsła.

Trzymam Adriala na dystans, ale przypominam sobie jedną z jego przygód, którą przeżył w czasach prehistorycznych, podczas Wojny Drapieźców. Tubylec uratował go przed atakiem dzikiego zwierzęcia: zakręcił jakimś przedmiotem nad jego głową. Ten przedmiot wydawał świst i nazywał się czurynga.

Myślę szybko i przeszukuję kieszeń kurtki. Obym jeszcze to miał... Jest! Łapię plastikową osłonę na telefon komórkowy i słuchawki. Wilk warczy. Staram się opanować drżenie rąk. Przewlekam końcówki kabla przez otwór służący do podłączania głośnika. Biorę głęboki wdech i wstaję. Wychodzę na polankę, żeby znaleźć się przed Stéphane. Drapieźnik gotuje się do skoku. Robię czuryngą szeroki zamach nad swoją głową, niczym procą. Powietrze wpada w otwór przeznaczony na obiektyw aparatu fotograficznego i rozlega się ostry świst, przypominający odgłos wiatru podczas burzy.

Wystraszony wilk cofa się i czym prędzej umyka do lasu. Niecałą sekundę później ucieka cała wataha.

Happy, szczekając, rzuca się w pogoń za drapieźnikami. Wreszcie dociera do mnie, że dźwięk czuryngi niepokoi także psa, i przestaję kręcić instrumentem.

Niewyraźny odgłos sprowadza mnie na ziemię. Za mną klęczy Stéphane.

Czym prędzej podchodzę do niej, żeby zdjąć jej okulary. Są mokre, tak samo jak policzki szarookiej. Dziewczyna płacze w ciszy, jakby jej łzom nie towarzyszył nawet oddech. Jakby czas się zatrzymał. Zmieszany jej zagubionym wyrazem twarzy klękam obok, biorę ją w ramiona i tulę. Przypominam sobie nagle arabską piosenkę, którą śpiewała mi mama. Kołysankę. Nie wiem, co znaczą słowa, ale nucę ją cicho do ucha przyjaciółki:

– „Mama, mama gaya, bahdy chouilla, gayba halawouillettes”.

Wspomnienia przeszywają mi serce i lzy kapią na puchówkę Stéphane.

– Obiecaj mi, że nic im nie powiesz – prosi, kiedy kładę się obok Marca i François.

Nie mam śmiałości jej odpowiedzieć, że czasem powinna schować dumę do kieszeni. Bać się dzikiej bestii to żaden wstyd. Mimo to obiecuję jej, a później zasypiam, podczas gdy ona staje na warcie. Najwidoczniej nie jest w stanie zmrużyć oka. Jak czatujące zwierzę.

7 GRUDNIA

O świecie wszystko jest tak białe – nawet słońce – że nie widać linii horyzontu. Mijamy kilka gospodarstw zawieszonych w tej jednorodnej przestrzeni. Są zamieszkałe, wskazują na to dymy unoszące się z kominów i krowy spokojnie skubiące na pobliskich łąkach żdźbła trawy oszczędzone przez mróz. Można powiedzieć, że dla nich świat się nie skończył. Nie wszyscy ich pobratymcy mieli równie dużo szczęścia. Wczoraj, gdy w nadziei na znalezienie schronienia weszliśmy do jednej z opuszczonych obór, ujrzelśmy z przerażeniem uwięzione, konające z głodu krowy. Ich ciała wydzielały okropny smród, a widok ich wzdętych wymion wyrwał nam z gardła okrzyk zgrozy.

Moglibyśmy poprosić o gościnę w jednym z tych gospodarstw prowadzonych przez ludzi w naszym wieku, ale boimy się, że zostaniemy zadenuncjowani. Tym razem nie udało nam się znaleźć żadnej kryjówki, tymczasem słońce wstaje, wystawiając nas na niebezpieczeństwo. Myślałem, że lasy Morvan są gęstsze. W rzeczywistości części zalesione poprzecinane są rozległymi łąkami i terenami upraw. Idziemy więc w szeregu, a ja jestem dumny, że maszeruję z moimi towarzyszami i Happy. Jesteśmy ocalonymi, a jednocześnie dezertkami – postanowiliśmy wziąć nasze życie we własne ręce. Nie chcemy, żeby kierowali nami dorośli. Świat pulsuje wokół nas, a być może także dla nas.

– Musimy teraz koniecznie odpocząć – zauważa cicho Marco, patrząc na białe słońce i osłaniając oczy ręką. Szliśmy przez większą część nocy i cały poranek.

– Cały czas boję się, że zobaczę drona – odzywa się François. – Myślicie, że one mogą strzelać?

– Tamtędy – mówi Stéphane, żeby nie odpowiadać na pytanie, i wskazuje las. – Prześpimy się pośród tych strzelistych, gęsto rosnących drzew. To są iglaki, ich gałęzie zapewnią nam osłonę przed donosicielami.

Wchodzimy między ciszy i sosny. Lubię zapach żywicy drzew iglastych, wyczuwalny nawet w zimie. Rozpalam ognisko, ale ogień szybko gaśnie z powodu wilgoci, a żadne z nas nie jest w stanie czuwać nad nim, doglądać go i podtrzymywać. Jesteśmy na łasce wilków. Wyczuwam, że Stéphane o tym właśnie myśli. Nie mamy wystarczająco dużo sznurka, żeby przywiązać się do gałęzi drzew, jak sugerował mój podręcznik survivalu, który niestety zgubiłem w Rodanie, proponuję więc, żebyśmy zbudowali sobie szałas. François buduje go z gałęzi powiązanych sznurkiem. Techniki wznoszenia szałasów nauczył się jako maluch, kiedy przez rok należał do skautów. Dobrze się bawimy, wznosząc to czasowe schronienie. Jesteśmy szczęśliwi jak dzieci.

Po zjedzeniu skromnego posiłku kładziemy się do snu. Happy leży obok mnie, a ja przed zamknięciem oczu jak zwykle wymieniam spojrzenie ze Stéphane. Uśmiechamy się do siebie, a nasze serca wypełniają się przyszłymi snami. Jest to jeden z naszych rytuałów. Zасыpiam z uśmiechem na ustach.

Pobudka jest brutalna. Marco potrząsa mną energicznie, a jego słowa działają na mnie jak lodowaty prysznic:

– Wojskowi są tuż-tuż. Pakujcie plecaki. Musicie się stąd zmywać. Szybko.

Pospiesznie wychodzę ze śpiwora, a Marco opowiada nam, że widział żołnierzy kręcących się w pobliżu. Nie zauważyli nas jeszcze, ale to kwestia czasu.

Jest późne popołudnie, a wokół już niemal ciemno. François robi się zupełnie biały, kiedy docierają do niego słowa Marca. Zaintrygowany Happy podnosi pysk. Stéphane jest już gotowa do wymarszu.

Słucham planu Marca i nagle zauważam, że w dłoni trzyma broń. Spróbuje zatrzeć ślady i opóźnić żołnierzy, gdy my będziemy uciekać. Protestuję:

– Nie ma mowy. Trzymamy się razem.

Piorunuje mnie wzrokiem.

– To twoją skórę ratowałem, kiedy musiałem zabić jednego z nich w Lyonie! To przez to nas szukają, to przez twój wypadek na wodzie straciliśmy dwa dni! Dlatego teraz bez dyskusji zrobisz, co ci mówię.

Jestem tak wściekły, że łzy napływają mi do oczu. Jak on śmie mówić do mnie w taki sposób? Nie pamięta, że ja też zabiłem? I Stéphane? Każdy z nas musi z czymś sobie radzić. A cierpienie nie daje żadnych praw. Żadnych!

– No już, pospieszcie się – burczy Marco. – Już was tu nie ma.

Uważa, że jest w WOT, czy co?

– Spotkamy się przy stacji RER Gentilly – rzuca przed wyjściem z szałasów – jeżeli uda mi się do was dotrzeć.

– Widzimy się wcześniej – mówię na odchodne. – Musimy się odnaleźć przed wkroczeniem do Paryża!

Stéphane daje nam znak, żebyśmy poszli przodem. Pewnie chce przemówić mu do rozsądku. Przechodzimy około pięciuset metrów w zimnie, zanim nas dogania. Bierze mnie na bok. Zostanie z Markiem, ja muszę zająć się François – wyjaśnia. Mówi, że tylko ona będzie mogła go powstrzymać.

Moje oczy wypełniają się łzami, natychmiast ogarnia mnie wstyd. Stéphane mnie przytula, jakby chciała dać mi możliwość ukrycia zakłopotania. Ja też ją obejmuję. Po chwili się rozdzielamy. Stéphane zawraca. Słyszę jej kroki na śniegu, kiedy biegnie, żeby dołączyć do Marca.

Już za nią tęsknię. Mam nadzieję, że nie spotka wilków. Powinienem był dać jej moją czuryngę.

Odległe wystrzały mrozą mi krew w żyłach. Kto strzelał. Nie ma czasu, żeby to sprawdzić. Trzeba uciekać.

Krajobraz nadal jest zaśnieżony. O tej godzinie biel wydaje się poszarzała. François, Happy i ja biegniemy ścieżką, która prowadzi w las. Orientuję się, że to ja mam noktowizor, i wydaję go z plecaka. W głowie kłębią mi się najróżniejsze myśli. Wszystko to wydarzyło się zbyt szybko, nie tego chciałem. Powinienem narzucić swój punkt widzenia: że bez względu na wszystko trzeba trzymać się razem! W rzeczywistości niewiedza na temat tego, co dzieje się ze Stéphane, jest dla mnie nieznośna. Ale jest już za późno, żeby się cofnąć.

Rogalik księżycyca oświetla nasz oszalały bieg. Ile czasu uciekamy w ten sposób? Staram się nie myśleć o wojskowych. Prześladowuje mnie obraz miotacza ognia wymierzonego w moją stronę. A także drona. Nie myśleć o tym, uspokoić bicie serca.

Nagle słyszę odgłos upadku, a potem jęk.

Odwracam się.

Jakiś cień rzucił się na François.

NOC Z 7 NA 8 GRUDNIA

François!

Ktoś trzyma go mocno i przykładła mu do szyi ostrze noża. W słabym świetle późnego zmierzchu dostrzegam, że napastnik ma na głowie rodzaj... ptasiego dziobu o wydłużonych nozdrzach. Za nim widzę białą furgonetkę. Happy warczy.

– Trzymaj psa. Każ mu wskoczyć na tył furgonetki.

Głos jest dziwny, jakby syntetyczny, ale to głos dorosłego. A jednak biały samochód raczej nie należy do armii. Poza tym żołnierz wcale nie przejmowałby się moim psem.

– Rób, co mówię, albo poderżnę gardło twojemu kumplowi.

Rzucam się na Happy'ego, żeby złapać go za szyję. Głaszczę psa, żeby go uspokoić.

– Yannis! – jęczy François.

– Zamknij się albo cię zabiję.

François wybucha płaczem.

– A teraz ty: wchodź na tył furgonetki razem z psem.

– Krwawię – jęczy François.

– Zamknij się, mówię. A ty, szybciej!

Robię, co każe, ciągnąc ze sobą Happy'ego. Później napastnik rzuca François na tył samochodu. Tylko płyta z pleksiglasu oddziela nas od porywacza. Furgonetka rusza pędem. Prerażony François nadal cicho płacze.

Samochód jedzie od dobrej godziny, ale ja czuję się tak bardzo zdezorientowany, że już niczego nie jestem pewien. W ciemności czas się dłuży. W pewnej chwili furgonetka się zatrzymuje i silnik gaśnie. Rozpoznaję szum lasu. Tylne drzwi otwierają się z hałasem.

– Wychodzić! – rozkazuje skrzeczący głos.

Oślepieni przez czołówkę, nie widzimy twarzy dorosłego. Przyglądam się z uwagą jego postaci. Najbardziej zastanawia mnie to, że nie ma na sobie kombinezonu ABC, tylko wełnianą czapkę, długą puchówkę, szerokie spodnie i ocieplane, pobrudzone błotem buty. Zapach rozgniecionego jaśminu miesza się z innym, gęstym i intensywnym, który przywodzi mi na myśl zupę. Woń dochodzi ze wznoszącego się przed nami gospodarstwa. Mimowolnie przetykam ślinę. Postać daje nam znak, żebyśmy za nią szli.

– Pospieszcie się!

W ciemnym wnętrzu domu wszystko jest małe, skromne i przytulne. Lepiej tu czuć apetyczny zapach. Rozżarzone polana w kominku roztaczają łagodne ciepło. Mimo okoliczności jestem wzruszony: tak bardzo marzyłem o ogniu na kominku przez wszystkie te dni i noce, które spędziliśmy, trzęsąc się z zimna! Kocioł wisi nad ogniem. Rozpoznaję zapach domowej zupy z dużą ilością mięsa, warzyw i przypraw.

Meble są z drewna, a biblioteczkę wypełniają książki. Spod sufitu zwisają klatki z ptakami. Ptaki cicho ćwierkają. Dwa koty z nastroszonymi ogonami, porośnięte gęstą sierścią, skaczą po meblach, aż osiągną belek stropowych. Kładą się na nich i z góry parskają na Happy'ego, który kręci się nieufnie i trzyma dystans. Porywacz robi w ich stronę uspokajający gest, a później wskazuje nam taborety. Siadamy z François ostrożnie. Postać zapala świece, a później znika w mroku kuchni. Słyszymy, że napełnia jakieś naczynie. Czy to naprawdę odgłos wody z kranu? Rzucamy sobie z François zdumione spojrzenie. To niemożliwe, od dawna nie ma już bieżącej wody. Przed Happy'm pojawia się miska i pies zabiera się do chleptania.

Po powrocie do salonu nieznajomy zdejmuje dziób, przymocowany za pomocą gumowej taśmy, i odwraca maskę. Wypadają z niej suszone zioła i kwiaty. W całym pomieszczeniu unosi

się odurzający zapach jaśminu. Nagle wszystko staje się dla mnie jasne: dziób przypomina maski ochronne, których używano w Marsylii podczas wielkiej epidemii dżumy w 1720 roku. Pokazywano nam kiedyś taką podczas lekcji historii. Wypełniano je ziołami, mającymi rzekomo przeciwdziałać zarażeniu.

Twarz nadal ukrywa się pod dziwnym aparatem z okrągłą siatką na usta. Nieznajomy siada na ławie, żeby zdjąć przemoczone buty. Zdejmuje też puchówkę. Wciąż ma na sobie obszerny wełniany sweter, bez wątpienia zrobiony na drutach. Ściąga i tę część garderoby, bo kominek dobrze grzeje.

Nie ma w sobie nic z wojskowego.

Zdejmuje też aparat z twarzy i wiesza go na gwoździu wbitym w gipsową ściankę, tuż obok dziobu. W końcu zdejmuję czapkę i odwraca się w naszą stronę.

Ma długie blond włosy, związane w koński ogon. Delikatny nos. Mocno zarysowane usta. Łagodne, głębokie czarne oczy. Cienkie zmarszczki na czole, wokół oczu i kącików ust. Ten mężczyzna jest kobietą.

– Czego chcecie? – pyta swoim naturalnym głosem, łagodnym i spokojnym.

– Eee... Niczego – odpowiadam.

– To przecież pani... – zaczyna François.

Patrzemy na siebie, całkowicie zbici z tropu. Ptaki w klatkach ćwierkają bez przerwy. Kot w czarne i szare pręgi stara się ułożyć na moich kolanach. Happy przegania go jednym kłapięciem pyska. Kobieta pyta ponownie:

– Boicie się?

– To... To zależy czego – odpowiadam.

– Aaa, uważasz, że strach zależy od czegoś! Piekła się boisz?

– Tak – potwierdzam, wdechając.

– Cóż, wydaje mi się, że to wystarczy.

Przez kilka sekund przygląda się nam badawczo, później jej wzrok łagodnieje.

– Wybaczcie, że w pierwszej kolejności zajęłam się psem. Nabrałam tego zwyczaju niedawno. Najpierw zwierzęta.

A później nagle pyta:

– Macie siły? Możecie mi pomóc?

Zostawia nas zdumionych i idzie do kuchni. Po chwili wraca z dwiema szklankami wody i dwiema miseczkami. Zanurza chochlę w kotle nad ogniem i napełnia naczynia zupą. Ustawia je na stole i odwraca się w naszą stronę. Zupa pachnie pysznie.

– Jedzcie – mówi po chwili. – To dla was.

François rzuca mi pytające spojrzenie. Kiwam głową na znak, że jej ufam. Czy mamy zresztą wybór? Umieramy z głodu! Wyciągam rękę, żeby wziąć szklankę. Naprawdę chciało mi się pić, a woda smakuje jak nektar. Później rzucam się na zupę. Od wieków nie jadłem czegoś równie pysznego! Mam łzy w oczach. François idzie w moje ślady. Tymczasem kobieta udziela nam wyjaśnień, robiąc długie przerwy między zdaniem:

– Byłam w trakcie wybierania drobnych zwierząt, które wpadły w zastawione przeze mnie pułapki. Robię to w nocy, gdy księżyc świeci wystarczająco jasno, żeby nikt mnie nie zobaczył. Tak dobrze znam ścieżki w okolicy, że mogę jeździć samochodem bez zapalonych świateł. I całe szczęście, bo od 1 grudnia to cholerne prawo zabrania poruszania się autem. Byłam w szoku, kiedy rozrzučili po całym regionie ulotki z informacjami na ten temat. Do pewnego stopnia stan wojenny jednak mi odpowiada. Dzięki temu młodzi z okolicznych gospodarstw już mnie nie napastują. Początkowo chciałam im pomóc, ale dla nich jestem tylko starą wariatką, wiedźmą, którą trzeba zgładzić. To, że przeżyłam, wzbudza ich strach. A także ich

drażni. Woleliby, żeby to ich rodzice znaleźli się na moim miejscu. Kiedy jestem poza domem, ograbiają mnie z żywności i niszczą moje urządzenia. Moje urządzenia... No właśnie, o to mi chodzi. Nie są jeszcze skończone, a muszę działać szybko. Czekam na kogoś. Dlatego właśnie was porwałam.

Dorośla, żywa osoba stoi przed nami. Mówi do nas. Nie celuje do nas z broni ani nam nie grozi. To mi się wydaje zupełnie nadzwyczajne!

– Kiedy zobaczyłam was na drodze, pomyślałam, że należycie do bandy tych gnojków, którzy tylko szukają okazji, żeby na mnie napaść. Ale zauważyłam waszego psiaka. Nikt zły nie zostałby z trójnogim psem...

– A to... Co...? – ośmiela się zapytać François, kreśląc kółko wokół swoich ust.

– Ach, ten aparat! To modyfikator głosu. Żeby napędzić stracha napastnikom.

– Działa – mamrocze François, trochę zły, że dał się nabrać.

Kobieta uśmiecha się i dodaje:

– Jeśli chodzi o dziób, uratował mi życie na początku epidemii. Teraz noszę go również po to, żeby zrobić odpowiednie wrażenie na osobach, które spotykam.

Pytam nieśmiało:

– A dlaczego pani...

– Dlaczego przeżyłam mimo moich pięćdziesięciu lat?

Na ułamek sekundy zapada cisza. Później kobieta znów się uśmiecha, a jej twarz promienieje bezgraniczną dobrocią.

– Nie wiem, dlaczego filowirus mnie nie zabił. Wiem tylko, jak mi się udało przeżyć później. Przed całym tym chaosem należałam do komuny ekologów. Już wtedy obywaliśmy się praktycznie bez prądu, więc moje zwyczaje niewiele się zmieniły. Najtrudniejsze było doprowadzenie bieżącej wody.

Nabrawszy do niej zaufania, opowiadamy jej o większości naszych przygód w Lyonie. Ja opisuję też trochę moją podróż z Marsylii. Oczywiście błyszczy, kiedy mnie słucha.

– Powinniście się przespać, dzieci – stwierdza w końcu. – Po tym wszystkim, co przeżyliście, zasługujecie na to, żeby dobrze się wyspać w porządnym łóżku.

Prowadzi nas do pokoju wyłożonego boazerią, o stropie podpartym solidnymi belkami. Nie mamy śmiałości zapytać, do kogo należał ten pokój, ale wszystko wskazuje na to, że mieszkała tu dziewczyna. Łóżko przykrywa kolorowa narzuta, na ścianie wisi lustro oprawione w ramę z żelaza kutego w arabeski, na komodzie leży woreczek z lawendą. Najbardziej niezwykle mebel stoi pod oknem: kołyska z wikliny, ozdobiona koronkami. Czy miała też niemowlę? Nie warto zadawać zbyt wielu pytań... Pościel ładnie pachnie, kołdra wypchana jest gęsim puchem i mimo że muszę dzielić to duże łóżko z François, zasypiam w poczuciu bezpieczeństwa – być może iluzorycznym, ale całkowicie realnym.

8 GRUDNIA, RANO

Budzi mnie zapach gorącej czekolady i przez chwilę wydaje mi się, że jestem u siebie w domu. Że wstanę i zobaczę moją mamę w kuchni, że uśmiechnie się do mnie szeroko i rzuci mi radosne „dzień dobry”.

Kiedy wreszcie otwieram oczy, wraca poczucie rzeczywistości: François chrapiący obok mnie, moje cuchnące ubranie i świat pełen sierot. Mimo wszystko zdobywam się na odwagę, żeby wstać.

– Dzień dobry – szepcze duch mamy, siedzący na dębowym stole w salonie.

Obok kominka witają się ze mną duchy taty i Camili. Głaszczą Happy’ego, który ich ani nie widzi, ani nie wyczuwa. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Dzień dobry – rzuca do mnie kobieta.

Uśmiecham się do niej smutno. Ten sam smutek przesłania łagodne spojrzenie naszej gospodyni. Oboje spuszcza my oczy, ale decydujemy się odgrywać tę komedię jeszcze przez jakiś czas.

– Dzień dobry – odpowiadam, siadając przy stole, na którym czeka na mnie chleb z mąką pełnoziarnistą i konfitura z truskawek. – A właściwie jak ma pani na imię?

– Elissa, przez dwa „ss”. A ty?

– Ja jestem Yannis, a mój kolega – François. Mój pies, który chyba zajął pani dywan, nazywa się Happy.

– Happy – powtarza z uśmiechem, podając mi czarkę z gorącą czekoladą, podgrzaną na maszynce gazowej.

Później siada obok mnie i popija herbatę.

Siedzimy tak przez dłuższą chwilę w ciszy, smakując to, co zaistniało bez słów.

– Wie pani, myślałem, że wszyscy pozostali przy życiu dorośli stali się naszymi wrogami... I zupełnie nie rozumiałem dlaczego.

– A ja straciłam wiarę w całą ludzkość, mój mały Yannisie. Widziałam, jak nastolatki, które przeżyły, zamieniły się w prawdziwe bestie. Słyszałam opowieści o tym, że w dużych miastach żołnierze stworzyli aparat represyjny. Gdyby nie twój trójnogi pies, uciekłabym przed wami. Po prostu uciekłabym. Wzięłam do samochodu ciebie, twojego kolegę i waszego psa, kiedy zobaczyłam, że zwierzak was broni. Psy bronią tylko dobrych panów.

– Rozumiem.

– To istny cud, że przeżyliście. Chłopcy tacy jak wy już dawno zginęli.

– Mieliśmy szczęście – odpowiadam głuchym głosem, myśląc z bólem o gwoździu wbitym w szyję Reggiego.

„Chłopcy tacy jak my”? Co ona chce przez to powiedzieć? Sam już nawet nie wiem, kim naprawdę jestem.

– Kim ty naprawdę jesteś, Yannisie?

– Słucham... Słucham?

– Pewnie sam już nie wiesz...

– O czym pani mówi?

Przez kilka ładnych sekund badawczo mi się przygląda dużymi, czarnymi oczami.

– Czuję, że szukasz czegoś, o czym sam nie masz pojęcia. Być może siebie samego. Ale wiesz, w rzeczywistości siebie się nie znajduje. Siebie się tworzy. Wystarczy mieć idealne wyobrażenie siebie i czekać. Czy wiesz, kim chcesz się stać?

– Kim... Się stać? Kiedy wszyscy umarli?

– Tak. Ty tu jesteś. Ja jestem. Słońce na zewnątrz świeci, a trawa znów wyrośnie tej wiosny. A zatem to nie koniec świata.

– Ależ to jest koniec świata.

– Masz rację. Ale wiesz, w ciągu życia przeżywa się wiele końców świata. Najtrudniej przetrwać to, zachowując godność.

Wzdycha i wstaje, robiąc gest ręką, jakby odganiała powietrze przed sobą.

– Nie przejmuj się mną, Yannisie, samotne życie sprawiło, że dziwacznie. Nie wydaje mi się, żebym była odpowiednią osobą do udzielania ci lekcji na temat życia.

Drzwi się otwierają i staje w nich uśmiechnięty, potargany i zaspany François. W poranek taki jak ten może się wydawać, że świat sprzed katastrofy nadal istnieje.

Dzień mija nam na wykonywaniu prostych prac, jakby świat wcale się nie zawalił. Przestało padać i chyba zrobiło się trochę cieplej. Na zewnątrz widzimy turbinę, klatki z królikami i zagrodę dla kur, które dostarczają świeżych jajek. Elissa nauczyła się żyć całkowicie autonomicznie. Najpierw z innymi członkami komuny, a później, kiedy zmarli, sama. Ma do dyspozycji podręczniki botaniczne i rolnicze. Nauczyła się rozpoznawać lecznicze rośliny i uprawiać jadalne. Wraz z nastaniem chłódów zrobiło się to trudniejsze – teraz musi sobie radzić bez warzywnika. Była też zmuszona korzystać ze spiżarni w pobliskich domach i ze sklepów, żeby uzupełnić swoje zapasy. Jednak gdy tylko nastanie wiosna, nie będzie już musiała tego robić. Pomagamy jej zrealizować wielki plan: wkopać w ziemię rury pompy działającej na tłok hydrauliczny. Ta pompa pozwala jej zaopatrywać dom w bieżącą wodę, a rury trzeba zabezpieczyć przed nastaniem mrozów. Na szczęście chwilowo zrobiło się cieplej i śnieg trochę stopniał. Wystarczy przebić się przez zamrożoną warstwę na powierzchni – pod spodem ziemia jest sypka i łatwo się ją kopie.

Ta fizyczna, użyteczna praca dobrze mi robi, ale nie przegania moich niepokojów. Nieustannie myślę o Marcu i Stéphane. Obiecałem im, że będziemy na siebie czekać przed wyruszeniem do Gentilly. Ale przecież oni nie wiedzą, gdzie jesteśmy. To my musimy ich odnaleźć i mieć nadzieję, że nic złego im się nie przydarzyło. Wystarczająco ufam Elissie, żeby opowiedzieć jej o naszych przyjaciółach, podczas gdy ona przesiewa mąkę, przesypując ją przez moskitierę. Później z tej mąki robimy naleśniki. Smażymy je na patelni. Przypominają mi się chwile, kiedy obserwowałem mamę w kuchni. Na wspomnienie smaku miodu i robionych przez nią ciastek ślinka napływa mi do ust.

– Jutro wyruszamy – mówię na koniec. – Mamy spotkanie w Paryżu.

– Spotkanie?

– Z Khronosem! – rzuca François od niechcenia.

Posyłam mu piorunujące spojrzenie. Nie widzę jednak żadnego ryzyka w wyjawieniu naszych planów samotnej kobiecie, która nigdy z nikim się nie widuje. Opowiadamy jej więc o WOT, o wiadomości od Khronosa i naszym pragnieniu stawienia się na spotkaniu.

Kobieta odwraca się do nas z tajemniczym uśmiechem.

– Teraz lepiej rozumiem, dlaczego udało wam się przeżyć...

10 GRUDNIA

Śnieg jeszcze nie wszędzie stopniał: wokół gospodarstwa zostało kilka białych łąch. Jestem zadowolony, że pomogłem Elissie.

Doświadczyliśmy z François swego rodzaju odrodzenia: nasze ubrania zostały wyprane, ładnie pachną i są miękkie. Nasz ciała też są czyste, podobnie jak włosy, które umyliśmy szamponem przeciwłupieżowym. Nawet Happy'ego wykąpałem w miednicy! Poza tym dzięki butlom z gazem mogliśmy wybierać między ciepłym lub zimnym jedzeniem, w zależności od tego, na co mieliśmy ochotę. Mogliśmy nalewać wodę z kranów i chodzić do prawdziwej, suchej toalety. Te proste, ale jakże miłe wygody mają swoją cenę, którą z chęcią płacimy, zbierając, gotując, zmywając, kopiając, majsterkując...

Pozostajemy jednak czujni i często z niepokojem spoglądamy w niebo przed wyjściem z domu. Nie zapominamy, że w powietrzu mogą krążyć drony. Nie mówimy o tym Elissie, żeby jej nie przerażała, bo i tak wstyd nam, że bez jej wiedzy wystawiamy ją na niebezpieczeństwo.

Wspomnienie szczęścia, tak... Popijam parującą herbatę, oparty o drzwi wejściowe, podczas gdy François siedzi na schodkach, korzystając z ostatnich promieni zimowego słońca, które powoli chowa się za horyzontem. Patrę na Elisę zastawiającą sidła na skraju lasu. Wraca z triumfującą miną, trzymając w rękach coś w rodzaju myszy. Kiedy się zbliża, wyczuwam jej niesamowitą obecność. Kiedy jest w pobliżu, wszystko nagle się porządkuje. Znikają dawne i przyszłe dramaty. Nawet stan, w jakim znalazł się nasz świat, wydaje się naturalny, a każda najdrobniejsza rzecz natychmiast znajduje się na swoim miejscu. Elissa uśmiecha się zza obłoczka pary. Jest mroźno. W nocy znów padał śnieg. Dziś kopanie będzie trudne.

– Wspomniałaś któregoś dnia, że na kogoś czekasz, Elisso – odzywam się. – Na kogo? Jej uśmiech drży.

– Och, nie zwracaj uwagi na wszystko, co opowiadam. Czasem gadam głupstwa. Czekam albo nie czekam... Co to zmienia? To jak z waszym Khronosem. Czasem w to wierzę. Innym razem...

– A ta kołyska w sypialni? – dziwi się François.

– Ta... kołyska...

Elissa siada na pieńku. Wcześniej nie ośmieliliśmy się wspominać o kołysce – kto odważy się mówić o niemowlętach w samym środku apokalipsy?

François czerwienieje, jakby powiedział coś nieprzyzwoitego. Nasza gospodyni bierze głęboki oddech.

– Tak, czekam na kogoś. Chcę wierzyć, że nadal żyje. Moja córka... Miała osiemnaście lat i żyła ze swoim chłopakiem w Autun. Była... Była w ciąży. Pojechałam do niej. Wszystko było zdewastowane. Nie wiem, gdzie jest, ale ona wróci, wróci, ja... ja chcę w to wierzyć. Musi mnie tu znaleźć. Wszystko jest gotowe na przyjęcie dziecka. To dla tego dziecka robię to wszystko. Dla niego jest bieżąca woda. Wróć. Muszę zostać...

Wyraz twarzy Elissy nagle się zmienia i kobieta wstaje, czujnie się rozglądając. Happy, który gonił w śniegu jakieś zwierzątko, również staje jak skamieniały.

– Ktoś się zbliża – szepcze François.

François i Elissa są gotowi wycofać się do domu, ale powstrzymuje ich zachowanie Happy'ego. Pies szczeka radośnie i biegnie w stronę lasu. Tylko jedna osoba wywołuje w nim równie dużą niecierpliwość.

– Stéphane – mówię do siebie.

W tej samej chwili z lasu wyłaniają się dwie postacie. To ona! Widok przyjaciółki

przepelnia moje serce ulgą i radością... Ale coś jest nie w porządku.

Marco idzie przed Stéphane. W dłoniach trzyma karabin gotowy do strzału. Kieruje się prosto w stronę Elissy. Bledniemy, widząc jego twarde, lodowate spojrzenie.

– Ręce do góry!

Nie docierają do mnie te słowa, choć ich znaczenie jest proste. Spodziewałem się: „Cześć”, „Kim jest wasza przyjaciółka?” albo „Wszystko u was dobrze?”. Ależ ze mnie naiwniak! Można by pomyśleć, że zapomniałem, w jakim świecie żyjemy. Czas się zatrzymał, zmieniła się gęstość powietrza, z trudem oddycham.

Happy też w jednej chwili zrozumiał, że coś jest nie tak, i ujada na Marca.

– Ty, stara, dawaj kluczyki. Wy dwaj, idziecie poszukać prowiantu i wsiadacie do furgonetki.

– Marco, Stéphane – mamroczę.

Elissa patrzy na mnie zdumionym wzrokiem. Zrozumiała, że tych dwoje to przyjaciele, na których czekaliśmy z François.

– Dobrze – mówi spokojnie. – Dam wam kluczyki do furgonetki. Będziecie mogli pojechać z waszymi przyjaciółmi Yannisem i François. Czekali na was. A ja o was nikomu nie powiem.

– Ale ty jedziesz z nami! – wołam.

Wpatruje się we mnie łagodnymi oczami.

– Nie. Chcę tu zostać. Żeby czekać, dobrze wiesz, Yannisie. Nie zaryzykuję.

– Wystarczy tego! – ucina Marco.

Robi krok naprzód. Widzę, że zaciska dłonie na uniesionej broni. Palce mu drżą. Zaledwie metr dzieli lufę od czoła Elissy. Krew ścina mi się w żyłach. Cały czas rozbrzmiewa wściekłe ujadanie Happy’ego. Stéphane zbliża się z niezdecydowaną miną. Co ona robi? Dlaczego nie reaguje?

– Kluczyki! Ruchy! – rozkazuje Marco.

– Powiedziała już, że ci je da – protestuje François. – Opuść broń!

– Już się robi – burczy Elissa, grzebiąc w kieszeni. – Idźcie spotkać się z waszym Khronosem. Tylko on was uratuje. Uratuje was bez względu na to, czy istnieje, czy nie.

Na dźwięk imienia mistrza gry Marco robi się jeszcze bardziej nerwowy.

– A ty skąd znasz Khronosa? Współpracujesz z wojskiem? Chcesz nas złapać w pułapkę? Oszałał czy co? Zaciskam pięści ze złości.

– Zostaw ją! – mówię i stoję przed Elissą.

– Odsuń się, Yannis – rozkazuje mi.

Zaciska szczęki. Jest spięty. Ja jednak odpowiadam stanowczo:

– Nie.

Stéphane kręci głową, jakby też chciała powiedzieć „nie”. Ale czemu chce zaprzeczyć?

– Nie – szepcze z kolei François, żeby mi wyperswadować pomysł osłaniania Elissy swoim ciałem.

– Elissa jest naszą przyjaciółką – mówię. – To ja jej opowiedziałem o Khronosie.

„Stéphane, pomóż mi. Wytlumacz Marcowi, że musi mi uwierzyć!”

Happy zachowuje się jak oszałały na widok broni wymierzonej w moją stronę.

– Stul pysk, cholerny kundlu! – wrzeszczy Marco. – Stul pysk! To przez ciebie musiałem... musieliśmy...

Te przekrwione oczy! On nie jest sobą. Może mnie zabić, czuję to. Jest w stanie to zrobić! Stojąca dwa metry za nim Stéphane w końcu się rusza. Wyjmuje z kieszeni pistolet – cicho, jak szablę z pochwy. Zamykam oczy.

„Ty też, Stéphane, jesteś gotowa zabić naszą nową przyjaciółkę tylko dlatego, że podejrzewasz ją o współpracę z wojskiem? Myślisz, że do tego stopnia dałbym się wykorzystać?”

Wstrzymuję oddech.

– Opuść broń, Marco – mówi spokojnie Stéphane.

To nie we mnie celuje, tylko w Marca!

– Jeśli nie opuścisz jej w tej chwili, to cię zabiję – dodaje.

– Lady, oszalałaś, doskonale widzisz, że...

– Opuść tę broń, do cholery!

Marco nie reaguje.

– Natychmiast, Marco!

Chłopak chichocze:

– Nie strzelisz. Tak czy inaczej oboje stoimy po tej samej stro...

Wówczas Stéphane bez uprzedzenia przechodzi do działania. Zadaje mu cios kolbą z taką bezwzględnością, że dostaje gęziej skórki. Z całej siły uderza go w twarz i na śnieg tryska krew. Marco pada na kolana, nie wypuszczając broni z rąk.

– Opuść tę cholerną broń, natychmiast!

Marco wreszcie wypuszcza z rąk karabin i podstawia dłoń pod nos, z którego leje się krew. Rzuca w stronę Stéphane przerażone spojrzenie. Dziewczyna wygląda, jakby przed chwilą obudziła się z koszmaru. Szeroko otwiera oczy, jakby nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje.

– Już dobrze, Stéphane – mówię łagodnie.

Zbliżam się do niej i kładę dłoń na jej dłoni trzymającej pistolet. Chcę, żeby go opuściła. Pozwala na to. François podnosi z ziemi karabin Marca.

Wszyscy na chwilę kamienieją. Elissa przypomina woskową figurę w białym pejzażu, Stéphane kruszącą się marmurową kolumnę, Marco bezkształtną bryłę soli. Nagle ptak zrywa się do ucieczki z dachu.

– Wszystko w porządku, Stéphane. Wszystko w porządku. Oddychaj...

Elissa odwraca się i bez słowa wchodzi do domu. Rzucam okiem na błądą i odległą Stéphane, a potem idę za Elissą. Kobieta siedzi bezsilnie na krześle. Podnosi na mnie niespokojne spojrzenie.

– Czym wy się wszyscy stajecie? Co się z wami dzieje? Yannis, nie bądź taki jak oni. Wracaj do przyjaciół. Potrzebują cię. Pokaż im, że możliwa jest inna droga. Proszę cię.

Spojrzenie Elissy jest przepełnione dobrocią. Uśmiecham się do niej słabo, żeby ją uspokoić, a potem wybiegam na zewnątrz. Chcę pomóc Stéphane, która wymiotuje na kupę nawozu. Całe jej ciało buntuje się przeciw przemocy, którą musiała posłużyć się przed chwilą.

– Musiałam... Musiałam to zrobić, Yannis – udaje jej się wydusić po dłuższej chwili. – Inaczej on zabiłby twoją przyjaciółkę i Happy'ego...

– Tak. Widziałem. Zrobiłaś, co należało.

Sam raczej nie uderzyłbym go w twarz. Tylko że wcześniej nie wiedziałem też, że pewnego dnia kogoś zabiję, a jednak zostałem do tego zmuszony. Kim jestem, żeby ją osądzać? Wydaje się wystarczająco mocno poruszona.

Chwilę później, siedząc przy stole u Elissy, Stéphane opowiada monotonnym głosem, że Marco zabił trzech żołnierzy, którzy szli za nami w lesie.

– Z zimną krwią – uściśla i milknie.

To dlatego nalegała, żeby François natychmiast zamknął go z tyłu furgonetki, czyli de facto zneutralizował. Teraz się go boi. Nie wiem, co o tym myśleć. Marco już wcześniej zabił żołnierza, to prawda, ale wtedy ratował mi życie. Czy teraz ratował Stéphane? Ale dlaczego

w takim razie był gotów zabić François i mnie? Co go tak wkurzyło? Stéphane ciągle jest w szoku.

Elissa dołącza do nas z parującą filiżanką w rękach.

– Taki młody, a już zabójca – wzdycha.

Tak mocno ściska filiżankę w dłoniach, że aż jej palce zbieleły.

Stéphane wreszcie opuszcza swój wewnętrzny świat.

– Od trzech nocy was szukamy – rzuca z wyrzutem w głosie.

– Czekaliśmy na was – odpowiadam. – Zgodnie z planem.

Dziewczyna marszczy brwi. Ogień trzaska w kominku. Nie rozumiem. Czego oczekiwała ode mnie i François? Czy ma nam za złe tych kilka dni odpoczynku z Elissą, podczas gdy ona przeżywała prawdziwy koszmar? Ze złością zwraca się do mojej nowej przyjaciółki. Od początku patrzy na nią jak na zagadkę.

– Muszę wiedzieć, proszę pani: czy kilkanaście lat temu brała pani udział w programie badawczym dotyczącym szczepionki przeciwko zapaleniu opon mózgowych?

– Ja... już nie pamiętam, jakie szczepionki na mnie testowano. Bywałam królikiem doświadczalnym jakiegoś... trzynaście lat temu mniej więcej. Dobrze za to płacono, a ja wtedy byłam trochę splukana.

Elissa z pewnością otrzymała szczepionkę MeninB-Par, która dziś chroni przed śmiercią głównie ludzi między piętnastym a osiemnastym rokiem życia. Dlatego przeżyła epidemię.

– Marco myślał, że pracuje pani dla wojska. Wśród dorosłych ocalili tylko wojskowi. To dlatego...

Czy on oszalał? Stéphane nie kończy zdania i zmienia temat:

– Pozmywam. Chłopaki, zbierzecie swoje rzeczy w tym czasie? Powinniśmy się stąd w miarę szybko ruszyć.

Elissa dołącza do niej i słyszę, że szepczą w kuchni.

Kilka minut później Elissa wyciąga z kieszeni kluczyki do furgonetki i kładzie mi je na dłoni, a następnie zamyka moje palce.

– Daję ci moją furgonetkę. Już jej nie potrzebuję. Ja tylko czekam, a ty musisz iść swoją drogą. Taki jest porządek rzeczy.

– Ale wojskowi cię znajdą, Elisso...

– Nie przejmuj się mną. Mam duże zapasy. A przyszłość to ty. Wy. Musicie ocaleć.

Wskazuje na Stéphane i François przed samochodem.

– Jedźcie już.

Rzucam się jej w ramiona. Nagle wydaje mi się taka krucha. Łzy spływają mi po policzkach. Co się z nią stanie? Czy kiedyś znów ją ujrzę?

– Wszystko będzie dobrze – szepcze.

– Yannis – popędza mnie Stéphane. – Trzeba się spieszyć, inni żołnierze mogą być blisko.

Odsuwam się od Elissy. François ładuje rzeczy na tył, a później we trójkę siadamy z przodu samochodu. Happy kładzie się u stóp Stéphane i François. Wkładam kluczyk do stacyjki. Silnik zaczyna warczeć. Wciskam gaz, zmuszając się, żeby nie patrzeć w lusterko.

NOC Z 10 NA 11 GRUDNIA

Łzy płyną mi z oczu w ten późny wieczór. Mam już dość tracenia i opuszczania ludzi!
Dość!

Stéphane gładzi mnie po policzku. Jej dotyk mnie uspokaja. Chciałbym, żeby jej ciepłe palce pozostały na mojej skórze.

– Wiecie co? – odzywa się François. – Happy czułby się tysiąc razy swobodniej z tyłu i... ja też. W ten sposób dotrzymam towarzystwa Marcowi, zobaczę, czy wszystko z nim w porządku. I przypilnuję go, jeśli będzie trzeba.

Zatrzymuję ciężarówkę i wysiadam, żeby otworzyć klapę.

– Zwiążaliście Marca? – krzyczę. – W jego stanie?

Bardzo krwawi z nosa, a tworzący się skrzep utrudnia mu oddychanie.

– To Stéphane... – mamrocze François.

– Cholera – mruczy Stéphane.

Przerażona stanem Marca, oczyszcza jego nos watą. W końcu znów postrzega go tak, jak powinna: jako istotę ludzką. Udaje mu się zjeść trochę tego, co mu podaje.

– Przepraszam – szepcze Marco.

Ogarnia nas zdumienie.

– Przepraszam – powtarza.

Jego oczy błyszczą w mroku.

– Chciałem was chronić.

Wydaje się teraz żaloszny.

– Uwolnijmy go! To nie zwierzę, Stéphane. Puściły mu nerwy i tyle.

– Niech ma przynajmniej związane ręce.

Dziewczyna wbija we mnie swoje szare oczy. Wyczytuję w nich strach. Taki sam jak wtedy, gdy otaczały ją wilki. Twarz Marca wykrzywia grymas bólu, ale ulegam Stéphane. Nie mogę znieść tego strachu, który mnie również przenika.

Powietrze jest chłodne, czym prędzej zajmuję więc miejsce za kierownicą, w ciepłe kabiny. Noc zapada nagle. Wkładam noktowizor, a Stéphane wyjmuje drugi z dużej torby, którą położyła na kolanach.

– Skąd masz te okulary?

– Należały do żołnierzy, których zabił Marco.

– Co tam masz poza tym?

Okazuje się, że w torbie ma cały magazyn z bronią: cztery pistolety automatyczne i półautomatyczne, trzy SIG-Sauer 38 i jeden Manurhin. Granaty. Są też dwa karabiny maszynowe...

Nie podoba mi się to, jestem w rozterce. Mam ochotę powiedzieć, żeby wyrzuciła całą tę broń i zachowała tylko po jednej sztuce dla każdego z nas. Pistolet na głowę, to całkowicie wystarczy.

Ale jak to zrobić? Rozumiem, że po traumatycznym doświadczeniu, jakim było zabójstwo trzech żołnierzy, Stéphane potrzebuje poczucia bezpieczeństwa. To rzuca się w oczy. Chce zneutralizować Marca. Mieć broń. Bezsilnie kręcę głową w mroku i wciskam gaz.

Po długich minutach jazdy zadaję pytanie, które dręczy mnie od jakiegoś czasu:

– Myślisz, że Elissa coś ryzykuje?

Stéphane zapadła się w milczenie. Muszę nalegać, żeby wydobyć od niej odpowiedź.

W końcu odzywa się:

– Nie. Elissa jest sprytna... Poza tym dlaczego żołnierze mieliby zrobić jej krzywdę? Interesują ich tylko ci, którzy zabijają wojskowych. Marco. Ja, z uwagi na niego. No i ty...

Jestem tak zaskoczony, że aż zjeżdżam z drogi. Co to ma znaczyć?

– Ja nie zabiłem żadnego żołnierza – protestuję.

– Tylko że oni mają to gdzieś. Wrzucają nas wszystkich do jednego worka.

Wkłada kasetę do odtwarzacza. Z głośników dobiega francuska piosenka z lat siedemdziesiątych. Otula nas muzyka.

– Uznali cię za przestępcę, Yannis – wyjaśnia jednym tchem. – Puścili za nami pogoń, będą nas ścigać. I będą na nas czekać na spotkaniu z Khronosem, żeby was... żeby nas zabić.

– Co?

– Jeden z żołnierzy miał przy sobie pendrive'a. Zdążyłam przejrzeć część jego zawartości na tablecie, zanim sprzęt został zniszczony. Wzięłam tego pendrive'a ze sobą. Mają foldery o każdym z nas. Osobny na temat Marca, François, mnie, ciebie. W ich oczach jesteście mordercami. Co więcej, znaleźli nasz wspólny punkt: wszyscy zmierzamy do Paryża na to samo spotkanie. Dlatego stało się ono w ich oczach spotkaniem kryminalnym. Rozumiesz?

Potrzebuję dłuższej chwili, żeby przetrwać tę katastrofalną wiadomość. Mimo to cała opowieść pozostaje dla mnie niejasna i niespójna. Staram się połączyć w całość wszystkie fragmenty, o których opowiada Stéphane.

– Skoro wojskowi na nas czekają, czemu chcesz tam jechać?

– Nie pomyślałam o tym...

Nie pomyślała. Odwróciła ode mnie wzrok. Czy ona coś przede mną ukrywa?

– Chciałam stamtąd odjechać – ciągnie – żeby nie ściągnąć waszej przyjaciółce wojska na głowę.

– Mimo wszystko nie rozumiem. Zaangażowali tyle jednostek, żeby przymknąć czworo nastolatków? To dość dziwne. Nie wydaje ci się, że chodzi o coś jeszcze?

Może **powodem** całej tej obławy jest to, że zamierzamy stawić się na spotkaniu z Khronosem? Być może wszyscy Eksperci są ścigani? Możliwe, że władze boją się Khronosa? Może on posiada rzeczywistą moc, która ich przeraża?! Możliwe, że ten pendrive zawiera informacje, których nam brakuje, a może nawet – kto wie – dane Khronosa?! Stéphane przerywa tę gonitwę myśli.

– A ty myślisz, że można jeszcze komukolwiek zaufać, Yannis?

– Ty możesz całkowicie mi zaufać. To mogę ci obiecać.

Pojawiają się pierwsze wieżowce. Stolica pogrążona jest w mroku. Nasz niepokój nagle wzrasta. Jaka sytuacja panuje w Paryżu? W Lyonie było inaczej niż w Marsylii. Ilu uzbrojonych wojskowych patroluje miasto? Czy i tu istnieją Z-Punkty i ile ich jest? Ilu jest szabrowników i ile gangów? Ile dronów? Na razie zaskakuje mnie przede wszystkim brak odgłosów natury: pomrukiwań, okrzyków, śpiewów i trzasków. Tylko ciężka, lodowata, niepokojąca cisza.

Na horyzoncie nie widać żadnej wartowni ani człowieka muchy. Nie ma też helikopterów trzmieli. Ani żadnego nastolatka. Wszystko jest uśpione... Albo raczej martwe.

Udało mi się przekonać Stéphane do rozwiązania Marca, który dołączył do nas w kabinie. Ustąpiła, bo go potrzebujemy – tylko on trochę zna to miasto. Zaprowadzi nas do swojego kolegi Eksperta. Ledwie go uwolniliśmy, a już Marco syknął z ironicznym grymasem:

– Gotowa na rodzinne spotkanie, Stéphane? Zostaniemy zaproszeni?

– Co to ma znaczyć? – pytam zdumiony.

– On coś bredzi – ucina Stéphane. – Nie zwracaj na niego uwagi.

Kogo ma nadzieję odnaleźć w Paryżu? Swojego brata Nathana? Skąd w takim razie to napięcie między nimi? Kiedy Marco siada po prawej stronie Stéphane, dziewczyna truchleje. François zostaje z tyłu z Happyem.

Powietrze jest zimne i gęste. Bloki stają się coraz liczniejsze. Pozostałości poprzedniego życia są w oplakany stanie. Wygląda to gorzej niż w Marsylii. Plakaty reklamowe i kinowe zostały zerwane i podarte. No tak, od października minęło już sporo czasu.

Denerwuje mnie odgłos silnika. Boję się, że ten dźwięk pozwoli nas namierzyć. Przyspieszam, żeby szybciej dotrzeć do celu, ale omijam duże arterie. Ciasne, zniszczone uliczki przedmieść przypominają Marsylię i Lyon. Tu też widać porzucone samochody, wybite szyby, ślady podpaleń i przypadkowych pożarów, wywrócone śmietniki i bezdomne psy. Nagle ogarnia mnie strach, że spotkam gang szabrowników, którzy przegonią nas z ulicy. Porzucone auta często zmuszają nas do zawracania, co dodatkowo gra nam na nerwach. Sklepy, które mijamy, są całkowicie puste. We wszystkich miastach sytuacja musi być taka sama: wszystko zostało zniszczone. Zaopatrzenie będzie prawdziwym problemem. Jak przeżyjemy? Przychodzi mi na myśl Elissa.

– Zgaś silnik, Yannis – rozkazuje mi nagle Marco kilka minut przed dwudziestą drugą.

Nic nie widzi bez noktowizora, ale aparat byłby zbyt ciężki dla jego pokiereszowanego nosa. Musiał raczej coś usłyszeć. Natychmiast wykonuję polecenie i w ciągu sekundy nasza furgonetka ginie wśród innych pojazdów stojących na ulicy. Przez noktowizor dostrzegam rozkładające się trupy w sąsiednich samochodach. Kiedy słyszę warkot helikopterów, po plecach przebiega mi dreszcz przerażenia. Lecą nisko nad ziemią i zbliżają się do nas. Ze strachu ściskają nam się żołądki, tracimy oddech. Przelatują nad nami przez kilka sekund.

Serce bije mi wolniej.

Śmigła helikopterów metodycznie tną powietrze.

Z okrutną szybkością.

Po chwili dźwięk się oddala i milknie. Znow można oddychać.

Pełni niepokoju ruszamy w drogę.

Kilka minut później Marco, który z latarką studiuje mapę, oznajmia nam, że stacja RER Gentilly jest już bardzo blisko. Nagle u wylotu ulicy zaskakuje nas żółte, jaskrawe światło.

– Cholera, podświetlili stadion Charléty! – woła Marco.

Stadion jest pełen świateł. Czy to Z-Punkt?

– Wjedź na rondo, zawracaj! – rozkazuje mi Marco.

Objeżdżam rondo i przejeżdżam obok wiaduktu na autostradzie. Widzę tam jakąś zaporę. Skręcam... I nagle furgonetka wpada w poślizg.

– Co się dzieje? – krzyczy Marco.

– Strzelają do nas z tyłu!

Pociski z pistoletu maszynowego znaczą przednią szybę i lusterko wsteczne.

Instynktownie wszyscy schylamy głowy. Nie ma czasu pytać, czy ktoś został trafiony. Tracę kontrolę nad furgonetką, która robi nagły obrót. Opona pęka. Udaje mi się zatrzymać samochód, który niemal przewraca się na bok na wysepce. Rzucam okiem na Stéphane i Marca. Nic im nie jest. Mam nadzieję, że z François i Happyem też wszystko w porządku. Z prawej strony skierowano na nas potężne reflektory. Marco wysuwa głowę przez otwarte okno od strony pasażera i mówi bezbarwnym głosem:

– Nadchodzą.

Przykłada do ramienia jeden z karabinów maszynowych. Stéphane błaga go, żeby nie strzelał. On nalega, byśmy uciekali. A co z nim?

– Wyłaż przez tył furgonetki, François! – krzyczy. – No już!

Podziwiam jego zimną krew i rozsądek. Ale co z nim, na Boga? Znow chce się poświęcić dla nas?

Głos wzmocniony przez głośniki napawa nas lodowatym przerażeniem:

– Wychodźcie z pojazdu z rękoma do góry! Złamaliście prawo o godzinie policyjnej.

To wojskowi! Tylko bez paniki. Biorę głęboki oddech, a potem możliwie najostrożniej wychodzę od strony kierowcy. Nie mogą mnie zobaczyć. Happy szceka, podczas gdy François próbuje pięściami rozbić wewnętrzną szybę. Przegroda nie puszcza. Marco radzi mu wyjść przez tylne drzwi, gdy tylko otworzy ogień. On będzie go osłaniał. A Stéphane, dlaczego nie wysiada? Na co czeka? Wołam ją cicho. W końcu wychodzi z samochodu. Walę w kabinę.

– François! François, do cholery! Wychodź, natychmiast!

Drzwi wreszcie się otwierają i sekundę później wyskakuje Happy.

– Nie próbujcie chować się za samochodem, bo otworzymy ogień – wrzeszczy megafon, a jednocześnie zapala się nowy reflektor. – Wychodźcie z rękoma podniesionymi wysoko do góry. Naruszyliście prawo stanu wojennego i godziny policyjnej.

Teraz Marco wyslizguje się na zewnątrz.

– Na co czekacie? Zmywajcie się – szepcze. – Daję wam dwie minuty zapasu. Po raz kolejny.

– Będziemy strzelać, to ostatnie ostrzeżenie – odzywa się groźny głos.

– François, chodź!

Nasz kolega wreszcie wychodzi, trupio blady, z podniesionymi rękami. Staje w świetle reflektorów.

– François – woła Stéphane – spadamy stąd!

– Teraz! – krzyczy Marco.

Na dany przez niego znak rzucam się do ucieczki. Słyszę za sobą sapanie Happy'ego i urywany oddech Stéphane. Furgonetka nas osłania. Musimy tylko dotrzeć do tamtej uliczki. Dźwięk wystrzałów z karabinu mrozi mi krew w żyłach. Zaczynam biec jeszcze szybciej. Jeszcze szybciej, jeszcze szybciej.

Uliczka.

Dotrzeć do uliczki.

Szybciej.

Rzucam się za duży czarny samochód stojący na rogu. Stéphane, która pędzi tuż za mną, też się tam wślizguje. Nikt do nas nie dołącza. François nadal stoi obok furgonetki, skamieniały ze strachu, ze wzrokiem utkwionym w miejsce, z którego wciąż rozlegają się strzały. Wtedy widzę Marca.

W świetle reflektorów idzie przez otwartą przestrzeń w pozie godnej największych wojowników WOT. Kolbę karabinu przyciska do ramienia. Strzela bez ustanku, zmierzając ku śmierci.

– Marco! – woła Stéphane strasznym głosem.

Robi ruch, jakby chciała pobiec w stronę naszego przyjaciela, ale ją powstrzymuję.

Rozlega się nowa seria z karabinu.

Marco...

Przez kilka sekund unosi się w powietrzu, niczym tancerz zatrzymany podczas skoku. Jego ciało upada do tyłu. Został trafiony. I znów, i znów. Wstrząsają nim drgawki. Przeszywiają kule.

Łzy spływają nam po policzkach.

W WOT by się podniósł. Ale to nie jest gra i niemożliwe, aby to przeżył. Prawdziwe życie jest właśnie takie, kruche i cenne. Powinno być naszym największym skarbem. Tylu martwych. Tyle przemocy. Dlaczego Marco...?

Wreszcie upada, na plecy, jak pozbawiony stawów tancerz, a jego nogi zginają się pod dziwnym kątem.

Skończył się pewien świat.

Świat z Markiem.

Mocny, nierzeczywisty głos kieruje moją uwagę na drugiego przyjaciela.

– Nie wykonujcie żadnych ruchów! Nie ruszajcie się, trzymajcie ręce w górze.

Widok wykonującego rozkazy François uświadamia mi, że już po nim.

Stéphane ściska moją dłoń.

Trzeba uciekać.

CZTERY

11 GRUDNIA

Przez cały dzień obchodzimy ze Stéphane gminy sąsiadujące z Paryżem: Gentilly, Montrouge, Vanves, Malakoff. Wszędzie zapory blokują wejście do stolicy. Worki z piaskiem, bariery przeciwtłumowe i obwieszeni karabinami nastolatki na żołdzie wojskowych. Nic nie da się zrobić.

Jedyne, co nam zostało, to ruszyć wzdłuż autostrady po dachach budynków, żeby zorientować się w sytuacji. Mam również nadzieję dowiedzieć się czegoś, co nam pomoże odnaleźć François. Bez skutku. Nadal pozostajemy w szoku, patrzymy z góry na zdewastowane ulice, przyglądamy się bójkom i uciekamy przed smrodem. Odpadki nie są wywożone z dzielnicy od ponad półtora miesiąca.

Dobrze sobie radzę z przemieszczaniem się po dachówkach, betonowych i cynkowych płytkach. Czasem decyduję się biec ulicami z moim psem, żeby nas nie zgubił, ale w miarę możliwości staram się unikać cuchnącej ziemi i szczurów. Zauważam na dole gospodarstwa prowadzone przez nastolatków wymieniających żywność za baterie albo benzynę. Tak jak w Marsylii, i tu pojawił się nowy rodzaj handlu, w którym źródła energii stały się nowym środkiem płatniczym. Ten handel został zmonopolizowany przez garstkę drobnych cwaniaczków. Myślę o Elissie, której udało się wytworzyć energię dzięki wodzie, wiatrowi i słońcu i która dzięki temu od nikogo nie jest zależna. Co zrobią ci tutaj, kiedy ich zapasy się skończą?

Oczywiście godzina policyjna tu również obowiązuje. W zapadającym zmroku czym prędzej wybieramy sobie miejsce nocnego schronienia: skromne mieszkanie na najwyższym piętrze jednej z kamienic. W pośpiechu nie udało nam się znaleźć niczego lepszego.

Stéphane przysłała do mnie na dach. Patrzymy na Paryż. Tylko kilka miejsc jest podświetlonych: stadion Charléty i zapewne inne Z-Punkty.

Później schodzimy do mieszkania i przeciągamy materace do salonu. Stéphane znajduje poduszki i kołdry. Spanie w osobnych pokojach wydaje nam się zbyt przerażające. Kiedy ścieli nasze „łóżka”, wreszcie wypowiadam to, co nieustannie mnie dręczy:

- Trzeba odszukać François.
- To szaleństwo. Jak chcesz go wyrwać z rąk wojska, skoro wojsko nas poszukuje?
- Musimy spróbować. Musimy pójść do najbliższego Z-Punktu, żeby uzyskać jakieś

informacje na jego temat.

Jak można porzucić żywego człowieka w tym świecie, gdzie śmierć zbiera żniwo szerokim gestem. Na dodatek przyjaciela! Nawiedza mnie obraz Marca. François z pewnością jest przetrzymywany na stadionie Charléty. Na pewno istnieje jakiś sposób, żeby ominąć albo sforsować zapory.

- Znam inny sposób, Yannis.
- Żeby uwolnić François?
- Żeby go uniewinnić. Żeby nas wszystkich uniewinnić. Ciebie, mnie, jego.

Stéphane siada na swoim materacu, opiera się o ścianę i bierze głęboki wdech. Ja też siadam i czekam z bijącym sercem na to, co powie. Mrok zachęca do zwierzeń. Przez dłuższą chwilę panuje cisza. W końcu moja przyjaciółka pyta:

- Chcesz się wszystkiego dowiedzieć?
- Oczywiście, że tak!

Nie wiem, co chce mi wyjawić, ale wydaje mi się, że coś ważnego. Przez chwilę wpatruje się w pustkę przed sobą, po czym rozpoczyna cichym głosem:

- Przede wszystkim mój brat Nathan ma mniej niż piętnaście lat, a mimo to przeżył.

Mama też żyje. No i ojciec. Wszyscy zostali zabrani przez wojskowych do schronu w Paryżu. Mój ojciec to doktor Certaldo, bardzo znany lekarz. Ocalono go, żeby znalazł szczepionkę przeciwko filowirusowi. Został generalnym nadzorcą, organizuje powrót do normalnego życia.

Tyle sekretów wyjawionych za jednym razem wprawia mnie w osłupienie.

– To... To dlatego towarzyszyłaś mi w drodze do stolicy? Twoja rodzina jest w Paryżu, tak?

Chyba śnię! Ależ nie, to brzmi całkiem prawdopodobnie. Budzą się we mnie i mieszają dwa rodzaje złości. Po pierwsze, Stéphane ukryła przede mną prawdę. Tyle wspólnie przeżyliśmy, a ona nie puściła pary z ust! A poza tym... Jej rodzina żyje, a moja nie. To niesprawiedliwe! Niesprawiedliwe! Zawsze chroni się tych samych: bogatych i znanych! Z zaciśniętymi pięściami przetykam wściekłość, żeby wysłuchać, co jeszcze ma do powiedzenia. Jej głos lekko drży, gdy ciągnie swoją opowieść.

– To nie wszystko. Ścigano nas na rozkaz mojego ojca.

– Co?

– Wydał rozkaz, żeby mnie odnaleźć...

Dopowiadałam sobie to, czego sama nie śmie wypowiedzieć: „...bez tych przestępców, którzy mi towarzyszą”. Cholera jasna! To wszystko zmienia! Nagle zaczynam inaczej widzieć wszystko, co przydarzyło nam się w ciągu ostatnich dni. Przede wszystkim, gdyby Marco nie przyjaźnił się ze Stéphane, śmierć żołnierza w Lyonie nie miałaby dalszych konsekwencji i zostałaby uznana za odosobniony wypadek. Być może ktoś przeprowadziłby śledztwo w tej sprawie, ale Marco bez trudu mógłby się wybronić, powołując na obronę konieczną. Z pewnością nikt nie urządzałby na niego obławy na tak wielką skalę. A gdyby nie ten absurdalny pościg, Marco nie zabiłby trzech żołnierzy w lesie! Więc pośrednio z winy doktora Certaldo zginął Marco, François został ujęty, a... a spotkanie 24 grudnia zmieniło się w pułapkę! Wojskowi zainteresowali się mną i innymi Ekspertami również z powodu ojca Stéphane. Gdyby nie on, wszystko to by się nie wydarzyło... Jestem wściekły na jej ojca... i na nią!

– Dlaczego to przede mną ukrywałaś?

– Czułam się taka uprzywilejowana w porównaniu z tobą. Nie znałam cię, bałam się, że będziesz miał mi za złe, że moja rodzina żyje, podczas gdy wszyscy twoi bliscy umarli. W Lyonie myślałam, że zaraz stracimy kontakt, więc wołałam skłamać. Potem, kiedy z wami wyruszyłam, zaplątałam się we własne kłamstwa.

Wybucham:

– Wiesz, co mnie boli najbardziej? Że podczas całej tej przeklętej obławy myślałem, że to moja wina! Marco powiedział mi, że to przeze mnie jesteśmy w niebezpieczeństwie!

– Nie wiedziałam, że to mój ojciec kazał nas ścigać, dopiero ten wojskowy w lesie mi o tym powiedział. Yannis... Marco też nie mógł o tym wiedzieć.

Mimo to kręcę głową z wściekłością. Stéphane patrzy na mnie błagalnym wzrokiem.

– Znajdę mojego ojca i powiem mu, że jesteś niewinny. Że François jest niewinny. On załatwi uwolnienie François, obiecuję ci!

Przez kilka sekund siedzę z zaciśniętymi pięściami i ustami. Czy w jej sytuacji też tak długo zatajałbym prawdę? „Postaw się zawsze na miejscu innych, żeby ich zrozumieć” – radziła mi mama, kiedy jej zdaniem zbyt denerwowałem. To jest trudne! Staram się opanować złość i mówię poważnym tonem:

– Nigdy więcej mnie nie okłamuj. Nigdy więcej. To zbyt... Zbyt poważne, dla nas obojga.

Obiecuję. Potem kładzie głowę na miękkiej poduszce. Patrę, jak zasypia. Sam przez dłuższy czas wpatruję się w ciemność. Muszę opanować kłębiące się myśli i uczucia. Mam

ochotę na przemian udusić ją i wybaczyć. W końcu zasypiam z przebaczeniem w sercu, nie do końca rozumiejąc, skąd się ono wzięło.

12 GRUDNIA

Stéphane jeszcze śpi, gdy wyślizguję się przez okno dachowe, żeby poszukać lepszego schronienia. Mam dobrą intuicję, rzucam okiem przez lufcik, kopniakiem wybijam szybę... *Yes!* Oto idealne mieszkanie: przestronne, luksusowe, po brzegi wypełnione zapasami. Porządnie zabezpieczone, jak bunkier. I szczęśliwie nie ma tu żadnego trupa. Szukam laptopa, jak w każdym mieszkaniu, do którego wchodzę. Nadal mam nadzieję, że uda mi się znaleźć sprzęt z pełną baterią i będę mógł obejrzeć film. Jest jeszcze inny powód: pendrive, który być może zawiera informacje o Khronosie. Najwyraźniej jednak uciekający lokatorzy zabrali swoje komputery.

Przez duże, przeszklone okno wychodzące na balkon widać piękną panoramę Paryża. Miasto wydaje się oczekiwać nas w spokoju.

Wracam do naszego tymczasowego lokum. Stéphane już nie śpi, więc prowadzę ją do naszego nowego pałacu, nic jej wcześniej nie mówiąc, po prostu po to, żeby móc cieszyć się jej zaskoczoną miną.

Późnym popołudniem, mimo przejmującego zimna, Stéphane mogła wreszcie się umyć. Dzięki wodzie zgromadzonej w butelkach w łazience jej włosy odzyskały swój normalny blask. Znalazłem dla niej w szafie czyste ubrania, a także czapkę, żeby ukryła pod nią fryzurę, zbyt rzucającą się w oczy przez ten siwy kolor. Teraz przymierza swetry, koszule, spodnie. Żartuję, żeby jej spojrzenie znów załśniło, i po raz pierwszy od dawna śmiejemy się jak dzieci bawiące się w przebieranki. Jest piękna, kiedy jej twarz rozświecila radość!

Kiedy zapada noc, znów staję się poważny. Muszę podzielić się ze Stéphane ważną wiadomością. Moja przyjaciółka siedzi wygodnie w głębokim fotelu, przykryta śpiworem jak kołdrą, naprzeciw okna wychodzącego na mrok dawnego Miasta Świąteł. Happy śpi u jej stóp. Wręczam jej ulotkę, którą znalazłem dzisiaj rano. Czyta cicho w świetle czołówki druk podpisany przez Rząd Tymczasowy Republiki Francuskiej i Zarząd Wojskowy miasta Paryża. Jest tu zapowiedź, że począwszy od 15 grudnia dla zapewnienia bezpieczeństwa powszechnego stan wojenny zostanie zaostrzony. Wszystkie osoby mieszkające poza Z-Punktami na terenie Francji będą traktowane jak przestępcy. Począwszy od tego dnia, zakazane będzie przemieszczanie się nie tylko nocą, lecz także w dzień.

Stéphane głęboko wzdycha.

– Przynajmniej – mówię, żeby rozładować trochę atmosferę – za dwa dni wszyscy ludzie żyjący poza Z-Punktami będą w takiej samej sytuacji jak my. Dwoje wyjętych spod prawa zgubi się wśród tylu innych!

– I co zamierzasz potem zrobić? Czekać tu grzecznie do 24 grudnia? W nadziei, że wojskowi urzędzą szpaler honorowy aż do samej wieży Zegarowej, a ty stawisz się na swoją wielką wyprawę wehikułem czasu?

– Nie wiem. Co by mi poradził twój ojciec, jak sądzisz?

Rzuca mi mordercze spojrzenie. Może się nabijać, pójdę na spotkanie bez względu na to, co o tym myśli. Przedtem jednak są pilniejsze sprawy do załatwienia.

– Chodź.

Prowadzę ją na korytarz, proszę, żeby weszła na drabinkę bezpieczeństwa, a później wyszła przez właz. Chcę porozmawiać z nią w miejscu, w którym czuję się najlepiej, najbliżej nieba – na dachu.

Siedzimy na metalowym elemencie dachu najeżonego antenami, z nogami opartymi o występ, i podziwiamy gwiazdy. Przejazd wozów opancerzonych odrywa nas od spektaklu.

W ciszy obserwujemy pojazdy, tłumiąc w sobie strach i odrazę. Biorę głęboki wdech przed wyjaśnieniem jej łagodnie tego, co od wczoraj kołacze mi się po głowie:

– Twój plan, Stéphane, może zadziałać. Idź zobaczyć się z ojcem i wszystko mu opowiedz. Być może uda mu się uwolnić François. Jednak ten plan równie dobrze może nie wypalić. A nawet jeśli się uda, François na zawsze utknie w Z-Punkcie. Poza tym po 15 grudnia nie będzie można uczynić dla niego już nic.

– Ale on żyje i to się liczy, nie? A jeśli będziemy działać bez pomocy mojego ojca, wystawimy jego życie na niebezpieczeństwo. I nasze też!

Światło księżyca nadaje jej cerze porcelanowy odcień. Wyglądałaby zupełnie jak lalka, gdyby nie zmarszczone brwi. Nic nie rozumie: François tak bardzo miał mi za złe, kiedy o mało nie uciekłem z Z-Punktu w Lyonie! Tym razem go nie opuszczę.

– Żyjemy – powtarza z uporem.

Wiem, że myśli o Marcu.

Wozy opancerzone zniknęły. Powrócił spokój nocy.

Stéphane drży. Ze strachu czy z zimna? Udaję, że porzucam mój pomysł, żeby sprawdzić, na czym stanęło:

– No to jaki masz teraz priorytet?

– Nie wiem. Co ty byś zrobił na moim miejscu?

Poszedłbym najszybciej ratować François? Czy raczej Ekspertów? A może, nie bacząc na nic, odszukałbym rodzinę? Gdybym ja też mógł uściskać moich rodziców i siostrę... Ale tak nie jest i nie wiem, co odpowiedzieć.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu. Później Stéphane mówi, że przede wszystkim musimy poznać zawartość plików na pendrivie. Ma nadzieję odnaleźć tam informacje o swojej rodzinie. A ja o Khronosie.

– Czyli ruszamy na poszukiwania jakiegoś komputera z naładowaną baterią. A potem?

– Potem?

– Potem...

Następuje chwila wahania, po czym mówimy jednocześnie:

– ...pójdziemy na spotkanie 24 grudnia, żeby spróbować ocalić Ekspertów.

– ...pójdziemy razem odszukać mojego ojca.

Odzywamy się w tym samym czasie. Patrzymy na siebie osłupiali z powodu tak skrajnie odmiennych planów.

– A nie możesz...? – zaczyna.

Kręcę głową. Co ona sobie wyobraża? Że będę jej towarzyszył w poszukiwaniach ojca? Czy naprawdę myśli, że będzie szczęśliwy, widząc ją w towarzystwie młodego Araba ściganego za morderstwo? Mogę jedynie popsuć ich spotkanie.

– A ty nie możesz...?

Teraz ona powoli kręci głową. Jestem zawiedziony, mimo że od dawna wiem, co myśli o spotkaniu 24 grudnia. Wzdycham wobec tej oczywistości:

– Wrócisz do rodziny, Stéphane. A ja spotkam się z Khronosem.

Nasze przeznaczenie jest zupełnie inne. Chyba że Eksperci WOT rzeczywiście mogą odbyć podróż w czasie. W takim wypadku wszystko już przewidziałem: wodoodpornym flamastrem, który znalazłem w jednej z szuflad w salonie, na podszewce kurtki zapisałem nazwiska Stéphane, François i Marca. Dzięki temu odnajdę ich w przeszłości, która przyniesie inną przyszłość.

Stéphane milczy przez dłuższą chwilę, jakby ją coś zaskoczyło. Dostrzegam w niej niepokój, ten sam, który stopniowo zaczyna ścisnąć mnie za gardło: czy kiedy każde z nas

osiągnie swój cel, nadal będziemy mieli ochotę się odnaleźć? A jeśli tak, czy to się stanie? Całym sercem na to liczę, ale w tym chaosie niczego nie można być pewnym. Na razie każde z nas musi pójść własną drogą.

A moja w tej chwili prowadzi ku François. Bo kiedy Stéphane dołączy do swojej rodziny, będę miał tylko jego. A François ma tylko mnie. Muszę spojrzeć prawdzie w oczy – ona nie pójdzie ze mną go odszukać. Liczy tylko na ojca. Nie będzie próbowała zrobić nic innego, żeby przypadkiem go nie zdradzić. Nadal mu ufa. Bardziej niż mnie.

Nie zostało mi dużo czasu na działanie. Wyruszam jutro, przed świtem. Samemu uda mi się stąd wydostać, jestem tego pewny. Nic nie powiem Stéphane, żeby nie próbowała mnie powstrzymać.

Mam nadzieję, że znajdzie w sobie wystarczająco dużo siły, żeby na mnie poczekać, i będzie tu jeszcze po moim powrocie.

– Przyrzeknij mi jedną rzecz. Uprzedzisz mnie, zanim sobie pójdziesz.

Stéphane odpowiada mi z rezygnacją i z ociąganiem.

– To mogę ci obiecać.

Ta nadzieja mi wystarcza: wiem, że będzie tu, kiedy wrócę z François, i będę mógł spędzić z nią jeszcze trochę czasu, przynajmniej tyle, żeby odczytać informacje zawarte na pendrive. Ta obietnica podnosi mnie na duchu. Uspokojony, uśmiecham się w ciemności. W tym świecie nie gardzi się nawet okruchami szczęścia.

13 GRUDNIA, PRZED ŚWITEM

Tak bardzo się denerwuję, że nie mogę zasnąć. Wskazówki budzika świecą w ciemnościach: jest trzecia nad ranem. Bardzo jeszcze wcześnie, ale trudno. Lepiej działać, niż dreptać w miejscu. Cichutko wstaję, żeby nie obudzić Stéphane, która spokojnie śpi. Tak jak poprzedniej nocy, postanowiliśmy położyć się w śpiworach obok siebie, żeby było nam ciepło. Za przeszklonym oknem wychodzącym na taras rozciąga się magiczny widok. Wydaje się nam niemal, że śpimy pod gołym niebem. Podczas snu Stéphane wygląda jak anioł. Jedną nogę wysunęła poza śpiwór. Przykrywam ją delikatnie, żeby nie zmarzła... i żeby stłumić lekki niepokój, który mnie ogarnia.

Nie robiąc najmniejszego hałasu, idę do kuchni, żeby spakować trochę jedzenia i butelkę wody.

Kilka minut później przytulam Happy'ego i szepczę mu do ucha:

– Bądź grzeczny, piesku. Wrócę bardzo szybko. Będziesz jej bronił, dobrze?

Po raz ostatni rzucam okiem na stół, na którym zostawiłem kilka słów i śniadanie dla Stéphane, cmokam w pysk mojego psa, który patrzy na mnie pytająco, i możliwie najciszej opuszczam nasz pałac. Korytarz, właz, dach. Biorę głęboki oddech i ruszam przez spowite nocą paryskie dachy.

Zaczyna padać. Przechodzę przez świetlik w dachu, żeby zejść na ulicę. Dotarcie do stadionu Charléty po dachach jest niemożliwe. Nieruchomieję w jakimś mieszkaniu, w którym się znalazłem: obok i poniżej, w całym budynku, rozbrzmiewają odgłosy uderzeń. Odruchowo łapię za pistolet zatknięty za pasek i skradając się jak kot, podchodzę do drzwi wejściowych, żeby je otworzyć.

Na klatce schodowej jest ciemno, choć oko wykol, więc zakładam moje okulary z noktowizorem. Boję się potknąć o trupa, mimo że nie czuję zapachu gnijącego ciała. Zatrzymuję się nagle między czwartym i piątym piętrzem, bo wyczuwam czyjaś obecność.

Niżej znów jakieś drzwi skrzypią i trzaskają. Zimny powiew powietrza przyprawia mnie o gęsią skórę

– Jest tam kto?

Żadnej odpowiedzi. Tylko rześisty deszcz wydaje różne dźwięki, uderzając o blachę, plastik, cement.

– Jest tam kto? – powtarzam głośniejsze. – Nie jestem żołnierzem. Jestem taki jak wy! Jestem ocalonym, tak jak wy!

Mój głos rezonuje i odbija się echem po sześciu piętrach betonowej klatki schodowej. Czekam. Nie słyszę już żadnych dźwięków, żadnych odgłosów związanych z ruchem. Zaczynam schodzić. Trzecie piętro. Drugie piętro.

Docieram do kolejnego półpiętra, kiedy przecucie obecności ludzkiej znów każe mi się zatrzymać.

– Nikt nie jest taki jak my – odzywa się nagle tuż obok mnie słaby głos.

Pojawia się wątła postać. Dziewczyna zakutana w długi wełniany płaszcz, w czapce z pomponem, z dziwnym stworzeniem na ramieniu. Nieznajoma gładzi zwierzątko. Rozpoznaję fretkę.

– A jest nas bardzo dużo.

Pojawiają się inne postacie, wychylają się przez barierki na wszystkich piętrach. Dziesiątki, dziesiątki cieni poruszają się w ciemnościach bez latarki ani noktowizora. Przez chwilę mam wrażenie, że to są duchy. Ale duchy nie dzwoniłyby zębami tak jak oni, mimo

grubych puchówek i pikowanych spodni. O dziwo, nie boję się ich. Być może dlatego, że to ich strach jest niemal wyczuwalny.

– Nie chcę was skrzywdzić. Chcę tylko stąd wyjść.

– Kto ci powiedział, że to my nie chcemy cię skrzywdzić? – odpowiada dziewczyna, urażona do żywego.

– Dziesiątki pistoletów są wycelowane w ciebie – odzywa się chudy chłopak u jej boku.

Wszyscy robią krok w przód ze zdecydowanymi minami, ale drżącymi rękami. Na wyższych piętrach rozlega się pomruk niezadowolenia. Wycofuję się.

– Czego chcecie? – pytam i w ułamku sekundy zdobywam się na odwagę wyciągnięcia broni i wycelowania jej w dziewczynę z fretką.

Po chwili nie mogę uwierzyć w swoją zuchwałość, którą być może przypłacę życiem.

O dziwo, ani dziewczyna, ani jej towarzysze nie reagują na wycelowany pistolet.

– Pozwólcie mi odejść.

Dotykam lufą skroni dziewczyny.

– On jest uzbrojony – stwierdza.

Pozostali wreszcie się cofają.

– Ale ty nie masz latarki – zauważa dziewczyna. – Jak widzisz w ciemnościach?

– Może on jest taki jak my? – mamrocze jakiś chłopak.

– To znaczy jaki?

Cały ten cyrk zaczyna grać mi na nerwach.

– OK – odzywa się dziewczyna z fretką. – Wszystko ci wyjaśnimy, jeśli opuścisz broń i... jeśli oddasz nam wszystko, co masz do jedzenia i picia. W przeciwnym razie cię zabijemy.

O cholera! Wyjmuję z plecaka to, co ze sobą wziąłem. Jakiś chłopak natychmiast wszystko zabiera i chowa.

– Proszę – mówię. – Teraz pozwólcie mi odejść.

– Dobrze – odpowiada wątła dziewczyna. – Odprowadzę cię do wyjścia. A wy trzymajcie go na muszce, aż wyjdzie. Strzelajcie, jeśli tylko wykona jakiś podejrzany ruch.

Podążam za dziewczyną, która najwyraźniej jest przywódczynią w tej kamienicy. Schodzi na sam dół, gładząc dłonią ścianę. Fretka przechodzi z jednego jej ramienia na drugie, a czasem znika pod rozpuszczonymi włosami. Drzwi wejściowe mają dwie duże szyby, przez które wpada słabe światło księżyca i gwiazd. Zdejmuję okulary. Dziewczyna jest ładną blondynką. Ale jej oczy są puste. Nagle wszystko rozumiem.

– Jesteś niewidoma – szepczę.

Zaniepokojona nagle sztywnieje. Widzę strach na jej twarzy.

– Nie bój się, pójdę sobie, tak jak ustaliliśmy, chociaż teraz niczym już nie ryzykuję.

Żaden z twoich towarzyszy nie może we mnie celować, prawda? Nie odbiorę wam mojej żywności. Obiecuję. Czy wy... Czy wy wszyscy w tej kamienicy jesteście niewidomi?

Dziewczyna waha się chwilę, nerwowo głaszcząc popiskujące zwierzątko, a potem odpowiada słabym głosem:

– Tak. Ja rozpoznałem tylko różnice w jasności... Byliśmy pod opieką Narodowego Instytutu Młodzieży Niewidomej. Tu był nasz internat. Kiedy zostaliśmy zupełnie sami, zajęliśmy całą kamienicę i przeżyliśmy dzięki temu, co znaleźliśmy w każdym z mieszkań. Ale teraz już nic nie zostało, a nie mamy odwagi wyjść na zewnątrz. To nie ma sensu.

– Dlaczego nie pójdziecie do najbliższego Z-Punktu? – pytam. – Tam dostaniecie jedzenie i dach nad głową. Będzie wam też ciepło. Musicie tu umierać z zimna.

Dziewczyna marszczy brwi. Czuję w niej bunt. Bunt, który rozpoznałem, bo często sam go doświadczam.

– A ty czemu tam nie jesteś, co? To, że jesteśmy niewidomi, nie znaczy, że mamy ochotę utracić wolność. Dajemy radę, dzięki.

Zapada między nami długa cisza. Chwytam nieznajomą za rękę i ją ściskam.

– Do widzenia. Odwagi. Wytrzymajcie jeszcze trochę, do czasu, aż...

Myślę o spotkaniu z Khronosem. Podnoszę wysoko głowę, nagle gotów jestem bardziej niż kiedykolwiek uwierzyć w to za wszelką cenę.

– Wytrzymajcie do 24 grudnia. Tego wieczora coś się zmieni. Nadzieja się odrodzi. Tylko wytrzymajcie.

– Do... Dobrze... Do 24... – powtarza dziewczyna, nic nie rozumiejąc.

– Myślisz, że mógłbym odnaleźć mojego przyjaciela w Z-Punkcie na stadionie Charléty?

– Charléty to nie jest Z-Punkt, to jest główna sortownia. Jak dawno twój przyjaciel tam trafił?

– Właściwie to został pojmany. Minęły już trzy dni.

– A zatem nie szukaj go na stadionie. Na pewno przenieśli go bezpośrednio do Z-Punktu przy szpitalu Salpêtrière.

– To daleko?

– Nie jesteś stąd, co? Nie, nie bardzo. Ale to w Paryżu, a po drodze są barykady.

Fretka popiskuje. Blondynka dumnie podnosi głowę i mówi:

– Ale ja wiem, jak je pokonać.

Anne daje mi bezcenne wskazówki pod warunkiem, że nikomu nie opowiem o kamienicy niewidomych. Przemykam się pod ścianami w ulewnym deszczu aż do mojego celu: bistra w głębi niewielkiego podwórka. Na metalowej żaluzji ktoś wymalował imponujące graffiti. Chyba jestem w stanie rozpoznać stylizowane litery: „J”, „O”, „S” i „H”. To tu. Jestem u brata Anne – Josha. Deszcz wreszcie przestaje padać.

– Co tu robisz?! – wrzeszczy ktoś za mną.

Odwracam się ostrożnie. Chłopak w czarnej czapce, płaszczu i szaliku w trupie czaszki zasłaniającym dolną część twarzy celuje do mnie z broni.

– Spadaj stąd albo nie żyjesz. Ostrzegam, nie zawaham się.

Jego oczy rzucają błyskawice. Jasne brwi przypominają Anne.

– Joshua?

– Jak...? Kto...?

– Przysłała mnie twoja siostra. Podobno możesz wprowadzić mnie do Paryża.

– A czemu miałbym to zrobić?

– Bo...

Mógłbym zagrozić, że doniosę władzom o jego siostrzyczce i jej broni. To byłoby wredne, ale pewnie skuteczne. Uznaję jednak, że lepiej odpowiedzieć inaczej:

– Bo jestem przyjacielem twojej siostry. To ci nie wystarczy?

Waham się przez chwilę i dodaję:

– Albo dlatego, że obaj chcemy ją chronić, a to tworzy więź.

Nagle rozlega się strzał. Pocisk utkwił w samym środku „O” w słowie „Josh”.

– Cholera jasna – klnie chłopak.

Pospiesznie rusza w kierunku płyty znajdującej się dokładnie pod żaluzją. Odsuwa ją i wskakuje do środka. Nie zastanawiając się długo, robię to samo. Zapalam latarkę. Jesteśmy w kanałach. Podążam za Joshuą, nie pytając go o nic. Najpierw przeciskamy się korytarzem wzdłuż grubej rury, a później idziemy chodnikiem biegnącym tuż obok budzącego wstręt ścieku. Szybkim krokiem przemierzam tę olbrzymią gąbkę podziemną, złożoną z kamiennych komórek¹. Nie wiem, przed kim uciekam. Kto strzelał? Szabrownik? Żołnierz? Nieważne, trzeba uciekać.

Zasłaniam nos kołnierzem swetra. Tymi korytarzami płynie skażona woda, pełna nieczystości i odpadków. Z prawej i lewej po lepkich murach przesuwają się cienie: to szczury! Nazwy ulic na powierzchni są i tutaj – napisane na ścianach – ale oczywiście nic mi nie mówią. Staram się je zapamiętać, żeby móc odnaleźć drogę powrotną: ulica Amiral Mouchez, Cacheux, Longues Raies...

– Tędy – rzuca Joshua, a później wspina się po metalowej drabince. Znow podnosi klapę wjazdu. Świeżość na zewnątrz kojarzy mi się z czystością górskiego powietrza, a przecież wychodzimy... w publicznej toalecie.

– Jesteś w Paryżu – informuje mój przewodnik. – Chcę, żebyś wiedział, że ta kulka była przeznaczona dla mnie. Kręcę się to tu, to tam, w Charléty i w squatach zamieszkałych przez innych ocalonych, ale choć moje intencje są czyste, mam nie tylko przyjaciół.

Domyślam się, że dostarcza żywność niewidomym. Robin Hood z Gentilly mruży oczy.

– Mam wrażenie, że już cię gdzieś widziałem...

– To niemożliwe – odpowiadam. – Pierwszy raz w życiu jestem w Paryżu, a w Gentilly od bardzo niedawna.

– W każdym razie mam nadzieję, że mówiłeś prawdę na temat Anne.

– Przysięgam.

– Gdyby nie siostra, przyłączyłbym się do gangu Graficiarzy, którzy poszerzają swoje terytorium w Paryżu. Dzięki ich ochronie nie potrzebowałbym nawet broni. Wystarczyłyby mi rozpylacz z farbą albo z gazem łzawiącym. Ale nie mogę porzucić Anne.

– Gang Graficiarzy?

– Tak. Poza wojskowymi wystrzegaj się też gangów i band, które walczą o wpływy w mieście. To przyjacielska rada – dorzuca jeszcze mój towarzysz.

Robi ruch, jakby chciał odejść, ale chwytam go za ramię. I natychmiast je puszczam na widok ponurego spojrzenia. Pytam:

– Ostatnia rzecz. Którędy do szpitala Salpêtrière?

– A, należysz do tych, którzy sprzedadzą wolność za ciepły posiłek?

– Chcę kogoś uwolnić.

Joshua milczy przez kilka sekund, ale w końcu wskazuje mi drogę w kierunku placu Włoskiego i ulicy Bobillot. Radzi iść mniejszymi uliczkami i unikać bulwaru l'Hôpital.

– Powodzenia – rzuca na odchodnym, po czym znow znikają w trzewiach miasta.

Wychodzę z toalety. Wciąż jeszcze jest noc. Chciałem pokonać tę trasę za dnia, żeby nie naruszać dodatkowo godziny policyjnej, ale się nie udało. Nadal się deszcz, ale na szczęście się rozchmurzyło. Księżyc świeci wystarczająco jasno, żebym nie musiał używać latarki. Biegnę ile sił w nogach. Nie tak wyobrażałem sobie pierwszą wizytę w stolicy. Oczami wyobraźni widziałem koło diabelskie, wieżę Eiffla i Pola Elizejskie. Paryż w grudniu to były dla mnie świetlne, migoczące girlandy, barwne jarmarki bożonarodzeniowe, stoiska z pieczonymi kasztanami i grzany winem. I oczywiście słynne ruchome wystawy w sklepach Galerii Lafayette...

Marznąca mżawka pada od jakiegoś czasu i wilgoć przenika mnie do kości. Tablice informacyjne wreszcie wskazują szpital Pitié-Salpêtrière. Joshua uprzedził mnie, że jest to olbrzymi kompleks. Jak mam odnaleźć François i nie dać się złapać? Spaceruję w tę i z powrotem po ulicy Joanny d'Arc, żeby przemyśleć sprawę i się rozgrzać. Odruchowo przebiegam wzrokiem po plakatach przyklejonych do muru. Niektóre reklamują przedstawienia i sztuki teatralne. Rozpoznaję komika z Marsylii i...

Nagle ściska mnie w żołądku. Zapalam latarkę, żeby upewnić się, czy dobrze widzę. To Stéphane wbija we mnie spojrzenie.

Oczywiście nie ona sama. To tylko jej zdjęcie.
Odczuwam kolejny skurcz: obok widzę swoją twarz. A dalej Marca i François!
To podniszczony list gończy. Na pewno wisi tu już od dłuższego czasu.
Nad naszymi nazwiskami i czarno-białymi zdjęciami widnieje napis: „Poszukiwani żywi”.

Ci osobnicy są NIEBEZPIECZNI i UZBROJENI.

Poszukiwani za ZABÓJSTWO dokonane na przedstawicielu władz członkowie gangu przestępców planujących spisek TERRORYSTYCZNY. Jeśli zobaczysz te osoby, nie próbuj ich zatrzymać. Natychmiast zawiadom siły wojskowe albo kierownictwo w twoim Z-Punkcie.

Ręce tak bardzo mi drżą, że z trudem gaszę lampę. Terrorysta! Zostałem uznany za terrorystę! O jaki spisek chodzi? Jaki akt terroru? Czy zdarzyły się akty sabotażu? Oporu? Przestępca to już dużo, ale... Nawet Stéphane, mimo że jej ojciec jest generalnym nadzorcą! To zabicie żołnierzy uczyniło z nas terrorystów – zaczynam powoli rozumieć. Na ilu paryskich murach umieszczono nasze wizerunki? To dlatego Joshua mówił, że już mnie widział! Serce wali mi jak szalone. Chowam się w ciemny kąt w bramie.

Zdrowy rozsądek każe mi natychmiast zwiewać. Muszę się ukryć!

Ale jak mam żyć z myślą, że porzuciłem François? Jak zrezygnować, gdy jestem tak blisko celu?

„Terrorysta”, „terrorysta”... To słowo wciąż chodzi mi po głowie, podczas gdy próbuję opracować jakiś plan. Najpierw ostrożnie zrywam plakat i wkładam go do plecaka. Wtedy zauważam coś nietypowego: jeden z dolnych kamieni muru wydaje się obluzowany. Bez trudu udaje mi się go wyjąć. Rzucam okiem na prawo, potem na lewo. Nie ma nikogo. Wyciągam broń zza paska i wkładam ją do dziury. Potem wsuwam kamień na miejsce. Nie sposób zauważyć tej skrytki. Na wszelki wypadek zasłaniam całość śmietnikiem.

Ciągle pada, a ja bezskutecznie poszukuję wejścia do tego przeklętego Z-Punktu. Staram się uspokoić – przecież w Paryżu stan wojenny jeszcze nie został zaostrożony. Dużo ryzykuję jako Yannis Cefai, ale znacznie mniej jako anonimowy nastolatek. Na razie nie ma obowiązku przebywania wyłącznie w Z-Punktach. W tej chwili łamię prawo, bo nie przestrzegam godziny policyjnej, ale to się zmieni, kiedy znajdę się za murami Salpêtrière.

Na ulicy Bruant dostęp do kompleksu szpitalnego jest pilnie strzeżony. Wycofuję się szybko, zanim ktoś mnie zauważy. Później szukam przejścia na ulicy Jenner, ale mur jest wysoki, a okna zakratowane. Pozostaje mi wejść do środka główną bramą, od strony bulwaru l’Hôpital. Wbrew ostrzeżeniom Joshui. Przypominam sobie, że w niektórych filmach bohaterowi łatwiej było się ukryć, gdy działał jawnie, niż kiedy się skradał. Kto wpadnie na to, że chłopak, którego facjata widnieje na plakatach rozlepionych po całym Paryżu, sam pojawi się w Z-Punkcie? Panuje taki ziąb, że nikt nie będzie się dziwił mojej czapce i ukrywaniu twarzy po nos w szaliku.

Prześlizguję się pod kamiennym łukiem. Serce wali mi jak młot. Próbuję opanować odrzę, która nachodzi mnie, kiedy przypominam sobie swój pobyt w Z-Punkcie Tête d’Or w Lyonie. Przed kościołem zwieńczonym kopułą, w drżącym świetle lampy, trzech nastolatków w żółtych kamizelkach podskakuje na zimnie. Patrzą, jak nadchodzę. Dwóch chłopaków i dziewczyna. Jeden z tych strażników, w granatowej kominiarce, celuje do mnie z broni. Nie odzywam się ani słowem do czasu, aż znajdę się na ich wysokości. Podnoszę ręce na znak kapitulacji.

– Poddaję się – mówię. – Nazywam się Ryiad Rahim i chcę dołączyć do tego Z-Punktu. Mam już dość samodzielnego utrzymywania się, a przede wszystkim... jest mi megazimno.

– Złamałeś godzinę policyjną – stwierdza wysoka, barczysta dziewczyna o ponurym, twardym spojrzeniu. – Mogłeś poczekać do świtu, żeby tu przyjść.

– Wiem.

Mniejszy z chłopców zapisuje moje nazwisko w notesie.

Serce zaraz wyskoczy mi z piersi. Serce zaraz wyskoczy mi z piersi. Serce zaraz...

Dziewczyna odgarnia ciemny kosmyk włosów.

– Zasłużył sobie na krótki pobyt w karczerze – oświadcza.

– Ale on przecież przyszedł tu z własnej woli! – protestuje jeden z jej kolegów.

– Zamknij się – gromi go dziewczyna. – I tak nie możemy przydzielić mu teraz miejsca w sypialni, jeśli nie chcemy wszystkich obudzić. Albo to, albo śpi dziś z tobą.

– OK, OK. Nawet nie mamy teraz materiałów do oznaczania...

– Nie szkodzi, zrobimy to jutro.

– No już, opuść ręce – mówi brunetka. – Nie masz przy sobie broni?

Kręcę głową. Jeden z chłopaków obmacuje mnie po całym ciele. Waha się, kiedy odkrywa noktowizor w kieszeni, ale na szczęście nie wie, do czego służą okulary, tak samo jak jego towarzysze. Dziewczyna wkłada je, ale ponieważ to miejsce jest oświetlone, nie zauważa różnicy. Oddaje mi je z lekceważeniem.

– OK, chodź za mną – rzuca.

Prowadzi mnie do nowoczesnego gmachu kilkadziesiąt metrów dalej, po prawej stronie kościoła. Wejścia do budynku pilnuje chudy, uzbrojony po zęby nastolatek o zaróżowionych policzkach.

– Powierzam wam tego chłopaka. Tylko do rana. Nie zrobił nic złego, dureń po prostu zjawił się tu w czasie godziny policyjnej. Rano rozpoczniemy normalną procedurę administracyjną.

Dziewczyna żegna się ze strażnikiem, wyciągając w jego stronę zaciśniętą dłoń z palcami wskazującym i środkowym wystawionymi w taki sposób, żeby całość przypominała rewolwer. Woła: „Pif!”, po czym się oddała. Chłopak kręci głową ze zmartwioną miną, jakby chciał pokazać, że brunetka jest szurnięta, po czym otwiera drzwi.

W hallu – podłoga budynku wyłożona jest marmurem, a na suficie widzę ozdobne gzymsy – chuda dziewczyna o czarnych włosach obciętych na boba siedzi na plastikowym krześle obok schodów. Trzyma karabin, opierając kolbę o ziemię.

– Ten facet spędzi tu noc – oświadcza strażnik. – Naruszył godzinę policyjną.

Strażniczka robi porozumiewawczą minę i zamyka oczy.

– Idź do celi na prawo – mówi do mnie. – Tam jest materac. Będzie ci przynajmniej ciepło. Przypuszczam, że dlatego się tu zjawiłeś. Dlaczego czekałeś tak długo?

Nie odpowiadam jej. Kieruję się w stronę, którą mi wskazała. Chłopak wychodzi, zamykając za sobą drzwi. Siadam na materacu, żeby pomyśleć, co teraz.

– A właściwie to jak masz na imię? – rzuca do mnie strażniczka.

– Eee... Ryiad... A... A ty?

– Margot.

– Poza mną są tu jeszcze jacyś inni zatrzymani?

– Jeden ćpun śpi w celi obok. Zamknęłam go na klucz, bo ma napady agresji. Ale na razie jest spokojny. Nie zauważyliśmy, że ma dawkę schowaną pod podszewką płaszcza...

Po chwili dodaje:

– Dotrzymamy sobie towarzystwa, nie?

– Nikogo więcej tu nie ma?

– Jest, w podziemiach. Tam trzyma się aresztowanych na dłużej. Ale w tej chwili siedzi

tam tylko jeden chłopak.

– Aha.

– Masz dziewczynę?

– Co?

– Dziewczynę. No wiesz, taką, którą całujesz i tak dalej.

– A tak! To znaczy wiem, co to jest dziewczyna, ale nie. A właściwie to tak. Mam.

Zainteresowanie strażniczki może być moją szansą. Nie mogę go stracić. Ostrożnie wychodzę z celi. Dziewczyna zachęca mnie uśmiechem, siadam więc na ławce w hallu naprzeciw niej. Podkrążone oczy wskazują na to, że jest wykończona. Pewnie przez całą noc pełni wartę. Zaczynam opowiadać jej o swoim życiu i swojej wymyślonej, wspaniałej, pięknej dziewczynie. Wszystko zmyślam, co do najmniejszego szczegółu. Daję się ponieść własnym słowom. Nigdy wcześniej nie byłem taki gadatliwy! Ani pomysłowy. Zostałem synem wielkiego adwokata i widziałem wszystkie kraje na świecie. Moja dziewczyna jest słowiańską księżniczką. Jestem pewien, że Margot zdaje sobie sprawę z absurdalności moich słów, ale podejmuje grę. Można by pomyśleć, że ją to bawi. Później zmieniamy temat: to ja zadaję jej pytania. Udaję, że interesuje mnie, czym się zajmuje w Z-Punkcie.

Stopniowo zdobywam potrzebne mi informacje. To ona ma klucze do celi w podziemiach. Mimo zmęczenia nie odrywa ode mnie swoich niebieskich oczu. Boję się, że skojarzy mnie ze zdjęciami z plakatów. To dlatego nie zdejmuję czapki i szalika, choć robi mi się gorąco. Jeszcze później wznawiam swój monolog. Nigdy nie podejrzewałem, że jestem zdolny do czegoś takiego. A może to dzieje się tylko w mojej głowie? Tyle o sobie mówię tylko w myślach...

– Opowiedz coś jeszcze – prosi Margot. – Tak bardzo brakuje nam tu magii. Od tygodni już nikt nie skłania nas do marzeń.

Zamyka oczy, żeby bardziej skupić się na słuchaniu. Zniżam głos. W końcu nucę jej arabską kołysankę. Zapowiadam ją jako pieśń miłosną, którą uwiodłem moją piękność. Dziewczyna opiera głowę o mur z uśmiechem na ustach i zaczyna coraz głębiej, regularnie oddychać. Ile czasu minęło? Na zewnątrz dnieje i pierwsze promienie słoneczne wpadają do hallu. Bardzo powoli wstaję, podchodzę do niej i ostrożnie zaczynam przeszukiwać jej kieszenie. Nie dość ostrożnie. Nagle otwiera oczy. Reaguję szybciej niż ona, chwytam karabin i w nią celuję.

– Nie krzycz, bo strzelę. Podnieś ręce do góry.

– Hej, do cholery. Cholera! Jaja sobie robisz?! Czego chcesz?

– Tylko kluczy do celi. Żeby uwolnić kumpla, który jest na dole. Nie zrobię ci krzywdy, obiecuję.

– Czemu chcesz zrobić coś takiego? Tu przynajmniej jest bezpieczny ten twój kump...

– Nie mam ochoty dyskutować na ten temat. Klucze!

Wzdycha, zamyka oczy, a potem podnosi głowę, wpatrując się we mnie intensywnie.

– W lewej kieszeni płaszcz.

Przeszukuję jej płaszcz i znajduję pęk kluczy. Cały czas mierzę w nią z broni.

– Ani słowa. Wstawaj i idź przodem.

Pokonujemy mniej więcej dwadzieścia schodów w dół, po czym docieramy do miejsca, które wyobrażałem sobie jako odrażający, wilgotny loch. W rzeczywistości jest to suche i czyste podziemie.

Przed nami widnieje czworo drzwi. Otwieram pierwsze i wpycham Margot do dawnego archiwum. Zamykam ją na klucz. Dziewczyna natychmiast zaczyna krzyczeć, ale drzwi są grube. Mimo to modłę się, żeby nikt na zewnątrz jej nie usłyszał. Sekundę później, w następnym

pomieszczeniu, odkrywam rozwalone katalogi z kartami chorych.

– François?

Wzdycham, otwierając trzecie drzwi.

Dobry Boże, François, nie mogłeś umrzeć. Ty też nie żyjesz?

Ogarnia mnie rozpacz. Pojawiają się współczujące duchy mojej rodziny, ale pośród wrzasków Margot nagle słyszę czyjś szept. Ktoś wypowiada moje imię.

13 GRUDNIA, RANO

- Yannis? Yannis, to ty?
Przytykam ucho do drzwi z numerem cztery. Serce podskakuje mi z radości.
- François! To ty! To naprawdę ty?
– Yannis! Co ty tu robisz, na Boga? Nie powinno cię tu być!
W gorączce z trudem odnajduję właściwy klucz.
- Przyszedłem po ciebie, François. Uwolnię cię.
Cholera, dlaczego żaden klucz nie pasuje?
– Ale jak do cholery...? Właściwie dlaczego tu jesteś?
– Powiedzmy, że chciałem cię miło zaskoczyć. Gdybym wiedział...
Margot cichnie, pewnie wykończona krzykiem.
- Jest mi miło, ale... Dla ciebie... Jeśli cię znajdą...
– Niczego nie podejrzewają. Uwolnię cię. Zobaczysz! O, udało się!
François stoi przede mną. Biorę go w ramiona i mocno ściskam. Wszystko dobrze, wydaje się w formie.
- Uciekamy, szybko!
Mój przyjaciel nie rusza się ani na krok.
- François, co ty wyprawiasz? Rusz się!
– Zostaję tu – odpowiada cicho, stojąc jak kolek.
– Co?
François siada na łóżku, żeby opatulić się śpiworem.
- Wolisz tu zostać? W więzieniu?
– Jutro mają mnie wypuścić.
– Ale...
– Byli dla mnie mili. Żołnierze mnie przesłuchali, chociaż sami wiedzieli o wielu rzeczach... Na przykład o spotkaniu 24 grudnia.
- Wiem, że wiedzą. Ale zostałeś uznany za terrorystę, François!
– Udało mi się ich przekonać, że jestem niewinny. To nie ja zabiłem żołnierza.
– Ja też nie!
– Tak, ale ty jesteś Ekspertem tej gry, WOT. A na waszej drodze ginie mnóstwo wojskowych. Jesteście wszyscy podejrzewani o szykowanie powstania przeciwko dorosłym i wystawienie sił zbrojnych przeciwko armii.
- Nie powiedziałaś im, że...?
– Próbowałam! Próbowałam wszystkiego, żeby was uniewinnić, ciebie i Stéphane!
Uważają, że mnie zmanipulowaliście i ukrywaliście wasz prawdziwy cel.
- Dobrze wiesz, że to kłamstwo!
– Wierzę ci, Yannis! Poradziłem im nawet, żeby przesłuchali Elissę, która poświadczy, że nie skrzywdziłbyś muchy.
- Elissę! Pojechali do Elissy?
– Tak. Nie denerwuj się, tylko ją przesłuchali. Zaświadczyła, że ty i ja nie mieliśmy nic wspólnego z zabójstwem trzech żołnierzy zamordowanych przez Marca. Ale i tak musisz uciekać. Oni nadal uważają, że ją okłamałeś i jesteś niebezpieczny. Jeśli znajdą cię tutaj...
Margot znów zaczyna się wydierać.
- Uciekaj stąd, Yannis. Szybko.
François wstaje i ostatni raz mnie ściska.

– Wybacz mi. Nie jestem tak silny jak ty. Przeraza mnie to, co dzieje się na zewnątrz. Potrzebuję opieki dorosłych, rozumiesz? Nigdy nie zapomnę tego, co dla mnie zrobiłeś. Jesteś bohaterem, zawsze będziesz moim przyjacielem. Odnajdziemy się jeszcze, obiecuję ci to, kiedy to wszystko się uspokoi. A teraz nie zwlekaj!

Puszcza mnie i gwałtownie odpycha. Przez sekundę stoję jak skamieniały, na granicy płaczu. Żegnamy się spojrzeniami. Po chwili zrywam się, serce podchodzi mi do gardła.

W hallu zauważam okienko nad ławką, na której siedziałem. Wskakuję na siedzisko i uderzam w szybę kolbą karabinu. Muszę powtórzyć to trzykrotnie, zanim rozbiję szkło. Czy hałas zaalarmował chłopaka pełniącego wartę na zewnątrz? Zastygam w bezruchu na kilka sekund. Nic. Czym prędzej zbieram jak najwięcej kawałków szkła, po czym przechodzę przez otwór, pozostawiając karabin w budynku. Wraz z nastaniem dnia Z-Punkt bardziej się ożywił. Staram się iść lekkim krokiem. Przybieram pogodny wyraz twarzy, żeby stopić się z tymi, którzy w porannej mgle idą zapewne do toalet lub jadalni.

Przechodzę przez skwer i na rogu alejki dostrzegam przed sobą kaplicę zwieńczoną kopułą. Podchodzę do nastolatków stojących na straży przed wejściem do Z-Punktu. Na szczęście to nie są ci sami, co wcześniej. Mijam ich, jak gdyby nigdy nic. Tu jest inaczej niż w Lyonie: gdy nie obowiązuje godzina policyjna, mieszkańcy Z-Punktu mogą wychodzić poza jego granice, jeśli mają ochotę. Przynajmniej przez dwa najbliższe dni... Jeden ze strażników przypomina mi:

– Pamiętaj, żeby wrócić przed 15 grudnia!

– Tak, tak, pójdę tylko do siebie po rzeczy i wracam. Nie mam zamia...

– Hej, ty, stój!

Prawie mi się udało! Wystarczyło przejść kamienny łuk, pójść bulwarem l’Hôpital, później przez uliczki i kanały... Nie zatrzymuję się. To koniec. Wszystko się skończyło. Wybacz, Stéphane...

– Czeka!

Odwracam się powoli. Ktoś biegnie w moją stronę. Dziewczyna. Nie dostrzegam na jej ramieniu żółtej opaski. To zwykła dziewczyna.

– Zgubiłeś szalik – mówi.

– Dzie... Dziękuję – bełkoczę.

– Nie ma za co. Będzie ci potrzebny w takie zimno. Czeka, wydaje mi się, że już cię gdzieś spotkałam...

Pospiesznie odpowiadam:

– A tak, chodziliśmy do tego samego liceum. Doskonale cię pamiętam. Cieszę się, że masz się dobrze. Dzięki za szalik.

Nie zostawiam jej czasu na szukanie w pamięci i szybko opuszczam teren Z-Punktu. Znajduję się na bulwarze l’Hôpital.

Nagle docierają do mnie krzyki.

Ruszam biegiem. Oglądam się przez ramię. Nastolatki w żółtych kamizelkach i z bronią w rękach rzucają się w pogoń za mną. Dzieli ich ode mnie jakieś sto metrów.

Słyszę strzał.

I drugi.

Pocisk przelatuje mi tuż koło ucha.

Skrećam w pierwszą prostopadłą ulicę. Popycham drzwi bramy. Zamknięte. Kolejne. Otwarte. Zbiegam po schodach. Do piwnicy. Wyjść stąd. Okienko piwniczne! Wychodzi na cichą uliczkę. Przeciskam się przez lufcik. Idę możliwie najspokojniejszym krokiem. Wchodzę do nowoczesnego budynku. Wspinam się po schodach na samą górę, odnajduję drabinkę pożarową,

otwieram właz.

I oto znów znajduję się na dachu. Cały i zdrów. Przede mną słońce w pełni swej zimowej krasy. Przez kilka sekund istnieje tylko światło. Później w dali błyska strzała wystrzelona ku niebu. To wieża Eiffla. Widzę ją po raz pierwszy! Mój zachwyt trwa tylko chwilę. Wkrótce przygnębienie ogarnia mnie i ścina z nóg. Osuwam się plecami po kominie i kulę na wilgotnym, skrzącym się dachu. Pozwalam mojej rozpaczycy ująć w cichym, samotnym płaczu.

Zimno wytrąca mnie z otępienia. Osuszam policzki. Ruszam w drogę z ciężkim sercem – tak ciężkim, że czasem przeszkadza mi posuwać się naprzód. Muszę kucnąć i odsapnąć, powstrzymać łzy i wydobyć z głębi duszy odwagę, żeby iść dalej. Obrazy Stéphane i Happy’ego działają na mnie jak opary helu. Obraz Elissy też. Myślę o niej z ulgą: nic złego nie przytrafiło jej się z mojego powodu.

Schodzę na ulicę, a później do kanału, żeby przebyć w odwrotnym kierunku tę drogę, którą wskazał mi Joshua. Na szczęście ją zapamiętałem. Wychodzę na powierzchnię przed żaluzją pokrytą graffiti. Poza śladem po pocisku w „O” nie widać żadnych śladów pogoni. Przemykam się pod ścianami do czasu odnalezienia właściwych dachów. W Gentilly zaczynam poznawać wygodne przejścia po szczytach domów.

Nagle jednak staję w miejscu. Nie mogę bezpośrednio przedostać się na kolejny, zbyt oddalony dach, a muszę pokonać jeszcze dwie ulice, które dzielą mnie od naszego pałacu. Problem polega na tym, że pod wiatą przystanku autobusowego siedzą nastolatki z żółtymi opaskami. Pałają i rozmawiają. Na co czekają?

Po godzinie odchodzą, ale w tym miejscu pojawiają się nowi strażnicy. Ta dzielnica sprawia wrażenie bardziej strzeżonej niż inne. Czy ktoś nas wczoraj rozpoznał i dał znać wojskowym? Jestem zupełnie przemarznięty, chronię się więc w przytulnym studio. W kuchni znajduję trochę jedzenia. Pokrzepiwszy się, wyglądam przez okno na ulicę i odkrywam, że widać stąd balkon pałacu, oddalony zaledwie o jakieś trzydzieści metrów.

Nagle zmęczenie przygniata mnie niczym ołowiana płyta. Rzucam się na miękkie łóżko. Cały czas widzę okno wychodzące na taras naszej kryjówki. Stéphane... Czy siedzi w głębokim fotelu, nieświadoma, że jestem tak blisko? Czy na mnie czeka? Niepokój ma gorzki posmak. Senność zwycięża, mimo że ze wszystkich sił staram się nad nią zapanować.

NOC Z 13 NA 14 GRUDNIA

Kiedy się budzę, jest noc. Długo spałem! Zbyt długo. Wystarczająco, żeby Stéphanie zaczęła się niepokoić. Może myśli, że już nie wrócę... Ulica jest teraz pusta i nie dostrzegam na placu żadnych oznak życia. Cały budynek pogrążony jest w mroku. Czy Stéphanie wyszła?

Bez przeszkód przechodzę na drugą stronę ulicy. Na wszelki wypadek do mieszkania docieram jednak po dachach. Gwiazdy świecą jak życzliwe robaczki świętojańskie. Zeskakuję na balkon. Okiennice są zamknięte, a przecież ubiegłej nocy zostawiliśmy je otwarte. Skrobię i lekko pukam w drewno. Happy powinien już mnie wyczuć, ale w mieszkaniu nikt się nie rusza. Czy Stéphanie została aresztowana? Być może właśnie z tego powodu w dzielnicy panowało takie poruszenie?! Ktoś rozpoznał terrorystów z listu gończego i nas zadenuncjował! Stéphanie została zakuta w kajdanki, uprowadzona, przesłuchana, uwięziona... Okiennica się porusza. Czy kryje się za nią Stéphanie?

– Stéphanie, to ja!

Ostrożnie otwieram okiennicę. Nie mam nawet pistoletu, żeby się obronić. Ryzykuję i jedną nogą wchodzę do pogrążonego w całkowitych ciemnościach mieszkania. Po chwili decyduję się przełożyć drugą nogę.

Nagle czarny kształt rzuca się w moją stronę.

Krzyczę i obiema rękami chwytam szyję napastnika. Jest pokryta sierścią...

– Happy!

O mało nie dostałem zawału! Mój piesek liże mnie po rękach i ociera się o nogi. Bałem się, że już go nie zobaczę. Oślepia mnie światło. To czołówka Stéphanie.

– Wchodź szybko – szepcze.

Stéphanie! Została. Czekala na mnie!

– Żyjesz – mówi bezbarwnym głosem.

Zapala świeczkę i gasi latarkę, tymczasem ja wślizguję się do środka. Szykuję się, żeby ją uściskać, ale ona się cofa. Opada na kanapę. Jej pancerz pęka, a później się rozpada i w końcu moja przyjaciółka wybuchła szlochem. Już dwukrotnie widziałem, jak płacze, ale nigdy nie płakała tak gwałtownie. Tym razem jej łzy zdają się pochodzić sprzed tysiąca lat i wytryskiwać z pradawnej rany, którą moja nieobecność na nowo otworzyła. Jest równie bezbronna jak wtedy, wobec wilków w lasach Morvan.

Chciałbym ją uściskać i uspokoić, ale – tak samo jak tamtej nocy – trzyma mnie na dystans wyciągniętej ręki.

– Zostań tam, gdzie stoisz.

Dlaczego nie pozwala się pocieszyć? Czy boi się, że zacznę sobie coś wyobrażać? No i co z tego? Tak, uważam, że jest piękna. Tak, lubię jej słabości równie mocno jak siłę, ale pochodzimy z całkowicie odmiennych światów. Nie mam żadnych złudzeń! Zawiedziony, wzruszam ramionami. Happy próbuje ją pocieszyć, liżąc jej dłoń. Stéphanie zaczyna jeszcze bardziej szlochać.

Długo czekam, aż się uspokoi. Ponieważ nie pozwala mi się pocieszyć, siadam w fotelu, który przestawiła tak, żeby mieć na oku drzwi wejściowe. Ile czasu spędziła naprzeciw wejścia, w nadziei, że się w nim pojawi? Kolejno relacjonuję jej moje perypetie i to, co opowiedział mi François. Mówię o decyzji, jaką podjął. To wszystko nie powstrzymuje płaczu Stéphanie. Kiedy idzie do łazienki umyć twarz, zapalam świeczki.

Po powrocie znów siada na kanapie, kieruje na mnie szare, wilgotne od łez oczy i pyta, czy udało mi się porozmawiać twarzą w twarz z François.

– Mówił ci coś o moim ojcu? Mój ojciec go przesłuchiwał?
Czyżby tak mało obchodził ją nasz przyjaciel?

Odpowiadam oziębło:

– Nie wiem.

– Uważasz, że za bardzo na niego liczę?

Czy ona za bardzo liczy na swojego ojca? Zamiast odpowiedzieć, grzebię w plecaku stojącym na ziemi.

– Już za późno, Stéphane... Za późno dla nas i dla ciebie.

Rozkładałam list gończy, który znalazłem na ulicy Joanny d'Arc. Stéphane widzi swoje zdjęcie. Podnosi plakat gwałtownym ruchem.

– Wojskowi wiedzą, że byłaś w lesie razem z Markiem. Przesłuchiwali Elissę. Mnie nadal szukają za zabójstwo tego wojskowego w Lyonie. Poza tym wszyscy Eksperci WOT są teraz podejrzani o terroryzm.

– To niemożliwe – mamrocze Stéphane. – Mój ojciec nie mógł... Nic nie rozumiesz, Yannis. Rozkleili te plakaty, żeby nas odnaleźć żywych. Tu jest napisane: „Poszukiwani żywi”.

To nie do wiary! Nawet w sercu apokalipsy Stéphane nie chce uwierzyć, że ona – uprzywilejowana dziewczynka – może zostać oskarżona, choćby niesłusznie, i pozostać zupełnie bez opieki. Sprawiedliwość niesprawiedliwości? Nie, to nadal jest niesprawiedliwe i nie do zaakceptowania. Ale jakaż w tym ironia!

Stéphane upiera się:

– Nic nie rozumiesz... Ja go znajdę. Wytłumaczę mu.

– OK, no to idź! I wierz sobie, w co chcesz. Ja pewnie jestem za głupi, żeby zrozumieć...

Więc wierz sobie, w co chcesz.

14 GRUDNIA

Przez resztę nocy drzemiemy. Przełknąłem urazę do Stéphane, która jak zwykle uważa, że wie wszystko najlepiej.

Rano wyjaśniam jej, że w dzielnicy rzuca się w oczy obecność nastolatków z żółtymi opaskami. Ze wstydem wyznaje, że wczoraj czekała na mnie na ulicy z karabinem w rękę. Cholera. Ze strachu nieustannie robi głupstwa. Ktoś mógł ją przecież zobaczyć, donieść na nią, a budynek być może zostanie przeszukany. Znowu musimy uciekać.

Pakujemy do plecaków możliwie najwięcej żywności i innych użytecznych rzeczy. Co robić i w jakiej kolejności? Najpierw trzeba znaleźć kryjówkę, w której tymczasowo złożymy jak najwięcej naszych „bogactw”, a później rozejrzemy się za nowym schronieniem. Następnie poszukamy komputera, żeby odczytać bezcenne dane z pendrive'a. To właśnie trzeba zrobić.

Po dwóch godzinach znajdujemy wreszcie spokojną i pustą ulicę Benserade. Przenosimy do klatki schodowej jednej z tamtejszych kamienic nasze zapasy, a także granaty i amunicję. Miejmy nadzieję, że uchronimy je przed szabrownikami. Stéphane nalega, żebyśmy zatrzymali karabin i pistolety. Rozumiem, że potrzebuje poczucia bezpieczeństwa, ale mam nadzieję, że nie straci głowy tak jak Marco. Biorę jeden pistolet automatyczny i szczyryk, który znalazłem w pałacu.

Czekamy godzinę, żeby zmylić ewentualnych podglądaczy. Gdyby ktoś zobaczył, że wchodzimy z pełnymi plecakami, a po chwili wychodzimy bez niczego, mógłby ukraść nasz skromny dobytek.

Odzywam się ze ściśniętym gardłem:

– Gdybyśmy się zgubili i chcieli znowu odnaleźć, umówmy się, że tutaj będzie punkt kontaktowy, OK?

Stéphane patrzy na mnie tak oburzonym wzrokiem, jakbym ją spoliczkował. Nie muszę jej wyjaśniać, co mam na myśli, sama zrozumiała.

– Dlaczego tak kurczowo trzymasz się tego spotkania, Yannis? Wiara w Khronosa jest równie absurdalna jak wiara w Świętego Mikołaja.

– Akurat ty nie powinnaś wypowiadać się na ten temat! Sama myślisz, że twój ojciec załatwi wszystko jednym machnięciem czarodziejskiej różdżki.

– Listy gończe rozwieszono z powodu Marca – odpowiada, rzuciwszy mi wyzywające spojrzenie. – To przez niego jestem poszukiwana za morderstwo. Mój ojciec doskonale wie, że nigdy...

– No nie, weź się posłuchaj! Pozwól tylko, że ci przypomnę: Marco wtedy, przy stacji Gentilly, uratował nam życie! I poświęcił swoje. A jeśli strzelał do tych wojskowych w lesie, to też po to, żeby nas ratować – bo twój ojciec kazał nas ścigać.

– A kiedy zastrzelił żołnierza w Lyonie, żeby ratować twoją skórę? To też była wina mojego ojca?

Jej nielojalność doprowadza mnie do wściekłości. Jak może tak zmieniać pamięć o Marcu, który uratował mi życie? Moje słowa smagają jak bicz:

– Prawdziwa z ciebie *khamja*, Stéphane!

Nie wiem nawet, co naprawdę znaczy to arabskie słowo, ale z pewnością jest obraźliwe. Usłyszałem je od ciotki, która nazwała tak kelnerkę ostentacyjnie zajmującą się wszystkimi poza nami. Teraz dodaję, zaciskając dłonie w pięści:

– To przez twojego ojca jesteśmy ścigani, Stéphane. Wiesz to równie dobrze jak ja. Jeżeli nawet do niego dotrzesz i on ci pomoże, poważnie myślisz, że będzie się przejmował jakimś

dzieciakiem z marsylskiego blokowiska?

– Przestań zgrywać ofiarę, bo w końcu się nią staniesz.

– A ty przestań bez przerwy gadać o swoim ojcu... Ciii, zamknij się. Słyszę jakiś hałas...

– Nie powstrzymasz mnie przed...

Szybko zakrywam jej usta dłonią. Spojrzeniem uciszam Happy'ego. Dochodzą do nas odgłosy kroków i rozmów. Ktoś przechodzi całkiem blisko, tuż za ścianą kamienicy. Kroki się oddalają. Zapada cisza i Stéphane szybko się uwalnia. Ze zmarszczonymi brwiami szepcze:

– Pospieszmy się, trzeba znaleźć jakąś kryjówkę i komputer. A potem...

A potem co? Każde z nas pójdzie w swoją stronę? Chyba tak. Każde w swoją stronę...

Mam wrażenie, że moje serce wypełnia lód. Znowu czuję się strasznie samotny.

Potem wychodzimy na ulicę z pustymi rękoma. Nie wiemy, o czym rozmawiać. Musimy znaleźć komputer z naładowaną baterią. To nie powinno być trudne. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, w ciągu kilku godzin będzie wiedziała, gdzie jest jej rodzina, a ja być może dowiem się więcej o Khronosie i całej tej historii dotyczącej podróży w czasie. W każdym razie spotkanie 24 grudnia to moja jedyna nadzieja. Niedorzeczna nadzieja, ale trzymam się jej ze wszystkich sił. Wszystko to, co się nam przytrafia, jest tak niezwykle, że chcę wierzyć, iż jestem w stanie uratować Ekspertów i razem w przeszłości ocalimy świat. Ale Stéphane i ja...?

14 GRUDNIA, PÓŹNE POPOŁUDNIE

Na zewnątrz wszystko się zmieniło. Wraz z zapowiadzianym zaostreniem stanu wojennego na ulicach Gentilly zapanowało ogromne poruszenie. Funkcyjni z żółtymi opaskami na rękawach patrolują dzielnicę. Niektórzy przeszukują budynki, żeby odnaleźć ocalałych i doprowadzić ich do najbliższego Z-Punktu. Inni przypominają przez megafony, że każde działanie wbrew rozkazom zakończy się pościgiem. Pozostali prowadzą chłopaków i dziewczyny z wypchanymi do granic możliwości plecakami do ich nowego „domu”. Pięknego, ogrzewanego więzienia.

Stéphane nie chciała iść po dachach, chociaż teraz jesteśmy znacznie mniej obławowani. Być może ma do mnie żal i postanowiła to zademonstrować. I oczywiście wzięła do plecaka broń, a także karabin na pasku, co trochę rzuca się w oczy. Jak znaleźć bezpieczną kryjówkę, kiedy godzina policyjna tak blisko i wszędzie roi się od patroli z opaskami na rękawach?

Nasza kłótnia jest jeszcze zbyt świeża, abyśmy byli w stanie wspólnie ustalić wyjście z tej sytuacji. Słowa utknęły nam w gardle. Kiedy patrol się oddala, wychodzimy z kryjówki i przemykamy pod ścianami. Happy podąża za nami krok w krok. Wkrótce zauważamy odosobniony magazyn na ulicy Lecoq. Może nikt nie pomyśli o przeszukaniu dawnego składu żelaza? To doskonała kryjówka. Porozumiewamy się wzrokiem: będziemy z bramy obserwować to miejsce.

Kilka minut później zauważamy dziewczynę w czarnej czapce. Zdecydowanym krokiem wchodzi na podwórko. Do diabła, budynek jest już zajęty! Jej pewny siebie chód na dwie godziny przed godziną policyjną każe przypuszczać, że nie pośpieszy do najbliższego Z-Punktu z powodu nakazów prawa wojennego. A może udałoby się uczynić z niej sojuszniczkę?

Niedługo potem pojawia się rosły chłopak. Kieruje się w stronę metalowej ściany budynku. Zastanawiam się, ile osób jest wewnątrz i jak je przekonać, żeby nas ukryły. Z sąsiedniej ulicy dobiega odgłos kroków. Trzeba działać szybko! Odwracam się do Stéphane.

– Jeśli chcesz, porozmawiam z nim.

– I myślisz, że grzecznie zaprosi cię na herbatę?

Już chcę zaprotestować, gdy ona rzuca z determinacją:

– Popatrz tylko, w jakim świecie teraz żyjemy.

Trąca mnie lufą karabinu, po czym wyskakuje z kryjówki jak na sprężynach.

– Stéphane!

Podbiega do chłopaka o imponującej posturze i przystawia mu lufę do skroni. Ja też jestem zdumiony. Dlaczego zaatakowała, zamiast spróbować z nim porozmawiać? Co mam teraz zrobić? Po raz kolejny nie zostawiła mi wyboru.

– Chodź, Happy.

Biegnę w stronę Stéphane.

Serce mi się kraje na widok skurczu, który przebiega przez twarz chłopaka, ale też celuję do niego z broni. Sprzecznianie się w jego obecności ze Stéphane oznaczałoby naszą zgubę.

– Jak się nazywasz? – szepcze Stéphane wprost do ucha chłopaka, w którego niebieskich oczach czai się przerażenie. – Odpowiadaj cicho.

– Jules.

– Jesteś praworęczny, Jules?

Chłopak nie ma nawet czasu odpowiedzieć pełnym zdaniem, bo Stéphane wykręca mu lewą rękę. Jules krzyczy z bólu. Gardło mi się ściska. Czy to złość na mnie uczyniła ją taką brutalną? Znowu jest tak samo oślepiona buntem i strachem jak wtedy, gdy uderzyła Marca.

Happy nerwowo kręci się wokół nas. Z wnętrza hangaru słyszę dziwne nucenie. Coś jakby melodię.

– Widzisz, nawet jeśli zrobisz coś głupiego, nie złamię ci najbardziej potrzebnej ręki, przynajmniej nie na początku. Masz broń?

– Przy pasku...

Ruchy Stéphane są szybkie i precyzyjne. Zabiera Jules'owi i podaje mi długi bagnet. Jestem pod wrażeniem. Ostrożnie wkładam broń do plecaka. Stéphane jeszcze bardziej wykręca chłopakowi rękę.

– Wiesz, czy ta dziewczyna w środku jest sama?

– Ja... wydaje mi się...

– Ma komputer?

– Nie wiem.

Nagle nucenie staje się wyraźniejsze. To jakaś pieśń. Zduszona melorecytacja, przywodząca na myśl nieustanne brzęczenie lecącej pszczoły. Dziewczyna nuci niezrozumiałe słowa. Stéphane każe Jules'owi trzykrotnie zapukać pięścią w blaszane drzwi. Śpiew staje się głośniejszy.

– To ja, Jules, otwórz mi!

Chłopak znów puka. Śpiew ustaje.

Po kilku sekundach drzwi ostrożnie się otwierają. Na progu pojawia się dziewczyna o białej, okrągłej twarzy, otoczonej kilkoma kosmykami włosów wystających spod czapki. Ta twarz przyciągająca słabe promienie światła wpadające przez brudne szyby sama w sobie jest słońcem...

Opanuj się, Yannis, to nie jest odpowiednia chwila!

– Wybacz, wzięli mnie z zaskoczenia...

Stéphane wpycha chłopaka do środka, ale go nie puszcza.

– Cofnij się – rozkazuje zimno pieśniarce. – Zamknij za nami, Yannis. A ty odsuń się dalej!

Rzucam jej karcące spojrzenie, ale szybko wykonuję polecenie. Pośrodku magazynu stoi przyczepa imponujących rozmiarów. W czymś takim przewozi się chyba zwierzęta. Pomieszczenie zastawione jest stołami warsztatowymi, stanowiskami do lutowania i różnego rodzaju maszynami. Pod ścianą zauważam dwa rowery. Przyległe pomieszczenie o przeszklonych ścianach wcześniej było pewnie biurem, a panujący w nim bałagan wskazuje, że zostało ograbione. Gestem każe dziewczynie w kurtce myśliwskiej cofnąć się w stronę maszyny do cięcia metalu. Wykonuje rozkaz, ale szybko otrząsa się ze zdumienia i uważnie przygląda się Stéphane, spojrzeniem jednocześnie upartym i pytającym.

– Dlaczego nas zaatakowaliście? Nic wam nie zrobiliśmy. Staramy się tylko przeżyć, tak samo jak wy.

Mówi z lekką chrypką. Stéphane nie raczy odpowiedzieć, stoi nieruchoma, z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Nadal mocno trzyma Jules'a, który zamknął oczy, koncentrując się na bólu. Ja też nic nie mówię – z ostrożności i zakłopotania. Dziewczyna mierzy się z nami spojrzeniem przez kilka minut, aż w końcu podchodzi dwa kroki bliżej. Jest bezczelna czy nie wie, co robi? Stéphane może w każdej chwili złamać chłopakowi rękę, a ja pociągnąć za spust. Tymczasem ona zaczyna rozmowę, jakby nas tu nie było.

– Coś się stało Maksowi? – pyta Jules'a z nutką niepokoju w głosie.

Stéphane stoi oniemiała wobec takiej pewności siebie.

Jules jest tak przerażony, że ledwie może wydobyć z siebie głos. W końcu odpowiada:

– Jest z nim pewien kłopot. Odmawia...

Stéphane mocniej wykręca rękę Jules'a, który krzyczy z bólu, a potem zaciska zęby.

– Dobrze się czujecie? Nie przeszkadzamy wam? – pyta moja towarzyszka.

Ton jej głosu jest teraz monotonny i lodowaty. Jej oczy przybierają metaliczny odcień.

Pieśniarka cofa się o krok.

Stéphane wysuwa podbródek do przodu i pyta:

– Masz broń?

Dziewczyna milczy. Podaję Stéphane karabin i mówię najspokojniej, jak potrafię:

– Trzymaj ich na muszce. Ja ich obszukam.

„Jestem po twojej stronie, Stéphane. Spójrz na mnie. Wróć do mnie. Nie daj się pochłonąć przemocy...”

W końcu nasze spojrzenia się spotykają. Jej stalowe oczy nagle się ożywiają. Jak wzburzone morze. W końcu stają się łagodnie szare. Wzdycha i puszcza ramię chłopaka. Jules z ulgą zaczyna masować rękę. Mój fortel zadziałał.

Stéphane mniej mechanicznym gestem bierze ode mnie karabin. Rozkazuje „naszym więźniom” podnieść ręce do góry i rozstawić nogi. Naszym więźniom... Ale się wpakowaliśmy! Teraz nie sposób już się wycofać. Gorączkowo obmacuję dziewczynę, która sztywnieje pod dotykiem moich dłoni.

14 GRUDNIA, WCZESNY WIECZÓR

Próbuję związać naszym więźniom ręce na plecach sznurkiem znalezionym na jednym ze stołów. Muszę sobie przypomnieć węzły, których nauczyłem się na kursie żeglarskim w podstawówce. Dziewczyna wierci się, żeby utrudnić mi to zadanie.

– Przestań się opierać albo zrobię ci krzywdę – ostrzegam ją.

Rzuca mi spojrzenie ostre jak sztylet, a przecież powiedziałem to dla jej dobra. Nie chciałbym zbyt mocno jej ścisnąć.

Kiedy wreszcie kończę, przyglądam się uważnie naszym „wrogom” mimo woli. Co do Jules’a, nie budzi on we mnie żadnej nieufności. Regularne rysy twarzy, jasne, łagodne spojrzenie i delikatne usta nadają mu wygląd grzecznego chłopca – mimo postury zapaśnika. Jestem pewien, że bez trudu można by znaleźć w nim sprzymierzeńca. Nie wiem natomiast, co myśleć o dziewczynie. Jej zachowanie jest równie dziwne jak jej ogromne oczy, którymi czasem wpatruje się we mnie, jakby chciała przejrzeć moją duszę. Szczególnie fascynują mnie jej usta. Można by powiedzieć, że są jak dwie wiśnie w miseczce ze śmietaną, do której wpadły maleńkie ziarenka brązowego cukru. Muskam wzrokiem jej kształty, ale natychmiast się rumienię. Potem moją uwagę przyciągają jej miedziane włosy, wystające spod czarnej czapki.

Nasi więźniowie siedzą teraz w najmniej narażonym na przewiew kącie magazynu. Stéphane kuca naprzeciw nich z karabinem na udach i wyjaśnia całą sytuację. Mówi o żandarmerii, morderstwie i obławie. Chce, żeby się nas bali, chce mieć kryjówkę na noc, zabrać połowę ich zapasów żywności i... zdobyć komputer. Ostatnie żądanie budzi zdumienie naszych jeńców, ale ona niczego im nie tłumaczy.

Następnie ja dodaję możliwie najbardziej stanowczym tonem, rzucając krzywe spojrzenie w stronę przyjaciółki:

– Później odejdziemy, nie zrobimy wam krzywdy.

Dziewczyna znów zaczyna się wiercić, nie ma zamiaru zachowywać spokoju. Opowiada nam, pewnie ściemniając, historię chorego kuzyna, którego musi odebrać... Próbuje nami manipulować, to oczywiste. My na jej miejscu pewnie zrobilibyśmy to samo. A teraz wstaje niezgrabnie, z rękoma nad głową, patrząc na nas wyzywającym wzrokiem. Celuję w jej twarz. Stéphane przeładowuje karabin.

– Spoko, Stéphane – mamroczę.

Twarz uwięzionej nagle się zmienia, dziewczyna szeroko otwiera oczy.

– Stéphane... Byłam prawie pewna. Znam cię. Jestem Kori, córka rolników z Menesguen w pobliżu Dourdu.

Stéphane była jej sąsiadką? Czy to możliwe? Moja przyjaciółka marszczy brwi, pozostaje nieufna. Przygląda się dziewczynie, pewnie szukając w pamięci jej twarzy. Zbliża się do niej. Nagle lufą pistoletu zdejmuje jej czarną czapkę. Spod nakrycia głowy wypada masa imponujących ciemnorudych włosów i rozsypuje się na plecach. Nigdy nie widziałem niczego równie pięknego. Prawdziwe, roztańczone morze ochry. W oczach Stéphane zapala się światełko – rozpoznaje ją. Sekundę później cała jej twarz wyraża pytanie.

– Nie żyją – odpowiada Kori tak naturalnie, jakby Stéphane ją o to zapytała. – Twój brat i matka, razem z twoim ojczymem. Wszyscy troje. Jedna z moich przyjaciółek widziała ich ciała. Ja... tak mi przykro.

Stéphane blednie w ciągu kilku sekund.

– Zamknij się – mamrocze, trzęsąc się. – Kłamiesz.

– Stéphane – mówię łagodnie.

– Zamknij się, wyraźnie ci mówię! – powtarza z wściekłością. – Siadaj!

No tak. Powróciła do trybu wojownika.

– Jest tu piwnica, jakiś skład?

Kori wskazuje jej brodą pomieszczenie obok biura, ale nie siada. Stoi nieruchomo jak lalka z wosku. Zapada między nami martwa cisza. Stéphane mówi bezbarwnym głosem:

– Yannis, uwolnij mnie, proszę, od tej kłamczuchy i jej kumpla.

Marszczę brwi. Nie zgadzam się z nią, choć rozumiem jej potrzebę samotności.

– Stéphane – mówię kilka minut później, po rozwiązaniu Jules'a i Kori i zamknięciu ich w składziku. – Najpierw coś zjemy, a potem przeanalizujemy naszą sytuację. OK?

Kori powiedziała, że w przyczepie jest żywność. Odkrywam konserwy, a także garnek i otwieracz. Postawa Stéphane napawa mnie niepokojem. Jej oczy przybrały kolor nieba po burzy, są nieodgadnione. Podczas jedzenia w kółko powtarza, że dziewczyna z pewnością kłamie, bo ojciec zapewniał ją, że wszystko będzie dobrze i cała rodzina się połączy. To nic nie znaczy, ale dobrze widzę, że nie jest jeszcze gotowa, żeby się z tym pogodzić.

Siadam obok niej. Przez kilka minut milczę i zastanawiam się nad jej agresywnym zachowaniem. Wiem, że jej smutno, ale to nie jest żadne usprawiedliwienie!

– W jakim teraz świecie żyjemy, co? – pytam, starając się pohamować złość. – Czy taki świat ci pasuje? Świat wszechobecnej przemocy?

– Ja się na nic nie zgadzam. Ja się tylko przystosowuję.

– Nie sądzę. Ten świat jest całkiem nowy. Robimy z nim, co chcemy. W oczekiwaniu aż Khronos przeniesie nas w przeszłość...

Zastanawia się przez chwilę, po czym pyta nieco łagodniejszym tonem:

– A ty co chcesz z nim zrobić?

– Gdyby okazało się, że Khronos zawiedzie albo nie istnieje... – Na myśl o takiej możliwości serce mi się kraje, muszę jednak brać to pod uwagę: – ...chciałbym, żeby nowy świat wyglądał inaczej niż tamten, bo ostatecznie nie potrzebujemy wiele. Chciałbym żyć tak jak Elissa. Własnymi rękami uprawiać ziemię, żeby rodziła plony dla mnie i mojej rodziny, a także dla innych ludzi, którzy nie będą umieli albo mogli sami sobie z tym poradzić. Chciałbym żyć w świecie, w którym będą się liczyć tylko wiatr, słońce, deszcz, rzeki, pory roku. Przyjaciele.

Chciałbym dodać też „miłość”, ale nie mam śmiałości i czuję, że się rumienię. Wszystko to, co opowiadam, jest trochę głupie. A jednak zupełnie niespodziewanie Stéphane szepcze:

– Marzyciel z ciebie, Yannis. Mam nadzieję, że świat będzie należał do marzycieli.

NOC Z 14 NA 15 GRUDNIA

Mrok powoli ogarnia naszą kryjówkę. Wraz z nim wracają moje duchy. Cieszę się, że tu są, bo Stéphane jest nieobecna i odległa, jakby zagubiona w innym miejscu, należącym tylko do niej.

Zakładam noktowizor. Zwinięta postać Stéphane wydaje się teraz równie widmowa jak moje duchy, które ją otaczają i wyglądają tak, jakby zadawały jakieś pytania. Kładę się, przyciągam Happy'ego do siebie i ukrywam twarz w jego ciepłej sierści. Przytulamy się, żeby trochę się rozgrzać, bo robi się coraz zimniej. Stéphane z pewnością jest przemarznięta, chociaż okryła się śpiworem. Nasi więźniowie też marzną. Znaleźliśmy tylko jedną kołdrę dla ich dwojga. Mam nadzieję, że dadzą sobie radę. Cieszę się, że ich rozwiązałem. Inne postępowanie byłoby nieludzkie. Z czasem cisza staje się nie do zniesienia.

– Dobrze znasz tę Kori? Często ją widywałeś?

Żadnej odpowiedzi.

– Stéphane?

– Hmm?

– Wiesz, że nie lubię, jak mi rozkazujesz.

– Och, Yannis, zlituj się... To było tylko po to, żeby zrobić na nich wrażenie. Tylko po to.

– To nie jest żadne wytłumaczenie.

Znów zapada cisza. Moje duchy pozostają w pobliżu Stéphane. One też mnie wkurzają, chciałbym wreszcie zrozumieć, dlaczego woła ją ode mnie. Zapadam w niespokojny sen, zakłócany przez smutek i zimno.

O szóstej rano temperatura jest tak niska, że nie sposób dłużej spać. Wstaję zdrętwiały i chucham w dłonie. Później zapalam latarkę i idę w kierunku schowka.

– Co robisz? – mamrocze Stéphane.

– Wypuszczę ich. Są tam już od dwunastu godzin.

– To nie jest dobry pomysł. Kto wie, może w tej ciemności zastawili na nas pułapkę? Kori jest zapewne zdolna do wszystkiego.

Nic nie odpowiadam. Z pewnością ma rację. Ale jest też przerażająca z tym swoim chłodnym rozsądkiem. Opatulony w śpiwór, kulę się w kącie i w oczekiwaniu na świt rozmyślam nad niedorzecznością całej tej sytuacji.

15 GRUDNIA, GODZINA 8.45

– Wstawajcie i chodźcie za mną.

Mimo zimna wewnątrz składziku cuchnie. Stéphane i ja mogliśmy iść do toalety w ciągu nocy, a Jules i Kori nie. Wstydę się za nich, ale przede wszystkim wstyd mi za siebie samego. Kieruję ku ziemi lufę pistoletu, a Stéphane zaciska szczęki i celuje prosto w naszych więźniów. Jules i Kori z trudem wstają. Spostrzegam, że mają sine usta. Pod bladą skórą widać żyły. Trzęsą się. Prowadzę ich do łazienki, żeby się trochę umyli.

Chciałbym też zaproponować im ciepłą wodę, żeby się rozgrzali. Mógłbym. Wystarczyłoby podgrzać wodę z butli zgromadzonych przez Kori w przyczepie za pomocą kuchenki gazowej, którą zabrałem ze sobą z kryjówki. Niestety, jestem tu w roli strażnika, więc kiedy jedno z nich przechyla kanister, żeby nalać wodę w dłoń drugiego, pilnuję ich w drzwiach. Happy leży u moich nóg, a ja jedną rękę trzymam w kieszeni, a w drugiej ściskam pistolet.

Kiedy Jules podwija rękawy, dostrzegam dziesiątki cienkich blizn po nacięciach na jego przedramionach. Skąd je ma? Jules i Kori szepczą między sobą. Pewnie chcą się nawzajem podnieść na duchu. Stéphane w tym czasie kręci się w kółko z bronią w ręku. Rzucamy sobie ukradkiem spojrzenia. Ona marszczy brwi, gdy słyszy szepty Jules'a i Kori.

– Pozwalasz im rozmawiać! – upomina mnie surowym głosem.

– Wszystko w porządku, oni...

Nie słucha mnie. Nagle zaczyna wrzeszczeć:

– Morda w kubeł! Zdaje wam się, że jesteście na letnich koloniach czy co?!

Tego już za wiele. Ja też zaczynam się wydierać, ale na Stéphane:

– Już dobrze, przestań. Oni tylko rozmawiają, a nie wymieniają się bombami!

– Ty...?

Nie kończy zdania. Całe jej ciało się spina, jest gotowa do kłótni. Happy się nie myli, szczyrzy zęby. Instynktownie ściskam w kieszeni prowizoryczną czuryngę. Jak wówczas, gdy stawiałem czoła wilkom... Chwytam jej spojrzenie, w którym nie dostrzegam ani trochę współczucia. W końcu ona pierwsza spuszcza oczy. Z wściekłości kopie w ścianę i odwraca się, krzycząc z bezsilności.

Jules i Kori w drzwiach łazienki patrzą na nas okrągłymi oczami. Tym razem decyduję się podgrzać wodę, żeby zrobić kawę rozpuszczalną.

Nasi „więźniowie” piją kawę i nabierają kolorów. Rozkładałam narzutę w kącie hali i siadam obok nich. Milczymy. Zegar na ścianie pokazuje dwie minuty po dziewiątej. Stéphane, która dotychczas trzymała się od nas z daleka, podchodzi z karabinem w ręku. Zwraca się do nich, ale wskazuje na mnie:

– Wiem, że wczoraj nie musiałam mierzyć do was z broni. Jednak mam zamiar używać przemocy tak długo, jak będzie to konieczne. Uprzedzam was, żebyście nie mieli złudzeń.

Potem odwraca się do Kori:

– Nie polubimy się tylko dlatego, że kiedyś byliśmy sąsiadkami. My z Yannisem nie chcemy ryzykować. Zrozumiano?

Stéphane stwierdza, że zrobiła odpowiednie wrażenie, i mówi o dalszym ciągu misji.

– OK. To słuchajcie. Wygląda na to, że mamy sporo zapasów jedzenia, ale potrzebujemy jeszcze jakiegoś laptopa z naładowaną baterią.

W oczach naszych jeńców pojawia się pytanie.

– Ktoś z was musi wyjść i znaleźć takiego kompa. Kto pójdzie?

To mnie niepokoi. Jest dzień, a stan wojenny właśnie został zaostrożony. Skąd pewność, że na zewnątrz Jules albo Kori nie doniosą na nas żołnierzom? Zamierzam zaprotestować, kiedy Kori wstaje.

– Chyba wiem, skąd wziąć laptopa.

– Skąd?

– Moi... Mam przyjaciół, którzy zajmują się kontrabandą.

– Tak. Domyślam się – cedzi Stéphane przez zęby. – Wydajesz się konkretnie ogarnięta jak na Bretonkę w Paryżu.

– Kiepski plan – oponuję. – Jaką mamy gwarancję, że nie zaprowadzisz nas do swoich dwunastu przyjaciół handlarzy uzbrojonych po zęby?

Kori wzrusza ramionami i próbuje czegoś innego:

– OK, można jeszcze spróbować w szkole. Jest tam sprzęt, ale nie wiem, jak z bateriami.

– To mi się bardziej podoba – odpowiada Stéphane.

– Mnie też się podoba – przyznaję. – Możemy tam dojść tak, żeby nikt nas nie widział?

Kiedy kiwa głową, natychmiast dodaję:

– Ja z nią pójdę.

Dziewczyny rzucają sobie ukradkowe spojrzenie. Obie są równie mocno zaskoczone.

– Dobrze, Yannis – zgadza się Stéphane. – Jak sądzisz, Kori, ile czasu zajmie wam ta wycieczka?

– Najwyżej półtorej godziny.

Stéphane wskazuje pistoletem na Jules'a.

– Wiesz, Jules, gdzie jest chory kuzyn Kori, prawda? Twoi przyjaciele się nim zajmują, tak?

Chłopak skwapliwie kiwa głową.

– Jeśli Kori i Yannis nie wrócą za półtorej godziny, wskażesz mi, gdzie mieszka ten niepełnosprawny kuzyn?

Nie wystarczy jej, że będę miał broń i pójdę z Kori? Po co te dodatkowe groźby? Czy ona w ogóle ma do mnie zaufanie? Powtarza z naciskiem, zwracając się do Kori:

– Półtorej godziny.

Nagły warkot helikoptera wywołuje we mnie dreszcz przerażenia. Zaostrzenie stanu wojennego dotyczy również powietrza. W Gentilly będziemy pewnie bezpieczni jeszcze przez kilka godzin. Kori wkłada czarną czapkę, pod którą ukrywa włosy. Tym razem nie wystaje spod niej ani jeden kosmyk. Ja też naciągam swoją nisko na czoło. Owijam się szalikiem aż po nos, głaszczę Happy'ego, po czym zamykamy drzwi prowadzące na tył magazynu.

– Szkoła nie jest daleko – mówi Kori. Przechodzimy przez podwórze, na którym stoją furgonetka i traktor o bokach ozdobionych kwiatami oraz gwiazdkami, najwyraźniej namalowanymi przez dziecko.

Jej słowom towarzyszy obłok pary, pojawiający się w bladawym świetle. Trzymam ją na muszce, a ona otwiera ukryte drzwi, żeby wejść do budynku naprzeciwko. Widać, że zna przejścia umożliwiające pokonanie klatek schodowych i zadaszonych dziedzińców bez wychodzenia na ulicę. Szczury harcują na całego. Tańczą na zmarłych, śmieciach, gruzie i nieszczęściu. Kopniakiem uwalniam się od gryzonia, który leci na ścianę kontenera. Piszczy i ucieka. Kori rzuca mi krótkie spojrzenie i wchodzi do kolejnej kamienicy. Happy macha ogonem i przegania kolejnego szczura.

Bretonka daje mi znak, żebym podszedł za nią do drzwi z wybitą szybą. Nadal celuję w nią z pistoletu, ale ona wcale się tym nie przejmuję.

– To tam, z drugiej strony podwórka. Musimy pokonać około dziesięciu metrów otwartej

przeprzeni do drzwi stołówki. Są otwarte, bo szkoła została obrabowana.

Biegniemy przez podwórko. Zjeżdżalnia i karuzele są pokryte posępnymi rysunkami, wykonanymi sprayem. W jadalni wszystko poprzewracano do góry nogami. Ściany pomazano aż po sufit – dominują tu obelgi, wulgarne słowa i napisy typu „Fuck you, szkoło!”. Na podłodze przy wejściu do kuchni walają się puszki po konserwach. Happy je obwąchuje. Najwyraźniej ktoś wygłodzony posilał się na miejscu. Popychamy wahadłowe drzwi i wchodzimy na szkolny korytarz, również całkowicie zdemolowany. Wisi tam jednak kilka dzieciennych rysunków – przedstawiają ludziki, szydzące z nas oczami bez źrenic.

Wchodzimy do kolejnych klas. Rzucamy się w stronę komputerów, ale wszystkie mają wyczerpane baterie. W trzeciej sali, jak informuje napis na drzwiach, była zerówka. Przyćmione, kolorowe światło sprawia, że klasa przypomina wnętrze kościoła. W powietrzu unoszą się złote drobinki kurzu. W oknach ktoś przykleił papierowe witraże. Przykładam lufę pistoletu do pleców Kori, która waha się przed wejściem do środka. Z tyłu, na ławce leży laptop. Ruchem broni każę jej włączyć sprzęt. Dziewczyna siada na krzeselku, otwiera klapę, wciska guzik... i cud – sprzęt odpala.

– Siedemdziesiąt procent baterii – mówi.

– Świetnie. Szybko go wyłącz.

Odłączam komputer i wkładam do plecaka.

– Idziemy stąd.

Kori się nie rusza. Stoi przed akwariem. Na powierzchni wody unoszą się dwie nieruchome złote rybki. Daję jej znak pistoletem. Nie mamy czasu do stracenia. Jej odległe, zagubione w bezbrzeżnym smutku spojrzenie mimo wszystko przyciąga moją uwagę.

– Kiedy byłam mała, też mieliśmy w klasie złote rybki.

To prawda, jeszcze niedawno wszyscy byliśmy dziećmi. Jej twarz zachowała jeszcze krągłość właściwą dla małej dziewczynki. Dziecięcą niewinność. Mam ochotę dotknąć jej aksamitnych policzków. Jej wilgotnych ust. Jest teraz dziwnie piękna. A przede wszystkim taka spokojna i poważna, znacznie bardziej niż Stéphane, która zawsze jest gotowa ugryźć... Opuszczam broń i teraz ja przewiercam ją spojrzeniem. Robię krok w przód, a ona ze zdziwieniem odwraca się do mnie, ale pozwala mi podejść. Pochylam się w jej stronę. Ku jej ustom. Po raz pierwszy w życiu ośmielam się pocałować dziewczynę i mam wielką nadzieję, że to nie pistolet w rękę dodał mi śmiałości.

Mój pierwszy pocałunek, mój pierwszy i cudowny...

– Hej!

– Ręce do góry. Natychmiast.

Cofa się o dwa kroki, trzymając w dłoniach moją broń. No nie, ależ ze mnie kretyn! Cholera jasna, Stéphane miała rację, że mi nie ufała! Kori trzyma mnie na muszce, ma zmarszczone brwi i zaciśnięte szczęki. Ale w jej oczach... odczytuję coś podobnego do tego, czego sam doświadczyłem. Ona też jest poruszona, mogę przysiąc. Happy warczy, gotów się na nią rzucić. Każę psu się uspokoić, a on wykonuje polecenie. Znowu dostrzegam zdziwienie w jej oczach – nie rozumie, czemu powstrzymuję psa. Niczego jej nie wyjaśniam, tylko się w nią wpatruję. Nie chcę, żeby strzeliła do mnie albo do Happy'ego, ale nie chcę też, żeby Happy zrobił jej krzywdę.

Idziemy tą samą drogą, tylko w przeciwną stronę. Ranek jest blade i mglisty, a ona trzyma pistolet wycelowany w moje plecy... Happy po drodze znalazł kość, którą dumnie niesie w pysku. Mam nadzieję, że to kość zwierzęca, a nie... Nie warto nawet o tym myśleć.

– To wszystko nie ma sensu – odzywam się.

– To nie ja zaczęłam.

- Nie chciałem tego.
- A jednak to zrobiłeś.
- Wiem. Ja...
- Oceniam tylko czyny.
- Jestem pewny, że moglibyśmy...
- Za późno. Zamknij się. Jesteśmy na miejscu. No dalej, pukaj.

Robi mi się ciężko na sercu, kiedy myślę o Stéphane. Uzna mnie za idiotę. Trzy uderzenia, dwa i znowu trzy. To umówiony sygnał.

15 GRUDNIA, GODZINA 10.45

– Popchnijcie drzwi! – krzyczy Stéphane po chwili. – Są otwarte, ale trochę ciężkie, zablokowałam je.

Kori wciska mi lufę między łopatki. Opieram się o drzwi ramieniem i napieram na nie całym ciężarem. Coś trze o ziemię. Znowu czuję nacisk na plecach. Podnoszę ręce do góry.

– Niespodzianka – szyderczym głosem woła Kori.

Stéphane nie wydaje się bardzo zdziwiona tym, że dałem się pojmać. To mi uwłacza. Siedzi, opierając się o przyczepę. Sprawia wrażenie wykończonej, ale nie wygląda na to, żeby miała zamiar się poddać. Trochę ją jednak znam! Wyciąga pistolet automatyczny i celuje w Kori... to znaczy we mnie.

– I nawzajem – odpowiada z grymasem na twarzy.

Jules leży w kącie hali. Dopiero teraz zauważam, że podłoga jest pokryta plamami krwi, a na ziemi leży skalpel.

– Stéphane... Co tu się działo?

Happy kręci się wokół Jules'a z wyraźnym podenerwowaniem. Zawsze niepokoi go cudze cierpienie.

– Torturowałaś go! – mówię.

Stéphane rzuca mi ponure spojrzenie.

– Chory jesteś? Och, Yannis, wróc na ziemię! To ja, Stéphane! Właśnie usunęłam mu nadajnik. Tymczasem ty dałeś sobie odebrać broń jak jakiś głupek.

– Nadajnik?

Przypominam sobie, że w szpitalu Salpêtrière usłyszałem coś o „materiałach do oznaczania”.

– Wszystko OK... – mamrocze całkiem oszołomiony Jules. – Ona jest... OK, Kori.

Stéphane jednak szuka czegoś po omacku, oczywiście z bronią gotową do strzału! Kori też nie opuszcza pistoletu.

– Cóż, cóż, cóż – mówi, starając się opanować lekkie drżenie głosu. – A może byśmy się trochę uspokoiły, droga Stéphane? W głębi duszy wiemy to obydwie. Nikt tu nie ma ochoty nikogo zastrzelić. W takim razie, chociaż jesteśmy trochę zdenerwowani i źle spaliśmy, trzeba spróbować się uspokoić. No, Yannis, zgadzasz się? Szkoda by było. Gdybyśmy byli w grze komputerowej, to strzeliłabym, nie wahając się ani sekundy. Ulżyłoby mi od tego i nie miałyby to większych konsekwencji. Ale tu, kiedy się zdechnie, nie ma się prawa do nowej gry. Grywałeś w coś, Yannis, przystojniaku, przed katastrofą? My z Jules'em byliśmy fanami WOT, nawet Ekspertami!

„Co? Oni też grali w WOT?”

– Ach, mówi ci to coś, Yannis? – dziwi się Kori.

„Jules i Kori są Ekspertami WOT!”

– Rycerz Adrial – mówię głośno.

W tym momencie Jules podnosi z trudem rękę i dwukrotnie uderza się pięścią w pierś.

– Spider Snake – ogłasza z dumą.

„Jules jest Spider Snake'iem...!”

– Koridwen – przedstawia się Kori.

Ależ tak! Kori od Koridwen! Koridwen – niepokonana wojowniczką. Jesteśmy wszyscy w tym samym obozie! Kiedy opada całe napięcie, mam niemal ochotę się rozplakać.

– OK – poddaje się Stéphane – w grze nazywałam się Lady Rottweiler.

– Hau! – szczeka Happy, jakby też chciał mieć swój udział w pojednaniu.
Przez jakiś czas Stéphane, Kori, Jules i ja milczymy, próbując przetrwać tę rewelację.
Wszyscy jesteśmy Ekspertami WOT. Wszyscy odpowiedzieliśmy na apel Khronosa. To niesamowite!

Kori jako pierwsza wykonuje jakiś ruch. Powolutku opuszcza broń i kładzie ją na podłodze. Po sekundzie wahania Stéphane robi to samo. Oto się rozbroiliśmy. Wreszcie.

Stéphane przerywa ciszę na swój uroczy sposób:

– Yannis, miałeś czas, żeby znaleźć jakiegoś kompa, czy tylko dałeś sobie odebrać pistolet?

Tak strasznie mnie wkurza, że wcale jej nie odpowiadam. Zamiast tego wyciągam laptopa z plecaka, wyjaśniając szybko pozostałym, że pendrive może zawierać informacje na temat Khronosa. Inaczej patrzą teraz na sprzęt, są żywo zainteresowani. Stawiamy komputer na jednej ze skrzyń, które walają się po magazynie. Siadam przed monitorem.

Wciskam przycisk, żeby włączyć komputer. Melodyjka brzmi w moich uszach jak sygnał z dawno zaginionego świata. Światło monitora przypomina godziny, które spędziłem na grze w WOT. Ogarnia mnie melancholia.

Stéphane już się niecierpliwi, chce zająć moje miejsce i przejrzeć zawartość pendrive'a, którego właśnie podłączyła do sprzętu. Porusza się po labiryncie plików zebranych w folderze. Wszystkim nam, stojącym wokół komputera, ukazują się podfoldery zaczynające się od imion: MARCO, FRANÇOIS, YANNIS... Rzucają mi się w oczy słowa:

DZIAŁALNOŚĆ PRZESTĘPCZA

PRIORYTET: WYSOKI

Serce wali mi szybciej i zamiera, kiedy Stéphane klika plik z moim nazwiskiem. Otwiera zdjęcia ukazujące mnie, moich rodziców i Camilę. Od tak dawna nie widziałem ich twarzy! Chciałbym zatrzymać te obrazy, tak różne od coraz bardziej niewyraźnych duchów i moich rysunków. Stéphane przegląda dokumenty. Jest wśród nich fotografia naszego domu w dzielnicy Panier. Opuściłem kamienicę, kiedy płonęła, a teraz widzę całkowicie spalony budynek. Nie został po niej żaden ślad. Nic. Na moje serce spływa smutek ciężki jak ołów.

– Stéphane... Proszę cię, zamknij ten plik. Zamknij!

Słowa więzną mi w gardle, ale jedno spojrzenie wystarcza jej, żeby mnie zrozumieć.

Otwiera teraz dokument BRETANIA/DOURDU. Pojawiają się informacje na temat jej matki i brata. Jest tam potwierdzenie smutnej prawdy przekazanej przez Kori: oboje nie żyją. Stéphane kamienieje. Nieruchomieje. Uświadamiam sobie teraz, że naprawdę w to nie wierzyła. Teraz jednak nie może dłużej ludzić się nadzieją. Cała krew odpływa z jej twarzy. Kładę dłoń na jej ramieniu, żeby ją pocieszyć, ale gwałtownie ją odpycha, nawet się nie odwracając. Stara się przyjąć ten cios, nie pokazując na zewnątrz rozpacz. Pozostać silną wbrew wszystkiemu – tak mogłaby brzmieć jej dewiza.

– Stéphane – powtarzam łagodnym tonem.

Natychmiast dochodzi do siebie i wraca do przeglądania dokumentów.

Plik zatytułowany PARYŻ/KHRONOS. Khronos! Wszyscy trochę zbliżamy się do ekranu, żeby zaspokoić gorączkową ciekawość. Happy denerwuje się napięciem, które emanuje z naszej czwórki. Czytamy:

Troje z czworga osobników podejrzanych w śledztwie kryminalnym, którego klasyfikacja się zmienia, poświęciło swoje ostatnie połączenia na zalogowanie się na forum gry sieciowej zwanej WOT. Gracze na forum wymienili się informacjami dotyczącymi epidemii

w zamieszkiwanych przez siebie regionach. Ostatnie połączenie z 1 listopada, w którym wzięli udział Stéphane CERTALDO, Marco GALLEHAULT i Yannis CEFAÏ, zaowocowało wiadomością od systemu gry KHRONOSA, który zaprosił ich na spotkanie w Paryżu 24 grudnia.

Moje imię i nazwisko w raporcie wojskowym... Odczuwam to samo ukłucie dumy i ten sam ból co wówczas, kiedy zobaczyłem swoje zdjęcie na paryskim murze, opatrzone słowem „terrorysta”. Już naprawdę nie wiem, kim jestem.

Te połączenia wskazują na możliwe spotkanie w Paryżu, 24 grudnia, z innymi elementami kryminalnymi, nawet jeśli wiadomość animatora gry KHRONOSA jest mistyfikacją.

Słowa „mystyfikacja” i „animator gry” krążą po mi głowie, ale nie jestem w stanie ich zrozumieć. Co to znaczy?

Jest jeszcze plik dotyczący Khronosa. Stéphane przez chwilę się waha. Czy wreszcie dowiemy się czegoś na temat mistrza gry?

Stéphane w końcu klika ten dokument i odczytuje na głos pismo wojskowych:
KHRONOS to awatar mistrza gry WOT. Chodzi o silnik gry typu Eugene Goostman (sztuczna inteligencja) stworzony przez spółkę Ukromania i przejęty przez wydawcę gry Next Games. Jego zadaniem jest zarządzanie interakcją między graczami podczas ich podróży w czasie.

Silnik gry?

SPOTKANIE 24 GRUDNIA:

Według pracujących dla nas wiarygodnych osób zaproszenie do podróży w czasie złożone na forum przez silnik gry KHRONOS wynika z wielu alertów docierających do silnika podczas ostatniego tygodnia działania (awarie zasilania, wiadomości Ekspertów o zagrożeniu U4 interpretowanym przez silnik jako wirus komputerowy). Silnik gry jest w takim przypadku zaprogramowany, żeby wysłać wiadomość. Ta wiadomość nakłania graczy do resetu powodującego powrót do wersji, która rozpocznie rozgrywkę w czasie rzeczywistym tam, gdzie się ona zaczęła: 24 grudnia (rok nieznany, Wojna Kłamców) u stóp wieży Zegarowej.

Muszę ze trzy razy przeczytać ten tekst, żeby w końcu połączyć go ze słowem „mystyfikacja”. Wreszcie dociera do mnie, kim naprawdę jest Khronos. Bełkoczę całkowicie zdezorientowany:

– Sztucz... Sztuczna inteligencja?

Khronos jest sztuczną inteligencją? Nie mogę w to uwierzyć. To niemożliwe. Khronos nie istnieje. Albo owszem, istnieje, ale jest tylko oprogramowaniem. A spotkanie? To tylko sposób, dzięki któremu motor gry mógł się zresetować i wrócić do wersji z 24 grudnia.

– Cholera jasna!

Tyle wysiłku, żeby znaleźć się na wyimaginowanym spotkaniu, którego termin został wyznaczony przez maszynę. Mam ochotę się rozplakać z powodu rozczarowania i wściekłości na siebie samego. Jak mogłem uwierzyć, że...

– Nie cofniemy się w czasie, chłopaki! Koniec marzeń! – rzuca Stéphane oschle.

– Nie masz o tym pojęcia, Stéphane – odpowiada jej Koridwen.

– Właśnie wam przeczytałam. Wiadomość Khronosa została wygenerowana przez silnik gry, to po prostu wiadomość o resecie. Ktoś z was grał w WOT od początku?

– Ja – odpowiada Jules, poblady z rozpaczy.

– Wojna Kłamców zaczęła się 24 grudnia pod wieżą Zegarową?

Jules potwierdza z zalem. Nie ma już żadnych wątpliwości. To całe spotkanie jest wirtualne. Nikt nie jest Khronosem! A Khronos jest nikim. Nie można cofnąć się w czasie. Wszystkie moje złudzenia w jednej chwili rozsypały się jak domek z kart. Czy to znaczy, że moje duchy nigdy nie zaznają spokoju? Nagle materializują się przede mną. Przerażają mnie ich wystraszone twarze. Jak mam teraz uwolnić rodziców i Camilę?

Wtedy Kori wypowiada niezrozumiałe zdanie, coś jakby: „Nie tylko Khronos przenosi się w czasie”. Wierzyła w to równie mocno jak ja, jestem tego pewien. Wierzyła w to bardziej niż ja. A jednak Stéphane ma rację: to tak, jakby wierzyć w Świętego Mikołaja!

Szczekanie Happy’ego wyrywa mnie z zamyślenia. Pies głośno ujada, z pyskiem skierowanym w stronę wejścia. Pochylam się nad nim, głaszczę go, ale nie chce się uspokoić. W końcu uchylam drzwi, żeby zobaczyć, co tak bardzo go denerwuje.

– Patrol! Na końcu ulicy! Tym razem z żołnierzami...

15 GRUDNIA, GODZINA 11.25

– Mamy najwyżej dwie minuty – ocenia Kori, rzucając okiem na zewnątrz.

W pośpiechu zbiera wszystkie swoje rzeczy. Stéphane i ja idziemy w jej ślady, wkładamy do plecaków żywność i wodę. Migiem składam komputer i pendrive'a. Latarka, apteczka. Moja kuchenka. Obserwuje nas osłabiony, blady Jules. Daję Happy'emu kość, żeby szczekaniem nie zaalarmował nastoletnich funkcjonariuszy w żółtych opaskach. Mamy już wszystko, co konieczne. Szybko! Stéphane waha się chwilę, po czym chwyta karabin. Zbliżam się do niej, kładę dłoń na jej pięści i rozkazuję stanowczym tonem:

– Stéphane, zostaw to.

Rzuca mi wściekle spojrzenie, ale trudno. Przypominam sobie, że Jules jest całkowicie pozbawiony broni. Wyjmuję z plecaka jego nóż.

– Masz, to twój sztylet, możesz go potrzebować – mówię.

– Dziękuję.

– Idźcie za mną. Spadamy! – krzyczy Kori.

Jest już na tylnym podwórku. Możliwie najdelikatniej biorę ramię Jules'a i zakładam je sobie na szyję, żeby pomóc mu wstać. Nie jest w pełni sił, ale udaje mi się podeprzeć go na tyle, żebyśmy mogli podążać za dziewczynami.

Kori wybiera mroczne uliczki i trasę częściowo podobną do tej, którą niedawna pokonaliśmy, żeby znaleźć się w szkole. Potem musimy wyjść na szerszą ulicę. Nagły okrzyk sprawia, że cały się wzdrygam:

– Stój! Poddaj się!

„Kiepski wybór, Kori...”

Jest ich dwóch, są nastolatkami tak jak my. Zostali zwerbowani do armii, na co wskazują żółte opaski i broń wycelowana w naszą stronę. Poszukiwali nas czy wpadli na nas przez przypadek? Nieważne, nie powinno nas tu być. Powinniśmy grzecznie zgłosić się do Z-Punktu. Stéphane i Kori podnoszą ręce, ale ja podtrzymuję rannego. Może uda mi się jakoś to wykorzystać? Ukryty za Jules'em, wyjmuję pistolet zatknięty za pasek. Happy warczy – czeka, żebym wydał mu polecenie lub dał znak, co ma robić.

– Wy dwaj, zbliżcie się! – krzyczy do mnie i Jules'a jeden z chłopaków głosem tuż po mutacji.

Każe nam rzucić broń. Ci młodzi boją się i są zdeterminowani. Niebezpieczna mieszanka. Na razie dziewczyny nie rzucają broni, a ja podnoszę tylko jedno ramię, nie puszczając Jules'a.

Happy szczeka dwa razy.

– Trzymajcie psa, zabiję go, jeśli się ruszy.

Żołnierz, który do nas mówi, ma blond włosy i twarz pokrytą pryszczami. Podchodzi, żeby lepiej wycelować w Happy'ego. Czuję, że Jules napina wszystkie mięśnie i bierze głęboki oddech. Nieoczekiwanie odzyskuje siły i rzuca się na blondyna, który nie ma czasu zareagować. Przyciska go do ziemi i unieruchamia ciężarem własnego ciała. Jeśli nie będę działał szybko, drugi funkcjonariusz go zabije. Już wycelował w niego broń i waha się tylko dlatego, że nie chce zranić kompana.

– Bierz go, Happy, bierz!

Prerażony chłopak strzela, ale na szczęście nikogo nie trafia. Happy zatapia zęby w jego ramieniu. Typek jest jednak uparty i dalej strzela na wszystkie strony. Pociągam za spust. Słyszę jednak trzy wystrzały. Paf! Paf! Paf! Obok mnie stoją Stéphane i Kori. Strzeliliśmy jednocześnie.

Nastolatek pada na ziemię. Nie sposób stwierdzić, czy wszyscy go trafiliśmy. Mam

nadzieję, że żyje!

Jules nadal zмага się ze swoim przeciwnikiem. Zbliżam się i zadaję żołnierzowi cios kolbą w głowę. Traci przytomność, ale oddycha. Modlę się, żeby jego kumple zjawili się na czas i go uratowali. Pomagam Jules'owi wstać. Mruga do mnie i mówi, że w komunie przezywają go Szarżującym. I słusznie! Później zrywam opaskę z ramienia blondyna. Kto wie, może jeszcze nam się przyda. Kontynuujemy naszą ucieczkę, a Happy podąża za nami krok w krok.

15 GRUDNIA, GODZINA 11.30

Kori wie, dokąd idzie. Zna okolicę, a my zdajemy się na nią. Wchodzimy do zrujnowanego, całkowicie wypalonego warsztatu samochodowego. Nasza przewodniczka podbiega do stalowych płyt na ziemi i je podnosi. Pomagamy jej i odkrywamy wąski szyb długości piętnastu metrów. To rodzaj kanału samochodowego, w którym mechanicy naprawiali silniki ciężarówek.

Kori wskakuje do środka, a my robimy to samo. Już z głębi kanału wyciągam rękę, żeby pomóc Jules'owi, a później gwizdę na Happy'ego. Stéphane zamyka ostatnią płytę nad naszymi głowami. Zapada całkowita ciemność. Kryjówka, choć ciasna, jest doskonała. Któż mógłby nas odnaleźć w tym grobowcu?

Osuwam się na ziemię i obejmuję Happy'ego. Opieram policzek o jego bok, starając się uspokoić oddech. Zapach benzyny wciska mi się do gardła. Milczymy, wsłuchując się w odgłosy kroków. Cały sztywnieję i jestem przekonany, że moi towarzysze też, chociaż ich nie widzę. Na ulicy, tuż obok, rozbrzmiewają krzyki. Głosy. Szczekanie. Wciskam Happy'emu kość do pyska, żeby nie przyszło mu do głowy odpowiedzieć. Pies głucho warczy. Kroki i głosy się oddalają. Nareszcie. Dopiero teraz dostrzegam, że przez cały ten czas wstrzymywałem oddech. Żadne z nas nie śmie się odezwać.

Nagle czuję po mojej lewej stronie czyjąś obecność.

– To ja – szepcze Kori, siadając obok.

Drzę pod wpływem jej nieoczekiwanej serdeczności. Emanuje z niej znany zapach cynamonu. Mama używała tej przyprawy w kuchni. Przyciąga mnie, natomiast w dziwny sposób odpycha Happy'ego, który kładzie się w pewnym oddaleniu.

Dlaczego Kori przysiadła się do mnie? Przecież mnie rozbroiła, kiedy ją całowałem.

Głos Jules'a przerywa plątaninę moich myśli.

– Jest mi... jest mi przykro. Gdyby nie pluskwa, oni by nie...

– To nie ma nic do rzeczy. Pewnie przeszukiwali ulicę po ulicy.

Jules mimo swojego stanu uratował nam życie i jeszcze nas przeprosza! Coraz bardziej lubię tego chłopaka.

Zapałam czołówkę. Kori robi to samo i jednocześnie odwracamy się od siebie, bo wzajemnie się oślepiłszy. Zaskoczeni wydajemy cichy okrzyk, a później nerwowo chichoczymy. Stéphane opatruje Jules'a. Wykonuje takie same ruchy jak wtedy, kiedy opiekowała się mną w czasie podróży do Paryża. Na to wspomnienie czuję lekkie ukłucie w sercu. Byliśmy sobie tak bliscy, a teraz... Gaszę latarkę. Nie warto niepotrzebnie marnować baterii.

15 GRUDNIA, GODZINA 12.20

– Czy ktoś z was będzie mógł dać mi znać, kiedy miną trzy godziny?

Stéphane podaje Jules'owi aspirynę, żeby złagodzić ból, więc musi pilnować przerw między dawkami. Nikt nie ma zegarka. Od kiedy straciłem zegarek ojca, nie udało mi się znaleźć innego. Nauczyłem się obywać bez czasomierza. Elissa zawierała słońcu, porom dnia i obrotom ciała niebieskich wokół Gwiazdy Polarnej. Ale tu, w całkowitych ciemnościach, nie mamy żadnego punktu odniesienia. Nagle przychodzi mi do głowy pewien pomysł. Wyjmuję z plecaka laptopa, otwieram go i włączam. Wkrótce pojawia się jaskrawe światło.

– Na kompie jest dwunasta dwadzieścia – mówię. – Jeżeli z BIOS-em wszystko w porządku, to jest prawdziwa godzina. Baterii wystarczy na pięć godzin.

– O wpół do czwartej będziemy mogli podać ci kolejną tabletkę, Jules – informuje Stéphane, po czym siada obok Jules'a.

Zaczynają rozmawiać poufałym szeptem. O czym tak rozmawiają?

Czas mija. Mam ochotę zatracić się w grze komputerowej. To pozwoliłoby mi o wszystkim zapomnieć, tak jak wcześniej, kiedy grałem w WOT. Ale bateria szybciej by się wtedy wyczerpała – to byłoby głupie. Siedzimy więc i czasem wymieniamy kilka słów. Kori mówi nam, że zaledwie kilkaset metrów dalej znajduje się wejście do kanału ściekowego, który zna jak własną kieszeń. Ten kanał pozwoli nam dotrzeć do Paryża. Postanawiamy poczekać do nocy z opuszczeniem naszej kryjówki.

Zastanawiam się jednak, po co mam żyć? Nikt na mnie nie czeka. Cała moja rodzina nie żyje. François jest w Z-Punkcie. Elissa czeka na córkę. Khronos nie istnieje. Nie będzie powrotu do przeszłości.

Dokładnie w tej samej chwili pojawiają się moje duchy.

– Co wy tu robicie? Pozostawanie przy mnie do niczego wam się nie przyda, nie będę mógł niczego dla was zrobić. Nie wrócimy do przeszłości. Idźcie błąkać się gdzie indziej. Zostawcie mnie w spokoju!

Duch Camili siada mi na kolanach. Obejmuje rączkami moje policzki i szepcze:

– Wiemy, Yannis. To nie twoja wina. A zostajemy przy tobie, żebyś nie czuł się taki samotny.

Łzy płyną mi po twarzy.

15 GRUDNIA, GODZINA 13.30

Czas się nie spieszy. To może doprowadzić do rozpacz.

Otwieramy paczki ciastek ryżowych, żeby się czymś zająć i uspokoić żołądki. Karmel spływający do gardła trochę mnie ożywia.

Później znów czekanie.

Długie.

Nieskończone.

Jedynie, co mogę zrobić, żeby nie oszaleć, to myśleć o naszym wyjściu jutro rano. Dokąd pójdziemy? Zadaję na głos to pytanie:

– Jeśli Jules się zgodzi, pójdziemy schronić się u jego przyjaciół – proponuje Stéphane. – To możliwe, Jules?

Jules pewnie opowiedział jej o tym miejscu, kiedy ze sobą szeptali... Chłopak zgadza się, ale sprawia wrażenie zakłopotanego.

– Będę musiał uprzedzić Jérôme'a – to nasz Lider – zanim was przyprowadzę. Nie zechce narazić komuny na niebezpieczeństwo, czyli przyjąć dwóch osób oskarżanych o terroryzm... Muszę znaleźć...

Najwidoczniej nie chodzi o prawdziwych przyjaciół, raczej o zhierarchizowaną organizację. Jules boi się, że sprowadzimy na nich kłopoty, to zrozumiałe. Może boi się też, co jego „przyjaciele” pomyślą sobie o nim, kiedy nas przyprowadzi.

– Już wiem, co zrobię. Przedstawię cię, Stéphane, jako specjalistkę od wirusa, i powiem mu, że przyszłaś zobaczyć Alicję, żeby dowiedzieć się, jakim cudem przeżyła. W takich okolicznościach pozwoli ci wejść. Przynajmniej mam taką nadzieję.

„Kim jest Alicja?”

Jules podaje nam kilka informacji i zaleceń dotyczących jego komuny, po czym pogrąża się w tak niespokojnej ciszy, że nie śmiem zadać mu tego pytania.

15 GRUDNIA, GODZINA 13.45

Coś drapie pazurkami stalowe płyty. Szczury. Szczury przebiegają, zatrzymują się, węszą. Pewnie czują zapach naszych ciał. Nie znalazłszy żadnego wejścia, odchodzą gdzie indziej w poszukiwaniu pożywienia.

15 GRUDNIA, GODZINA 14.00

Kori siedzi skulona z głową opartą o moje ramię, a ja nie mam śmiałości się poruszyć. Jules i Stéphane szepczą ze sobą. Zapalam latarkę, żeby nalać Happy'emu wody do miski. Wydaje mi się, że Stéphane płacze u boku Jules'a. Zakłopotany gaszę światło.

W ciemności każde z nas wie, że pozostali także są atakowani przez straszne wizje. Wyobraźni nic nie powstrzymuje i nic nie odwraca naszej uwagi. Wracają do nas obrazy zmarłych rodziców, krwi, zgnilizny. Moje duchy zbliżają się do mnie i próbują mnie pocieszyć:

- Nie myśl o tym, Yannis. Nie myśl o tym...
- Koridwen?
- Hmm?

Nadal opiera głowę na moim ramieniu. Kurczę, dziewczyna trzyma głowę na moim ramieniu! Nie śmiem zapytać, dlaczego ciągle siedzi obok mnie. Zamiast tego mówię:

- Przykro mi z powodu tego, jak... Nie powinienem być tak...
- Pewnie postąpiłabym podobnie. W dzisiejszych czasach nikomu nie można ufać.
- Tak, ale mimo wszystko... Zależy mi, żeby przeprosić cię za to wszystko.
- Dziękuję, Yannis. Przyjmuję przeprosiny. Doceniam je.

Chyba się uśmiecham, choć Kori nie może tego zobaczyć.

Szepczę:

- Wierzyłaś w Khronosa, prawda?
- Nadal w niego wierzę.
- Ale przecież raport wojsko...

Sztywnieje i nieznacznie się ode mnie odsuwa.

- Oni nie wiedzą. Oni nic nie wiedzą.
- Czy to znaczy... że mimo wszystko pójdiesz na spotkanie 24 grudnia?
- Oczywiście. Po to tu jestem.

Jej pewność siebie mnie porusza. Czy wie coś, o czym nie wiedzą wojskowi? Czy to możliwe, że władze się mylą? Czy spotkanie nadal ma sens?

- Przyjechałaś z Bretanii sama, tylko z kuzynem?
- Tak. Max jest opóźniony umyślowo. Musiałam się nim zająć, to normalne.

Wyjaśnia mi, że zostawiła kuzyna w – jak mówi Jules – komunie, bo bardzo polubił małą Alicję. Rozumiem, że ona wolała mieszkać sama w swoim magazynie, zamiast słuchać czyichś rozkazów. Pojmaliśmy Jules'a, kiedy przyszedł powiedzieć jej, że kuzyn przeżywa załamanie nerwowe.

- A ty skąd pochodzisz? – pyta.
- Z Marsylii.
- Też przyjechałeś tu sam?

– Tak. Z Happy'm. Od Lyonu podróżowaliśmy we czwórkę, ze Stéphane.

Mam ochotę opowiedzieć jej o Marcu i François. A nawet tego potrzebuję:

– W Lyonie poznałem chłopaka, który nazywa się François. Zaprzyjaźniliśmy się. Chciał z nami pojechać na spotkanie 24 grudnia, choć nigdy nie grał w WOT. Ten chłopak nie skrzywdziłby nawet muchy. Nikogo nie zabił, nawet w obronie koniecznej. Nigdy. A mimo to został uznany za terrorystę – tylko dlatego, że był z nami. Wojskowi go złapali i teraz nie wiem, czy kiedyś go jeszcze zobaczę. Wszyscy musimy dokonywać trudnych wyborów. Nawet kiedy się przyjaźnimy, oddaliśmy się od siebie. To niesprawiedliwe.

Słowa więzną mi w gardle. Mówię to z myślą o Stéphane. Którą drogą pójdzie teraz,

kiedy już wie, że jej mama i brat nie żyją? Czy porzuci mnie, żeby odnaleźć ojca? Mimo niepokoju o przyszłość czuję się jednak trochę lepiej, gdy mogę podzielić się swoimi smutkami.

15 GRUDNIA, GODZINA 15.30

Pochyliam się nad komputerem, ponownie go włączam i sprawdzam godzinę. Zapalam latarkę.

– Stéphane, Jules musi wziąć aspirynę, już pora... – mówię.

Moja przyjaciółka spała tuż obok Jules'a. Cholera, znów czuję to ukłucie w sercu, tym razem silniejsze. Mruga oczami, wstaje i grzebie w plecaku w świetle rzucanym przez moją czołówkę. Siedzę w kucki obok, gdy podaje Jules'owi środek przeciwbólowy. Wymieniają ze sobą kilka słów. Stéphane wkłada butelkę wody do plecaka, a ja nachylam się do jej ucha:

– Teraz ja się nim zajmę.

Dziewczyna się nie rusza. Dodaję, bo jej trzeba wszystko wyjaśnić:

– Nie sądzisz, że Kori należą się przeprosiny?

Szarooka patrzy na mnie surowo i pytająco jednocześnie.

– No to sam ją przeproś.

– Ja już to zrobiłem.

Waha się przez chwilę. Wzrusza ramionami, w końcu wstaje, wzdychając, i idzie do Kori. Ja przysiadam się do Jules'a, po czym gaszę latarkę, żeby nie marnować baterii. Czuję do niego wielką sympatię. Zaczynam rozmowę:

– Mówiłeś o Alicji. Kto to jest?

– Dziewczynka, którą znalazłem. Teraz jestem za nią odpowiedzialny i ...

– Dziewczynka? To znaczy, że ma mniej niż piętnaście lat? Jak udało jej się przeżyć?

– Nie wiem. To chyba jakiś cud. Wiem tylko, że uważa się za Dorę. A na mnie mów

Diego!

Pierwsza myśl, która przychodzi mi do głowy, to że dziewczynka musiała zostać zaszczipiona. Stéphane pewnie chciałaby to wyjaśnić i przebadać małą. Jules jest bardzo przywiązany do tego dziecka, słyhać to w jego głosie. Istnieje szansa, że...

– Ja też, ja... mam...

Jak jednak mówić o Camili, teraz, gdy wiem już, że nigdy nie powróci? Że musi na zawsze pozostać duchem? Jules chyba wyczuwa mój ból, bo zmienia temat i pyta mnie, skąd pochodzę. Nie może się nadziwić, kiedy mówię mu, że przemierzyłem pół kraju. Wspominam o kilku trudnościach, które musiałem pokonać po drodze. Później opowiadam o spotkaniu ze Stéphane.

Jules wydaje się taki zaśluchany, jest tak uważny mimo bólu i osłabienia, że odnoszę wrażenie, iż rozumie każdą moją wątpliwość. Z ogromnym taktem kieruje rozmową tak, żebym nie poczuł się źle. Z zaciekawieniem wypytuje mnie o rodzinę, ale kończy niestosownym pytaniem:

– A twoi rodzice?

Naturalnie nie żyją! To chyba oczywiste, co on sobie myśli? Te słowa są jednak przepełnione taką życzliwością, że się nie unoszę. Odpowiadam, jakby była to najzwyczajniejsza rzecz na świecie:

– Moi rodzice. I moja młodsza siostra Camila. Oni są tam.

– Co... Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że ich widzę. Uznasz mnie pewnie za świra...

– Nie, obiecuję. Mów.

– Widzę ich duchy.

Oczekuję wybuchu gromkiego śmiechu. Mam nawet zamiar roześmiać się razem z nim,

udawać, że nieźle go nabrałem i że mimo wszystko napędziłem mu trochę stracha tą historią o duchach. Jednak on wcale się nie śmieje. Pyta jak gdyby nigdy nic:

– I jak one wyglądają, te twoje duchy? To znaczy, przypominają rodziców? Są przezroczyście?

Wyjaśniam mu półgębkiem, że przypominają ich za życia, zanim zachorowali i umarli. Są tylko trochę lżejsze niż ludzie, unoszą się nad ziemią. I istotnie są przezroczyście. Jules nie zamyka się w sobie, jak robią zazwyczaj normalni ludzie w towarzystwie wariatów. A przy okazji, czy ja zwariowałem? Szybko odganiam od siebie tę myśl. Po chwili namysłu mój rozmówca dodaje:

– Wiesz, masz szczęście. Ja w każdym razie chciałbym wierzyć w duchy.

Opowiada mi o śmierci brata, który został zabity dwa tygodnie temu. Zapada zbyt długa cisza, która skłania mnie do zapalenia latarki. Na krańcach jego rzęs drżą łzy. Nagle podciąga sweter i T-shirt. Nigdy wcześniej nie widziałem tylu blizn!

– Byłem torturowany przez psychopatę. Mój starszy brat uratował mi życie.

Jestem zakłopotany. Wyłączam czołówkę. Nie wiem, co powiedzieć, jak ogarnąć ten horror. Nie śmiem przede wszystkim pytać, dlaczego ten psychopata zrobił mu coś takiego. Czy można wyjaśnić szaleństwo? Jules przeżył istne piekło. Mówienie o tym na pewno ponownie otwiera tę ranę. Szybko, trzeba działać tak, jak on wcześniej – czyli zacząć opowiadać o czymś innym, żeby odwrócić jego uwagę. Najbardziej promiennym wspomnieniem z ostatnich tygodni jest dla mnie pobyt u Elissy. Mówię o słońcu, ziemi, studniach, świeżym powietrzu. O ogniu na kominku, migoczącym śniegu i Drodze Mlecznej. Wyczuwam jego zaniepokojenie, opisuję mu więc Marsylię, Manosque, góry Vercors i Lyon. Opowiadam o stanie wojennym, zaostrzonym wcześniej niż w Paryżu.

Jules słucha mnie uważnie. Wcześniej nie miał pojęcia, co działo się w innych częściach kraju. Opowiadam tak, jak robiła to mama, której duch trzyma mnie za rękę i kiwa głową. Jej duch tańczy w moich słowach, być może podpowiada mi słowa. Odczuwam tę samą przyjemność, co w Salpêtrière z moją strażniczką o modrych oczach. Wpadam w rodzaj werbalnego transu, który porywa Jules'a ze mną. Chłopak zamyka oczy i być może zasypia. Słowa są moimi skrzydłami, dzielenie się nimi daje mi uśmierającą moc. Dla mnie i dla innych.

15 GRUDNIA, 18.45

Od czasu do czasu ktoś z nas idzie w kąć kanału, a dźwięk strumienia moczu wprawia nas w zażenowanie. Ale jak inaczej mamy sobie poradzić? Na szczęście kanał ma odpływ. W takiej sytuacji otaczające nas egipskie ciemności stają się błogosławieństwem.

15 GRUDNIA, 19.00

Właśnie zapadam w sen, z Happy'm przytulonym do mojego boku, kiedy budzi mnie jakieś burczenie. Jules lekko się porusza.

– Dziwnie się czuję – mówi szeptem,

Znów burczenie. Kiedy dociera do mnie, o co chodzi, nie mogę powstrzymać się od śmiechu.

– Pewnie jesteś głodny.

Pytam Stéphane, czy Jules może jeść. Odpowiada, że nie ma żadnych przeciwwskazań, bo nie dostał narkozy. Zapalam latarkę i wydaję z plecaka coś na ząb. Też jestem trochę głodny. Proponuję tabliczkę czekolady i po herbatniku dla każdego, ale dziewczyny nie ruszają się ze swojego kąta. Dla Happy'ego otwieram puszkę pasztetu. Herbatniki głośno chrupią nam w zębach.

NOC Z 15 NA 16 GRUDNIA

Promienie światła, które przenikały między niedokładnie połączonymi płytami, już dawno zniknęły. Która godzina? Bateria w laptopie całkowicie się wyczerpała. Nie sposób tego sprawdzić.

Noc się dłuży. Wszystko nas boli, a smród zaczyna być trudny do zniesienia, chociaż kanał ma przecież odpływ. Nagle rozbrzmiewa głos Kori:

– Może teraz będziemy mogli wyjść.

Chce rzucić okiem na zewnątrz. Nikt nie próbuje jej powstrzymać, chociaż wiemy, że to jest ryzykowne. Ona najlepiej zna tę okolicę.

– Uważaj na siebie – szepcze do niej Jules, a Kori znika za metalową płytą, którą natychmiast zasuwamy.

Pięć minut później płyta się porusza. Kori pospiesznie wskakuje do środka i zamyka wejście.

– Nic się nie da zrobić – mamrocze poirytowana. – Na zewnątrz są wozy opancerzone i mnóstwo funkcjonariuszy w żółtych opaskach i z latarkami... Nie wiem, czy nadal nas szukają, czy kończą czyszczenie dzielnicy.

– Jak długo jeszcze będziemy się tu ukrywać?

– Do jutra rano – odpowiada Kori. – Przed zaostreniem stanu wojennego wozy opancerzone wracały do bazy przed siódmą rano, po zakończeniu godziny policyjnej... Miejmy nadzieję, że dalej tak jest, chociaż zmienili zasady. To da nam odrobinę więcej swobody.

16 GRUDNIA, PRZED ŚWITEM

W nocy robi się coraz zimniej. Happy nie może już znieść zamknięcia i podskakuje niezdarnie na jednej tylnej łapie, próbując dosięgnąć płyt zamykających wyjście. Muszę go obejmować, głaskać i szeptać uspakajające słowa. Zauważyłem, że mój pies wyraźnie unika bliskości Kori. Ja natomiast... Kiedy Stéphane wstaje, żeby rozprostować nogi i rozgrzać się, wymachując ramionami, korzystam z okazji, żeby znów usiąść obok Bretonki. Co mnie tak do niej przyciąga? Na zewnątrz fascynowały mnie jej spojrzenia, z których żadne nie było tak twarde, jak tego chciała. Czymś mnie ta dziewczyna przyciąga, ale czym?

Siadam i opieram się o nią ramieniem. Nic nie robi, żebym się odsunął.

Happy nagle się uspokaja. Przez chwilę jeszcze bawi się kawałkiem drewna znalezionym w kanale, a później usypia jak szczenię. Kori za to coraz bardziej się trzęsie. Słyszę nawet, jak szczeka zębami. Nic nie mówiąc, obejmuję ją, łapię za ramię i przyciągam do siebie. Nie opiera się.

– Jestem zmarznięta na kość – szepcze.

Rozcieram więc najpierw jej ramiona, potem uda, wreszcie łydki. Po kilku minutach przestaje szczekać zębami, ale nadal się trzęsie. Coś na nas spada.

– Proszę – mówi Stéphane. – To jeden z naszych śpiworów.

– Dzień... dziękuję – odpowiada Kori.

Owija się śpiworem wypełnionym gęsim puchem. Kilka minut później jej regularny oddech mówi mi, że zasnęła. Wkrótce dołączam do niej: teraz to ona mnie rozgrzewa.

Kiedy otwieram oczy, promień słońca przechodzi przez środek kanału. Nastął ranek. Wreszcie będziemy mogli wyjść z tego lochu.

16 GRUDNIA, RANO

Kori miała rację: wozy opancerzone odjechały i droga jest wolna. Potrzebujemy czasu, żeby się rozprostować. Nasze mięśnie całkiem zeszywniały. No i ledwo mogę dobrać Happy'ego. Biedak jest całkowicie otepiały.

Po wyjściu z kryjówki podążamy za Bretonką. Daje nam znak, żebyśmy za nią weszli do tunelu. Przez chwilę mam ochotę się cofnąć. Mam już dość ciemności, wilgoci i szczurów. Wolałbym przejść po dachach, jak to mam w zwyczaju. Jednak Kori ma rację, bezpieczniej jest skryć się pod ziemią. Poddaję się i znów zagłębiam w trzewia ziemi. Skąd ona zna ten tunel? Niczego nam nie wyjaśnia. Po przejściu kilkuset metrów wyłaniamy się na cementarzu. Przechodzimy przez bramę, po czym znów zagłębiamy się w kanałach Paryża, tym razem cuchnących zgnilizną i pełnych wody.

Opuszczamy kanały i wychodzimy na parking podziemny. Przemykamy się między samochodami porzuconymi w chaosie niemożliwym do opisanego, kiedy nagle drogę zastępuje nam jakiś Azjata. Jules nie jest zdziwiony. Pokazuje mu przepustkę i mówi, że należy do „gangu Jérôme'a”. Na trzecim piętrze parkingu Jules wyjaśnia nam, że wyjdziemy w hallu wieżowca ateńskiego.

– Każdy wieżowiec nosi nazwę stolicy kraju biorącego udział w igrzyskach olimpijskich. Witajcie w Grecji.

Następnie puka do drzwi w określony sposób. Słyszymy zaniepokojony głos:

– Jules, to ty?

Niski, nerwowy, energiczny brunet z latarką w ręku radośnie wita Jules'a. Nasz towarzysz zwraca się do niego per „Vincent” albo „Żołnierzu”. Chłopak nieufnie mierzy spojrzeniem Stéphane i mnie, ale Jules go uspokaja. Przedstawia Stéphane jako specjalistkę od wirusa, która chce zobaczyć Alicję, a mnie jako jej przyjaciela.

– Ręczysz za nich?

– Tak, są czyści, zaufaj mi. Nie musisz uprzedzać Jérôme'a przez krótkofalówkę. Sam to zrobię.

– Lepiej niech oddadzą broń.

Oddajemy pistolety Jules'owi, a on składa je w zbrojowni.

Kori, która zna już towarzyszy Jules'a, idzie za nim, żeby zobaczyć się ze swoim kuzynem w izbie chorych. Stéphane i ja musimy poczekać na dole pod czujnym okiem Żołnierza.

Moja przyjaciółka wzdycha i siada na ziemi, osuwając się plecami po ścianie. Zajmuję miejsce obok niej.

– Być może wreszcie znaleźliśmy bezpieczną kryjówkę na jakiś czas.

– Na jaki czas? – przerywa mi.

– Sam już nie wiem. Khronos nie istnieje, ale przypadek postawił naszej drodze dwoje Ekspertów. A Kori wciąż w to wierzy.

– No, skoro Kori w to wierzy, pozostaje ci tylko poczekać tu do 24 grudnia razem z nowymi kumplami.

Dlaczego jest taka nieprzyjemna? Miałem ją poprosić, żeby została tu ze mną i zastanowiła się trochę nad tym, co i jak powinniśmy zrobić, ale te słowa nie chcą przejść przez moje ściśnięte gardło. Udaje mi się tylko powiedzieć:

– A ty?

– Ja chyba nie mam już na co czekać. Nie ma żadnego powodu, dla którego miałabym tu zostać.

- Chcesz dalej szukać swojego ojca?
- Tak. To właśnie zamierzam zrobić.
- Ale on stoi po stronie wojskowych, pamiętasz?
- Uda mi się wszystko mu wytłumaczyć, nie bój się.

Mówi tonem nieznoszącym sprzeciwu. Czy jeszcze kogoś potrzebuje, czy liczy już tylko na siebie? Chciałbym jej pomóc, ale czuję się całkowicie zagubiony.

Nic nie odpowiadam i między nami zapada cisza.

- Możecie wejść! – woła Jules ze szczytu schodów.

Wchodzimy na trzecie piętro, które zajęła „komuna”.

Jérôme, ich przywódca, wita nas w korytarzu. To poważny brunet o ostrych rysach twarzy. Z kieszeni jego kurtki wystaje krótkofalówka. Stéphane nie czeka, żeby ktoś ją przedstawił.

- Mogę natychmiast zobaczyć dziecko?

Jérôme waha się przez chwilę, po czym wskazuje drzwi prowadzące do trzypokojowego mieszkania, w którym urządzili izbę chorych. Stéphane wchodzi do środka, a Jules podąża za nią.

Nie poprosiła, żebym poszedł z nimi.

Nawet na mnie nie spojrzała.

W korytarzu pojawia się smukła blondynka. Jérôme prosi ją, żeby oprowadziła mnie po komunie, po czym też wchodzi do izby chorych. Dziewczyna pokazuje mi mieszkanie, które teraz pełni funkcję sypialni, a później prowadzi mnie do części, która służy im jako salon. Są tam proste meble ze szlachetnych materiałów i monochromatyczne obrazy na ścianach. To dobry wybór, bo wyposażenie jest nowe i czyste, ale natychmiast zaczynam czuć się tu nieswojo. Nic nie jest znajome, wszystko wygląda na zimne.

Blondynka informuje mnie, że komuna składa się z siedmiu osób, łącznie z cudem uratowaną dziewczynką. Każdy pełni określoną funkcję. Ona na przykład jest odpowiedzialna za zaopatrzenie. Jérôme jest Liderem. Vincent, czyli Żołnierz, odpowiada za zbrojownię. Czy zadaniem Jules’a jest przeprowadzanie szarży na wrogów? Uśmiecham się na wspomnienie tego szczególnego ruchu, dzięki któremu nas uratował.

Jeśli sędzić po ilości zgromadzonych zapasów, komuna wydaje się dobrze zorganizowana. Wszystko jest jeszcze bardziej uporządkowane i zhierarchizowane niż w Z-Punkcie. I właśnie z tego powodu coraz gorzej się tu czuję. Zaczyna wręcz brakować mi powietrza. Nie mam najmniejszej ochoty podporządkowywać się rozkazom, co i kiedy mam robić albo dokąd iść! W całym tym bagnie dowiedziałem się o sobie tyle, że chcę pozostać wolny. Dobrą stroną tego miejsca jest to, że udało im się założyć ogrzewanie. Zdejmuję puchówkę i cieszę się, że nie jest mi już zimno. Zastanawiam się tylko, jak udaje im się zdobyć paliwo w mieście coraz bardziej pogrążającym się w ubóstwie. Czym wymieniają się z innymi?

Kori wreszcie wraca. Towarzyszy jej bardzo wysoki, masywny chłopak o dziecinnym wyrazie twarzy. To musi być jej kuzyn.

- Max – mówi – teraz coś zjesz. Musisz jeść. Dobrze?

Rzuca mi szybkie spojrzenie, po czym idzie z kuzynem do kuchni.

Ponieważ blondynka mnie zostawiła i wróciła do swoich zajęć, dołączam do Kori i Maksa w przestronnej kuchni, utrzymanej w bieli i czerni. Zastanawiam się nad pewną tajemnicą: jakiego koloru są oczy Kori? Nie mam śmiałości spojrzeć jej w twarz, żeby to sprawdzić. Przypatruję się jej ukradkiem, podczas gdy ona przygotowuje jedzenie dla Maksa. Kiedy spogląda na mnie pytająco, z zakłopotaniem odwracam wzrok.

- Benek!

Mała Alicja wybiega ze swojego pokoju i rzuca się Maksowi w ramiona. Nazywa go

imieniem jednego z bohaterów kreskówki *Dora Mała Podróżniczka*. Następnie do kuchni wchodzi Stéphane w towarzystwie dość miłej brunetki o imieniu Maïa. Dziecko o kasztanowych włosach i wielkich niebieskich oczach przykuwa uwagę wszystkich. Nie ma więcej niż siedem lat. Na jej widok nieoczekiwanie przeżywam wstrząs. Duch Camili znów się pojawia, żeby złapać mnie za rękę i pocieszyć, ale to tylko pogłębia moją rozpacz. Z najwyższym trudem powstrzymuję łzy.

Alicja klaszcze w dłonie na kolanach Maksa, który sprawia wrażenie szczęśliwego. Czułość, z jaką odnoszą się do siebie olbrzym i dziewczynka, wywołuje u mnie uśmiech i definitywnie odgania smutki.

Stéphane nie wygląda na wzruszoną tym spektaklem. W kilku słowach informuje nas, że chcą z Jules'em pójść do mieszkania dziadka dziewczynki, żeby dowiedzieć się więcej, bo oględziny małej – oczywiście – nic nie dały.

– Nie proponujemy ci, żebyś poszedł z nami, Yannis – rzuca moja przyjaciółka surowym tonem. – Masz inne priorytety, prawda?

Co ją ugryzło? Jej cierpkie spojrzenie w stronę Kori nie umknęło mojej uwadze. Czy ona jest zazdrosna? A może ma mi za złe coś innego? Dlaczego po prostu nie powie, o co chodzi? Czy choć raz nie mogłaby okazać trochę szczerości? W każdym razie nie chce, żebym im towarzyszył, a jej stosunek do mnie sprawia, że nie mam ochoty nalegać. Jestem wściekły i tylko wzruszam ramionami.

16 GRUDNIA, POPOŁUDNIE

Jules i Maïa wrócili po południu z niewiarygodnymi wiadomościami. Dziadek Alicji, który był pediatrą, szybko zrozumiał, że coś uodporniło na filowirusa młodzież w wieku od piętnastu do osiemnastu lat. Podał więc wnuczce wszystkie szczepionki, które dostaliśmy między dziesiątym a piętnastym rokiem życia. Między nimi była też MeninB-Par. Martwi mnie jednak coś innego. Wpatruję się w drzwi. Stéphane powinna je zaraz otworzyć i też się tu zjawić. A jednak Jules i Maïa są sami.

– Gdzie jest Stéphane?

– Yannis... – mamrocze Jules, odciągając mnie na bok. – Stéphane odeszła.

– Jak to odeszła?

– Odeszła. Powiedziała, że nie zjawi się na spotkaniu 24 grudnia.

– Ale co...? Dlaczego ona...?

Odeszła... Stéphane odeszła! Żeby odnaleźć ojca, to pewne! Jak to zrobić?

W informacjach na pendrivie nie było żadnych wskazówek na temat miejsca, w którym on się znajduje... Czy wróci, kiedy go odnajdzie, jeśli go odnajdzie? Na jakie ryzyko się naraża? Czy... Czy jeszcze ją kiedyś zobaczę?

Ból przeszywa mi serce. Jak mogła zrobić to w taki sposób? Jak mogła **mnie** to zrobić? Obiecała, że mnie uprzedzi, jeśli będzie chciała odejść! A więc... A więc to moja wina? Czy powinienem był zaproponować jej pomoc w poszukiwaniu ojca? Czy byłem egoistą? Nie, to jej wina, przecież mi obiecała!

– Powiedziała, że wyjaśni swojemu ojcu, iż nie jesteś terrorystą – dodaje Jules. – I zapewni go, że wokół Khronosa nie zawiązał się żaden spisek.

A więc nadal wierzy w ojcowską wszechwładzę! Jaki ojciec, taka córka – oto prawda. Oboje starają się udowodnić tylko jedno: że są najpotężniejsi. Nie przejmują się innymi. Na twarzy Jules'a maluje się żal. Nie chcę, żeby tak na mnie patrzył. Nie teraz. Nie teraz, kiedy mam ochotę rozbić wszystko w drobny mak.

Kori siada na kanapie obok Maksa i wpatruje się we mnie uporczywie. Interesuje się mną, to oczywiste, wyczuwam to. Przynajmniej ona mnie nie odrzuca! Nie mam już nikogo. Tylko to spojrzenie Kori. Tłumię to, co we mnie wzbiera, i prezentuję szeroki, wymuszony uśmiech. Siadam obok niej, głaszczę Happy'ego i próbuję opanować wściekłość, usuwając z myśli obraz dziewczyny w odcieniach szarości.

Mimo nieufności niektórych członków komuny Jérôme proponuje mi, żebym został z nimi. Jules powiedział mu, że Stéphane poszła odnaleźć przyjaciela, żeby ukrócić wszelkie domysły na ten temat. Zgodnie z obietnicą nie wyjawiał, że jesteśmy oskarżeni o działalność terrorystyczną. Jego zaufanie mnie wzrusza. Ryzykuje dla nas. Na szczęście nikt w komunie nie widział tych plakatów. Życzliwość Jules'a dużo dla mnie znaczy. Wściekłość już mnie opuściła. Jej miejsce zajął smutek.

Jules prowadzi mnie do mojego tymczasowego pokoju. Tylko z nim mogę podzielić się swoim smutkiem:

– Obiecała, że mnie uprzedzi, jeśli będzie chciała odejść. Zdradziła mnie!

– Rozumiem cię, Yannis, czułbym dokładnie to co ty, gdyby...

Nagle rumieni się i rzuca na łóżko, wyznając słabym głosem:

– Ja... Ja kocham... Gdyby ta, którą kocham, zrobiła mi coś takiego, oszalałbym z wściekłości i rozpaczy.

Po raz pierwszy chłopak wyznaje mi coś takiego. Jestem szczerze wzruszony. Jednak

Jules myli się co do moich uczuć.

– Ale ja nie jestem zakochany w Stéphane. Nie sędzę.

Jeszcze bardziej się rumieni. Czy zawstydziła go ta pomyłka?

– A kto jest twoją szczęśliwą wybranką? Można wiedzieć?

– To Maïa.

Ależ oczywiście, piękna Maïa! Ta, którą nazywają Aptekarką!

– Nikt tu o tym nie wie, a zwłaszcza ona. Więc wiesz, ani słowa, dobra?

Jego zaufanie mnie wzrusza. Obiecuję nikomu o tym nie mówić.

W czasie obiadu Jules opowiada wystraszonym przyjaciołom o nadajniku i Khronosie. Żeby chronić mnie i Stéphane, nie wyjaśnia, dlaczego wojskowi rozpoczęli śledztwo w sprawie mistrza gry. Jérôme i Vincent też grali w WOT, ale nie osiągnęli poziomu Ekspertów. Jules mówił im już wcześniej o spotkaniu 24 grudnia. O ile on głęboko wierzył, że Khronos potrafi podróżować w czasie, o tyle oni myśleli o wykorzystaniu spotkania Ekspertów do przekonania ich, żeby dołączyli do komuny, która dzięki temu stałaby się liczniejsza i silniejsza.

Jednak teraz, kiedy wiemy, że na spotkaniu pojawią się wojskowi, trzeba porzucić wszystkie te piękne plany...

NOC Z 16 NA 17 GRUDNIA

Nie mogę zasnąć. Puste łóżko obok, na którym mogłaby spać Stéphane, zajmują moje duchy. Siedzą tam ze smutnymi minami. Od niedawna ich obecność już mnie nie uspokaja, a raczej złości. Znowu brakuje mi powietrza.

Wstaję, przechodzę nad Happy'm śpiącym na dywanie i wychodzę z pokoju, a później z mieszkania – z czołówką w dłoni, żeby przytłumić światło. Skradam się po korytarzu jak kot.

Tuż obok, w mieszkaniu służącym jako salon, słyszę jakieś mruczenie. To kolejna dziwna pieśń Kori. Brzmi prawie jak litania. Jest łagodna jak kołysanki, które mama śpiewała mi, kiedy byłem mały. Jednak ta pieśń, śpiewana w nieznanym języku, jest dla mnie zupełnie nowa. Istnieje więc nowe piękno w tym zdewastowanym świecie. I nagle moje serce pragnie je odkryć...

Możliwie najdelikatniej popycham drzwi do mieszkania – nie chcę nikogo obudzić. Cicho zamykam je za sobą. Wydaje mi się, że wchodzę do jakiegoś równoległego świata, ukrytego w głębi zaczarowanej szafy.

Zawinięta w śpiwór Kori leży na kanapie w salonie. Na mój widok milknie. Szepczę:

– To... To tylko ja.

– To też tylko ja – odpowiada z uśmiechem.

– Co... Co robisz?

Ziewa, przeciąga się, rozpościerając ramiona, i odpowiada:

– Śpiewałam sobie.

– Aha. Tak. Właściwie to chciałem zapytać, co robisz tu...? Na tej kanapie?

– Nie mogłam zasnąć. Max zbyt głośno chrapie.

– Co śpiewałaś?

– Starą bretońską piosenkę.

Ta dziwna dziewczyna działa na mnie jak magnes. Nic nie mówi, ale wydaje mi się, że kieruje moimi ruchami, których nigdy nie ośmieliłem się wykonać przy dziewczynie. Milcząc, siadam obok niej. Rozpina śpiwór i ten zachęcający gest mnie porusza. Wślizguję się do środka i natychmiast czuję ciepło jej ciała.

– Teraz uda ci się zasnąć?

Próbuję mówić normalnym głosem, ale całkiem zachryłem. Kori kładzie głowę na moim ramieniu. Czy jest w stanie wyobrazić sobie wewnętrzny chaos, w jaki wprowadza mnie dotyk i zapach jej potarganych włosów? Wie, jak potrzebny mi był taki dowód niewiarygodnego zaufania? Jakaż to różnica w porównaniu ze Stéphane, która nieustannie mnie odpychała.

– Mhmm... – odpowiada Kori.

Wydaje mi się wróżką. Długo pozostajemy w tej pozycji, czuwamy mimo ogarniającej nas przemożnej senności. W końcu wracamy do swoich pokojów, ale nie jestem w stanie zmrużyć oka. Kołuje się we mnie mnóstwo uczuć. Nie umiem ich uporządkować, a tym bardziej zrozumieć.

17 GRUDNIA, RANO

Rankiem boleśnie odczuwam nieobecność Stéphane. Przywołuję wspomnienie ciała Kori obok mnie, ale to niczego nie zmienia. Czuję się przybity. Potrzebuję kilku minut, żeby zebrać siły i zmusić się do wstania. Zamykam oczy i szepczę do siebie:

– Muszę zapomnieć o Stéphane. Poznać nowych ludzi. Kori i Jules'a, na przykład. Działać razem z nimi. Ocalić Ekspertów, którzy przyjdą na spotkanie nieświadomi, że wojskowi będą na nich czekać.

Czy Stéphane ma gdzieś, że oni wszyscy zostaną aresztowani albo zabici? Trzeba im pomóc. Trzeba też być silnym, być w grupie. Przeżyć w grupie. Nawet bez najlepszej przyjaciółki...

Wychodzę z pokoju. Z kuchni dobiega mnie gwar. Jules, Kori, Max, Jérôme i Vincent jedzą śniadanie. Staję przed nimi i mówię głośno, patrząc na Jules'a:

– Uważam, że wszyscy powinniśmy udać się pod wieżę Zegarową, żeby znaleźć sposób na uniknięcie obławy wojskowych 24 grudnia.

Zapada grobowa cisza. Zdumieni członkowie komuny siedzą nieruchomo przy stole z herbatnikami w dłoni.

Jules odzywa się jako pierwszy:

– Ale jak to zrobić w warunkach stanu wojennego? Wojskowi z pewnością szczególnie uważnie obserwują to miejsce.

– Jest pewien sposób – mówi Koridwen, odstawiając filiżankę z kawą.

Wszyscy zwracamy się w jej stronę.

– Możemy dostać się na miejsce kanałami i tunelami metra. Jeśli chcecie, mogę dziś zrobić rozpoznanie.

Korzystam z okazji i proponuję:

– Pójdę z tobą.

– Wolałabym iść sama.

– Dobrze, Koridwen – zgadza się Jérôme. – Mam do ciebie zaufanie. Jutro wszyscy pójdziemy twoją trasą.

– Dlaczego jutro? – pytam zawiedziony.

– Bo dzisiaj mam pilne sprawy do załatwienia – ucina Lider.

Marszczę brwi z niezadowolenia. Wiem jednak, że nie ma sensu oponować. Lider najwyraźniej uważa się za wszechmocnego dowódcę tej komuny. Jules rzuca mi uspokajające spojrzenie. „Cierpliwości” – wydaje się mówić. Biorę głęboki wdech, żeby się uspokoić. Dobrze, zaczekajmy do jutra.

Ten dzień wydaje się ciągnąć w nieskończoność. Każdemu pomagam, jak mogę, w jego obowiązkach. Mimo godziny policyjnej udało mi się wyprowadzić Happy'ego, żeby się załatwił. Poszedłem też na dach wieżowca, podziwiać wspaniały widok Paryża. Nie przestaję jednak myśleć o Stéphane. Jak mogła mi to zrobić?

Podczas kolacji Jules stara się oderwać mnie od ponurych myśli. To szczery, zabawny i trzeźwo myślący chłopak. Kori ukradkiem rzuca mi spojrzenia. Nieobecność Stéphane mi ciąży, z kolei zachowanie Kori bardzo mnie onieśmiela.

Jérôme i Vincent nieustannie rozmawiają o broni i walce o ocalenie Ekspertów. Ogarniają mnie mdłości. Nie rozumiem, co się dzieje – poza tym, że mój pomysł został zaakceptowany. Nic jednak nie wygląda tak, jak moim zdaniem powinno. Ja chciałem tylko uprzedzić Ekspertów!

Szybko zjadam posiłek, a potem razem z Happy'm uciekam na korytarz. Siadam na

stopniu, żeby się zastanowić. Kori wkrótce do mnie dołącza.

Siada obok, nie mówiąc ani słowa, i z naturalnością, która zbija mnie z nóg, opiera się na mnie ramieniem. Wszystko wskazuje na to, że ta dziewczyna nie lubi tracić czasu.

Pięć sekund później zbliża usta do mojej szyi. Całuje mnie. Dziesięć sekund później jej pocałunki docierają do mojej brody, trzy sekundy poświęca policzkom, po sześciu sekundach dociera do ust. Przestaję liczyć.

Ona mnie całuje. Ja ją całuję. To mój drugi pocałunek w życiu, ale pierwszy z inicjatywy dziewczyny, tej samej dziewczyny... i bez broni między nami. Gorączkowy, zmysłowy pocałunek. W milczeniu.

Serce bije mi jak szalone. Zaraz eksploduje. Jedno mnie martwi: w którą stronę mam przesunąć język? Radzę sobie intuicyjnie i staram się wsłuchać w potrzeby Kori. Chyba nie idzie mi najgorzej. Całe moje ciało budzi się na coś zupełnie nowego.

Nagle dziewczyna odsuwa się ode mnie uśmiechnięta i szepcze:

– Chodź.

NOC Z 17 NA 18 GRUDNIA

Jej oddech sprawia, że przechodzą mnie dreszcze. Jej włosy gorączkowo omiatają moją szyję. Łapie mnie za rękę.

Serce tak mi się ściska, że aż boli. Obraz Stéphane pojawia się przed moimi oczami jak błyskawica. Spycham go w głąb: porzuciła mnie i nawet nie wiem, czy kiedyś wróci... Dlaczego nie miałbym przeżyć czegoś pięknego z inną dziewczyną?! Kori i ja biegniemy korytarzem, wypadamy z impetem na klatkę schodową i zbiegamy kilka stopni w dół.

Biorę ją w ramiona, całuję. Jakież to przyjemne! Uwalnia się ze śmiechem i prowadzi mnie na drugie piętro. Znalazła tu sobie mieszkanie poza komuną. Z materaca, jaśków, poduszek, narzut i kołder pośrodku dużego pokoju uwiła przytulne gniazdko. Śmieje się jak dziewczynka, która wybudowała szałas. Wszystko wydaje mi się nagle takie mało ważne!

Odwracam się w jej stronę. Promień świecy sprawia, że jej kasztanowe oczy ze złotymi punkcikami migoczą w ciemności. Już wiem, jakiego są koloru. Nie odwraca ode mnie wzroku.

Łagodnie bierze mnie za rękę. Jej zdecydowanie trochę mnie przeraża. To ona jest tu inicjatorką. Rozbiera się do naga, tymczasem ja, skamieniały na widok tego, co przede mną odsłania, nawet nie pomyślałem o zdjęciu swetra. Ta aksamitna biel... Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Czy to mnie Kori ofiarowuje nagość swojego ciała? To dla mnie wykonuje te delikatne ruchy? Ależ tak. Jest ze mną, cała dla mnie. W jej obecności zaczynam wierzyć, że jest szczerą i rzeczywistą, jak ziemia pod moimi stopami.

Wodzę świecą wzdłuż jej ciała. Ujawniają się krzywizny i cienie. Czy coś kiedyś poruszyło mnie równie mocno? Docieram do jednej z jej białych piersi, drobnej i doskonale krągłej. Świat to wszystko obmyślił. Świat wcale nie umarł.

Odstawiam świecę, ale nadal nie śmiem zrobić nic więcej. Uśmiecha się, żeby dodać mi odwagi, a później wyjmuję prezerwatywę spod poduszki. O wszystkim pomyślała!

Czas, żebym zaczął działać, jeśli nie chcę wyjść na idiotę. Zdejmuję ubrania, próbując się w nich nie zaplątać. Później wyciągam rękę. Pod dotykiem mojej dłoni po jej skórze przebiega dreszcz. Jest miękka. Ciepła. Niesamowicie żywa. Wyruszam, by odkryć świeżość jej brzucha, bioder, pośladków, ud, a później... jeszcze dalej. To jest najbardziej niesamowite terytorium, najbardziej nieoczekiwane podczas całej mojej wyprawy z Marsylii do Paryża! Boję się, że mi się nie uda, że tam nie dotrę albo zrobię jej krzywdę. Ale wszystko idzie dobrze. Wręcz super. A jednak jestem trochę zawiedziony, sam nie wiem dlaczego. Czy dlatego, że kiedy Kori mnie głaszcze, przed oczami widzę Stéphane? Odeszła, ale mnie nie opuszcza. Nie ma jej tu, ale nie pozwala mi żyć bez siebie...

Leżąc obok Kori, wsłuchuję się w odgłosy nocy. Staram się opanować wściekłość i niepokój. Zapalam latarkę, żeby popatrzeć na śpiącą dziewczynę. Seria z karabinu na zewnątrz wrywa ją ze snu.

Wrzaski.

Kori zaczyna krzyczeć ze strachu. Początkowo jestem przerażony, potem rozumiem, że rzeczywistość miesza się z jej koszmarami. Staram się ją uspokoić, gładząc delikatnie po włosach. W głębi duszy czuję się winny. Nie jestem w niej zakochany... Chciałem w to uwierzyć, ale Stéphane zabrała ze sobą coś, bez czego nie potrafię żyć. Czy popełniłem błąd, Kochając się z Kori? Czy będzie miała mi to za złe?

Kori szepcze:

– Yannis... Dziękuję, było miło. Jednak nie powinniśmy angażować się bardziej. Nie lubię kłamać. Moje przeznaczenie mnie wzywa i muszę się z nim zmierzyć sama.

Odwraca się, żeby ponownie zapaść w sen. Przez kilka sekund jestem skonfundowany. Czy czuję zawód? Raczej chyba ulgę. I podziw. Ta zadziwiająca dziewczyna tak po prostu powiedziała to, do czego ja zbierałbym się kilka godzin, a może nawet dni.

– Dziękuję, Kori...

18 GRUDNIA, PRZED ŚWITEM

W piątkę przemykamy się w nocnej mgle pod murami kamienic: Jules – Szarżujący, Jérôme – Lider, Vincent – Żołnierz, Kori i ja. Za nami podąża oczywiście Happy. Uśmiechem uspokajam Koridwen: wszystko w porządku, nie mam jej za złe.

Cel: wieża Zegarowa.

Biegniemy przez drobną, lodowatą mżawkę, po czym wpadamy do tunelu stacji metra Olympiades. Kori nas prowadzi. To niewiarygodne, jak ona doskonale czuje się pod ziemią.

Idziemy w ciszy między torami, oświetlając drogę jedną latarką. Pozostałych nie zapalamy, żeby oszczędzać baterie. Tak samo jak w głębi Rodanu, roi się tu od duchów. Moich bliskich, znanych mi duchów, i innych, zupełnie obcych. Niektóre powoli idą wzdłuż ścian. Inne na każdej stacji zdają się czekać na metro. Są coraz bardziej przezroczyste i coraz smutniejsze. Zrozpaczone tym, że muszą się błąkać. Niektóre robią w moją stronę dyskretne gesty. Inne szepczą mi na ucho, żebym o nich pamiętał. Duch Camili w milczeniu idzie obok, trzymając mnie za rękę.

O ile Stéphane je przyciągała, o tyle Kori usuwają się z drogi i trzymają się od niej z daleka.

Jednak nie tylko duchy zaludniają tunele metra.

– Co to jest? – pyta zdumiony Jules.

Dziwaczny, omszały dywan, chyży i popiskujący, na tysiącach łapek, falującą chmurą zmierza w naszą stronę.

– Szczury! – krzyczy Jérôme z obrzydzeniem.

To nie kilka samotnych samców, lecz prawdziwa kolonia pędzi w naszą stronę.

– One... One objedzą nam nogi do kości – z paniką w głosie mówi Jules.

– Zachowaj zimną krew. Nic nam nie zrobią, poza...

Dywan pokrywa teraz wszystkie ściany, aż po sufit. Szczury, wszędzie szczury. Wszyscy kucamy i osłaniamy głowy rękami. Wstrzymujemy oddech i powstrzymujemy krzyki, podczas gdy one ocierają się o nasze nogi, wspinają się na plecy, chodzą po głowach. Happy szczeka jak wściekły i skacze od jednego gryzonia do drugiego, z nadzieją, że któregoś upoluje. Jednak one zajadle wgryzają się w jego ogon i kikut łapy. Wycie psa rozdziera mi serce. Kori przekrzykuje ogłuszający pisk:

– Chodźcie bliżej, mam środek odstraszający!

Rozpina kurtkę myśliwską i szczury schodzą jej z drogi. Spowija nas zapach cynamonu, który odgania gryzonia, choć kilka nieprzejednanych nadal czepia się naszych nóg.

– Gryzą mnie! – wrzeszczy Jules.

W końcu dywan rozstępuje się wokół nas jak woda i znika w ciemnościach. Happy przytula się do mnie, a ja spokojnie go głaszczę.

– Wszystko dobrze, Jules? Pogryzły cię?

– Tak... a właściwie to nie, nie pogryzły, w sumie w porządku...

Jest błądy. Bardzo się bał. Nieugięta Kori rusza w dalszą drogę.

Idziemy trasą linii 14 aż do stacji Châtelet. Tu schodzimy z torów, żeby pójść korytarzami dla pasażerów. Jesteśmy teraz bardziej na widoku niż w tunelu dla pociągów. Jérôme przyspiesza.

– Pospieszcie się – szepcze z niepokojem.

Nagle rozlega się gwizdek patrolu. Słysząc szczekanie dwóch psów. Biegniemy, złani potem ze strachu... Zauważa nas drugi patrol.

– Wychodzimy! – krzyczy Kori.

– Na powierzchni będzie jeszcze gorzej – oponuje Vincent.

Kori gasi latarkę z miną wskazującą na to, że doskonale wie, co robi. Idziemy za nią, wspinamy się po nieczynnych schodach ruchomych, przeskakujemy przez bramki. Psy są tuż za nami, słyszę ich sapanie. Kiedy wychodzimy na powierzchnię, serca zaczynają nam bić jeszcze gwałtowniej. W świetle księżycy Kori wskazuje studzienkę kanalizacyjną. Kuca, podnosi pokrywę i daje nam znak, żebyśmy wskoczyli do środka.

– Szybko!

– Nie, ty pierwsza – mówię.

– Kiedy indziej będziesz zgrywał dżentelmena. Ruszaj się!

Popycha mnie, a ja chwytam się metalowej drabinki. Raczej się staczam, niż schodzę. Chwilę później spada na mnie Happy i pozostała trójka. Kori wchodzi ostatnia i zamyka za sobą właz. Dwie sekundy później psy przebiegają po płycie, nie zatrzymując się.

– W porządku, nie widzieli nas – szepcze Jules.

Czekamy kilka sekund, żeby dojść do siebie. Vincent daje Kori znak, że jesteśmy gotowi do drogi. Zagłębia się w wilgotne, cuchnące kanały i przechodzimy pod Sekwaną. Kori wskazuje nam wyjście.

– Tu jest bulwar Zegarowy, od miejsca spotkania dzieli na jakieś pięćdziesiąt metrów. Proszę, Yannis, czyń honory. Jestem pewna, że jako jedyny nie widziałeś jeszcze tej wieży.

Wspinam się po metalowej drabince, opieram dłonie na płycie, unoszę ją lekko, ostrożnie, żeby rzucić okiem na powierzchnię. Kwadratowa wieża zwieńczona połączonym szczytem wznosi się na rogu białego budynku o wysokich oknach. To stary Pałac Sprawiedliwości – Conciergerie. Miałem nadzieję zobaczyć zegar, ale jesteśmy z innej strony. Mimo wszystko jestem wzruszony.

– Jest piękna – szepczę pod nosem.

Gęsiego, zgięci w pół biegniemy do kraty znajdującej się po prawej stronie, w odległości jakichś dziesięciu metrów od kwadratowej wieży. Krata jest na w pół otwarta, więc bez trudu prześlizgujemy się na niewielki dziedziniec. Happy idzie w moje ślady i również dyskretnie wchodzi do środka. Później Kori prowadzi nas przez ułożone amfiladowo niewielkie pokoje, pełniące w przeszłości funkcję pomieszczeń biurowych. Wcześniej przecięła kratę okienną obcęgami i wybiła szybę, żeby wejść do środka. Otworzyła również wszystkie opancerzone drzwi, więc teraz z łatwością możemy posuwać się do przodu.

Docieramy do olbrzymiej sali. To miejsce jest niesamowite! Wczoraj wieczorem w bibliotece znaleźliśmy plan Conciergerie w książce opisującej ostatnie dni Marii Antoniny, którą więziono w tutejszych lochach. Dokładny plan wyrwany z książki pozwala nam ustalić własne położenie i nazwać poszczególne części budynku. To jest Sala Rycerska. Te sklepienia przenoszą nas w średniowiecze. Nigdy nie pamiętam, jak się nazywają, mimo że w szkole podstawowej omawialiśmy to na lekcjach historii. Wydaje mi się, że wczoraj ktoś mówił coś o ostrołukach i stylu gotyckim.

– To tu trzeba się schronić. To miejsce idealnie się do tego nadaje.

I nagle na dźwięk tych słów, które wydają mi się zupełnie pozbawione sensu, przestaję rozumieć, po co tu jestem. Głaszczę Happy'ego, robiąc dobrą minę do złej gry.

– Mam... mam okulary, które pozwalają widzieć w ciemnościach.

Naprawdę myślę, że podczas bitwy te okulary mogą im pomóc. Im czy nam? Czy ja też wezmę udział w walce? Nie jestem w stanie w to uwierzyć.

– Noktowizor? – pyta zaskoczony Vincent.

– Tak. Wzmacnia natężenie światła. Przyjaciół...

Jérôme mi przerywa:

– Vincent, jak sądzisz, czy Jules z Yannisem mogliby dzięki temu urzędzeniu obserwować okolicę ze szczytu wieży?

– Tak, to dałoby się zrobić. A ja znajdę kryjówkę na ulicy, dostatecznie blisko zegara, żeby móc kierować Ekspertów w stronę tej sali.

– Ja – odzywa się Kori – zostanę w podziemiach.

Słyszę ich głosy, ale dochodzą do mnie jakby z oddali. Krążę po sali z Happym u boku i udaję, że oglądam kolumny.

– Trzeba znaleźć bezpieczne miejsce, żeby złożyć granaty – oświadcza Żołnierz.

Niedobrze mi się robi. Granaty...

Nagle boleśnie zaczyna męczyć mnie pytanie: „Gdzie jest Stéphane?”. To oczywiste: powinna być tu. Powinna być ze mną mimo swoich zmiennych nastrojów, słabości, ataków agresji i wszystkich naszych kłótni. Tęsknię za nią. Tak, to jest to: tęsknię za nią! Dlaczego wprost nie poprosiłem jej, żeby ze mną została? W końcu zdaję sobie sprawę, że miała rację. Przyjście na to spotkanie – w takich warunkach – to szaleństwo. Czyste szaleństwo. Miała rację!

Jules z uwagą ogląda plan Conciergerie i zwraca się do Vincenta:

– Popatrz, Żołnierzu, są dwa pomieszczenia, w których mógłbyś złożyć granaty: budynek kuchenny i cela Marii Antoniny.

– Cela – decyduje Vincent.

– Yannis, pójdziesz ze mną?

Jules tak mocno się w to wszystko zaangażował, a ja tak bardzo się oddaliłem, że nie daję rady mu odpowiedzieć.

– Ja już znam te miejsca – stwierdza Kori. – Idźcie zrobić rozpoznanie, poczekam tu na was.

Patrzę na nią w milczeniu.

– Nie, ja nie pójdę – mówię nagle.

Rzucają mi zdumione spojrzenia.

– Dokąd? Na wieżę? – pyta Jules z zaskoczoną miną.

– Dwudziestego czwartego grudnia. Nie zamierzam przyjść na spotkanie 24 grudnia.

Nie przyjdę. W każdym razie nie z nimi i nie w tym celu. Nadal jestem przekonany, że trzeba znaleźć sposób na ocalenie Ekspertów, ale pomysł Jérôme’a, Vincenta i Jules’a mi nie odpowiada. Przyjąć wojskowych karabinami i granatami? Przecież to się zmieni w prawdziwą rzeź. Bez takiej akcji Eksperci mogą wprawdzie zostać aresztowani, ale nie zabici. Mogliby żyć, oczywiście w niewoli, ale żyć... jak François. A tak czeka ich los Marca. Jeśli o mnie chodzi, nie mam zamiaru podzielić żadnego z tych losów. Jedyna przyszłość, jaką dla siebie widzę, to życie ze Stéphane. Muszę ich przekonać:

– Wy też nie przychodźcie. Proszę was, nie przychodźcie. Możecie zostać zamordowani. Naprawdę.

– Rób, jak uważasz, ale... – mówi Kori, patrząc na mnie łagodnie.

– Nie możesz się poddać! – krzyczy Vincent. – Potrzebujemy każdego, żeby...

– Zostaw go, Vincent. Nie można nikogo zmuszać – oponuje Jules. – Yannisie, uratujemy Ekspertów i wyjdziemy z tego cało, nie martw się.

– Jules... Proszę cię, nie idź na spotkanie. Kori, nie idź tam. Nie idźcie tam.

Widzę, że oni już zdecydowali. Walka jest ich ostatnią nadzieją, nadaje sens ich dalszemu życiu, a ja nie potrafię zaproponować nic w zamian. Jeszcze nie. Są zdecydowani. Nawet gdybym zaczął wrzeszczeć, żeby zrezygnowali, nic to nie da. Gdybym tylko wiedział, jak uprzedzić Ekspertów, żeby nie przychodzili tu 24 grudnia! Jak jednak mogę ich uprzedzić

w świecie bez łączności telefonicznej i internetu? Podchodzę do Jules'a.

– Nie jestem Adriałem, Jules. Przykro mi...

– Całe szczęście, że nie jesteś Adriałem. Jesteś znacznie lepszy od niego.

– Ty, Jules, też jesteś lepszy od Spider Snake'a. W każdym razie lepiej od niego szarżujesz. No i miałeś rację tamtego wieczoru. Wiesz, kiedy mówiłeś o Mai i powiedziałeś, że ja też...

– Nie przejmuj się. Idź do niej. Zaufaj mi, damy sobie radę.

Nagle wzbiera we mnie fala sympatii do Jules'a. Mam wielką nadzieję, że ułoży mu się z Maią. Jules odpina zegarek, którego nigdy wcześniej u niego nie widziałem.

– Przed odejściem weź to. Jest praktyczniejszy niż komputer, gdy chcesz wiedzieć, która godzina. To wyjątkowy egzemplarz. Wygrawerowałem coś z tyłu. Wolałbym, żebyś przeczytał to później. To ci przypomni, kiedy...

Jest zbyt wzruszony, żeby dokończyć zdanie.

– W ten sposób będziesz mógł pomyśleć o nas o północy 24 grudnia.

– Dziękuję, Jules.

Happy przytulił się do moich nóg, skamłając cicho, jakby rozumiał, że właśnie się rozstajemy. Czuję się wzruszony, kiedy dotykam bransoletki. Mam ochotę powiedzieć przyjacielowi, że jednak się pojawię, jeśli znajdą bardziej pokojowy sposób na uratowanie świata. W takich warunkach nie powinni jednak na mnie liczyć. Poza tym mam teraz pilniejsze sprawy do załatwienia. Ściągam plecak i wyjmuję okulary z noktowizorem.

– Trzymaj. To prezent ode mnie. Podarował mi je przyjaciel. Myślę, że teraz ty powinieneś je mieć.

Żywię nadzieję, że Jules będzie miał więcej szczęścia niż Marco i François.

Ostatni uśmiech do Kori. Czy jeszcze ją kiedyś zobaczę? Próbuję utrwalić w pamięci jej śliczną twarz. Uświadamiam sobie, że właściwie nic o niej nie wiem: ani jak przybyła do Paryża, ani w jakim celu. Wiem tylko, że niewiarygodnie mocno wierzy w Khronosa. To ostatnia osoba, która wierzy w niego w tak tajemniczy sposób. Kori odpowiada mi uśmiechem. Zachowuję ów promień słońca w sercu, gwizdząc na Happy'ego i biegnę w stronę wyjścia... W stronę mojego nowego celu – jak najszybszego odnalezienia Stéphane.

Przed ponownym wejściem do kanału okrążam wieżę, żeby zobaczyć słynny zegar. Zegar Khronosa w blasku świtu jest złoty na błękitnym tle. Wskazówki poruszają się po tarczy ozdobionej złotymi promieniami. Po każdej stronie tarczy stoi kobieta w niebieskiej tunice: jedna trzyma tablicę z prawami, a druga wagę. Powyżej zegara i pod nim znajdują się inskrypcje łacińskie, których ni w ząb nie rozumiem. Tarczę wieńczą dwa aniołki.

Też chciałbym mieć skrzydła, żeby szybciej znaleźć się przy tej, bez której nic już nie ma sensu ani smaku.

18 GRUDNIA, RANO

Przez ten cholerny stan wojenny muszę iść kanałami, tak jak Kori i Joshua. Na wszelki wypadek założyłem na ramię żółtą, odblaskową opaskę, którą zabrałem blondynkowi w Gentilly. Jeśli mnie złapią, będę mógł ich oszukać. Moja puchówka nadal jest przesiąknięta środkiem odstrasającym Kori, a może to po prostu szczęśliwy traf – w każdym razie nie spotykamy żadnego szczura ani patrolu z psem. Wracam do Gentilly bez przeszkód. Na szczęście pamiętam, jak pokonywałem tę trasę po raz pierwszy. Docieram do naszej kryjówki przy ulicy Benserade.

Wszystko jest na swoim miejscu.

Stéphane tu nie wróciła. Czy to znaczy, że odnalazła ojca? Czy przyjdzie tu mimo wszystko, tak jak obiecała? Wątpliwości sprawiają mi fizyczny ból. Czuję go w klatce piersiowej. Jednak odrobinka nadziei pozwala mi go pokonać. Daję Happy'emu do powąchania jedną z rękawiczek pozostawionych przez Stéphane.

I czekam.

Czekam na zewnątrz, na ulicy, żeby jej wypatrywać. Chcę mieć pewność, że jej nie przegapię. Wyobrażam sobie wszystkie scenariusze: coś może jej przeszkodzić tuż przed powrotem albo ogarną ją wątpliwości i odejdzie... Chciałbym znów znaleźć się bezpiecznie na dachu, ale wiem, że Stéphane nie przyjdzie tamtędy.

Czekam godzinami.

Czekam do nocy.

Czekam w nocy.

„Gdybyśmy się zgubili i chcieli znów odnaleźć, umówmy się, że tutaj będzie punkt kontaktowy, OK?” Czy to zdanie znaczyło coś dla Stéphane? Może czekała na mnie tutaj przez wiele godzin po rozstaniu z Jules'em? Może spodziewała się, że do niej dołączę, choć nie śmiała powiedzieć tego wprost? Ona jest taka skomplikowana! To było dwa dni temu. Ależ byłem głupi! Nie dołączyłem do niej przez pychę – tylko z powodu pychy. Czulem się zraniony tym, że się ze mną nie pożegnała, a może myślałem, że Kori ją zastąpi... Myślałem, że skoro nie liczę się dla niej, ona nie będzie nic znaczyła dla mnie.

Włóczę się po dzielnicach z nudów, a także po to, żeby oszukać chłód, ale nie oddalam się zbyt od umówionego miejsca. Wchodzę w każdą uliczkę, ulicę i na każde podwórko. Rozglądam się po kamienicach. Patrole regularnie przemierzają tę okolicę. Dzięki Happy'emu, który zawczasu je wyczuwa, zawsze udaje mi się schować w porę. Ale Stéphane nie wyczuwa. A teraz jest mu zimno. Mnie też. I chce mi się spać. Muszę odpocząć kilka godzin, nawet jeśli istnieje ryzyko, że się miniemy.

Zajmuję mieszkanie w kamienicy, w której mieliśmy się spotkać. Zjadam trochę tego, co znalazłem w szafkach. Trochę wody pitnej zdobywam ze spluczki w WC i zagotowuję ją na kuchence gazowej.

Śpię snem przerywanym koszmarami.

19 GRUDNIA, ŚWIT

Słońce dopiero wstało, a ja kontempluję widok dachów. Szare wieżowce pieszczą beżowe niebo, które się nie śmieje. Ale też nie płacze. Jest sucho, zimno, Paryż wydaje się spowity brudnym, bezdusznym całunem.

Schodzę na mój posterunek obserwacyjny. Myślę o Jules'u, który 24 grudnia będzie sam sprawował wartę na wieży. Oglądam jego zegarek. Z tyłu ma wygrawerowane niezdarnie, jak przez dziecko, trzy litery: „W”, „O” i „T”. „WOT”... Dla mnie dziś nie ma to żadnego znaczenia, ale dla Jules'a ma i dla Kori chyba też. Czy Jules miał nadzieję, że zmienię zdanie, gdy dawał mi ten zegarek? Czy istnieje cudowne rozwiązanie pozwalające uniknąć krwawej łaźni? Nieustannie łamię sobie głowę, próbując je znaleźć. Poczucie bezsilności sprawia, że mam ochotę trochę się poruszać. Robię kilka pompek, chwytam się dachu przystanku autobusowego, żeby kilkakrotnie się podciągnąć. Muszę zmęczyć ciało, żeby oczyścić myśli.

– Jeśli nie odnajdę Stéphane, pójdę na spotkanie – mamroczę do Happy'ego. – Będę z nimi walczył. Postaram się uratować możliwie najwięcej Ekspertów. Przynajmniej Jules'a i Koridwen. Chyba że zginę...

19 GRUDNIA, WCZESNE RANO

Ulice są bezbarwne i wyludnione. Żadnych patroli na horyzoncie. Robię sto kroków. Zimno mi. Chowam się do bramy trochę poniżej naszej kryjówki i podskakuję w miejscu, żeby się rozgrzać. Bolą mnie już oczy od wpatrywania się w wejście do kamienicy.

Nagle Happy podnosi uszy i nieruchomieje. Potem wybiega na zamgloną ulicę. Instykt mówi mi, żeby go nie wołać.

Mój trójnogi pies pędzi w stronę szczupłej jak zapalka i prostej jak struna postaci.

Serce zaczyna mi walić.

Stéphane...

Idzie w moją stronę. Stéphane!

Oszalały z radości Happy biegnie w jej stronę.

Jednak ona nie rozkłada ramion. Całe jej ciało jest sztywne. Kiedy pies do niej podbiega, a ja właśnie zamierzam iść w jego ślady, Stéphane wymierza mu kopa w bok. Ten widok zapiera mi dech w piersiach. Nieruchomieje. Happy się wycofuje. Wzbiera w nim bunt i rzuca się na nią z zębami, a Stéphane znów go kopie. Pokonany psiak wraca do mnie z podkulonym ogonem.

Wciskam się w załom bramy. Serce niemal wyskakuje mi z piersi. Coś tu nie gra. Głaszczę Happy'ego, żeby go pocieszyć. Obserwuję Stéphane, która nadal idzie w moją stronę. Jest już zupełnie blisko, ale nie zwalnia. Czy mnie zauważyła?

Przechodzi obok.

Kręci głową, jakby chciała powiedzieć „nie”.

Intensywnie wpatruje się w moje oczy.

Czerń i szarość na pobludłej twarzy.

„Nie” – krzyczy całe jej spięte ciało.

Chce mnie uprzedzić o zasadzce, to jasne.

Odwracam głowę: nikt za nią nie podąża. Gdzie ta pułapka?

Mija mnie, mechanicznym krokiem idzie w stronę naszej kryjówki.

Nie ma czasu do namysłu. Dotykam szybko odblaskowej opaski, żeby upewnić się, że jest na swoim miejscu. Zaciskam w pięści dłonie schowane w kieszeniach i energicznym krokiem, z Happyem przy nodze, wychodzę z kryjówki. Idę w przeciwnym kierunku niż Stéphane. Jeśli ktoś mnie zobaczy, uzna, że jestem nastolatkiem współpracującym z wojskowymi i właśnie patrolującym przedmieścia. Skręcam w pierwszą uliczkę i rzucam okiem na ulicę Benserade.

Oto zasadzka: w odległości pięćdziesięciu metrów za Stéphane idzie pięciu żołnierzy. Mężczyźni mają na sobie czarne mundury, ale są bez kombinezonów upodabniających ich do much. Stéphane czeka na nich przed naszą kryjówką. Wprowadza ich do środka.

Uratowała mi życie.

Co mam teraz zrobić, żeby ją uratować?

19 GRUDNIA, 9.30

Kilka drgnięć, po czym zwierzak nieruchomieje i w końcu wydaje ostatnie tchnienie. Wyjmuję nóż z ciała. Jeden mniej, jeden więcej – co za różnica? Zanurzam kawałek materiału oderwany z podkoszulka we krwi płynącej z rany.

Od wybuchu epidemii szczury mnożą się na potęgę. Są tak liczne i duże, że bez problemu złapałem jednego. Jeszcze raz sprawdzam żółtą opaskę na lewym ramieniu, naciągam czapkę na oczy i owijam brodę szalikiem. Wybiegam na ulicę, strzelając raz z pistoletu.

– Paf!

Od wystrzału drży cała ulica.

Wkładam broń za pasek i przywieram do muru naprzeciw kamienicy, którą wybraliśmy na naszą kryjówkę. Do twarzy przykładam materiał nasiąknięty krwią. Brudzę się szczurzą posoką, powstrzymując odruch obrzydzenia – kto wie, jakie choroby mogą przenosić te obrzydliwe gryzonie? Ale lepsze to niż naprawdę się zranić. Krzyczę:

– To był ten chłopak z listu gończego za terrorystami! Rozpoznałem go!

Czterech żołnierzy z pięciu otaczających Stéphane wychodzi na ulicę z bronią w ręku. Zbliżają się do mnie. Jęczę, cały czas przyciskając materiał do policzka.

– Rozpoznałem go – mówię. – Strzelił do mnie, łajdak.

Wskazuję na ulicę po prawej.

– Uciekł tamtędy.

Jeszcze bardziej się kulę, udając, że słabnę. Między palcami widzę Stéphane na progu kamienicy, znieruchomiałą ze zdumienia, stojącą obok dowódcy, który rozkazuje trzem wojskowym pobiec we wskazanym przeze mnie kierunku. Genialnie! Przez krótkofalówkę wydaje posiłkom krótkie rozkazy. Zwraca się do wozów opancerzonych i snajperów. Można by pomyśleć, że chodzi o otoczenie całej armii!

Czwarty żołnierz wyjmuje z plecaka apteczkę, a dowódca kuca obok mnie. Strach mrozi mi krew w żyłach. Gratuluje mi rozpoznania Cefaïa. A przecież nie podałem nazwiska! Czekali tu na mnie, bez wątplenia po to, żeby mnie aresztować. Jaka jest w tym rola Stéphane? Czy służy jako przynęta?

Dowódca pyta mnie o szczegóły dotyczące Cefaïa, jego ubranie...

– Cholera, boli mnie – odpowiadam, ukrywając twarz za strzępem zakrwawionego materiału.

Mężczyzna przygląda mi się z bliska. Pewnie trochę za bardzo się pocę. Szybko, muszę odwrócić jego uwagę. Wskazuję palcem stojącą za nim Stéphane.

– Ta dziewczyna za wami... Ona też jest na tym plakacie. To jego przyjaciółka?

– Tak – odpowiada z powagą Stéphane – jestem przyjaciółką Yannis. To mój jedyny przyjaciel.

Nie mam czasu wzruszyć się jej słowami. Żołnierz na krótką chwilę odwraca głowę w jej stronę – to ludzki odruch! Korzystam z tego, żeby wyciągnąć pistolet zza paska.

– Ręce do góry!

Dowódca w pierwszej chwili nie może pojąć, co się dzieje, i odpowiada:

– Nie przejmuj się. Mamy ją pod kontro...

– Nic nie kumas, facet. To było do was. Ręce do góry. Szybko.

Mówiąc to, wstaję i odrzucam zakrwawiony gałgan.

– Cefaï – krzyczy dowódca.

Mam niemal ochotę ponabijać się z jego naiwności, ale budzi we mnie zbyt duży lęk. Nie

sądziłem, że stanięcie twarzą w twarz z dorosłym mężczyzną, na dodatek żołnierzem, zrobi na mnie takie wrażenie. Proszę Stéphane, żeby ich rozbroiła, a później rozkazuję dowódcy podać przez krótkofalówkę fałszywe informacje. Potem zabieram mu walkie-talkie, wyjmuję baterie – mogą się jeszcze przydać – i odrzucam urządzenie bardzo daleko. Stéphane zabiera pistolet sanitariuszowi. Ku mojemu zaskoczeniu dostrzegam obrzydzenie na jej twarzy, kiedy bierze do ręki broń.

W tym samym momencie moją uwagę zwraca ruch jeńca, sięgającego ręką do kieszeni. Bez wahania celuję w jego kolano i strzelam. Pada na ziemię, zwijając się z bólu. Przeszukuję jego kieszenie: ma jeszcze jeden pistolet!

Towarzyszający mu żołnierz podnosi ręce do góry na znak, że się poddaje. Nie muszę go unieszkodliwiać. I tak wydaje się zajęty głównie raną przełożonego. Rzuca na nas niespokojne spojrzenia.

Stéphane i ja czym prędzej bierzemy nogi za pas.

Niebezpieczeństwo przyspiesza bicie mojego serca, ale zachowuję zadziwiająco jasny umysł. Uwalniam Happy'ego, którego zamknąłem na klatce schodowej przy ulicy Benserade. Szczeka radośnie na mój widok, ale warczy na moją towarzyszkę. No cóż, w końcu go kopnęła. Wprowadzam Stéphane do pustego mieszkania, które łączy się z innymi. Przechodzimy przez dziurę w murze do następnej kamienicy i oto znajdujemy się na klatce schodowej, a później na ulicy z drugiej strony kompleksu budynków. Żołnierze z pewnością nie będą równie szybcy jak my, a przede wszystkim nawet nie pomyślą, że można dostać się tu na skróty! Dobrze zrobiłem, że wczoraj przeczesalem okolicę. Jestem z siebie zadowolony.

Czekam na Stéphane, która z trudem łapie oddech. Ja czuję się w pełni sił, zdolny do biegu przez wiele godzin – tylko dlatego, że ona jest ze mną. Odwracam się do niej i chyba głupawo się uśmiecham, mimo że wciąż słyszemy odgłosy wozów opancerzonych i krzyki żołnierzy.

– Dobra, teraz następny etap. Zmywamy się. Gotowa?

W świetle kołującego helikoptera Stéphane przybiera pewną siebie, rozpromienioną minę.

– Gotowa.

– No to ruszamy. Głowa nisko.

Przeskakujemy przez ogrodzenie ogrodu gęsto porośniętego drzewami. Przez lufcik wślizgujemy się do piwnicy i przechodzimy do domu. Z domu wychodzimy na podwórze. Z podwórza na inne podwórze. Staramy się w miarę możliwości unikać helikopterów i snajperów. Coraz bardziej oddalamy się od Gentilly, w którym tyle przeżyliśmy. Dramat, zaskakujące spotkania, nierozpoznaną miłość...

19 GRUDNIA, 10.00

Odgłosy wozów i krzyki zostały daleko za nami. Ośmielamy się biec ulicą, przemykając się pod ścianami i ukrywając za samochodami. Na każdym skrzyżowaniu wysyłam Happy'ego na zwiady. Szczeka, kiedy nie czuje zagrożenia. Mój wierny pies! Im bardziej oddalamy się od niebezpieczeństwa, tym bardziej naturalny staje się rytm mojego serca. Chciałbym jednak znaleźć sposób, żeby wrócić do Paryża. Myślę o Jules'u, Kori i wszystkich pozostałych Ekspertach. Być może w najbliższych godzinach przyjdzie mi do głowy genialny sposób na ocalenie ich wszystkich. Musiałby być tak świetny, żeby Stéphane poszła ze mną. Razem zatriumfowalibyśmy nad wojskowymi, a Eksperci byliby cali i zdrowi.

O, plan miasta na tablicy! Zbliżam się do niego i stwierdzam, że jesteśmy w Vanves. Oczywiście, podążaliśmy przecież wzdłuż autostrady na zachód.

– Wiesz, dokąd biegniemy? – pyta Stéphane.

– Nie. Na razie poruszamy się wzdłuż granic Paryża, ale przy każdej bramie są blokady. Pokonaliśmy już kiedyś tę trasę, po śmierci Marca, pamiętasz?

Stéphane wskazuje głową puste miejsce w zachodniej części planu.

– Jeśli pójdziemy wzdłuż Sekwany i nie przejdziemy na jej drugi brzegi, dotrzemy do lasu na zachodzie. To chyba Saint-Cloud. Tam będziemy mogli się ukryć.

Las... Nagle przypominają mi się magiczne chwile, które razem przeżyliśmy w lasach Morvan. Tak, dobrze będzie ukryć się w lesie. A jednocześnie nadal będziemy niedaleko Paryża! Stéphane nie pozwala mi długo się zastanawiać. Teraz ona łapie mnie za rękę i prowadzi za sobą. Podejmuje za mnie decyzję i tym razem mi to odpowiada. Pozwalam jej poprowadzić się przez Issy-les-Moulineaux.

Każdy hałas sprawia, że dreszcze przebiegają nam po plecach. Czy to kroki? Znów zaczynamy biec.

– Tamtędy – wskazuje, podążając za tablicami prowadzącymi do lasu Saint-Cloud.

Nagły warkot stawia mnie na równe nogi. To helikopter! Ukrywamy się między dwoma krzakami i zostajemy tam, przytuleni do siebie, aż hałas się oddali. Kiedy wydaje się, że niebezpieczeństwo minęło, odsuwamy się od siebie zawstydzeni, ale uśmiechnięci. Mam wrażenie, że dopóki Stéphane będzie przy mnie, dopóty ten uśmiech mnie nie opuści. Wstaje. Wydaje mi się, że jest jej lżej na duszy, jakby się uspokoiła. Nie wiem, co przeżyła w ostatnich godzinach, ale mam wrażenie, że ją odzyskałem. W końcu.

Patrzę na drzewa nad głową i uświadamiam sobie, że jesteśmy już w lesie, bardzo rozległym na pierwszy rzut oka. Jeśli się w niego zagłębimy, moja obecność na spotkaniu 24 grudnia stanie się jeszcze bardziej problematyczna. Być może nadszedł czas, żeby... Stéphane wpatruje się swoimi szarymi oczami w moje i z łagodnym uśmiechem, który sprawia, że czuję się zmieszany, pyta:

– Myślisz, że są tu lisy?

Odgadła moje wahanie, bez dwóch zdań! I wiedziała, jak mnie rozbawić. Wracam myślami do rudej plamy na białym śniegu. Prawie czuję na języku słodki smak brzoskwiń w syropie. Wybucham śmiechem, a później spoglądam na nią drwiąco i przybierając złowrogi wyraz twarzy, dodaję:

– Myślę, że tu spotkamy również wilki.

Stéphane wyciąga do mnie rękę i uśmiecha się.

– Chodź...

Wstaję i razem zagłębiamy się w las.

Las jest za rzadki, by można się było ukrywać w nim dłuższy czas. Zbyt łatwo byłoby nas tu namierzyć z powietrza. Co zrobimy, kiedy się skończy? Wrócimy do miasta z jego niepokojem? Do autostrad, betonu, plakatów z jaskrawymi literami? Tak nam było dobrze w tym lesie!

– Co robimy?

Znów warkot śmigła. Nie mamy wyboru: musimy pilnie znaleźć kryjówkę. Przebiegamy dzielnicę mieszkalną w Wersalu, niedaleko słynnego pałacu, jak informuje tablica. Przeskakuję przez ogrodzenie – niezły wybór. Za parkanem wznosi się biały, duży, bogaty dom, otoczony prawdziwym parkiem, być może równie pięknym jak pałacowy, chociaż nigdy tamtego nie widziałem. Jednym słowem: najwyższa klasa. Żwirowa alejka prowadzi do zewnętrznych schodów, a na trawniku stoją dwa luksusowe samochody, tak błyszczące, jakby umyto je wczoraj. Idę otworzyć bramę Stéphane i Happy’emu, a później sprawdzam, jak dostać się do środka. Wszystkie okiennice są zamknięte... poza tymi na prawo od schodów! Rzucam kamieniem w szybę, która się rozbija, a potem wkładam rękę do środka, żeby dosięgnąć klamki. Wślizgujemy się do wnętrza domu.

Bardzo chce mi się pić, więc najpierw szukam wody. Idę do kuchni, podczas gdy Stéphane przeszukuje dom. Otwieram wszystkie szafki i w końcu w jednej wnęce znajduję butelki z wodą mineralną. Najpierw gaszę pragnienie, a potem zdejmuję kurtkę, sweter, koszulę, T-shirt i staję przed zlewozmywakiem. Szczurza krew spłynęła mi aż na szyję. Muszę się umyć, mimo że z zimna dostaję gęsiej skórki. Stéphane wchodzi do kuchni w momencie, kiedy szoruję twarz. Robię się jeszcze bardziej czerwony niż wtedy, gdy byłem ubrudzony krwią. Trochę zawstydzony tym, że widzi mnie z nagim torsem, żartuję na temat sposobu, w jaki wyprowadziłem w pole wojskowych:

– Trzeba było szybko coś znaleźć, żeby cię uwolnić. Moja śliczna buźka by nie wystarczyła.

Stéphane uśmiecha się i wraca do salonu.

Z mokrymi włosami, zapinając koszulę, idę za nią. Nagle moją uwagę przyciąga coś, co wydaje mi się cudem. Przy wejściu, na jednym z mebli leżą klucze. Czy... Nie, to byłoby zbyt piękne. A jednak wydaje się, że dobrze widzę. To kluczyki od samochodu. Otwieram okno i naciskam przycisk: bmw odpowiada mi ślicznym „bip” i mruganiem świateł. *Yes!*

W salonie Happy już pochrapuje na dużym, orientalnym dywanie. Rozglądam się po pokojach: cenne boazerie, wysokie stropy, zegar z wahadłem, bibeloty, a także obrazy i tkaniny ścienne jak w muzeum. Wszystko nienaruszone i czyste. Pokrowce na fotelach i kilku innych meblach sprawiają, że cały dom wydaje się uśpiony. Jakby czekał na odczarowanie. Czy piękną księżniczką, która potrafi wszystkich obudzić, jest ta krążąca bez celu dziewczyna o siwych włosach?

Stéphane jest pogodna jak nigdy wcześniej. Podnosi bibeloty i zdjęcia w ramkach, przeciąga palcem po ogromnym lustrze. Chwytam jej szybkie, zdumione spojrzenie w odbiciu zwierciadła. Jakby się nie rozpoznawała... Bardzo zeszczuplała od naszego pierwszego spotkania w Lyonie. No i od tamtej pory nie mieliśmy zbyt wielu okazji do przeglądania się w lustrze. Nie odwraca wzroku. Przez chwilę przypatruje się sobie z niezdecydowaniem, potem przeciąga dłonią po włosach i ostatecznie robi zadowoloną minę.

Podchodzę do niej, podczas gdy ona kieruje się w stronę wygaszonego kominka wypełnionego popiołem. I oto stajemy wreszcie twarzą w twarz. Mam jej tyle do powiedzenia, ale teraz widzę tylko piękno jej szarych oczu, czystość twarzy i szlachetny kształt ust. Wszystko to nagle rzuca mi się w oczy. Unosi mnie jakaś niezrozumiała energia. Pewność. A także strach. Strach przed tym, co odczuwam i co nagle się rozwinęło. Oraz ogromna ciekawość. Co przeżyła

w ciągu ostatnich dwóch dni? Pytam głosem ochryplym z przejęcia:

– Widziałas się z ojcem? To dlatego żołnierze cię śledzili, a ty przyszedłaś po mnie?

Odpowiada, wzdychając:

– Nie mam ochoty o tym rozmawiać. Nie teraz.

– Nie teraz?

Niemal się krztuszę. W końcu wybucham:

– Przed chwilą mieliśmy na karku połowę wojska, helikopterów i snajperów, ale ty nie masz ochoty o tym teraz rozmawiać?

Wzrusza ramionami i ten nieoczekiwany, a przy tym naturalny gest natychmiast mnie rozbija. Złość mija. Znow się uśmiecham, niemal wbrew sobie. Na próżno chcesz być szkatułką na sekrety, Stéphane, sama zobaczysz, że pewnego dnia znajdzie klucz.

– Dobra, chodź, zobacz – mówię pokonany.

Prowadzę ją na zewnątrz, żeby jej pokazać bmw. Czuję się tak dumny, jakbym je wygrał w morderczej walce ze smokiem.

– Jeśli w baku jest paliwo, zabiorę cię, dokąd chcesz, Stéphane.

Dopiero kilka minut później, w salonie, podczas łamania drewnianych skrzynek na owoce, aby rozpaść w kominku, odpowiada mi pytaniem:

– Czyli zabierzesz mnie, dokąd chcę?

Za dużo gadam! Zmieszany, uściślam.

– Nie od razu, Stéphane. Najpierw musimy załatwić inną sprawę.

Odwraca się do mnie ze zmarszczonymi brwiami.

– O czym ty mówisz?

Waham się, czy wyjawić jej, co jeszcze zaprzęta mi głowę. To na pewno zniszczy czar. Mimo wszystko nie mogę zrezygnować:

– Trzeba uprzedzić wszystkich Ekspertów, że idą prosto w paszczę lwa.

No i już. Powiedziałem to wreszcie. Wyczuwam, że Stéphane jest zła.

– Jules, Jérôme i Vincent tam będą – wyjaśniam. – Ale uzbrojeni. To się może zamienić w krwawą łaźnię. Nie możemy ich porzucić. Kori też tam będzie i...

– A tak, piękna rudowłosa. Nie chciała cię, tak?

– Jeśli chcesz wiedzieć, chciała. Miała na mnie ochotę.

Obserwuję jej reakcję. Odwraca wzrok. Kojarzy mi się teraz z tymi kwiatami, których płatki więdną zaraz po zerwaniu. Kontynuuję:

– Zostawmy to. Nie dlatego odszedłem.

– Tylko dla mnie? Dzięki, taki zaszczyt!

No i proszę, znow zaczyna mnie wkurzać!

Do cholery, Stéphane, odszedłem nie dlatego, że nie wyszło mi z Kori, tylko dlatego, że bardzo mi ciebie brakowało. Czy jej trzeba wszystko tłumaczyć? Mam wyjaśniać każde z moich uczuć?

Zawiedziony mamrocze:

– Spodziewałem się przynajmniej...

– Wracaj tam, skoro z nią było ci lepiej.

O cholera! Niemal wypluwam słowa, które zalegają mi w gardle:

– Obiecałaś, że mnie uprzedzisz, zanim sobie pójdziesz.

– Przykro mi. Zapomniałam.

Ogarnia mnie wściekłość i się wycofuję. W przeciwnym wypadku chyba bym próbował wytrząsnąć z niej ten jad. Nie odpuszcza i dodaje:

– Za to ty nic nie zrobiłeś, żebyśmy została, prawda?

Wściekłość sprawia, że krew wrze mi w żyłach. Ona doprowadza mnie do szaleństwa. Jak jej się to udaje? Robi krok w moim kierunku. Też ma wściekłą minę. Opiera dłoń na moim torsie i popycha mnie w stronę ściany. Mam ochotę wrzeszczeć ze złości, krzyczeć, żeby zostawiła mnie w spokoju. Tymczasem dzieje się coś przeciwnego, Stéphane chwytą mnie za koszulę. Nadmiar emocji czyni ją nieprzewidywalną i to wzbudza we mnie lęk, strach, którego nigdy wcześniej nie doświadczyłem. Co ją teraz ugryzło? Próbuje mnie pocałować! Czy to kolejna pułapka? Nasze wargi zbliżają się do siebie, ale ja nie mogę w to uwierzyć i odwracam twarz. Próbuje się od niej uwolnić, ale ona trzyma mocno.

Całym ciałem napiera na mnie, a jej dotyk sprawia, że serce zaczyna mi szybciej bić. Rany, ona tak na poważnie? Ona chce... Ona naprawdę mnie chce? Mnie? Próbuje się uspokoić i uwolnić z jej objęć, ale potykam się i teraz turlamy się razem po ziemi. Siada na mnie okrakiem, przyciskając moje nadgarstki do dywanu. Jej szare oczy lśnią. Łagodnieją. Zbliża twarz do mojej.

– Przestań! Nie jesteśmy stworzeni do... Nie jesteśmy z tej samej...

– Ależ oczywiście, że tak – szepcze.

Znów sprawia, że uśmiecham się wbrew sobie. Jednocześnie jest tak irytująca, że ponownie próbuję ją odsunąć. Nie pozwala na to i dalej przyciska moje nadgarstki do dywanu. Pochyla się. Zbliża usta do moich ust. Serce bije mi jak szalone. Czas staje. Znów dotyka moich warg swoimi.

Czuję niezmierną przyjemność i radość. Wracają wspomnienia z dzieciństwa: walki, łagodności. Zachłanności. A jednocześnie coś tracę, tylko co? Teraz ja jestem na górze i przyciskam ją do ziemi, teraz ja ją całuję. Długo. Cudownie. Jakby cały świat otworzył się na nasze ciała. Nigdy wcześniej nie czułem czegoś podobnego. Nigdy! Stéphane pozwala na to przez kilka sekund. Później korzysta z mojej słabości i znów jest na górze. Na zmianę siłujemy się i pieścimy. Pieścimy... nadal nie mam śmiałości nawet o tym myśleć. Tak bardzo chcę się w tym zatracić. Walczę, choć nie wiem z czym.

Walczymy, a jednak kochamy się tu, na ziemi. Tym razem wszystko dzieje się bez pytań, bez zastanowienia. Nasze ciała reagują niemal bez naszego udziału. Kieruje nami zwierzęcy instynkt. To on leczy mnie z najgłębszych ran.

Stopniowo łagodność zyskuje przewagę i tylko ona zostaje. Stéphane jest taka piękna. Taka wyjątkowa. Jestem oszołomiony tym, że trzymam ją w ramionach.

W końcu wykończeni splatamy się ze sobą. Wpatrujemy się sobie w oczy, jesteśmy szczęśliwi. Ściągam narzutę z kanapy, żeby nas nią przykryć. Głaszczę szyję szrookiej. Jest taka krucha i nadaje sylwetce Stéphane królewską wyniosłość.

20 GRUDNIA, RANO

Spałem, co chwilę się przebudzając, przytulony do niej. Wszystko jest takie dziwne, że nadal trudno mi w to uwierzyć. Kilkakrotnie wstawałem, czasem tylko po to, żeby dotknąć czegoś, co upewni mnie, że to nie sen: krzesła, dywanu. Jeśli wszystko to jest prawdziwe, to znaczy, że cała reszta też. A więc Stéphane mnie kocha. Stéphane mnie kocha. Stéphane mnie kocha.

Z pierwszym brzaskiem wychodzę, żeby wypróbować samochód. Rusza bez problemu. Wskaźnik pokazuje, że bak jest pełny do połowy. I pomyśleć, że będę mógł poprowadzić to cudelko! Delikatnie zamykam drzwi auta.

Stéphane stoi na schodach, ubrana, ale potargana, jakby spadała z obłoków. Zdaję sobie sprawę, że musiał ją wystraszyć dźwięk silnika. Happy, który wreszcie zapomniał, że go kopnęła, skacze na nią, żeby się przywitać. Obserwujemy się wzajemnie przez chwilę, jakbyśmy widzieli się po raz pierwszy. Z pewnością widzimy się w nowym świetle. Czy rzeczywiście się kochaliśmy, ona i ja? Dotykam palcem zimnego samochodu, by po raz kolejny upewnić się, że to, co widzę, jest jawą. Stéphane pyta:

– Wciąż chcesz pojechać na spotkanie 24 grudnia?

Wkładam kluczyki do kieszeni. Boi się o mnie. Najwyraźniej nie ufa już ojcu. Spotkania czasem się nie udają. A ja... Ja tak bardzo chciałbym wziąć ją za rękę i podprowadzić do bmw, ruszyć i pojechać z nią bardzo daleko! Patrzę na samochód, patrzę na nią i myślę o przyjaciolach. Czuję się rozdarty: magia, której wczoraj doświadczyłem, nie zniszczyła mojego poczucia odpowiedzialności.

Wzdycham i odpowiadam:

– Ja chcę tylko powstrzymać Jules'a, Kori i innych przed masakrą. Jérôme i Vincent zgromadzili arsenał, którym można by obdzielić cały garnizon. Nie zgadzam się z ich metodami, ale... być może innych nie ma. Jeżeli wyjdą z tego cało, opuszczą Paryż i być może stworzą jeszcze większą komunę.

– A ty? Chcesz jechać i żyć razem z nimi?

– Ja chciałbym tylko, żeby ktoś im pomógł, ale nie wiem jak.

– Powrót tam to samobójstwo. Gorzej, wystawimy ich wszystkich na niebezpieczeństwo.

– Czyli masz gdzieś los Ekspertów?

– Nie – odpowiada z niezwykłą dla siebie łagodnością. – Kiedy się poddałam, próbowałam przekonać wojskowych, że nie było żadnego spisku. Jednak...

– Nie uwierzyli ci, prawda? Tak samo jak nie uwierzyli François?

Wiem, że nie jest jeszcze gotowa opowiedzieć mi o tym, co przeżyła. Kręci ze smutkiem głową, przyznając się do porażki. Nie śmiem wypytywać o szczegóły.

– Nie uratujesz ich – szepcze.

Później mówi mi o Marcu, jakby miał mnie spotkać ten sam los, jeśli spróbuję coś zrobić. Boi się o mnie. Widzę w jej spojrzeniu błaganie, żebym z nią został. Powstrzymuję łzy.

– A Jules, Kori, reszta? Nic nie możemy dla nich zrobić?

– Znają ryzyko i dokonali świadomego wyboru. Każde z nich wie, co się szykuje, i wybiera własną drogę. Zrobiłeś dla nich wszystko, co mogłeś.

– Co się z nimi stanie?

Stéphane dalej mnie przekonuje, a ja odczuwam niemoc, która waży tysiąc ton. Mam nadzieję znaleźć cudowne rozwiązanie na 24 grudnia, bez broni i przemocy. Jednak Stéphane ma rację, ono zapewne nie istnieje. Szukałem go nieustannie, odkąd opuściłem mury Conciergerie!

Nie znalazłem go, ale znalazłem inny cud. Ten cud nie uratował wszystkich Ekspertów, ale uratował Stéphane i mnie. To przynajmniej dwoje ocalonych. Cudem jest to, co wydarzyło się między nami.

– Ja chcę stąd wyjechać, natychmiast – szepcze moja towarzyszka.

Nie zrobię drugi raz tego samego błędu. Nie pozwolę jej odejść samej!

– Wyjedźmy oboje – odpowiadam szybko.

Łapię ją za nadgarstek i nie odrywając od niej wzroku, mówię:

– Chcę żyć tak jak Elissa, razem z Elissą. Jedź ze mną. Proszę. Będziemy szczęśliwi, zobaczysz!

Wszystko nieoczekiwanie wydaje mi się jasne. Nareszcie. To właśnie chcę zrobić.

Stéphane przez dłuższą chwilę milczy, ale wyraźnie widzę, że rozpromienia się od wewnątrz.

– Zgoda, Yannis.

Serce wali mi z radości jak młot.

– Ale najpierw... najpierw chciałabym, żebyśmy pojechali w pewne miejsce.

– Dokąd?

– Do Douardu. Muszę wrócić do domu w Bretanii. Chcę pochować mamę i brata.

Oczywiście. Bez dwóch zdań. To właśnie musi zrobić. Sam bym to zrobił na jej miejscu.

Wcale nie różnimy się od siebie aż tak bardzo.

– Pojadę z tobą. Grzebanie zmarłych to moja specjalność.

20 GRUDNIA, POPOŁUDNIE

Wyjeżdżamy.

W samym środku stanu wojennego, w samym środku dnia sporo ryzykujemy, ale uznałem, że czuwa nade mną szczęśliwa gwiazda. A może to życzliwe duchy?

Jedziemy pędem. Najstarszy zegar w Paryżu, sylwetki Jules'a i Kori zacierają się w mojej pamięci. Serce mi się ściska. Mam nadzieję, że nad nimi też czuwa szczęśliwa gwiazda.

W momencie zjeżdżania z autostrady nagłą myślę o wieży Eiffla. Czy nadal będzie stała, jeśli pewnego dnia znów pojawię się w Paryżu?

Dreux, Alençon, Laval... Omijamy te miasta, żeby uniknąć kłopotów. W pobliżu Vitré samochód się zatrzymuje: zabrakło benzyny. Musimy ruszyć pieszo, z plecakami wypełnionymi zapasami zabranymi z willi w Wersalu. Oddycham z ulgą, gdy gospodarstwa stają się mniejsze i rzadsze. Znow żyję tak, jak przed dotarciem do Lyonu. Jednak tym razem jest ze mną Stéphane.

23 GRUDNIA, RANO

Nocami, kiedy odpoczywaliśmy po kilka godzin w pustych domostwach, spaliśmy w osobnych pokojach, z szacunku dla tego, co w nas wykiełkowało, a teraz wzrasta. Nie chciałem, żeby rozwinęło się to zbyt szybko. Nie chciałem niczego zepsuć! A poza tym musieliśmy na zmianę pełnić wartę.

W jednym z gospodarstw znajdujemy dwa rowery w świetnym stanie. Myślę o naszej ucieczce z Markiem i François. Można by pomyśleć, że od tego czasu minęły całe wieki. Wszystko tak bardzo się zmieniło! Te spotkania i doświadczenia pozwoliły mi tylekroć odprawić żalobę... Dorosłem. Patrzę na pedałąjącą obok mnie Stéphane. Happy całkiem jej przebaczył i biegnie obok. Razem się zmieniliśmy. Razem idziemy na przód. Coś na kształt dumy dodaje mi skrzydeł.

24 GRUDNIA

Śnieg pada od wielu godzin.

Drogowskaz informuje, że dwa kilometry dalej jest Dourdu. Przystaję pedałowac i obejmuję Happy'ego, który jest całkiem przemarznięty. Od jakiegoś czasu dręczy mnie pewna myśl: a jeśli wojskowi czekają na nas w domu Stéphane? Ona jednak wcale się tym nie przejmuje. Z oczami wpatrzonymi w niebo szepcze do mnie zafascynowana:

– Kiedy byłam mała, zawsze modliłam się, żeby na Gwiazdkę padał śnieg. Chyba nigdy się to nie zdarzyło.

Głębokie koleiny wskazują nam drogę. Długi dom z ciosanych kamieni, zwieńczony spadzistym dachem z łupka, z kwadratowymi oknami, wygląda tak, jakby wyrósł spod ziemi wraz z otaczającymi go drzewami. Z domem sąsiaduje szopa na narzędzia, tuż obok skały o ostrych krawędziach.

Happy biega w kółko, szczęśliwy, że może pobawić się w śniegu. Stéphane waha się przez chwilę. Czy spodziewa się czegoś więcej poza spektaklem śmierci? Biorę ją za rękę.

Śnieg cicho pada. Pod nogami skrzypi nam biały puch, który tak rzadko widywałem w swoim krótkim życiu. Teraz jestem pewien, że moje życie może być znacznie dłuższe. Długie życie ze Stéphane... Posuwamy się do przodu, a płatki śniegu lekko opadają wokół nas. Kiedy zauważamy trzy kształty leżące u stóp drzewa o potężnym pniu – jeden mały i dwa duże – ściskam trochę mocniej dłoń Stéphane. Śnieg zaczyna sypać jeszcze intensywniej, jakby chciał całkowicie je ukryć. Stéphane drży. Odwraca wzrok.

– Chodź, poszukamy narzędzi – mówię.

Gleba stwardniała od mrozu, ale w pobliżu rzeki jest bardziej miękka. Wyposażeni w łopaty i kilofy uderzamy w ziemię. Rozbijamy ją, zbieramy bryłki i wrzucamy je na taczkę.

Stéphane ma twarz brudną od łez i pyłu. Moje duchy znów się pojawiły. Siedzą na brzegu i z najwyższym zainteresowaniem przypatrują się naszej pracy.

Płatki śniegu tańczą w podmuchach wiatru, od którego dostajemy rumieńców. Happy śpi wewnątrz domu. Moje duchy towarzyszą Stéphane, kiedy składa do ziemi to, co pozostało z ciała jej mamy, ojczyma i braciszka Nathana. Pomagam jej usypać kopce i wznieść kurhan.

Śnieg cały czas delikatnie pada i w końcu pokrywa to straszne miejsce. Cała natura, jakby w zadumie, zachowuje powściągliwą ciszę.

Kiedy kończymy, duch Camili całuje Stéphane w rękę, podchodzi, żeby mnie uściskać, a potem oddala się w stronę Nathana.

Duchy mamy i taty odprawiają ten sam rytuał, a potem splatają się z ciałami matki Stéphane i jej ojczyma. Zamykają oczy.

Stéphane już nie płacze. Wydaje się zamyślona. Podczas gdy się modli, zastanawiam się, czy moje duchy nie były tylko wykwittem przejściowego obłędu, wsparciem w okresie, kiedy musiałem się trzymać. Wiem tylko, że nie odczuwam już ich obecności i nigdy już ich nie zobaczę. Nie potrzebuję ich.

Stéphane siedzi obok kominka, w którym płonie ogień. Happy leży u jej stóp. Dobrze czuję się w tym domu. Z nią.

Zegarek Jules'a wskazuje północ. Bardzo intensywnie myślę o nim, o Kori i pozostałych. Co przeżywają teraz w Conciergerie? Czy walczą? Zamykam oczy, modląc się do zapomnianego Boga, żeby wszyscy zostali oszczędzeni. Niech przeżyją i zrealizują swoje marzenia. Jules i inni marzą o życiu w komunie. A o czym marzy Kori? Czy kiedyś się dowiem?

Swoje marzenie mam przed oczami, zwrócone twarzą w stronę okna, za którym rozciąga

się spokojny pejzaż. Małeńkie drobiny śniegu tańczą i obracają się w powietrzu. Stéphane, Stéphane. Mógłbym przez całą wieczność powtarzać jej imię.

Stéphane wstaje, zbliża się do mnie i mówi:

– Chodź. Mój pokój jest tam.

Nie odrywa ode mnie oczu. Nigdy nie widziałem w nich takiego zaufania jak teraz. Całą wściekłość pozostawiła pod białą mogiłą.

Została tylko miłość.

ZAKOŃCZENIE

25 GRUDNIA, RANO

Coś unosi się na wodzie.

Jest pierwszy dzień Bożego Narodzenia. Wyszedłem nad rzekę, żeby poczuć puls natury.

Z sercem pełnym nadziei i twarzą skąpaną w słońcu, mocno stojąc stopami na ziemi, śledzę niewielką tratwę unoszącą się na wodzie. Ktoś ją zbudował dla zabawy. Ktoś mieszkający trochę bardziej w górę rzeki, kto na chwilę przestał myśleć wyłącznie o przeżyciu. Choćby na chwilę, którą zajęło mu puszczenie tej tratwy na wodę.

Nagie ramie Stéphane wysuwa się spod kołdry. Jej zaspana, odprężona twarz wydaje się przyciągać promienie słońca, które niedawno wstało. Za minutę do niej wrócę. Kiedy się obudzi, jej szare oczy zaczną błyszczeć, a ja ośmielę się powiedzieć jej:

– Kocham cię.

Ale pośpij jeszcze trochę, Stéphane. Odpocznij. Kiedy będziesz gotowa, opuścimy ten dom. Pojedziemy do Elissy. A jeśli wojskowi będą nas nadal ścigać, pojedziemy jeszcze dalej, z nią albo sami. Obiecuję ci, że odnajdziemy nasz mały raj, gdzie będziemy mogli żyć bliżej natury. Będziemy mieli czas na zabawy i beztroskę. Będziemy budować tratwy i patrzeć, jak unoszą się na wodzie.

Tymczasem śpij, wsłuchując się w ciszę tego niezwykłego poranka.

Pierwszego poranka nowego świata.

PODZIĘKOWANIA

Serdecznie dziękuję autorom pozostałych części tej opowieści za to niezwykle, a jednocześnie tak pełne emocji doświadczenie pisarskie. Od dziś zawsze kiedy o Was pomyślę, będę czuła dwukrotne uderzenie serca. Będę myślała o tym sercu. Rozkurcz, skurcz, rozkurcz, skurcz – to nasza czwórka.

Dziękuję również redaktorkom, które od początku nam zaufały, choć dość często oblatywał je strach! Ich wiara w ten projekt dodała nam odwagi – koniecznej, aby go ukończyć.

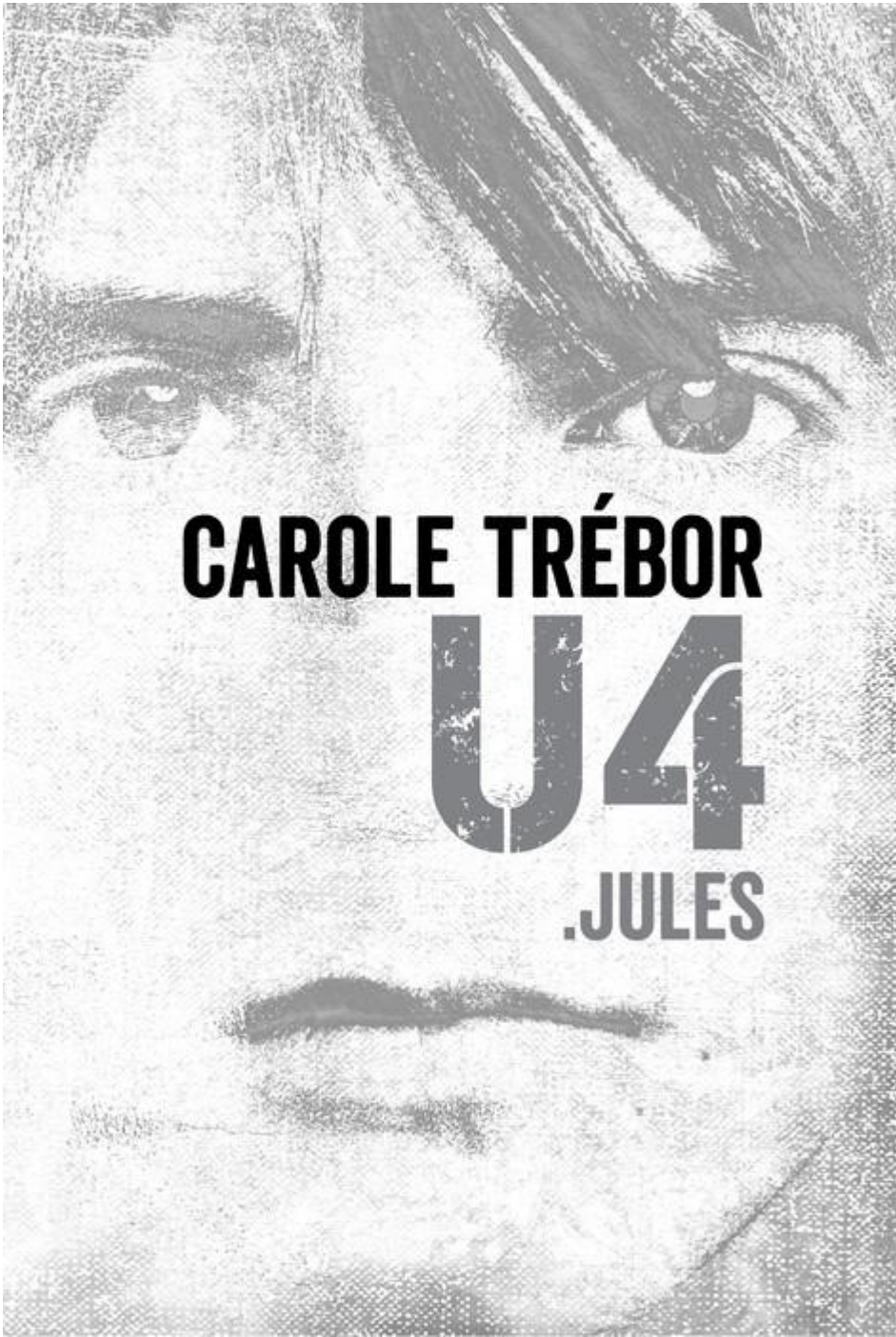
Specjalne podziękowania należą się Pascalowi Jourdanie, który całą naszą czwórkę gościł przez tydzień w domu pracy twórczej Marelle, w dzielnicy Friche, ważnym miejscu regionu marsylskiego. Był to dla nas wspaniały, cenny prezent. A dla mnie kolejna okazja, żeby zaufać Marsylii, mojemu przybranemu miastu.

Wdzięczna jestem Olivierowi za jego cierpliwość, wsparcie i niewzruszoną wiarę we mnie. Moim dzieciom i przyjaciółom za ich miłość i przyjaźń, które dodają mi skrzydeł. Szczególnie dziękuję tym spośród nich, którzy mieli cierpliwość przeczytać bardzo wczesne wersje tej powieści.

Dziękuję wszystkim tym, którzy byli dla mnie inspiracją.

Na koniec mam wielką ochotę podziękować Stéphane, Jules'owi, Koridwen i Yannisowi – tak silnie mam wrażenie, że rzeczywiście istnieją i są prawdziwymi aktorami tej historii.

¹ Victor Hugo, *Nędznicy*, tłum. Krystyna Byczewska, Warszawa 1999, t. 4, s. 205.



CAROLE TRÉBOR

U4

.JULES

4 LISTOPADA, WCZESNE POPOŁUDNIE

Głodny jestem. W kuchni nie ma już nic do jedzenia.

W kranie od rana brak wody, gazu nie ma od wczoraj, prądu od trzech dni. Na próżno po omacku przesuwałem ręką po ścianie, próbując zapalić światło w salonie. Wszystko na nic – nadal panowały egipskie ciemności. Od zmierzchu, czyli mniej więcej od siódmej wieczorem, mieszkanie tonie w mroku.

Na szczęście w komodzie przy wejściu znalazłem dwie latarki. Muszę szybko zdobyć do nich baterie, a także świece. Poza tym trzeba zrobić zapasy węgla drzewnego i zapalek, żeby podtrzymać ogień na kominku. Zaczyna być zimno. Potrzebuję żywności.

Lego bez przerwy miauczy. Skończyły się chrupki dla kota. On też umiera z głodu. Ze złości, żeby się zemścić, drapie fotele i kanapy. Łapie wszystko, co się rusza, porwał mi nawet zegarek, który kupiłem sobie przez internet. Wydałem na ten zegarek całe kieszonkowe i zrobiłem z niego przedmiot kolekcjonerski – wygrawerowałem z tyłu nożykiem litery WOT. Teraz nie mogę go znaleźć, więc potrzebuję też baterii do budzika – inaczej nie będę nawet wiedział, która jest godzina.

Okropnie boję się wyjść z domu. Muszę jednak stawić czoła Paryżowi, zanim noc zagarnie ulice. Miasto, na które patrzę przez okno, nie jest już moje. To jest miasto nie do zniesienia.

Wczoraj widziałem ludzi w kombinezonach astronautów oraz czymś w rodzaju masek przeciwgazowych. Zbierali trupy i wrzucali je na opancerzone ciężarówki. Dokąd zwieźli te wszystkie splątane ze sobą ciała? Do grobów zbiorowych? A może je spalą? Może oni wiedzą, co wszystkich zabija? Co to za cholerny wirus, który atakuje i uśmierca w ciągu kilku godzin? Czy mogą mi powiedzieć, dlaczego wciąż żyję? Miałem ochotę pobiec i dołączyć do nich, ale nie ruszyłem się od okna, nie byłem w stanie nic zrobić. Prośba o pomoc zmusiłaby mnie do uznania, że wszyscy naprawdę umarli, do zaakceptowania tej ciszy i tego smrodu. A tego nie mogę zrobić. I nie chcę.

Wyjść.

Muszę wyjść, muszę poszukać jedzenia.

Trudno, najwyżej się zarazę.

Nawet gdybym miał umrzeć, wolę umrzeć na zewnątrz z powodu epidemii niż w domu z głodu.

Dziadek mówił, że bym nie wychodził. Ale może jestem odporny na tego wirusa? Może zachowałem życie, by wypełnić misję Khronosa i pozostałych Ekspertów? Muszę wytrzymać do 24 grudnia i pójść pod najstarszy zegar w Paryżu, żeby przekonać się, czy powrót do przeszłości jest możliwy.

Co to za dźwięki w salonie?

Cholera, chrobot się nasila. Idę tam.

Kolejna inwazja szczurów! Są olbrzymie. Jak dostały się do mieszkania? Boże, co za koszmar!

– Spieprzajcie, wstrętne bydlaki! A kysz!

Mój histeryczny głos brzmi dziwnie. Czy to naprawdę ja mówię? Szczury są megaagresywne, jakby zmutowane. Jeden wgryza się mi w kostkę. Kopię, żeby mnie puścił. Bardzo się boję, ruszam biegiem w stronę drzwi i wypadam z mieszkania.

Zbiegam po schodach między chmurami szczurów. Na wycieracze na czwartym piętrze potykam się o coś lepkiego i wilgotnego. Padam na marmurową podłogę. Z całej siły zaciskam

oczy, przerażony smrodem zgnilizny, który gryzie mnie w gardło i wyciska łzy. Nigdy w życiu nie czułem równie okropnego zapachu. Oddychanie staje się nieznośne. Dostaję drgawek, przestaję kontrolować swoje ciało.

Wiem, o co się potknąłem, i wiem, że muszę szybko się podnieść. Inaczej czeka mnie śmierć.

Ten miękki, gąbczasty przedmiot, o który zawadziłem, to trup. Jedna z ofiar wirusa. Wirusa, który być może właśnie mnie atakuje.

Podnoszę się na kolana. Nogi mam jak z waty, nie mogę nawet wstać. Jak zahipnotyzowany wpatruję się w ciało: to moja sąsiadka z piętra niżej. Obok leży jej syn. Też nie żyje. Czuję się ogłuszony. Jestem niezdolny do odczuwania czegokolwiek. Szumi mi w uszach. Twarz kobiety jest zupełnie biała, aż zielonkawa, na szyi widać sine ślady. Jej skóra wygląda, jakby ktoś naciągnął ją na kości. Gałki oczne ma zapadnięte, jakby pokryte plastikową błoną. Jest zupełnie sztywna. Można by pomyśleć, że to figura woskowa z muzeum Grévin, ale najgorsze są larwy i robaki, które do żywego mięsa objadły skórę na brzuchu. Dlaczego umarła na wycieraczkę? Dlaczego nie w domu? Nie musiałbym jej oglądać. Ale co to za głupie myśli, czy mi padło na mózg? Biedaczka, pewnie chciała zaprowadzić synka do lekarza na drugim piętrze i nagle dopadła ją choroba. Zmarła tu, na klatce schodowej, z dzieckiem u boku.

Pod koniec października, gdy jeszcze działała sieć, widziałem ofiary wirusa w internecie. Chorych powalała gorączka, a później dochodziło porażenie ciała, wymioty, plucie krwią, krwawienie ze wszystkich porów skóry. Nie mogę oderwać wzroku od ciała sąsiadki. Rączka chłopca nadal tkwi w dłoni matki, jakby kobieta chciała trzymać go do ostatniej chwili życia. Które z nich umarło pierwsze? Groza tego pytania wywołuje u mnie skurcze żołądka i mdłości. Miotają mną gwałtowne torsje. Wymiotuję. Samą żółcią. Pewnie matka odeszła pierwsza, mały złapał ją za rękę, zanim umarł. Znów mam torsje, zginam się w pół. Nic już nie jestem w stanie z siebie wyrzucić, tylko rozpacz i obrzydzenie.

Wstaję chwiejnie i zaraz chwytam się poręczy. Czuję w głowie pustkę. Ten stan chroni mnie przed światem równie skutecznie jak warstwa waty. Kiedy docieram na parter, przypominam lunatyka.

Gdy tylko wychodzę na aleję Obserwatorium, zaczyna mnie dusić ten sam wszechobecny smród rozkładającego się mięsa, zepsutych jaj i nieświeżych ryb.

Mam wrażenie, że te wyziewy żyją, wnikają wszędzie, osaczają mnie jak dementorzy. Asfalt jest usiany wzdętymi, sztywnymi ciałami. Z bliska wszystko wydaje się jeszcze bardziej nierzeczywiste niż z piątego piętra. Z góry ulice wyglądały jak zastygłe pod chmurą czarnych ptaszysk. Nie chcę wierzyć własnym oczom, ale nie mogę dłużej ignorować tego, co widzę. One tam są, te potworne trupy. Ich obecność napędza mnie grozą. Nigdy wcześniej nie widziałem martwego człowieka, a teraz nawet nie zdołałbym ich policzyć. Nie mają już w sobie nic ludzkiego, zaczęły się rozkładać, unoszą się nad nimi roje much. Czy to jeszcze w ogóle są ludzie? Czy tylko ludzkie szczątki?

I ta cisza... Cisza, która ogłusza mnie bardziej niż ruch uliczny, odgłosy autobusów ruszających na zielonym świetle, krzyki dzieci, warkot skuterów. Brakuje mi dźwięków Paryża. Od kilku dni nie słychać nawet syren. Gdzie podziali się ludzie w kombinezonach, których widziałem wczoraj? Czy tylko oni, w specjalnych skafandrach, przeżyją epidemię? I kim są?

Dlaczego na ulicach nikogo nie ma? Nie widzę żadnych przemykających postaci. Nikogo, z kim można by zamienić słowo.

Lękliwe poszczekiwanie psa przerywa ciszę. Odwracam się. To bardzo łagodny biały labrador naszych sąsiadów z trzeciego piętra. Zbliżam się do niego pełen nadziei, ale na widok zielonkawej rzeczy, którą trzyma w pysku, znów robi mi się słabo. To ręka. To kiedyś była ręka.

Żołądek mi się skręca, w gardle czuję palący smak żółci. Przykładam do nosa chusteczkę i przechodzę przez bulwar pełen wywroconych koszy na śmieci. Plastikowe torebki, zawilgocone foldery reklamowe, opakowania z McDonalda i puszki po piwie muszą wystarczyć za ozdoby pogrzebowe. Taki sam chaos panuje w parku Wielkich Odkrywców. Uczepione drzew i metalowych krat fragmenty plastiku szeleszczą na wietrze. Gruba warstwa zeschniętych liści pokrywa alejki małego Ogrodu Luksemburskiego, jak nazywamy tę oazę zieleni w naszej dzielnicy.

W powietrzu na pewno roi się od wirusów, bakterii i innych tego rodzaju świństw. Przydałaby mi się maska gazowa albo przynajmniej maseczka higieniczna. Mógłbym znaleźć ją w aptece. Powiew wiatru przynosi nieznośne wyziewy zgnilizny. Nie jestem w stanie oddychać, jakbym zamiast serca miał kamień, który nie pozwala krwi krążyć w żyłach. Kaszlę, żeby pozbyć się z gardła smaku gęstej pleśni.

Czy wszyscy paryżanie umarli? Chciałbym sprawdzić, czy moi koledzy przeżyli, ale nie mam odwagi, za bardzo boję się natrafić na ich ciała.

A rodzice? Brat? Czy ich odnajdę? Nie ma nikogo, kto mógłby odpowiedzieć na to pytanie.

Za bardzo się boję.

Trzy dni temu udało mi się jeszcze skontaktować z Ekspertami WOT na forum internetowym. Na samą myśl o tym wstrząsa mną dreszcz. A jeśli oni też umarli od czasu ostatniej wiadomości od Khronosa?

Zmuszam się do pójścia w stronę Ogrodów Luksemburskich. Mam nadzieję, że tam będzie mniej trupów, a powietrze bardziej rześkie. Na ulicy stoją porzucone samochody. Nie mogę uwolnić się od smrodu, który wnika w moje ubrania. Cuchnę teraz śmiercią. Wejście do parku, naprzeciw liceum Montaigne'a, jest zamknięte. Ruszam ulicą Auguste-Comte w kierunku bulwaru św. Michała. Próbuję nie potykać się o ciała leżące przed Akademią Górniczą, nie zemdleć na chodniku. Mam ochotę położyć się między tymi... sam już nie wiem, jak ich nazywać. Mam ochotę zwinąć się obok na betonie, zasnąć i więcej się nie obudzić, opuścić tę pustkę, poddać się uczuciu wyczerpania, które opanowało mnie i sprawia, że każdy krok staje się wysiłkiem nie do zniesienia.

Mimo wszystko idę dalej. Po drodze nie spotykam żywej duszy.

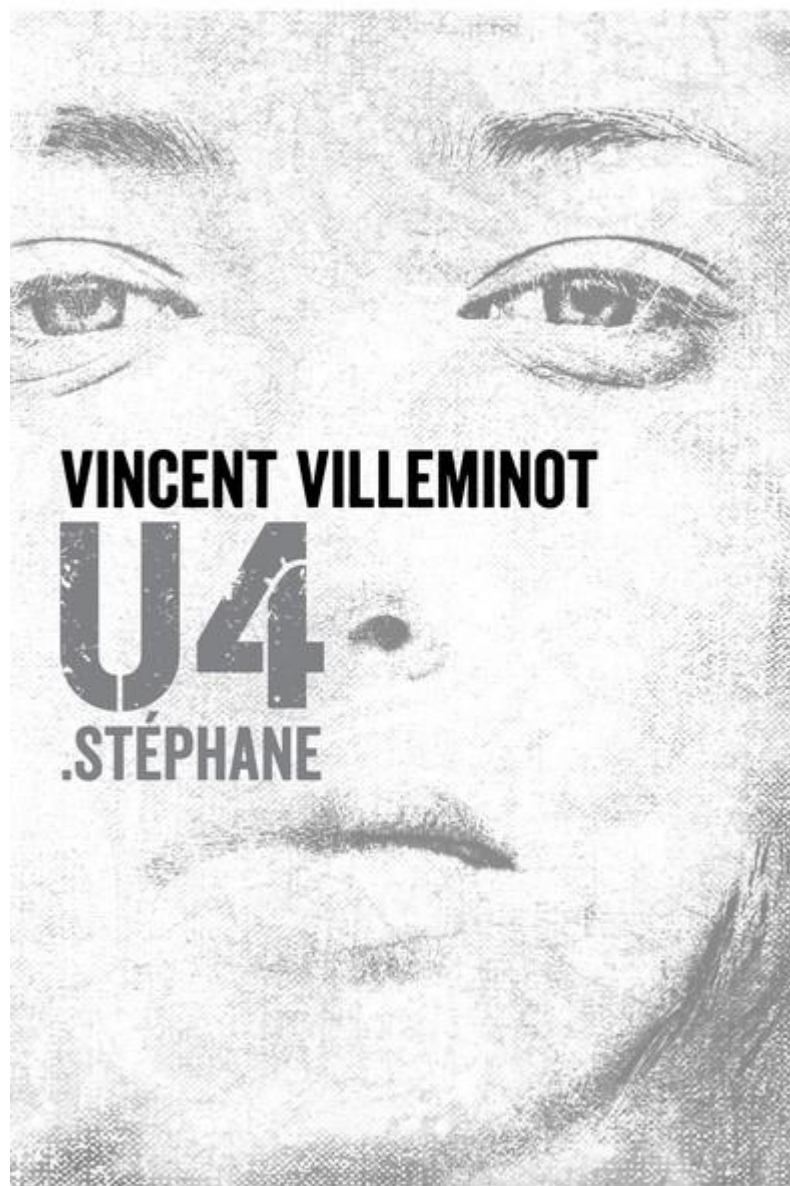
Mijam autobus, który uderzył w ogrodzenie parku. Rozbite samochody wbiły się w jego tył.

Zbliżam się do supermarketu przy ulicy Monsieur-le-Prince.

Najgorsze – poza smrodem i ciszą przerywaną okrzykami żarłocznych sępów – jest całkowite znieruchomienie wszystkiego, co tu kiedyś żyło. Życie to ruch, a teraz panuje zupełny bezruch... Jeśli nie liczyć chmar czarnych ptaków i stad szarych szcurków.

Nagle orientuję się, że jestem tuż obok merostwa 5. dzielnicy. Ostatecznie postanawiam wrócić na ulicę Soufflot – muszę zdobyć jakieś informacje. Być może uda mi się nawiązać kontakt z innymi ocalałymi, a także sprawdzić, czy ktoś nie wywiesił jakiegoś afisza albo Odezwy do ocalałych.

Niewzruszony, majestatyczny Panteon jak zawsze osłania grobowce sławnych ludzi. Jakie to dziś śmieszne! Na skrzyżowaniu ulicy Saint-Jacques mam wrażenie, że obok kamiennego mauzoleum stoi jakiś człowiek. Czy ja śnię? Po chwili znika mi z oczu, ale kiedy przemierzam szybkim krokiem plac Panteonu, serce wali mi w piersi – nie jestem sam!



VINCENT VILLEMINOT

U4

.STÉPHANE

2 LISTOPADA

Jest ich około dwudziestu. Wyglądają, jakby byli w moim wieku, mają siedemnaście albo osiemnaście lat, dziewczyny i chłopaki. Stoją nadzy nad brzegiem rzeki, mają cudowne ciała – zdrowe, żywe, nienaruszone – w tej ogromnej kostnicy pod gołym niebem.

Myją się, nie żałując wody, na stopniach nabrzeża, pomimo chłodnego wiatru. W pobliżu na dwóch dużych ogniskach parują balie, w których przed myciem zagotowali zapewne wodę z rzeki. W innej balii wygotowują bieliznę i ubrania. Dwie młode dziewczyny rozkładają je na stopniach, żeby wyschły. Nie mogę oderwać wzroku od tego niecodziennego spektaklu. Obserwuję ich zza barierki mostu Guillotièrre, który łączy brzegi Rodanu. Widzę stąd, jak się ochlapują, słyszę pokrzykiwania, kiedy któreś spryska resztę zimną wodą. Czasami się śmieją, nawołują. Zapomniałam już, jak brzmi śmiech.

Słyszę ich głosy, które jesienny wiatr niesie z północy – pierwsze odgłosy życia w umarłym mieście – ale nie rozumiem słów. Przypomina to jakąś scenę z życia ludzi pierwotnych: rzeka, w której się myją; ogień; bezwstydnie nagie ciała na brzegu rzeki i ten dziwny język. Można by się spodziewać, że zaraz znikną otaczające ich mosty, drogi, asfalt, budynki, całe miasto Lyon. Może tak właśnie będzie? Może są ostatnimi ocalonymi w całkowicie zdziczałym Lyonie i za kilka dni nie pozostanie już nic z cywilizacji, którą znaliśmy?

Jeden z nich nagle mnie dostrzega. Wyraźnie daje mi znaki, zaprasza, żebym do nich dołączyła. Potem kolejni obracają się w moją stronę, wołają mnie. Mimowolnie się uśmiecham, oparta łokciami o moją barierkę, ale czar pryska. Przechodzę na drugą stronę rzeki, zostawiając ich za sobą, schodzę z mostu pustego jak cały półwysep widziany z mieszkania mojego ojca. Miasto jest wyludnione. Poza uczestnikami tej cudownej kąpieli nie ocalał nikt.

Na ulicy Saint-Michel natykam się na dwa nowe trupy. Nie sposób ich ominąć, leżą na samym środku drogi. Trzymają się za ręce, dwoje tragicznych kochanków, których uścisku nie rozdzieliła nawet śmierć. Może tutaj, u stóp kamienicy, powaliła ich gorączka, kto wie? Albo może spotkali się w tym miejscu, żeby ze sobą skończyć? Mieli dwadzieścia czy sześćdziesiąt lat? Tylko ich ubrania skłaniają mnie ku pierwszej hipotezie. Z wyglądu ciał nie da się nic wywnioskować: oboje nie mają już twarzy, tylko strupy zakrzepłej krwi; ich ręce zaczęły się rozkładać. Romeo + Julia?

„Nie rozczulaj się, nie koloryzuj”.

„Co wiesz, Stéphane? Co rozumiesz? Analizuj...”

Krew. Strupy. Gorączka.

„Fakty. Jakie fakty?” Ludzie zaczęli krwawić jedenaście dni temu. Objawy za każdym razem były takie same: bóle głowy, migreny siatkówkowe, rozległe krwotoki – wewnętrzne i zewnętrzne. Krew sączyła się z oczu, nosa, uszu, przez skórę. Wszyscy umierali w mniej niż czterdzieści godzin. Nowy filowirus krwotoczny, typu ebola, bliższy szczepowi Utrecht, ale nieskończenie bardziej zjadliwy. Oficjalnie nazwany U4, od „Utrechtu 4. typu”. Zaraził dziewięćdziesiąt procent populacji, a wszyscy, których dopadł, umarli – wszyscy, tylko nie my.

Przeżyły wyłącznie nastolatki między piętnastym a osiemnastym rokiem życia. A przynajmniej ich przeważająca większość. Tyle mogłam wyczytać z najważniejszych portali informacyjnych, przynajmniej na początku. Potem dziennikarze internetowi umarli – jak wszyscy dorośli, jak dzieci. Strony stawały się niedostępne jedna po drugiej. Awarie zasilania coraz częściej rozwalaly internet. Tylko na stronie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych wciąż wyświetlały się dawno nieaktualne zalecenia: zachować spokój, nie panikować, nosić rękawiczki i maski ochronne, nie dotykać zarażonych, opuścić niezwłocznie domy lub mieszkania

zainfekowane przez wirusa. Nie ruszać zwłok. Zgłosić się do Z-Punktów, miejsc zbórnych zorganizowanych przez władze.

Potem internet zgasł. Wszystko zgasło.

Odtwarzam sobie po raz setny chronologię wydarzeń, żeby opanować wstręt podczas mijania ciał dwojga kochanków. Moja obecność przeszkodziła drapieźnikom żerującym na trupach, insektom, muchom i szczurom, setkom szczurów, które panują teraz nad całym miastem. Wszystkie one roją się, śmierdzą. Te pasożyty żywią się zmarłymi, tym, co z nas zostało.

„Analizuj, nie roztrzásaj. Wyprzedzaj fakty”.

Gryzonie przywloką inne epidemie. Umrą od nich nieliczni ocaleni – nastolatki. Cholera albo dżuma wydają się śmieszne w porównaniu z U4, ale również będą śmiertelne.

Podążając tropem własnych myśli, zostawiam za sobą dwa trupy. Ojciec zawsze mi mówił: „Podczas niesienia pomocy medycznej należy się skupić na informacjach naukowych, na tym, co się wie i czego nie wie, żeby nie poddać się emocjom”.

Powtarzał mi to, żeby nauczyć mnie panowania nad treścią przez egzaminami. Czy domyśla się teraz, gdziekolwiek jest, jak bardzo przydają mi się jego rady – dziś w tym umarłym mieście?

Porzucone samochody, powywalane bagaże; odpadki i śmieci. Aleję blokuje przewrócony, leżący na boku tramwaj. Jego motorniczy z pewnością wpadł w konwulsje podczas pracy, stracił kontrolę nad pojazdem... Pasażerowie zginęli w wypadku czy raczej mieli czas, żeby wrócić do domów i tam umrzeć? Unikam spoglądania w ciemne, zaporowane okna tramwaju.

Na ulicach nie leży zbyt dużo ciał, spodziewałam się, że będzie gorzej. Nie ma już nic, tylko pasożyty i cisza. W mediach mówiono o milionach zmarłych, oglądałam zdjęcia w internecie i widziałam niezliczone ilości zbiorowych grobów. Tutaj chorzy zapewne zostali w domu, żeby umrzeć godnie, dyskretnie, po lyońsku. A może wszyscy pospieszyli do szpitali, które stały się jednocześnie kostnicami i podstawowymi ogniskami rozprzestrzeniania się epidemii? Przez dwa pierwsze dni, kiedy myślano, że chodzi o zapalenie opon mózgowych albo płamicę piorunującą, chorzy z gwałtownie rosnącą gorączką i krwotokami byli zabierani przez pogotowie. Zwyczajowe środki ostrożności okazały się niewystarczające. Pacjenci zarazili personel medyczny, który dołączył do grona chorych.

Jednak nie wszyscy lekarze zachorowali.

Nie epidemiolodzy, którzy w swoich laboratoriach starali się stawić czoła wirusowi. Mój ojciec?

No to jesteśmy. Wreszcie docieram pod najwyższe budynki dzielnicy Gerland. Gula, którą mam w żołądku, dręczy mnie jak wrzód.

„Boisz się, Stéphane. Boisz się tego, czego się dowiesz”.

Dostrzegam wieżowiec P4 i na chwilę przystaję. Laboratorium, w którym pracował mój ojciec, jest pogrążone w ciemnościach. Zamykam oczy, biorę głęboki wdech. Trzeba iść dalej, sprawdzić to, zrobić jeszcze kilka kroków.

„Tato. Wyjechałeś, umarłeś?”

Gdyby pozostali jacyś badacze, byłby tu choć jeden generator, agregaty działałyby nawet w środku dnia. Nic nie byłoby ważniejsze dla przyszłości niż praca wykonywana w tych laboratoriach przez mojego ojca i zespoły naukowców, którymi kierował, jego kolegów badających śmiertelne wirusy, którzy starali się zwalczyć U4.

Wieżowiec jest pogrążony w ciemności, czyli pusty.

„Wyjechałeś, umarłeś? Kiedy wrócisz?”

Kilkanaście metrów od wejścia widzę dwóch młodych ludzi. Pałą.

– Został tu jeszcze ktoś? – zagajam.

– To zależy. Kogo szukasz? – pyta mnie wyższy z nich z nieufną miną.

Ma tyle lat co ja i strzelbę pod pachą. Pokazuję na wieżowiec.

– Mój ojciec, doktor Certaldo, pracował w laboratorium P4.

– To możesz zapomnieć – odpowiada drugi z nich trochę uprzejmiej. – Wojskowi ewakuowali laboratorium drogą powietrzną dziewięć dni temu, razem ze wszystkimi naukowcami. Dwa najniższe poziomy są zaminowane, wstęp wzbroniony aż do powrotu wojska.

Za dużo informacji naraz... Słabo mi. Są jeszcze jacyś dorośli, wojsko, żołnierze.

Pozostali przy życiu. Ewakuowali badaczy dziewięć dni temu. Ewakuowano ich, więc są żywi.

Polecieli. Mój ojciec poleciał.

„Wróć, kiedy tylko się da” – napisał mi dziesięć dni temu. I dzień później uciekł. Beze mnie. Nawet mnie nie uprzedził.

Może próbował?

– Liczyłaś na niego? – pyta grzeczniejszy z dwóch młodych palaczy. – Jak nie masz dokąd pójść, to możesz się zgłosić do strefy zaopatrzenia, czyli Z-Punktu. Tu niedaleko jest jeden, w kampusie uniwersyteckim. Gdzie chodziłaś do szkoły?

– Do Liceum Parkowego.

– No to musisz iść i zarejestrować się w parku Tête d’Or. Powiedzą ci, gdzie możesz się ulokować.

– W porządku – dukam. – Dam sobie radę.

NOC Z 2 NA 3 LISTOPADA

Zmrok prawie mnie zaskoczył, kiedy wracałam do domu. Wchodzę na czwarte piętro w ciemnościach, po omacku. To już dwadzieścia cztery godziny, jak nie ma prądu. Czy na zawsze? Najwyraźniej ocalonych jest za mało, żeby miał kto obsługiwać elektrownie...

Na schodach moje serce zaczyna bić szybciej. W momencie wkładania klucza do zamka ogarnia mnie niedorzeczna nadzieja. Wciąż jeszcze nie mogę jej porzucić, ręce mi drżą... Otwieram.

Pusto. Nie wrócił. Nie dziś. Nie ma go tu tak samo jak wczoraj. Zostawiłam dla niego kartkę przed ramką ze zdjęciem na stole w jadalni: „Poszłam Cię szukać w Gerland. Wracam za trzy godziny. S.”

Chwytam ramkę z portretem, oglądam go po raz setny. Zdjęcie zostało zrobione podczas jednej z jego Misji Ebola w Gwinei. Na zdjęciu doktor Philippe Certaldo jest brudny, zmęczony, z nagim, spoconym torsem pod rozpiętym białym fartuchem, ale się uśmiecha...

Dostrzegam swoje własne odbicie w szkle ramki. Ja też wyglądam na wyczerpaną, tylko że się nie uśmiecham. A jednak dalej go przypominam: ta sama wysoka sylwetka, szczupła i nerwowa, ta sama mocno pociągła twarz i siwe, krótko przycięte włosy o niesfornych kosmykach, te same kościste ręce, trochę zbyt blade jak na kogoś, kto lubi słońce. Ładny obrazek... Mówi się, że mam też jego oczy, szare oczy o inteligencji, która mnie u niego zawsze zdumiewała. Mój ojciec był uwodzicielskim mężczyzną, który miewał „przygody” z wieloma lekarkami i nie przejmował się moją matką. Ja jestem dziewczyną. Dziewczyną, której rodzice dali tak zwane dwupłciowe, durne imię Stéphane; dziewczyną, której włosy od dzieciństwa są siwe, jak by były oznaką przedwczesnej starości, i która przez swoją impulsywność przypomina chłopczycę. Próbuję otworzyć elektryczne rolety zasłaniające okna. Jaki sens wciąż się tak barykadować? Wdychałam dziś zepsute powietrze Lyonu pełnymi płucami i wciąż żyję.

Kiedy ostatecznie udaje mi się siłą odsunąć jedną z rolet za pomocą metalowej nogi krzesła, jest już noc. Mieszkanie pogrąża się w ciemnościach. Zapalam świeczkę, a jej płomień drga. Drugi listopada, Święto Zmarłych. Moja matka, Bretonka i praktykująca katoliczka, wierzyła w te rzeczy: w śmierć, zmartwychwstanie. Czy dane jest jej wciąż w to wierzyć, wśród ocalonych, czy otrzymała wreszcie ostateczną odpowiedź?

Gdzie jest? Gdzie jest cała trójka: tata, mama, Nathan? Razem?

Chwytam komórkę, prawie rozładowaną, jakbym miała potrzebę przeczytania tego raz jeszcze, żeby samą siebie przekonać. Jedenaście dni temu ojciec wysłał mi SMS-a: „Absolutnie nagły przypadek. Muszę Cię opuścić na trzy doby”. Potem kolejny SMS, dzień później, kiedy zaraza osiągnęła efekt progowy: „Nie wychodź z domu pod żadnym pozorem. Działaj tak, jak Cię nauczyłem. Wróć, kiedy tylko się da”.

Znam te wiadomości na pamięć.

Staram się uporządkować myśli, przyswoić to, czego się dziś dowiedziałam. Czy ojciec już nie wróci? Razem ze swoimi kolegami z wieżowca P4, jedyne miejsce we Francji, gdzie bada się śmiertelne wirusy, znalazł się na pierwszej linii walki z pandemią. Jeżeli nie zginął od wirusa w pierwszych godzinach, to został ewakuowany. Chwytam się tej myśli ze wszystkich sił: ojciec na pewno żyje. Ale dokąd go ewakuowano? I czy dotrzyma słowa, przybędzie tu po mnie? Czy po ewakuacji wyruszy najpierw do Bretanii po mamę i Nathana, mojego brata?

Muszę zostać, czekać na niego. Na wszelki wypadek.

Wykonałam szczegółowo wszystkie jego zalecenia, dokładnie tak, jak mnie nauczył w tych ostatnich latach, opowiadając o pandemiach. Lady Rottweiler, mój awatar,

rozpowszechniła jego rady na forum Warriors of Time, naszej gry sieciowej, już 24 października: zamontować filtry do wody i zawsze przegotować ją przed spożyciem, stłuc lufcik i zastąpić szybę filtrem z węglem aktywnym z kuchennego okapu, żeby zapewnić wymianę oczyszczonego powietrza. Pozatykać pozostałe nawiewy i klimatyzację bibułą, a potem regularnie ją zwilżać. Kilka razy na godzinę myć ręce roztworem alkoholu. Nie panikować.

Zasygnalizować swoją obecność, oczekiwać pomocy na miejscu.

Pomoc nie nadeszła. I nie nadejdzie.

Staralam się na forum dowiedzieć czegoś o tym, co dzieje się w Bretanii. Jednak nie sposób było otrzymać wiarygodnej informacji o sytuacji w Dourdu, kilka kilometrów od Morlaix, gdzie od tego lata mieszkali moja matka i mój brat.

Mieszkali... Nawet myślę o nich w czasie przeszłym.

Prawie nie mam już wody, pomimo wszystkich tych misek, które poustawiałam na balkonie i na dachu. Zero deszczu. Jutro będę musiała udać się do jednego z tych Z-Punktów, żeby zaopatrzyć się w wodę butelkowaną. Wolałabym się stąd nie ruszać, ale nie mam wyboru.

Dzisiaj wieczór, jak we wszystkie poprzednie wieczory, szukam schronienia w gabinecie mojego ojca. W kącie piętrzą się kartony ze sprzętem z misji humanitarnych. Jutro zaniosę wyposażenie medyczne do Z-Punktu. Tam przynajmniej na coś się przyda.

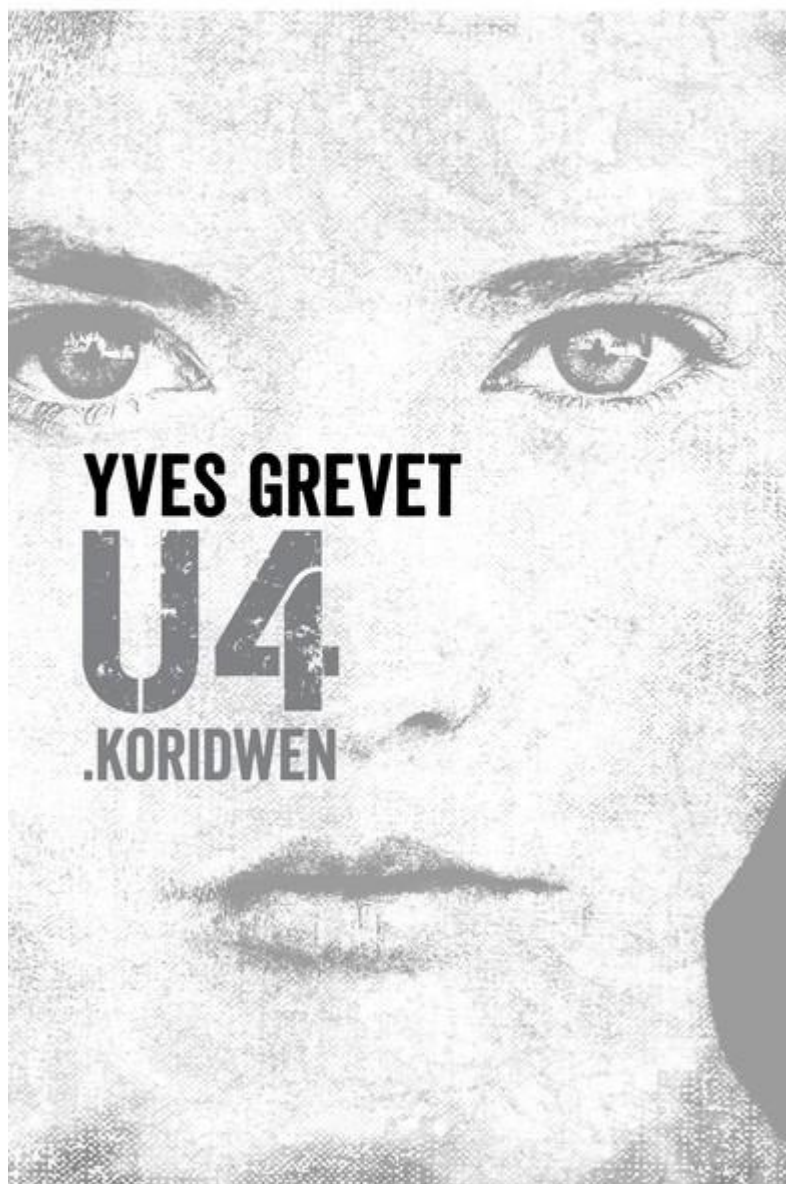
—

Nie daję rady zasnąć. Nie śpię już od trzech dni.

Tata – ewakuowany?

Mama – wciąż żyje? Z nim i Nathanem?

A może udało jej się przeżyć razem z nowym mężem i moim bratem w ich nowym domu? Nie wierzę w Niebiosa, ale odmawiam za mamę i Nathana jedną z niewielu katolickich modlitw, które jeszcze pamiętam – matka nauczyła mnie jej, gdy byłam dzieckiem. Zaczyna się od słów, które kierują moje myśli również ku tacie: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie...”.



7 listopada

Jak zwykle wstałam wcześnie, żeby nakarmić zwierzęta. Dziś rano kosztowało mnie to jednak bardzo dużo wysiłku. Przez całą noc praktycznie nie zmrużyłam oka. Wraz z upływającym czasem moje myśli stawały się coraz bardziej ponure i pełne rozpacz. Około czwartej czy piątej nad ranem odkorkowałam fiolkę z trucizną i zbliżyłam ją do ust. Przed pierwszym łykiem postawiłam sobie ultimatum: „Koridwen, jeżeli w ciągu minuty nie znajdziesz ani jednego powodu, żeby ze sobą nie skończyć, to pij!”.

I wtedy, po długich sekundach całkowitej ciemności, gdzieś w zakamarkach mojego mózgu zobaczyłam wielką głowę starej Bergamotki. Nie ma szans, żeby poradziła sobie z porodem beze mnie. Znam ją. Towarzyszyłam jej poprzednim razem i nie była to przyjemna sprawa. Jeżeli zabraknie mnie obok, z pewnością zdechną oboje. Ona i jej cielaczek.

Właśnie dzięki tej krowie wciąż jeszcze żyję. Kiedy już się ocieli, będę musiała ponownie zadać sobie zasadnicze pytanie. Odkąd jestem jedyną żyjącą osobą w całej osadzie, funkcjonuję jak robot, bez chwili zastanowienia. Na zmianę przeżywam momenty wzmożonej aktywności i całkowitej martwoty, kiedy kucam w kącie i płaczę albo pozwalam sobie na odrobinę snu.

Nadal doje zwierzęta, ale mleko wylewam do koryta. Powinam przestać to robić – krowy pomęczyłyby się chwilę, ale później mleko zniknęłoby z ich wymion. Jednak te czynności pozwalają mi zająć czymś głowę, mogę łudzić się, że życie toczy się dalej w prawie niezmiennym rytmie. Wymieniam im ściółkę. Ładuję obornik na taczkę. Mocno śmierdzi, ale to pocieszające. Ciężar ładunku czuję w całych ramionach. Szybko mnie to wyczerpuje, więc wieczorem łatwiej jest mi zasnąć. To nudne i męczące zajęcie, ale od razu widać postępy, a na koniec ma się poczucie wypełnienia konkretnego zadania. Wiejskie odgłosy zmieniły się przez te dwa tygodnie. Ciszy nie zakłóca już hałas samochodów i maszyn rolniczych.

A jednak kilka minut temu zdawało mi się, że słyszę nadjeżdżający samochód. Potem już nic. Wysłałam to sprawdzić, ale nikogo nie zobaczyłam. Pomyślałam, że być może zaczynam tracić rozum.

Wykładałam teraz czystą słomę na ziemię w oborze. Nagle zwierzęta robią się nerwowe jak przed burzą albo kiedy latem nękają je gzy. Wzdrygam się, czując za plecami czyjąś obecność. To dwóch chłopaków, niewiele ode mnie starszych. Są do siebie podobni, może to bracia. Jednego z nich poznaję. Nieraz widywałam go w mieście przed katastrofą. Kręcił się razem z innymi przed wejściem do marketu. Sączyli piwo i żebrali. Czyli nie tylko ja przeżyłam w tej okolicy. Doznaję czegoś w rodzaju ulgi, jednak ich towarzystwo nie rozproszy mojej samotności. Sposób, w jaki na mnie patrzą, przyprawia mnie o dreszcz. Czuję w powietrzu wrogość i niechęć. Starszy z nich mówi z grymasem:

– Potrzebujemy narzędzi w stylu wiertarkowkrętarki, piły tarczowej, młotka, siekiery, piły łańcuchowej. Mamy w okolicy trochę drzwi i rolet do sforsowania.

– Nie jesteście tutaj u siebie i nie macie prawa – oznajmiam, groźnie podnosząc widły.

– Hej, dzieciaku – gniewnie odwarkuje chłopak. – Żyjesz na innej planecie czy co? To już koniec. Wszyscy poumierali, poza kilkoma młodymi w naszym wieku. Teraz nic już do nikogo nie należy. Jeśli chcesz przetrwać, trzeba z tego korzystać. Kto będzie chciał pozostać uczciwy, ten zdechnie.

– Czemu nie pójdziecie gdzieś indziej? Przecież w okolicy nie brakuje opuszczonych osad.

– Bo wiedzieliśmy, że tutaj znajdziemy towarzystwo – rzuca młodszy. – Wygląda na to, że pod tymi ogrodniczkami ukrywa się boskie ciało.

– Skończ te wygłupy, Kev! Nie po to tu przyszliśmy. A ty, mała, odpowiadaj zaraz, bo pożałujesz!

– Klucz do przybudówki wisi na drzwiach.

– Dzięki, piękna.

Młody Kevin rzuca mi spojrzenie, które oznacza, że i tak się doigram. Udaję, że wracam do pracy, i spuszczam wzrok. Starszy wychodzi, a młodszy mnie pilnuje. Podchodzę, żeby porzucić słomę kilka metrów od niego. W końcu nudzi mu się patrzeć na mnie i odwraca wzrok w stronę podwórka. Wtedy rzucam się na niego z widłami i wbijam mu dwa zęby w lewe udo. Chłopakowi z bólu uginają się kolana i pada u moich stóp. Zdaje się, że zabrakło mu tchu

i nie jest w stanie krzyczeć. Omijam go i biegnę do szafki na broń ukrytej w schowku w komórcie za kuchnią. Chwytam jedną ze strzelb myśliwskich, z których ojciec uczył mnie strzelać. Ładuję do niej naboje znalezione w skrzyni w salonie. Wybiegam na zewnątrz, wchodzę do przybudówki i strzelam dwa razy ponad głowę rabusia, który rzuca to, co wziął, i robi się szary na twarzy.

– Idź zabrać swojego kolesia i spadajcie stąd. A jak nie, to powystrzelam was jak kaczkę.

Zrozumiał i kieruje się do obory, żeby zabrać swojego brata, który ryczy teraz jak małe dziecko. Udaje mu się podnieść rannego i wsunąć mu rękę pod ramię. Oddalają się w kierunku samochodu, zaparkowanego poniżej drogi powiatowej.

Nie mogę się powstrzymać przed udzieleniem mu rady:

– Oczyszcz tę ranę, inaczej dojdzie do zakażenia.

Chłopak, nie odwracając się, podnosi lewą rękę z wyciągniętym w górę środkowym palcem.

Od dwóch dni nikogo nie widziałam. Ostatni miejscowy umarł wczoraj. Nazywał się Yffig. Był pragmatycznym człowiekiem. Kiedy tylko usłyszał w telewizji o rozmiarach epidemii spowodowanej wirusem U4, przygotował się na najgorsze. Pojechał do marketu budowlanego i wypożyczył koparkę z łyżką dostosowaną do kopania rowów.

Z pomocą jego maszyny pochowaliśmy dziewięcioro pozostałych mieszkańców osady. Pokazał mi, jak obchodzić się z koparką, gdyby zaszła taka potrzeba. Dobrze zrobił, bo to ja musiałam złożyć go do grobu. Skorzystałam z okazji i wykopałam jeden dla siebie. Kiedy dopadnie mnie choroba albo nie będę już mogła wytrzymać, rzucę się do niego. Szkoda, że nie będzie już wtedy nikogo, kto mógłby mnie pogrzebać.

8 listopada

Kolejna praktycznie bezsenna noc. Od kiedy pojawili się tu ci złodzieje, czuję się zagrożona. Poznałam po ich nienawistnych spojrzeniach, że wrócą ukarać mnie za to, jak ich upokorzyłam. Teraz dzielę łóżko z nabitą strzelbą i nasłuchuję najcichszych odgłosów.

Nadal nawiedza mnie myśl, żeby dołączyć do reszty i umrzeć. Przed skończeniem ze sobą nie powstrzymuje mnie strach przed wielkim krokiem, tylko poczucie, że popełniłabym błąd, naruszyłabym naturalny porządek, według którego nikt nie decyduje sam o końcu własnego życia. Babka zawsze uczyła mnie, że życie jest cenne, zarówno gdy chodzi o ludzi, jak i o zwierzęta czy nawet rośliny. Możemy sobie pozwolić na odbieranie go tylko w przypadku najwyższej konieczności. Mawiała, że wszyscy jesteśmy żyjącymi komórkami wielkiego organizmu zwanego Ziemią, że każdy gra w nim pewną rolę. Odczuwam to co rano, zajmując się zwierzętami. Ich ciepło, zapach, porykiwanie, wszystko wydaje się na swoim miejscu.

Co stałoby się z moimi zwierzętami, gdybym je porzuciła? Nigdy nie doświadczyłam cierpienia krowy, której się nie poi albo pozostawia samą przy cieleniu się. Jak daleko sięgam pamięcią, widzę mojego ojca co rano i co wieczór opiekującego się zwierzętami. Widziałam, jak zajmował się nimi, nawet kiedy ledwo trzymał się na nogach, bo przez całą noc pił z kumplami. To było jak święty obowiązek, od którego nic nie może zwolnić.

Teraz, kiedy pozostały już tylko zwierzęta, powinnam być zadowolona – ja, która powtarzałam wciąż, że wolę je od ludzi, bo łatwiej je zrozumieć i zadowolić. Zwierzęta nie chowają się za stodołę, żeby popłakać, ani nie wpadają w histerię z powodu plamy po winie, która nie znikła w praniu.

Brakuje mi rodziców. Jeszcze kilka tygodni temu nie pomyślałabym, że kiedyś wypowiem to zdanie. Od czterech czy pięciu lat miałam w głowie tylko jedną myśl: uciekać z tej ponurej chaty, którą określiłam nawet mianem grobu. Dziś, kiedy prawie cała ludzkość wymarła,

wstydę się tego słowa. Czuję się winna, że używałam go z taką łatwością. Ktoś, kto wierzy w znaki, mógłby się nawet posunąć do stwierdzenia, że to moja wina – moja osada rzeczywiście zamieniła się w cmentarz.

O piątej trzydzieści postanawiam wstać. Biorę latarkę i idę przez pole do Bergamotki, która oddzieliła się od reszty. Patrę jej prosto w oczy. Wydaje się taka spokojna. Czuję, jaki wysiłek ją czeka, ale wie, że może na mnie liczyć. To nie będzie pierwszy raz ani dla niej, ani dla mnie, ale zawsze – aż do teraz – wiedziałam, że ojciec jest w pobliżu i w razie czego będzie mógł interweniować albo wezwać weterynarza.

Mówię do niej spokojnie, by dodać jej otuchy, i prowadzę w kierunku domu. Bergamotka daje się prowadzić, a ja dziękuję jej za to, drapiąc sierść między rogami. Łatwiej będzie mi jej doglądać. Przywiązuję ją w oborze i szepczę do ucha:

– No, stareńka, bardzo cię proszę, nie ociągaj się zbytnio.

Biorę się za generalne porządki w kuchni. Matka stwierdziłaby z zadowoleniem, że wreszcie idę za jej przykładem. Przypominają mi się soboty, kiedy marzyłam o odespaniu całego tygodnia spędzonego w internacie, lecz regularnie budził mnie hałas nieuważnie przestawianych naczyń. Nie było lepszego sposobu na to, żeby przeszkodzić mi w spaniu. Teraz lepiej rozumiem, dlaczego matka lubiła szorować szafki od środka i czyścić lodówkę. Dzięki temu mniej się kombinuje. Człowiek się męczy i upaja uderzającym do głowy zapachem detergentów. Na komodzie dostrzegam truciznę, którą przygotowałam sobie po pochowaniu Yffiga. Utałam pół na pół antydepresanty taty z tymi mamy, po czym rozpuściłam je w kolorowej, słodkiej wodzie z syropem z grenadyny. Od tego czasu wygląd mikstury znacznie się zmienił. Gruby kredowy osad opadł na dno, przykrywa go cienka czerwona warstwa. Wyżej woda jest ledwo zmacona. Nie mogę się powstrzymać i chwytam za buteleczkę. Potrząsam nią gwałtownie, żeby płyn znów nabrał jednolitego wyglądu syropu. Przez kilka minut nieruchomo przyglądam się, jak poszczególne warstwy układają się na nowo. Następnie ostrożnie odstawiam naczynko. Być może pewnego dnia mi się przyda.

Po dwóch godzinach ciężkiej pracy czuję się wyczerpana. Siadam przy stole w kuchni. Herbata się zaparza, a tymczasem moje powieki się zamykają i zapadam w sen. Budzi mnie ból pleców spowodowany niewygodną pozycją. Nie słyszę już pocieszającego pochrapywania lodówki. Otwieram ją. W środku nie zapala się światło. Pstrykam przełącznikiem górnej lampy, nic z tego. Skończył się prąd. Po tym jak ponad tydzień temu zniknął najpierw internet, a potem telewizja, można się było tego spodziewać.

Wychodzę na świeże powietrze, żeby do końca się obudzić. Pada drobny deszcz, ledwo skrapiający ziemię. Gdy zdejmuję fartuch matki, nagle czuję jej zapach. Zamykam oczy. Kiedy widziałam ją ostatni raz, wydawała mi się odmieniona. Biła z niej jakaś energia, której nigdy wcześniej u niej nie dostrzegłam. Właśnie dowiedziałyśmy się, że mój ojciec zmarł powalony wirusem w barze w Morlaix, wśród swoich kompanów od kieliszka. Nie pozwolono nam zobaczyć go po raz ostatni. Przy takim tempie rozprzestrzeniania się epidemii władze zrezygnowały z rozpoznawania ciał i indywidualnego grzebania zwłok. Byłam zszokowana śmiercią taty i nie rozumiałam, dlaczego matka nie chce mnie przytulić. Dziś myślę sobie, że już wtedy czuła się chora i bała się mnie zarazić. Sytuacja, w której się nagle znalazłyśmy, musiała nią wstrząsnąć. Mówiła do mnie długo, jak nigdy przedtem. Powtarzała, że jestem odważną dziewczyną i że będę wiedziała, co zrobić ze swoim życiem.

Ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu nie rozwodziła się nad odejściem ojca, bowiem tego, jak mawiała, nie można już zmienić i trzeba iść naprzód. Ja chciałam, żebyśmy wspominały szczęśliwe chwile spędzone we trójkę i razem przeżywały smutek. Ona wołała napomknąć o istnieniu listu, który moja babka napisała do mnie tuż przed śmiercią, rok

wcześniej. „Ojciec nie chciał, żebyś go otwierała – wyjaśniła. – Wahał się, czy go nie spalić. Dlatego schowałam go pod moim materacem”. Wówczas ta informacja wydała mi się zupełnie bez znaczenia. Była tak odległa od dramatu, który przeżywałyśmy. „Póki co – kontynuowała matka – musimy przygotować się na najgorsze. Kocham cię, Koridwen, i zawsze będę w twoim sercu, nawet jeśli znajdę się daleko od ciebie”. „Czemu tak mówisz?” zapytałam.

Zostawiła mnie wtedy, żeby ugotować coś do jedzenia. Następnej nocy już nie żyła. Odtąd jestem sama na świecie.